Elliott Leyton
POLOWANIE NA LUDZI
Przełożył Marcin Otto

Tytuł oryginału HUNTING HUMANS The rise of the modern multiple murderer

Od autora

Jestem winien czytelnikowi moc przeprosin i wyjaśnień. Przejawem zarozumialstwa jest pisanie książki o ludziach, których nigdy nie poznałem, mieszkających w kraju, który rzadko odwiedzam. Osobnym zagadnieniem są trudności, na jakie napotyka każdy, kto nie pracuje w policji, a chce poznać stosunkowo dużą liczbę więźniów. Równie ważny jest fakt, że jako antropolog doszedłem do momentu, w którym następuje znużenie badawczym charakterem pracy w terenie. Ma się dość szałasów, w których siedzi się w kucki ociekając potem, odmrożonych kończyn i kolejnych ameb, obłudnych uśmiechów, którymi z konieczności obdarzamy naszych informatorów, by zachęcić ich do współpracy, oraz machinacji, których jesteśmy zarówno autorami, jak i ofiarami. Prowadziłem zakrojone na szeroką skalę badania wśród nowobogackich biznesmenów z Kolumbii Brytyjskiej, mieszkałem wśród rybaków w irlandzkiej wiosce u stóp gór Mourne, rozmawiałem z umierającymi górnikami i wdowami na osnutym mgłą południowym wybrzeżu Nowej Fundlandii oraz z cwanymi biurokratami z Komisji do Spraw Roszczeń w St. John's. Najbardziej porażające doświadczenie to badania prowadzone wśród młodocianych przestępców i ich rodzin w jednej ze społeczności nad wybrzeżem Atlantyku. Miałem więc szczerze dosyć i nie sądzę, bym zdradził antropologię planując serię książek, które mogły mnie uratować od koszmaru nieustannie udawanej uprzejmości.

Jeśli czytelnik nie ma dla mnie zrozumienia, pozwolę sobie zadać następujące pytanie: czy istnieje człowiek, którego należałoby bardziej unikać niż wielokrotnego mordercy? Nie sądzę, bym kiedykolwiek świadomie poznał jakiegoś mordercę, nawet niekoniecznie wielokrotnego, i przyznam, że będę zadowolony, jeśli nigdy nie dostąpię tego wątpliwego zaszczytu. Wyrażając to życzenie, przychodzi mi na myśl pionier antropologii sir James Frazer, którego dzieło Złota gałąź, jest jedną z pierwszych książek dokumentujących zwyczaje ludów "pierwotnych". Kiedy pewien podejrzliwy czytelnik zapytał Frazera, czy kiedykolwiek spotkał dzikiego, ten podobno odpowiedział z przesadnym oburzeniem: "Boże uchowaj!" Sądzę, że odpowiedziałbym podobnie. Niestety znalazłem się w sytuacji przymusowej, gdyż tylko policja ma stosunkowo swobodny dostęp do rozrzuconych po całym kraju ośrodków penitencjarnych, w których są przetrzymywani moi informatorzy. Nawet jeśli nigdy osobiście nie poznałem wielu z interesujących mnie osób, z kilkoma prowadziłem ożywioną korespondencję, chociaż znaleźli się i tacy, którzy nie odpowiadali na moje listy (są to sławy, a ich myśli są w cenie). Siłą rzeczy wielu bohaterów tej książki już nie żyje. Należy podkreślić, że czytelnik nie znajdzie tu żadnych nowych faktów; książka zawiera wybór często znanych tekstów, które posłużyły mi do zilustrowania czynów popełnionych przez morderców i zacytowania słów, które wypowiedzieli. Podejmuję próbę ponownej interpretacji tych tekstów na gruncie współczesnej analizy socjologicznej. Celem tej pracy jest zatem poszukiwanie znaczenia opisywanych w niej czynów i wyznań wielokrotnych morderców, które dotychczas traktowano jako niepojęte lub po prostu "psychotyczne".

Ameryka, gdzie popełniono większość przedstawionych tu zbrodni, nie jest moim ojczystym krajem. Nie wydaje mi się jednak, żeby brak bezpośredniego spojrzenia osłabił wnikliwość analizy. We współczesnym świecie nie trzeba jechać do Ameryki - ona sama do nas przyjdzie dzięki budzącej grozę kulturze. Amerykańscy naukowcy, filmy, telewizja, książki, czasopisma, gazety, płyty, kasety wideo sprawiły, że czuję się dostatecznie dobrze poinformowany. Cóż, jeśli Car! Sagan potrafi wypowiadać się o kosmosie nigdy tam nie bywszy, mogę spokojnie zagłębić się w dyskusję o szczegółach życia obcych ludzi mieszkających w obcym kraju. Aby "poznać" wielokrotnych morderców, oparłem się na naukowych, zręcznie napisanych relacjach o ich życiu, które wyszły spod piór zdolnych dziennikarzy i utalentowanych pisarzy. To im właśnie zawdzięczam dostęp do przebogatego materiału źródłowego, obejmującego dzienniki pisane przez morderców i ich wyznania. Znajdujemy w nim również próbę skrupulatnej rekonstrukcji wydarzeń, oddania nastroju, który im towarzyszył, oraz całą masę szczegółów związanych z osobą zabójcy. Tym samym szereg wybitnych autorów odegrało rolę moich pomocników w pracy badawczej;

pragnę wyrazić wdzięczność Normanowi Mailerowi, Lawrence'owi Klausnerowi, Thomasowi Gaddisowi, Leonardowi Wolfowi, Richardowi Levine'owi, Donaldowi Lunde'emu i Trumanowi Capote oraz wielu innym, którzy w pocie czoła odrabiali za mnie pracę domową. Trzeba przyznać, że zrobili to znakomicie. Przeprowadzali długie wywiady z mordercami, gromadzili ich wyznania i zapisy badań psychiatrycznych. Dostałem to wszystko w prezencie. Kryminolodzy zazwyczaj nie traktują tych badań poważnie i tym samym popełniają zasadniczy błąd. Zapisując każdą myśl i gest wielokrotnego mordercy naszych czasów, wymienieni pisarze oświetlili mroczne zakamarki duszy ludzkiej.

Miałem wrażenie, że zadanie, którego się podjąłem, nigdy się nie skończy. Z pomocą pospieszyło szereg ludzi dobrej woli. Dzięki szczodrości Memorial University, które przyznało konieczne fundusze, pan David Bartlett został moim pomocnikiem do spraw badań naukowych i w moim imieniu szperał w dokumentach. Pani Jeannie Kinsella Devereaux została moją honorową asystentką, wertowała sterty czasopism i gazet w poszukiwaniu relacji sprzed lat. Posiadając tytuł profesora nie powinienem się przyznawać, że rzadko bywam w bibliotekach, ale dotychczas większość czasu spędzałem na rozmowie z żywymi ludźmi. Praca nad tą książką zmusiła mnie do zmiany stylu pracy i pragnę tu wyrazić wdzięczność Bemadine Conran, Ronaldowi Crawleyowi i Joy Tillotson, bibliotekarzom, za wprowadzenie mnie w świat bibliotek. Musiałem również nawiązać kontakt z antykwariuszami, którzy dostarczyli poszukiwanych przeze mnie książek o treści ociekającej krwią. Dziękuję niezawodnej firnie księgarskiej Blackwell's z Oxfordu, jak i Howardowi Fńschowi z Nowego Jorku. Wreszcie muszę podziękować rzeszy przyjaciół i krewnych, którzy zbierali dla mnie wycinki prasowe: mojej matce Lilyan Levson z Los Angeles, bratu doktorowi Bryanowi Leytonowi z Seattie, doktorowi Richardowi Nelsonowi z Alaski, profesorowi Yoikerowi Meji z Niemiec i doktorowi Thomasowi Nemecowi z Nowej Fundlandii. Dzięki nim nigdy nie narzekałem na brak aktualnych doniesień prasowych.

Kiedy podjąłem ten temat, wielu kolegów profesorów uznało mnie za wariata. Muszę jednak zwrócić honor koleżankom i kolegom z uczelni, z którymi rozmowy w ciągu ostatnich dwudziestu lat ogromnie wzbogaciły moje zrozumienie gatunku Homo sapiens. Są to: Douglas Hay, Juan Corradi, Ronald Schwartz, Yoiker Meja, Yictor Zaslavsky, Rex Ciark, Judith Adier, Frederick Johnstone, George Story oraz nieżyjący już David Alexander. Rozmowy z nimi były źródłem licznych przemyśleń.

Antropolodzy rzadko korzystają z pomocy policji poza sytuacjami kiedy, jak to mawiają Anglicy, "pomagają policji w dochodzeniu". Temat mojej pracy wymagał jednak częstych kontaktów z organami ścigania; na szczęście spotkałem się z ogromną życzliwością i pomocą z ich strony. Oto osoby, wobec których mam szczególny dług wdzięczności za wskazówki i słowa otuchy: nadinspektor George Powell, komisarz Dale Henry, sierżant Robert Lohnes, inspektor Jack Lavers z Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, doktor Donald Loree z Kanadyjskiej Szkoły Policyjnej w Ottawie, agenci specjalni Robert Ressier i John Douglas z Akademii Federalnego Biura Śledczego w Ouantico w stanie Wirginia, Donald Randell z Nowofundlandzkiej Policji Królewskiej, sierżant Gerald McOueen z nowojorskiego wydziału zabójstw i Robert Keppel, szef wydziału dochodzeniowego przy urzędzie Prokuratora Generalnego w stanie Waszyngton.

Pisanie tej książki nie było zadaniem łatwym z emocjonalnego punktu widzenia. Wielokrotnie byłem wstrząśnięty i to nie tylko bezmiarem cierpienia, z którym się zetknąłem. Zobaczyłem na własne oczy bezradność policji podczas prób ujęcia tych dość specyficznych morderców ukrywających się w anonimowości współczesnego świata. W trakcie pracy nad książką udało mi się wyodrębnić pewien zestaw wspólnych cech charakterystycznych dla tego typu zabójców; moje spostrzeżenia sprawdziły się w tak wielu przypadkach, że na bazie socjologu stworzyłem ich profil osobowościowy, który policja uznała za cenne uzupełnienie konwencjonalnych metod śledczych. Obecnie, kiedy w domu dzwoni telefon, jest bardzo prawdopodobne, że będę rozmawiał z oficerem policji, który z jakiegoś miejsca na kuli ziemskiej poprosi mnie o skonstruowanie profilu osobowościowego wyjątkowo nieuchwytnego mordercy, a nie z dziekanem, który ma do załatwienia nudną sprawę administracyjną. Tego typu zadania w dwójnasób rozpraszają nudę wieku średniego, ponieważ nie odczuwam żadnych zahamowań natury etycznej, gdy w grę wchodzi "pomoc strukturom władzy". Opory, o których tu mówię, często dotykają socjologów nawet w tak drastycznych przypadkach jak udaremnienie masakry niewinnych ludzi.

Jestem wdzięczny, jak zawsze, Bonnie Leyton, mojej żonie i oddanej przyjaciółce od ponad trzydziestu lat, profesorowi George'owi Story'emu i nieżyjącemu profesorowi Davidowi Alexandrowi, którzy zawsze przypominali mi o obowiązkach naukowca, kiedy traciłem zapał do pracy. Dziękuję Memorial University i Kanadyjskiej Radzie do Spraw Nauk Społecznych i Badań Humanistycznych za udzielenie mi funduszy na osiemnaście miesięcy spokojnej pracy przy biurku. Dziękuję pani Ann Rule, doktorowi Willardowi Gaylinowi, doktorowi Donaldowi Lunde'emu i doktorowi Davidowi Abrahamsenowi, których szlakiem podążyłem przy ich poparciu i wyrozumiałości. Profesorom Gianfranco Poggiemu, Jamesowi Stoltzmanowi i Gor-donowi Inglisowi i panu Williamowi 0'Grady'emu za cenne uwagi i wskazówki. Dziękuję moim kanadyjskim wydawcom McCIellandowi i Stewartowi, a zwłaszcza Marcie Kurc i Janowi Walterowi, których życzliwa opieka umożliwiła wydanie tej książki, oraz Patrickowi Creanowi, którego skrupulatna korekta wzbogaca każdy poprawiany przez niego tekst.

Ponieważ jestem antropologiem, ta praca ma charakter antropologiczny lub historyczno-socjologiczny, jeśli ktoś woli. Jednak nie napisałem jej w stylu tak dobrze znanym wielu socjologom. Nie mam zamiaru się z tego tłumaczyć, gdyż nawet jeśli podziwiam przenikliwość nauk społecznych, potrafię zachować umiar w użyciu dość specyficznego stylu wypowiedzi. Zaledwie próbuję naśladować styl pisarski i gracją wypowiedzi Roberta Damona lub Douglasa Haya - historyków o zacięciu socjologicznym - chociaż bez żadnej nadziei na dorównanie im. Żeby zgłębić ten temat potrzebna jest wiedza i umiejętności historyka,

powieściopisarza, socjologa i antropologa. Dopiero wtedy można dołączyć do grona naukowców, o których pisała George Eliot, i "zgłębić tajemnicę procesów odpowiedzialnych za ludzką biedę, radość, udrękę, manię, zbrodnię i zrozumieć subtelną równowagę, której zakłócenie decyduje o szczęściu lub nieszczęściu". Chociaż w całej książce skrupulatnie trzymam się faktów, traktuję wcześniejsze publikacje jako materiał roboczy i w związku z tym pozwalam sobie na pewną dowolność własnej interpretacji, zwłaszcza że to opracowanie nie jest stricte rekonstrukcją historyczną.

Muszę wreszcie przeprosić czytelnika za narażenie go na opisy ludzkiego cierpienia i upokorzenia. To trudna lektura, ale należy pamiętać, że pozbycie się choroby wymaga analizowania ropy, krwi i zdeformowanej tkanki. Jak dotąd, jedynym skutecznym lekiem, który wynaleziono jest madame guillotine. Z żalem stwierdzam, że podczas gdy korzystanie z jej usług sprawi nam satysfakcję, ona sama niewiele zdziała, by położyć kres tej nowej, jakże zjadliwej chorobie społecznej.

ELLIOTT LEYTON

Torbay, Nowa Fundlandia Lancer, Saskatchewan wrzesień 1984

Wielokrotny morderca naszych czasów

Morderstwo bowiem, choć nie ma języka, przemawiać umie sposobem cudownym.

HAMLET (Przekład Macieja Słomczyńskiego.

Czy wielokrotni mordercy są po prostu niepoczytalni? Czy tak wynaturzone zachowanie można interpretować psychiczną lub genetyczną odmiennością? W naszej kulturze przewija się odwieczny wątek, według którego tak przerażające czyny powinny być interpretowane w kategoriach opętania przez złe moce lub czary (błędne teorie, że okultyzm jest motywem tego typu zbrodni, często znajdują swoje miejsce w prasie codziennej). Wspomniany wątek funkcjonuje też obiegowo w uwspółcześnionej wersji, która interpretuje poczynania wielokrotnych morderców na gruncie "choroby psychicznej". Odetchnęlibyśmy z ulgą, gdyby można było w sposób niekwestionowany zgodzić się z taką interpretacją, gdyż w satysfakcjonujący sposób pozbylibyśmy się poczucia winy i odpowiedzialności. W ten sposób prowokujemy jednak następujące pytanie: dlaczego we współczesnej Ameryce pojawia się statystycznie o wiele więcej tak zwanych wybryków natury niż w innych uprzemysłowionych krajach? Co więcej, jeśli zabójcy są jedynie niepoczytalni, dlaczego tak rzadko przejawiają tak łatwy do zinterpretowania zespół objawów klinicznych (w tym zaburzenia procesu myślowego), który zdaniem psychiatrów wskazuje na chorobę psychiczną? Z jednej strony jest oczywiste, że ktoś, kto zabija drugą osobę, musi rozmijać się ze zdrowym rozsądkiem, ale jest to podejście moralistyczne i nie pomaga nam w obiektywnej próbie zrozumienia przyczyny i wymowy tego zjawiska.

*

Po raz pierwszy wyruszyłem w podróż po duszach wielokrotnych morderców naszych czasów, ponieważ nie potrafiłem pojąć głębokiego, wewnętrznego poczucia spełnienia, które zdawali się czerpać z dokonywanych przez siebie zbrodni. Cztery lata ślęczałem nad materiałami, na które składały się dzienniki pisane przez samych zabójców, ich wyznania, wywiady przeprowadzane przez psychiatrów, oświadczenia dla prasy, zapisy wideo i zdjęcia. Motywy działania okazały się tak oczywiste, a satysfakcja osiągana przez zabójców tak ogromna, że dziwię się, jak niewielu im podobnych spaceruje po ulicach Ameryki. Liczba wielokrotnych morderców wzrasta jednakże w zastraszającym tempie: do lat sześćdziesiątych tego typu przypadki zdarzały się może raz na dziesięć lat, ale na początku lat osiemdziesiątych doniesienia o kolejnym zabójcy pojawiały się niemal co miesiąc. Dzisiaj, według nieoficjalnych danych Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych, prawdopodobnie około stu wielokrotnych morderców krąży po kraju i zabija tysiące ludzi. Dochodzę w tej książce do wniosku, który spędza sen z powiek: ten trend nie ulegnie zahamowaniu, jeżeli tak zwana współczesna cywilizacja nie ulegnie przeobrażeniu. W statystykach wielokrotni mordercy nie zajmują być może wysokiej pozycji, ale próbuję wykazać, że nie są bynajmniej wybrykami natury. Zrozumie to ten, kto pojmie, że stanowią logiczną kontynuację wielu zjawisk charakterystycznych dla ich cywilizacji - doczesnych ambicji, sukcesu i porażki, oraz męskiej mściwości i przemocy. Wielokrotni mordercy funkcjonują w dwóch kategoriach: jako mordercy seryjni, których czynami powoduje zemsta i chęć zdobycia sławy do końca życia, i jako mordercy masowi, którym nie zależy na własnym życiu, a ich czyny stanowią swoisty list samobójcy. Doszedłem do wniosku, że jedyną słuszną i obiektywną metodą analizy jest spojrzenie na nich jak na owoc cywilizacji, która ich wydała, a nie jak na obłąkanych psychopatów.

Połowa lat osiemdziesiątych to okres, w którym nastąpił nagły wzrost liczby wielokrotnych zabójstw, jak również eksperymentów i innowacji dokonywanych przez samych morderców. W tym okresie przekroczono wszystkie dotychczasowe "rekordy" i obalono wszystko, co społeczeństwo uważało za święte. W 1984 roku pewien wagabunda po czterdziestce, niejaki Henry Lee Lucas, przyznał się do torturowania i zamordowania

setek kobiet; liczba ta wielokrotnie przekracza wszelkie dotychczasowe rekordy[1]. Lucas mieszkał ze swoją piętnastoletnią konkubiną w przyczepie ustawionej na terenie zajmowanym przez Dom Modlitwy dla Wszystkich Ludzi, czyli wyznawców Zesłania Ducha Świętego, w małym miasteczku w Teksasie. Dawniej znajdowała się tam ferma kurza. Morderca działał przez osiem lat. Zabicie starszej kobiety z sąsiedztwa, która okazała mu sympatię, przypieczętowało jego koniec. Morderstwo wzbudziło podejrzenia miejscowej policji co do osoby Lucasa. Kiedy został osadzony w areszcie jedynie na podstawie podejrzenia, napisał liścik do zastępcy szeryfa, w którym twierdził: "Zrobiłem coś okropnego i chcę rozmawiać z szeryfem". Dopiero w tym momencie dociekliwi policjanci rozpoczęli żmudne dochodzenie polegające na potwierdzaniu wiarygodności zeznań Lucasa. Wzbudzały one głównie niedowierzanie słuchaczy: była to bezprecedensowa opowieść o gwałtach, torturach, rozczłonkowywaniu ciał i morderstwach. Lucas opatrzył swoją opowieść następującym komentarzem: "Wiem, że to nienormalne, by ktoś chciał zabijać dziewczyny w celu odbycia stosunku".

Lucas, trzynaste dziecko prostytutki, rozpoczął karierę mordercy w roku 1960, kiedy to w wieku dwudziestu trzech lat zadźgał matkę w jej własnym łóżku. Kolejnych piętnaście lat spędził w więzieniach i szpitalach psychiatrycznych w stanie Michigan, nie otrzymując żadnej potrzebnej mu pomocy medyczno-psychiatrycznej. ‚Byłem w Michigan w Szpitalu Stanowym dla Chorych Psychicznie Kryminalistów - opowiadał sędziemu w Teksasie. - Byłem w szpitalu psychiatrycznym w Princeton w Wirginii Zachodniej. Mówiłem o moich problemach, a oni niczego nie chcieli z tym zrobić, i oto mamy sto, tak, około stu kobiet, które mogą coś na ten temat powiedzieć". Lucas zostaje zwolniony, pomimo, jak twierdzi, własnego sprzeciwu. Jeszcze zanim przestąpiłem próg więzienia, mówiłem, że dalej będę popełniał przestępstwa, mówiłem nawet jakie, ale mi nie wierzyli. Mówili, że wychodzę - nieważne, czy mi się to podoba, czy nie. Dzień, w którym wyszedłem jest dniem, w którym zacząłem zabijać". Twierdzi, że tego dnia zabił dwie kobiety.

"Dla kobiet spotkanie ze mną oznaczało śmierć - w sposób niepokojąco radosny wyznał dziennikarzowi z telewizji. - Nie wydawało mi się, by powinny żyć. Nienawidziłem ich i chciałem zniszczyć każdą, którą spotkałem. Odwalałem kawał dobrej roboty. Załatwiłem 360 osób w trzydziestu sześciu stanach i trzech różnych krajach. Moje ofiary nigdy nie wiedziały, co je czeka. W robocie był rewolwer i nóż, dusiłem i biłem, nawet uczestniczyłem w autentycznym ukrzyżowaniu. W całym kraju są ludzie tacy jak ja, którzy ruszają w drogę, by niszczyć ludzkie życie". Przez osiem lat przemierzał kontynent w poszukiwaniu samotnych, bezbronnych kobiet - autostopowiczek, uciekinierek z domu, kobiet, którym zepsuł się samochód na odludziu. Wyjaśniał swoje zachowanie, posługując się wzorcem intelektualnym zapożyczonym od kultury, która go wychowała: "Dorastałem patrząc, jak moja mamusia uprawia seks z coraz to innym mężczyzną. Nie szła do innego pokoju, upewniała się, że jestem w tym samym pomieszczeniu, i robiła to tak, żebym wszystko widział. Dlatego zacząłem nienawidzić. Uciekałem z domu, chowałem się w lesie i nie wracałem. Ale potem dostawałem lanie. Nie winie mamusi za to, co robiła, za to jej nie winie. Chodzi o sposób, w jaki to robiła. Nie sądzę, by jakiekolwiek dziecko powinno być tak wychowywane. Ja tego nienawidziłem. To taka wewnętrzna nienawiść i nie potrafię od niej uciec". To, co mówi Lucas, tylko pozornie wszystko wyjaśnia: pierwszą ofiarą dwudziestotrzyletniego Lucasa była własna matka i to powinno rozwiązać jego dylemat po wsze czasy. Po co spędzał całe lata odprawiając egzorcyzmy nad jej duchem, po co zabijał "ją" tylokrotnie? Jego wyjaśnienie wydaje się dalekie od doskonałości.

Jeśli Lucas ustalił rekord w kategorii seryjnych morderstw (czyli szeregu zabójstw rozciągniętych w czasie), to w tym samym 1984 roku w Ameryce padł inny rekord w kategorii masowych morderstw (czyli zabójstw dokonanych w pojedynczym wybuchu przemocy). James Oliver Huberty wszedł do restauracji McDonalda w San Ysidro w Kalifornii i zaczął strzelać. W ciągu trwającego osiemdziesiąt dwie minuty oblężenia Huberty oddał 245 strzałów do przerażonych klientów i przechodniów, zabijając dwudziestu jeden z nich i raniąc kolejnych dziewiętnastu. Wystrzelony przez któregoś z policjantów pocisk trafił napastnika w klatkę piersiową i zabił na miejscu. W przeciwieństwie do Lucasa, Huberty nie był bezdomnym włóczęgą bez wykształcenia. To prawda, że pochodził z rozbitej rodziny i że jedynym przyjacielem, który dotrzymywał mu towarzystwa w dzieciństwie, był pies, lecz podobny los jest udziałem milionów ludzi. Matka Huberty'ego, która porzuciła syna i córkę, kiedy byli jeszcze mali, zdobyła się jedynie na taki komentarz: "Wiedziałam, że potrzebował pomocy".

Huberty był żonaty i miał dwie córki. Studiował w Ohio w niewielkim college'u o tradycjach kwakrowskich, tam też uzyskał dyplom z socjologii. Miał własny dom, czyli manifestował niektóre z zewnętrznych przejawów rodzinnej stabilizacji. Niemniej stracił pracę spawacza, kiedy zamknięto fabrykę (nigdy zarobkowo nie zajmował się balsamowaniem zwłok - zajęciem, do którego wykonywania zdobył uprawnienia w roku 1965 w Instytucie Nauk Pogrzebowych w mieście Pittsburgh w Pensylwanii). Według jednego z czasopism wielu przyjaciół uważało go za komunistę, ponieważ winił kapitalizm za zamknięcie

[1] * Lucas nieustannie zmieniał zeznania, bez wątpienia w celu naigrawania się z władz i utrzymania swojego nazwiska w nagłówkach gazet

fabryki. Żona z kolei mówiła: .Jeśli już, to na pewno był nazistą". Huberty zdecydował się na przeprowadzkę na zachód i nowe życie, ale stracił dużo pieniędzy na sprzedaży domu. Z nie wyjaśnionych powodów osiadł w mieście Tijuana przy granicy meksykańskiej. Nie mógł się porozumieć w obcym języku i czuł się (według żony) "zagubiony, odrzucony i pozbawiony perspektyw". Narastała w nim nienawiść do ludności meksykańskiej. Przeniósł się po raz kolejny znów do Stanów Zjednoczonych, do San Ysidro. Wraz z rodziną wynajął mieszkanie niedaleko McDonalda, do którego często zaglądają młodzi Meksykanie. Znalazł pracę jako ochroniarz, ale został zwolniony po kilku tygodniach.

Huberty próbował zapisać się na wizytę do kliniki zdrowia psychicznego, ale terminy były bardzo odległe. Możemy spojrzeć na to zdarzenie jak na ostatnią próbę ratowania tego, co jeszcze można było ocalić z jego życia. Feralnego dnia pojechał z rodziną do zoo w San Diego. Patrząc na zamknięte w klatkach zwierzęta, może identyfikując się z ich położeniem, Huberty zwrócił się do żony: "Społeczeństwo miało już swoją szansę!" Odwiózł rodzinę do domu i oznajmił: "Jadę na polowanie... na ludzi". Uzbroił się i poobtłukiwanym samochodem podjechał pod McDonalda.

Reakcja władz stanowych na rzeź była w równym stopniu tragiczna i niewłaściwa, jak samo zajście. Jeżeli uznamy, że przekazy telewizyjne właściwie oddają atmosferę wydarzeń (są z pewnością głównym źródłem informacji we współczesnej Ameryce), to władze stanowe i różne agencje, które je reprezentują, wyraziły jedynie pełne zaskoczenie motywami zabójcy. Zaproponowano usługi terapeutów, którzy byli gotowi pomóc ofiarom (obecnym i przyszłym) w "odreagowaniu" szoku wywołanego przez tragedię. Świadomie unikano postawienia następujących pytań: Czy takim przypadkom można zapobiec? Dlaczego wyborem Huberty'ego było zabijanie i własna śmierć w towarzystwie napływowej ludności meksykańskiej? Czy istniał jakiś rzeczywisty związek pomiędzy powolnym staczaniem się po drabinie społecznej i napaścią na przedstawicieli jej najniższego szczebla, Latynosów, którzy czuli się zbyt pewnie w "jego" restauracji dla białych, tradycyjnym miejscu spotkań klasy średniej? Czy to, czego dokonał, miało jakieś głębokie znaczenie społeczne, czy było wyłącznie wynaturzonym działaniem psychopaty? W chwili gdy piszę te słowa, wyłoniono zespół fachowców do znalezienia odpowiedzi na te pytania. Zamiast dogłębnej analizy społecznego tła masakry, polecono członkom komisji, by poszli w niewłaściwym kierunku (jakby inaczej) i zaczęli od sekcji mózgu w celu odszukania w jego zwojach tajemniczych "zmian chorobowych".

Podczas gdy Lucas i Huberty pobili rekord co do liczby ludzi, którym odebrali życie lub okaleczyli ich ciała i umysły, Christopher Wilder zrobił to samo w kategorii klasy społecznej - był pierwszym, który polował wyłącznie na przedstawicielki wyższej klasy średniej, a nie na "przeciętne" studentki. Przypadek Wildera jest szczególnie interesujący, lecz na zawsze pozostanie zagadką; poniósł śmierć w czasie próby aresztowania i z wyjątkiem ciał ofiar nie zostawił po sobie nic, co mogłoby rzucić światło na motyw działania. Nie był otumanionym wściekłością lumpem jak Lucas, odgrywającym się na tej klasie społecznej, która go uciskała. Nie był też jak Huberty petit bourgeois, który wszystko stracił i manifestował swój protest przeciwko wyrzucaniu poza nawias społeczeństwa. Wilder urodził się w Australii, a dzieciństwo minęło mu w dostatku. W roku 1970 wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i założył własną, dobrze prosperującą firmę budowlaną. Ten właściciel nieruchomości na Florydzie, szacowanych na około pół miliona dolarów, jeździł na narty do eleganckich miejscowości, brał udział w wyścigach samochodowych i mieszkał w wykwintnie urządzonym domu - taki obraz malowały wszystkie doniesienia prasowe. Ale w życiu Wildera dostrzegamy wiele sprzeczności. Wspólnik kwestionował relacje o zamożności, twierdząc, że brylanty w noszonych przez Wildera pierścieniach były imitacjami, Porsche miało siedemnaście lat, a dom był zwykłą rupieciarnią. Przy wykonywaniu zleceń korzystano z odpadów i materiałów z odzysku. Ten sam człowiek uważał Wildera za "spokojnego, łagodnego w obyciu faceta, który głównie siedział przed telewizorem, bo nie miał nic innego do roboty". Tego typu sprzeczności zaczęły się mnożyć w czasie dochodzenia. Otóż ten gwałciciel, kat i morderca kochał zwierzęta: przekazywał pieniądze na rzecz organizacji "Ocalić Wieloryby" i na , fundusz Pomocy Fokom". Jadąc samochodem zawsze zwalniał, kiedy żółwie przechodziły przez drogę. Tak czy owak, po zrobieniu międzynarodowej kariery w zakresie różnego typu napaści na tle seksualnym (za co właściwie nie był karany) ten spokojny telewidz i miłośnik wielorybów, fok i żółwi, porywa jedenaście pięknych, eleganckich kobiet, z których tylko trzy przeżyły to, co im zgotował. Wilder posługiwał się typowym fortelem; zaczepiał młode kobiety i proponował pomoc w zrobieniu kariery modelki. Jeśli odmawiały udania się z nim "na sesję zdjęciową", porywał je siłą, poddawał torturom, posługując się między innymi prądem, i wreszcie zabijał. Zupełnie jak Ted Bundy, o którym obszerniej w dalszej części niniejszej książki, Wilder rusza gdzie oczy poniosą wkrótce potem, jak piękna, młoda kobieta pochodząca z szanowanej rodziny na Florydzie, nauczycielka ze szkoły dla dzieci upośledzonych umysłowo, odrzuca jego oświadczyny. Władze były mocno zbulwersowane całą sprawą, ale partner Wildera od wyścigów samochodowych zwrócił uwagę na zasadniczą kwestię twierdząc, że w popełnionych przez jego partnera przestępstwach seksualnych nie ma żadnej logiki: "Jak się lubi ostry seks, to się po prostu wynajmuje kilka kurewek. Po co miałby się ładować w coś poważniejszego?" Słusznie. Po co Wilder narażał życie, skoro, jeśli motywem był seks, mógł mieć to samo za pieniądze? Ta książka jest próbą znalezienia pełnej odpowiedzi na tak nieelegancko postawione pytanie. Spróbuję prześledzić wszystkie wątki i zobaczyć,

dokąd prowadzą. Musimy starannie przeanalizować wszystkie przypadki, gdyż przed końcem tego stulecia pojawi się jeszcze wielu podobnych morderców; ich jedynym celem, trzeba to wyraźnie zaznaczyć, będzie porywanie naszych córek i synów i pozbawienie ich życia.

Od czego zacząć wyjaśnianie motywów, którymi kierują się wielokrotni mordercy naszych czasów? Ich działalność, niezależnie od tego, czy trwa wiele miesięcy, czy też przyjmuje formę pojedynczego, kilkugodzinnego ataku, jest przemyślana i wymierzona przeciwko określonej grupie społecznej. Sami mordercy pochodzą ze średniej lub niższej klasy społecznej. Może są ofiarami - za czym tak gorąco opowiadają się psychiatrzy i sądy - jakiejś tajemniczej choroby psychicznej? Być może, ale jeśli tak, dlaczego liczba ofiar tej szczególnej choroby gwałtownie wzrosła w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych? Czy winę za ten stan ponosi na przykład przyuczanie do korzystania z sanitariatów, albo jakaś dziwna zmiana w naszym organizmie, która daje w wyniku taki rodzaj zaburzeń? Najprawdopodobniej nie, gdyż samo pojęcie choroby psychicznej według najnowszej definicji (która twierdzi, że choroby psychiczne mają taką samą kwalifikację jak na przykład gruźlica) nie potrafi się obronić w świetle porównawczego materiału antropologicznego. Pozornie nie ulegające zmianom choroby psychiczne, takie jak schizofrenia, depresja maniakalna i tym podobne, często zanikają lub przybierają inne formy w różnych kulturach. Zatem jeżeli osoba zaburzona ma "odjazd" od rzeczywistości (co nazywamy psychozą) przybiera on taką formę, jaką dyktuje rodzima kultura. Dla przykładu, w kulturze Ojibwa wierzono, że osoba mogła być opętana, co objawiało się nie kontrolowaną żądzą ludzkiego mięsa; szaleństwo przyjęło formę psychozy Windigo[2]. Ofiary, wierząc w to, co w nie wpojono, zabijały ludzi, często członków rodziny, i ich pożerały.

W bardzo hermetycznej kulturze Eskimosów obłęd przyjmował specyficzną dla północy formę zwaną histerią arktyczną -ofiara zrywała z siebie odzież i nie bacząc na niebezpieczeństwo skakała po krach.

We wspaniałym, ale mało znanym opracowaniu dotyczącym schizofrenii zatytułowanym "Oskar", Peter J. Wilson doszedł do wniosku, że obłęd jest reakcją jednostki na pozbawianie jej przez innych ludzi osobowości., Jedyną dostępną deską ratunku w celu uwolnienia się od tyranii innych jest ucieczka do szpitala, zakładu psychiatrycznego lub na dowolny statek głupców". Zatem obłęd jest zarówno twórczym aktem samoobrony, jak i produktem danej kultury: "prymitywne" plemię Yanomamo z Ameryki Południowej nie doświadcza histerii arktycznej, a Amerykanom obca jest psychoza Windigo. W naszym społeczeństwie coraz większa liczba ludzi zabija dla przyjemności, którą najwyraźniej czerpią z takiego aktu. Czy są obłąkani, czy jest to jakaś szaleńcza forma komunikacji ze społeczeństwem?

Pierwszy wniosek to stwierdzenie, że psychiatryczna definicja choroby psychicznej jest fałszywa: obłęd to nie rak ani żadna inna ze znanych fizycznych dolegliwości. Jest to raczej kulturowo uwarunkowany dialog. Nie powinno zatem dziwić, że niezależnie od intensywności badań prowadzonych przez psychiatrów, nie znajdą nawet śladu choroby psychicznej w umysłach wielokrotnych morderców (z wyjątkiem samej natury popełnionych czynów). W tym miejscu dostrzegamy całe niebezpieczeństwo problemu, gdyż zabójcy są równie "normalni" jak ja lub czytelnik, a jednak zabijają bez litości po to, by złożyć publiczne oświadczenie.

Jeżeli nie można ich uznać za biologiczne lub psychiczne wybryki natury, podobnie trudno zrozumieć, że mają coś wspólnego z wprawiającą w zdumienie liczbą zabójstw w Ameryce (najwyższy odsetek wśród państw uprzemysłowionych)[3]. Istnieje przekonujący dowód na poparcie tej tezy: wzrost lub spadek liczby zabójstw w skali globalnej nie jest związany ze wzrostem lub spadkiem stopy zabójstw popełnianych przez wielokrotnych morderców. Istotnie, na początku lat osiemdziesiątych, kiedy do tej pory niezmiennie rosnąca krzywa zabójstw w Ameryce zaczęła opadać, linia przedstawiająca "działalność" wielokrotnych morderców szła w górę[4]

W Kanadzie, odsetek zabójstw od lat utrzymuje się na tym samym poziomie i to samo dotyczy morderstw wielokrotnych, nawet jeżeli od czasu do czasu jest sztucznie zawyżany przez bawiących w Kanadzie "gości" z zagranicy. Pierwszym był Earle Nelson w latach dwudziestych, morderca kobiet z Winnipeg. Rozpoczęta przez niego tradycja trwa do dzisiaj: Lucas twierdził, że odwiedzał Kanadę, próbował do niej zbiec Wilder, a Ted Bundy często przyjeżdżał do Vancouver. Niedawno ujęto Charlesa Ng - kata i seryjnego mordercę z Calgary.

Co ciekawe, w państwach takich jak Wielka Brytania i Niemcy, które mają niski odsetek zabójstw, wielokrotne morderstwa są zjawiskiem częstym; z kolei w Szwajcarii obydwa wskaźniki są na niskim

---

[2] Występujący w wierzeniach kanadyjskich Indian zimowy potwór Windigo miał być odpowiedzialny za zaburzenia psychiczne o charakterze depresyjnym (przyp.tium.).

[3] Meksyk jest często wymieniany na pierwszym miejscu co do ilości zabójstw, ale jest to kraj Trzeciego Świata.

[4] W przypadku wielokrotnych morderstw dane statystyczne nie są wiarygodnym źródłem i często są niedostateczne, dlatego też musimy ich szukać gdzie indziej. I tak statystyka jest zaniżona z powodu morderców, których nigdy nie ujęto, a dowody ich działalności leżą pogrzebane w trudno dostępnych miejscach na odludziu. Nawet "Biuletyn Przestępczości" wydawany przez FBI opiera się na doniesieniach jednostek policji z całego kraju, których raporty nie zawsze łatwo zweryfikować.

poziomie. Wniosek nasuwa się sam: są to dwa różne, nie powiązane ze sobą zjawiska. Wielokrotny morderca, który poświęca własne życie, by zabijanie obcych ludzi podnieść do rangi sztuki, jest jakościowo kimś zupełnie innym niż facet ze slumsów, który doprowadzony do ostateczności przez nędzę i upokorzenia gołymi rękami zabija żonę lub sąsiada w czasie pijackiej burdy.

W społeczeństwie naukowców toczy się obecnie szeroka i dogłębna dyskusja nad tym, czy przyczyną zabójstw jest nędza, brak równości społecznej, czy wpływ subkultur - ale najwyraźniej wszystkie trzy czynniki składają się na odpowiedź. Świadomość, że jest się czegoś pozbawionym (w sposób rzeczywisty lub względny) jest źródłem frustracji, a czynnik kulturowy programowo instruuje jednostki, jak w najlepszy sposób dać wyraz odczuwanym emocjom. Podsumowując, wielokrotny morderca to osoba zupełnie odmienna, żyje często na pograniczu niższej warstwy klasy średniej, ma skrajnie konserwatywne poglądy i poczucie odtrącenia przez klasę społeczną, do której całym sercem pragnie należeć. W trakcie zakrojonej na szeroką skalę wendety morduje nie znanych sobie ludzi, którzy reprezentują (zachowaniem, wyglądem lub miejscem zamieszkania) tę klasę społeczną, która go odrzuciła.

W sposób mniej lub bardziej świadomy wielokrotni mordercy postrzegają siebie jako żołnierzy; nic więc dziwnego, że nie czują ani współczucia dla swoich ofiar, ani żalu z powodu wejścia na krwawą ścieżkę wojenną. Co więcej, społeczeństwo traktuje ich jako osoby publiczne. Nikt nie zyskuje popularności z powodu zatłuczenia żony na śmierć w jakiejś ciemnej alejce, ale praktycznie wszyscy z omawianych tu ludzi stają się niezaprzeczalnie i trwale sławni. Do końca życia pozostają tematem artykułów i książek, programów radiowych i telewizyjnych i w ten sposób zyskują nieśmiertelność, która nie staje się udziałem przeciętniaków i nieudaczników. W czasie procesu niemal zawsze otacza ich wianuszek wielbicielek, z których wręcz emanuje miłość i podziw dla mordercy. Czasami, jak to miało miejsce w przypadku Theodore'a Bundy'ego, jakaś pełna uwielbienia pani poślubi wielokrotnego mordercę w czasie procesu i urodzi mu dziecko, chociaż on ciągle przebywa za kratkami. Spłynie na niego lawina korespondencji od wszelakich stowarzyszeń, które dostrzegą w nim ważny materiał do rozważań filozoficznych. Dla innych będzie stanowił sposobność przetestowania własnych teorii o resocjalizacji. "Syn Sama" (David Berkowitz) nie był daleki od prawdy, gdy twierdził, że to opinia publiczna pchała go do popełniania kolejnych morderstw; środki masowego przekazu relacjonowały wszystkie jego posunięcia w atmosferze narastającej sensacji. Gdyby jakiś potencjalny morderca niezbyt wyraźnie odebrał sygnał kulturowy, że jest na prostej drodze do osiągnięcia sławy i samorealizacji, pomoże mu w tym popularny utwór z połowy lat osiemdziesiątych:

Kiedy wreszcie postanowisz kogoś zabić,
Zamień swoje serce w twardy głaz.
A gdy stwierdzisz, że twym dłoniom jest wciąż mało,
Zbrodnię w sztukę możesz zmienić, jeśli chcesz.
Kiedy raz odkryjesz smak tego doznania, A twój sukces satysfakcję ci przyniesie, Będziesz musiał to powtórzyć raz i drugi, Nim sumienie zaprzestanie dręczyć cię.
W panteonie mrocznym krwawych dziejów świata Obok innych bohaterów staniesz dumnie. Pracowały niestrudzenie ich zastępy, By na wieki swe imiona wyryć nam w pamięci.[5]

Morderstwo dla zysku

Nie jest moim zamiarem przedstawienie w tej książce wszystkich wizerunków wielokrotnych morderców. Brak danych uniemożliwił przedstawienie czytelnikowi morderstw opatrzonych kryptonimem "Tylenol", niedawnej fali zabójstw dokonywanych w szpitalach, lub epidemii wjeżdżania pojazdami na zatłoczony chodnik. Podobne trudności napotykamy z opisaniem tak często pojawiających się wielokrotnych morderców--homoseksualistów (rzadko mają coś do powiedzenia na swój temat). Możemy tylko wyrazić przypuszczenie, że te sprawy mają wiele cech wspólnych z opisanymi tu przypadkami. Skreślam również z listy wszystkich, którzy zabijają dla zysku. Takim mordercą był na przykład Charles Sobhra; w 1978 roku obrabował i zabił szereg turystów bawiących w egzotycznych kurortach. Wielokrotne morderstwo dla zysku jest jedynie formą zarobkowania, a zgładzenie ofiary logiczną konsekwencją wykonywanego zawodu. Mordercy należący do tej kategorii z pewnością robiliby w życiu coś innego, gdyby tylko zaproponowano im intratniejszą posadę. Zajmiemy się tylko tymi, którzy najwyraźniej zabijają dla samego zabijania, dla których zabijanie jest celem samym w sobie.

Nie znajdzie się również w tej książce miejsce dla wszystkich zawodowych katów i morderców wynajmowanych przez rządy państw, gdyż są niczym więcej jak biurokratami, którzy w imieniu przywódców rządów depczą po piętach im podobnym. Ich działanie jest o wiele bardziej skuteczne niż tych, którzy są bohaterami tej książki, gdyż ci biurokratyczni mordercy to bezduszne maszyny do zabijania, które posługują się najnowszą techniką i robią to głównie (a nawet wyłącznie) dla własnej kariery. Przenieśmy ich

[5] * Utwór pochodzi z "Synchronicity", jednego z najlepiej sprzedawanych albumów zespołu Tnę Police. Przekład Kingi Studzińskiej-Pasieki.

służbowo do Instytutu Normalizacji Miar i Wag, dajmy podwyżki i stanowiska, a będą szczęśliwi, chociaż niektórzy zatęsknią pewnie za widokiem przedśmiertnych drgawek swoich ofiar. Typowym przykładem pozbawionego poczucia humoru zabójcy-biurokraty był Adolf Eichmann, skuteczny w działaniu pan i władca hitlerowskich obozów śmierci. Jego naśladowcy rozpanoszyli się po całym świecie w drugiej połowie naszego stulecia. Działające współcześnie "szwadrony śmierci" sieją strach w imieniu elit władzy, a czasami robią to nawet przy aplauzie społeczeństwa, ale ich członkowie nie działają w pojedynkę dla realizacji osobistych dążeń, co jest przedmiotem naszych badań.

Prawdopodobnie najskuteczniejszy po drugiej wojnie światowej program eksterminacji zainicjowano pod auspicjami rządu w Indonezji, gdzie prawicowi fundamentaliści islamscy unicestwili lewicę, oraz w Kambodży, gdzie lewicujący rewolucjoniści wymordowali niemalże resztę mieszkańców kraju. W Indonezji, gdzie liczbę zamordowanych ocenia się skromnie na około pół miliona, rząd islamski podjął decyzję o wyeliminowaniu z gry opozycyjnej partii komunistycznej (PKI). Masakry rozpoczęły się w 1965 roku masowymi egzekucjami, przeprowadzanymi przez wojskowe oddziały rządowe, a następnie przerodziły się w rzeź wszystkich członków partii i ich rodzin. Amnesty Intemational w raporcie "Morderstwa polityczne inspirowane przez rządy" sucho i beznamiętnie relacjonuje, jak w wielu regionach kraju "miejscowi komendanci wojskowi ładowali na ciężarówki aresztowanych członków PKI, sprawdzali nazwiska według sporządzanych naprędce list i wywozili na miejsce egzekucji, gdzie straceńcy ginęli od kuli lub noża". Bywało też i tak, że "większość skazanych zabijano za pomocą maczet do ścinania trzciny cukrowej lub sierpów. (...) Rzeź często miała charakter mordów rytualnych. Zabójcy odprawiali uczty w obecności związanych ofiar. Po posiłku każdy z zaproszonych gości miał zaszczyt ścięcia głowy jednemu więźniowi".

W Kambodży rząd komunistyczny traktował falę morderstw jako metodę zapobieżenia jakiejkolwiek działalności kontrrewolucyjnej. Do wiosny 1975 roku zabijano tylko wyższych rangą oficerów, ale wkrótce wyrokami śmierci objęto wszystkich podejrzanych o brak poparcia dla nowego reżimu. Jeden z Czerwonych Khmerów, żołnierz, którego zmęczyło zabijanie, zeznał następująco: "W 1975 roku zarządzono zmianę polityki; rewolucja zwyciężyła zbyt szybko. Jeżeli natychmiast nie zgładzi się całej ludności, rewolucji zagrozi niebezpieczeństwo w momencie zjednoczenia sił republikańskich, wojsk Sihanouka i imperialistów. Zaistniała konieczność wyeliminowania wrogich sił i ocalenia Komunistycznej Partii Kampuczańskiej. Trzeba było wymordować nie tylko oficerów, ale również zwykłych żołnierzy, ich żony i dzieci. Tak przemyślana polityka opierała się na rewolucyjnym doświadczeniu. W przeszłości Sihanouk zabijał rewolucjonistów, ale ich żony, dzieci i krewni zjednoczyli się przeciwko niemu i przyłączyli do nas. Taka sytuacja nie ma prawa się powtórzyć i obrócić przeciwko nam. Na początku roku 1976 zabijano już całe rodziny żołnierzy. Pewnego dnia w Choeung Prey płakałem cały dzień, kiedy zobaczyłem, jak zabijają kobiety i dzieci. Od tej pory nie mogłem już zabijać. Zwrócił się do mnie towarzysz Saruoeun i powiedział: "Do roboty". A ja mu na to: "Jak bym mógł? Jak można zabijać kobiety i dzieci? Trzy dni później zostałem aresztowanym Ale ci wszyscy nieszczęśnicy ze swoimi obozami zagłady, wszyscy więźniowie własnych systemów politycznych i imperiów, które nimi rządzą, nie są tematem tej książki.

Dla samego mordowania

Mężczyźni, o których piszę, nie pragną ani zysku, ani wspinania się po szczeblach władzy. Przeciwnie, to ludzie, o których Niemcy mówią, że uprawiają lustmord - zabójstwo dla przyjemności. Działają samotnie, a zabijają dla satysfakcji, którą czerpią z samego aktu. Spróbuję jednak wykazać, że motyw zabójstw wychodzi poza potrzebę samozaspokojenia; jest to coś na kształt politycznego, konserwatywnego protestu, który przynosi zabójcy znaczną korzyść społeczną w postaci zemsty, sławy, tożsamości i zaspokojenia seksualnego. Wielokrotni mordercy postrzegają zabójstwa jako rodzaj misji, zadania lub krucjaty - czasami to wyobrażenie jest mgliste (DeSalvo i Berkowitz), kiedy indziej widać je bardzo wyraźnie (Essex, Panzram i Starkweather). W obydwu przypadkach mamy do czynienia z tym samym zjawiskiem - prymitywnym, lecz coraz modniejszym buntem przeciwko porządkowi społecznemu. Jeżeli potraktujemy morderstwa jako przejaw osobistego protestu społecznego, należy podkreślić, że zabójcy nie są radykałami. Z radością zaakceptowali ustalony porządek społeczny, ale jednocześnie zdali sobie sprawę, że nie ma w nim dla nich miejsca. Ich bunt jest zatem protestem przeciwko domniemanemu wykluczeniu ze społeczeństwa, a nie próbą jego zmiany, co jest domeną wszystkich rewolucjonistów. Buntowniczy, a nie rewolucyjny charakter protestu jest zapewnię przyczyną, dla której stosunkowo niewielkie siły rządowe i policyjne są delegowane do ujęcia zabójców (w porównaniu z ogromnym aparatem ścigania, który sprawuje kontrolę nad dysydentami), ponieważ ani reprezentowaną ideologią, ani czynami nie stanowią zagrożenia dla ustalonego porządku.

Oto bohaterowie tej książki: Huberty - nazista, Essex -rasista, Kemper - członek Młodzieżowej Izby Handlowej, Bundy - młody republikanin, Panzram - nihilista, Nilsen - zawodowiec-perfekcjonista, Berkowitz - mściciel, DeSalvo - człowiek z awansu i Starkweather, który wymordował arystokratycznych mieszkańców pewnej posiadłości. To, czego dokonali, to nie "ciosy zadane ludziom" ani objawy jakiejś

okropnej choroby psychicznej - to oczywista zemsta tych, którzy spojrzeli na siebie i uznali, że ich życie trudno nazwać życiem. W tym momencie podjęli decyzję o okropnej zemście, za którą byli gotowi umrzeć.

Zabójstwa są zatem swoistym listem samobójcy (w dosłownym sensie dla większości masowych morderców, którzy spodziewają się umrzeć przed upływem dnia lub tygodnia; w przenośni dla większości seryjnych morderców, którzy decydują się na poświęcenie reszty życia "sprawie"); zabójca w nich wyraźnie zaznacza, która klasa społeczna go odrzuciła. Nasze zadanie polega na właściwym odczytaniu tego listu, czyli przeanalizowaniu poszczególnych zabójstw, i przestudiowaniu wypowiedzi morderców, by znaleźć ich ukryte znaczenie. Nie wolno nam zadowolić się powierzchownymi, pozornie nieodpartymi wyjaśnieniami, które dotyczą ich osobistej i doraźnej satysfakcji, gdyż służą jedynie zakamuflowaniu prawdziwego motywu popełnionych czynów. Świadomie czynię tę przestrogę, gdyż nawet najbardziej przenikliwi przedstawiciele naszego społeczeństwa, jak na przykład sędzia Ronald George, który przewodniczył w procesie Dusicieli z Hiliside i pomylił przyczynę z celem stwierdzając, że "Angelo Buono i Kenneth Bianchi przez szereg miesięcy trzymali to miasto w szachu i jak najgorsze demony prześladowali miejscową społeczność. Porywali dzieci i młode kobiety, torturowali je, gwałcili i dopuszczali się pedofilii, wreszcie zabijali, na zawsze pozbawiając rodziny i przyjaciół ich obecności... i w jakim celu? Dla osiągnięcia chwilowej, sadystycznej satysfakcji seksualnej i daniu upustu nienawiści do kobiet".

Nie wolno traktować tej książki jako namowy do poważnych rozważań nad "filozofią" zabójców; twierdzę jedynie, że jeżeli mamy zrozumieć okoliczności, które sprzyjają pojawianiu się wielokrotnych morderców musimy sięgnąć wzrokiem poza ich doraźną, ohydną przyjemność, a mianowicie do samego źródła zwyrodnienia.

Wyrównywanie rachunków

Nadchodzi chwila, w której jedynym sposobem na dojście do głosu jest wzięcie do ręki rewolweru.
Sara Jane Moore

Spróbuję zatem obronić teorię, że wielokrotni mordercy nie są obcymi z kosmosu o zdegenerowanych umysłach, lecz wyobcowanymi ludźmi, którzy czując się jak w pułapce, nie są zainteresowani kontynuowaniem życia pełnego nudy. Dorastają w społeczeństwie, które sankcjonuje przemoc jako reakcję na frustracje. Widać ją wszędzie - w środkach masowego przekazu i ostrej pornografii. W tej ostatniej gloryfikuje się "radość" sadyzmu i nakreśla prawidłowe metody postępowania; kreuje "męski" wizerunek pirata i mściciela. Jeżeli naszym "bohaterom" życie przestało być miłe, zorganizują masowy mord, którego punktem szczytowym będzie autoegzekucja, lecz gdyby wybrali życie i rozgłos, nawet sławę, zdecydują się na karierę seryjnego mordercy. Dokonując takiego lub innego wyboru wyrównują stare rachunki w sposób, który przynosi podwójną dywidendę: zaspokojenie seksualne i rzucenie wyzwania władzy.

Zabójstwa są jakby pełnym inwektyw monologiem wypowiadanym pod adresem porządku społecznego - czasami wręcz dosłownie, jak to było w przypadku homoseksualisty Dennisa Nilsena, seryjnego mordercy z Wielkiej Brytanii. Nilsen przywiązywał do krzesła zwłoki zabitych przez siebie młodych mężczyzn i przemawiał do nich całymi godzinami na tematy tak rozmaite jak prawa przysługujące pracownikom państwowym lub zagadnienia społeczne dnia dzisiejszego. Jednak o wiele częściej przesłanie zabójcy jest wyszeptane zbyt cicho, by je bez problemu usłyszeć, a nawet gdyby do nas dotarło, brzmiałoby jak zagadka. Co Nilsen miał na myśli, pisząc po aresztowaniu następujące słowa do prowadzących śledztwo: "Zło było krótkotrwałe i nie może długo obciążać sumienia"? Z tym złem to nie do końca prawda, gdyż Nilsen zabijałby do upadłego, gdyby nie został zdemaskowany. "Zabiłem własnego smoka" napisał ten morderca szesnastu bezbronnych, młodych mężczyzn, ale poproszony o wyjaśnienie nie sprecyzował, pod jaką postacią ukrywał się smok ani dlaczego go zabił. "Nie wiem -zeznał Nilsen. - Próbowałem to rozgryźć. Nie jestem czubkiem, a wszyscy się ode mnie odwracają (komentarz do faktu, że opuścili go wszyscy przyjaciele). Może jest ku temu dużo powodów. Będąc perfekcjonistą nienawidzę establishmentu. Działam pod wielką presją. Piję, by zelżała". Czy to zwykły obłęd, czy też zniekształcony przekaz nadany przez "perfekcjonistę" nie dającym się odczytać szyfrem?

Być może najbardziej niepokojącym (a jednocześnie najistotniejszym) krokiem, na jaki zdobywają się zabójcy po aresztowaniu, jest skłonność do najpłytszej formy moralizatorstwa -pouczania społeczeństwa lub wręcz rodzin ofiar. Zapiski z procesu piętnastowiecznego sadysty i pedofila barona Gillesa de Rais'go ujawniają, że pouczał rodziców zamordowanych przez siebie dzieci, w jaki sposób powinni wychowywać te, które ocalały. Nilsen z kolei twierdził: "Wszystko wyszło na światło dzienne dzięki mojej moralności i poczuciu sprawiedliwości", co jest wierutną bzdurą. W chwili gdy oddaję tę książkę do druku, Clifford Olson z Kanady, morderca dzieci, płodzi w więzieniu eseje filozoficzne i wysyła listy do profesorów socjologii:

"Zawsze interesowałem się socjologią - pisze - gdysz (sic!) jest nauką o społeczeństwie. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy bardzo intynsywnie (sic!) zajmowałem się zapisywaniem własnych przemyśleń i poglądów na temat zagadnień, w które sam wierzę... Oto niektóre z opracowanych rospraw (sic!): (l) nieśmiertelność, (2) dobro i zło, (3) piękno, (4) uczucie, (5) miłość, (6) logika, (7) szczęście, (8) rodzina, (9)

wiedza, (10) sztuka -te tematy są opracowane". Nie będziemy mogli poczytać sobie tego za chlubę, jeśli potraktujemy podobne wypowiedzi jako pretensjonalną paplaninę. Podobną przysługę oddałby swojej armii krótkowzroczny generał, który nie bierze pod uwagę strategii wroga (gdyż nim gardzi). Jeśli nie podejmiemy próby zrozumienia motywów działania morderców, tym samym pozwolimy im zatriumfować. Jeśli na zawsze mamy wykorzenić z powierzchni ziemi reprezentowane przez nich zło, musimy z uwagą przysłuchiwać się temu, co mówią, chociaż nie jest to łatwe. Niektórzy z morderców nie mijają się z prawdą.

Kim są wielokrotni mordercy grasujący po Ameryce? Ich wizerunek nie przystaje do naszych oczekiwań. Wspominałem już, jak niewielu z nich jest obłąkanych lub ma urojenia, co dałoby się stwierdzić w sposób naukowy. Zazwyczaj są to biali mężczyźni wywodzący się ze środowiska robotniczego lub niższej warstwy klasy średniej. Najważniejsze jest to, że w rozumowaniu i zachowaniu są ludźmi najbardziej uświadomionymi klasowo w całej Ameryce, wyczulonymi na każdy niuans statusu społecznego, klasowości i władzy. Ta wrażliwość ujawnia się w rozmaity sposób, zależnie od kategorii, do której należy morderca. Mordercy seryjni postrzegają siebie i własną tożsamość w sposób okrojony, co wynika z faktu, że ogromna ich większość była adoptowana, pochodzi z nieprawego łoża lub spędziła znaczną część dzieciństwa i okresu dojrzewania w sierocińcach czy zakładach poprawczych. Mordując pragną znaleźć własną tożsamość, doświadczyć poczucia spełnienia i zaspokoić ambicję zdobycia statusu międzynarodowej gwiazdy, co często towarzyszy aresztowaniu.

Widać tu wyraźny kontrast z takimi ludźmi jak Essex, Huberty i Starkweather, którzy pochodzą z rodzin o względnie przyzwoitym statusie społecznym, lecz nie potrafią utrzymać odziedziczonej pozycji. Rozdźwięk pomiędzy oczekiwaniami, a rzeczywistością jest tak duży, że jedynie pojedynczy, splamiony krwią akt samobójcy umożliwia danie upustu wściekłości na znienawidzoną klasę społeczną. Huberty czuł się zbyt przegrany, by tęsknić do blasku sławy w świetle jupiterów, które tak pociągały Berkowitza. Widać też cechę wspólną; zarówno seryjnych, jak i masowych morderców przytłacza głębokie poczucie alienacji i frustracji. Wynika ono z przekonania, że niezależnie od podjętych wysiłków i ambicji nigdy nie zajmą takiego miejsca w społeczeństwie, do jakiego aspirują. A trzeba o nich powiedzieć, że mierzą wysoko i nie zadowalają się byle czym. Czasami, jak Bundy i może Wilder, zajmą upragnione stanowisko, ale pozostawiające wiele do życzenia pochodzenie społeczne i nieustanne pchanie się w górę spowodują brak poczucia bezpieczeństwa po osiągnięciu celu. W takich właśnie warunkach zaczyna się rodzić powołanie do zrealizowania misji.

To typowe, że ofiary wielokrotnych morderców są do siebie podobne pod względem społecznym i wywodzą się z tej samej grupy. Są zwykle przedstawicielami (lub takie robią wrażenie) konkretnej klasy społecznej, przeważnie o jeden lub dwa szczeble wyżej niż klasa, z której pochodzi morderca. Co więcej, jeżeli seksualizm morderców jest rozbudzony (wyjątek stanowił Berkowitz), a nagły gniew nie przytłumił innych odczuć (jak to było z Essexem i Hubertym), wybór morderców pada na najefektowniejsze przedstawicielki danej klasy społecznej, w celu uatrakcyjnienia całej przygody seksem. Seks nie jest głównym motywem działania, ale odgrywa ważną rolę w całym przedsięwzięciu. Mimo że Berkowitz i Essex nie dotykali swoich ofiar, a Starkweather zaledwie podejmował niezdarne próby, nie wolno pominąć roli, jaką odgrywał czynnik seksualny. Trzeba jedynie podkreślić jego wtórną rolę w stosunku do "Głównej Misji", która polegała na zemście na ustalonym porządku społecznym. Zatem Dusiciel z Bostonu "odgrywał się na tych z wyższych sfer", Starkweather wykazywał, że "wszyscy martwi są sobie równi", Kemper robił "demonstrację wobec władzy". Bundy wykradał to, co klasy posiadające miały najcenniejszego, czyli piękne i utalentowane młode kobiety, a Essex zabijał białych, którzy jego zdaniem byli "bestiami". Z tego punktu widzenia zabójcy dokładnie wiedzą, co robią i dlaczego.

Jeśli mamy zrozumieć ich postępki, trzeba na nie spojrzeć jak na zdeformowany produkt twórczości, a nie wynik obłąkania.

Zadaniem tej książki będzie znalezienie źródła tej deformacji i odkrycie społecznego tła działalności morderców. W tym celu dokonam wnikliwej analizy reprezentatywnych przypadków.[6] Po drodze trafimy na wiele kłamstw i półprawd wygłaszanych zarówno przez specjalistów, którzy mieli kontakt z mordercami, jak i przez nich samych, ale niczym chirurg spróbujemy skalpelem oddzielić prawdę od fałszu. Po drodze rzucimy okiem na pracę instytucji społecznych odpowiedzialnych za sprawowanie kontroli nad wielokrotnymi mordercami. Tu też czekają nas niespodzianki, gdyż okaże się, że policja, której przedstawicieli powszechnie uważa się za głupich i brutalnych, często wykazała się większą inteligencją i przenikliwością niż tak zwani zawodowcy. Co więcej, jak otwarcie przyznał wybitny amerykański psychiatra Willard Gaylin: "Większość z nas zdaje sobie sprawę jak trywialna, ulotna i mało znacząca jest diagnoza psychiatryczna". Niestety, zebrano w tej książce dość dowodów na to, że wielu kolegów po fachu

---

[6] Reprezentatywnych, ale dla jak wielu zabójców? Można założyć, że od zakończenia drugiej wojny światowej w Ameryce pojawiło się ponad stu wielokrotnych morderców, z czego większość w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Być może ujęto około pięćdziesięciu, a około tuzina udzieliło światu wyjaśnień, co kierowało ich postępowaniem. Z tej ostatniej grupy omawiam sześciu przestępców, gdyż wypowiadali się najpełniej, a ich biografowie zasługują na wiarygodność. Jest jednak oczywiste, że nie można uznać tej pracy za reprezentatywną z punktu widzenia statystyki, gdyż jej napisanie byłoby praktycznie niemożliwe.

pana Gaylina nie zdaje sobie z tego sprawy i kiedy zostaną powołani jako biegli przez dany zespół prawników, pozwalają sobą manipulować w najbardziej karygodny sposób.

Sprzeciw

W tym miejscu należy się czytelnikowi ostrzeżenie. Istnieje pułapka, w którą równie łatwo może wpaść i badacz, i czytelnik, kiedy zaczną zagłębiać się w psychikę wielokrotnego mordercy. Mam na myśli pewną skłonność - którą niedawno zaatakował Willard Gaylin - do emocjonalnego angażowania się w życie zabójców w celu zminimalizowania lub wręcz zapomnienia, jakie zło wyrządzili. Tego typu wybiórcza amnezja przybiera różną formę, ale za każdym razem jest zgubna. Chodzi o coś więcej niż przypadek Flory Rhety Schreiber, która obdarza Josepha Kallingera, kata i mordercę, uczuciem wręcz groteskowym. W swojej książce o nim The Shoemaker schlebia Kallin-gerowi w sposób tak obrzydliwy, że inspiruje go do wysyłania wierszy do pani biograf. Myślę też o współczuciu, którym tętnią książki nawet tak starannie napisane jak The Minds of Billy Milligan Daniela Keyesa. Keyes, oczarowany swoim bohaterem, nie potrafił zapanować nad wściekłością na "wsiowych roboli", którzy zakłócili "rehabilitację" tego wielokrotnego gwałciciela, oddając w jego stronę kilka strzałów podczas spaceru wokół szpitala psychiatrycznego. Nie chcę przejść do historii jako ten, który pochwala strzelanie do psychicznie chorych lub do kogokolwiek, ale zarówno autor, jak i czytelnik muszą zachować pewien dystans i pamiętać, że Milligan był brutalnym gwałcicielem, który zniszczył spokój i szczęście wielu swoich ofiar. Jest wielce prawdopodobne, że mścicielami byli przyjaciele lub krewni ofiar (a może nawet same ofiary). Należy im się więcej współczucia niż Billy'emu, a społeczeństwo, które tego nie rozumie, stwarza atmosferę sprzyjającą pojawianiu się kolejnych gwałcicieli i morderców.

Willard Gaylin napisał niezwykle trafnie o pewnym chorobliwym zjawisku, polegającym na tym, że to ofiarom, a nie zabójcom odbiera się ludzką godność i się je poniża. Służy to przedstawieniu postawionego przed sądem mordercy w jak najlepszym świetle. To samo można powiedzieć o charakteryzowaniu mordercy i jego dokonań; okazuje się, że badacze równie łatwo zapadają na tę chorobę, co zwykli śmiertelnicy. Jeśli pragniemy zrozumieć ciemne siły, które pchają człowieka do wypowiedzenia wojny niewinnym ludziom, musimy również wziąć na siebie odpowiedzialność za zrozumienie całej niewłaściwości takiego czynu i tragedię, którą za sobą pociąga. Jeżeli system społeczny, taki jak nasz, nie bierze na siebie takiej odpowiedzialności, ponosi winę za coś o wiele gorszego niż tylko błędne ulokowanie sympatii - musi być oskarżony o nakłanianie do popełniania podobnych czynów. Z drugiej strony sądownictwo (takie jak w naszym kraju) uporczywie naigrawa się z obiektywnego poczucia sprawiedliwości w stosunku do przestępstw ciężkich i wypuszcza ich sprawców ponownie na wolność (lub w ogóle nie karze więzieniem) w mniemaniu, że nie uczynili nic złego. Czasami kładzie temu kres protest trzeźwo myślącej opinii publicznej. Aby uniknąć wymienionych problemów, ale w pełni zrozumieć motywy działania, spróbowałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ukazać prawdę o czynach morderców, a ich ofiary uczłowieczyć. Wszyscy jesteśmy ludźmi, ale niewinnym należy się więcej niż winowajcom.

Dodatkowy problem polega na tym, że ci, którzy przemawiają z pozycji ideologii, często wpadają we własne sidła. Nigdy nie miałem zbyt wielkiego zaufania do ocen intelektualistów, gdyż są bardziej zakochani w logice systemów, na których się opierają, niż w twardej rzeczywistości. W przypadku ciasnych umysłów i sztywnych systemów myślowych, lewicujący dobroczyńcy czasami twierdzą, że opracowanie mechanizmów służących ujęciu i sprawowaniu kontroli nad zabójcami jest ni mniej, ni więcej tym samym, co stworzenie państwa ucisku, który właśnie wydał morderców. Twierdzenie, że skoro morderców stworzył sam system, to nie ma on moralnego prawa ich karać lub kontrolować, jest równie absurdalne jak twierdzenie, że zoolog nie ma prawa zniszczyć hodowli bakterii, która okazała się zabójcza. Uporczywie propagując taki punkt widzenia, polityczna lewica z dumą obnosi swoje moralne bankructwo, gdyż społeczeństwa, które tolerują takie postępki (i twierdzę, że tak jest w naszym przypadku) są skazane na zagładę. Prawicowi ideolodzy popełniają równie poważny błąd, podejmując intensywną próbę zdjęcia jakiejkolwiek winy z klasy rządzącej, zbyt często postępują jak niepoprawni optymiści i przymykają oczy na rzeczywistość.

Wróćmy do Willarda Gaylina: "W naszej podświadomości wszyscy jesteśmy zabójcami, gwałcicielami, kazirodcami, ekshibicjonistami i podglądaczami; siedzi w nas agresja i żądza mordu". Większość z nas została tak zaprogramowana przez układ społeczny, że możemy posunąć się dalej i dać innym ludziom odczuć, co się w nas gotuje. Ale oto pojawia się pytanie: dlaczego zdarzają się osobnicy o równie tragicznych życiorysach (czasem jeszcze gorszych), którzy nie decydują się na zabicie drugiego człowieka? Podstawową zasadą współżycia między ludźmi jest odmowa zabicia człowieka. Nasi mordercy świadomie się jej wyrzekli. Nie są robotami, które jakaś maszyna zaprogramowała do postępowania w taki właśnie sposób. Za zdradę ludzkich wartości zasługują wyłącznie na trwałe wykluczenie z tego społeczeństwa. Przedstawiają jedynie wartość jako podmiot badawczy.

CZĘŚĆ l

Seryjny morderca naszych czasów

Demonstracja "wobec "władzy

EDMUND EMIL KEMPER

Miałem w piwach unicestwienie całego budynku, w którym mieszkałem.

Edmund Kemper

Wychowywała go matka, pracownik administracyjny uniwersytetu, i jej kolejni mężowie, z których żaden nie potrafił sprostać jej wygórowanym ambicjom co do zajmowanej pozycji społecznej. Zamykała syna w piwnicy i nieustannie łajała za to, że jest takim nieudacznikiem. Cały okres dojrzewania spędził zamknięty w szpitalu psychiatrycznym dla przestępców seksualnych. Wyrósł na młodego człowieka, który wierzył we wszystkie powszechnie akceptowane wartości, ale nie miał dość wiary w siebie, by zostać kimś więcej niż tylko sygnalizatorem zatrudnionym przez Wydział Autostrad w Kalifornii. Myśl o "zadaniu" po raz pierwszy zrodziła się w jego świadomości, zanim ukończył dziesięć lat. Dorastał zafascynowany ideą egzekucji, czyli metodą, za pomocą której władze legalnie karały i eliminowały przestępców. Młodsza siostra pamiętała, jak "w dzieciństwie "bawił się" w egzekucje. Jej zadanie polegało na doprowadzaniu brata do krzesła, zawiązywaniu oczu i przełożeniu niewidzialnej dźwigni. Kemper wił się udając, że umiera w komorze gazowej". Raz na Boże Narodzenie siostra dostała od dziadków lalkę. Po kilku dniach, za sprawką brata, lalka miała urwaną głowę i ręce. Ten typ okaleczeń miał często powracać w rozwijającej się umysłowości Edmunda Emila Kempera III.

Jeszcze przed ukończeniem dziesięciu lat Kemper nieśmiało postanowił przenieść realizację "zadania" na istoty żywe. Po raz pierwszy zabił, aby jakaś forma życia, jak to później wyjaśniał, stała się jego prawdziwą i wyłączną własnością. Na podwórku zakopał żywcem własnego kota. Kiedy kot się udusił, przyniósł go do swojego pokoju i odciął mu łebek, który następnie osadził na kiju. Kemper dał wyraz swojemu zadowoleniu i fascynacji, odprawiając modły nad zabitym zwierzęciem. Jak później twierdził jeden z jego psychiatrów, mniej więcej w tym samym czasie Kemper zaczął snuć wizje, w których celebrował śmierć ludzi - sióstr, matki oraz innych. "Przeważnie chodziło o starszą siostrę - wiele lat później zeznał psychiatra sądowy. - Miała przyjaciół, poświęcano jej więcej uwagi, szanowano, a matka darzyła większym uczuciem. Miała to, czego został pozbawiony".

Pierwszym krokiem było odgrywanie własnej śmierci w trakcie uroczystej egzekucji. Następnie Kemper zabił wizerunek człowieka niszcząc lalkę. Potem pozbawił życia stworzenie, aby je posiąść. W ten sposób zmierzając do najważniejszego zadania, do raison d'etre (a robił to stopniowo, bo był człowiekiem ostrożnym), kierował myśli ku zabijaniu ludzi. Zabijanie miało naprawiać krzywdy, które, jego zdaniem, celowo mu wyrządzano. Był ciągle dzieckiem, ale to, co podpowiadała mu wyobraźnia, pomału przeistaczało się w to, co w końcu miało stanowić dzieło jego życia. Okaleczenie, mord, żądza posiadania, sprawiedliwość i zemsta szły w parze z dojrzewaniem seksualnym. Lunde, psychiatra, przypomina nam, że Kemper zaczął "wymykać się nocami z domu i z daleka patrzył na przechodzące kobiety, snując marzenia o kochaniu i byciu przez nie kochanym. Chociaż był jeszcze bardzo młody, czuł, że nie będzie miał normalnych związków z kobietami", chyba że je przedtem zabije. W tym okresie Kemper, uczeń drugiej klasy, zwierzył się młodszej siostrze, że chciałby pocałować swoją nauczycielkę. Droczyła się z nim mówiąc: "Idź do niej i ją pocałuj". Była zaskoczona odpowiedzią. "Gdybym miał ją pocałować, musiałbym ją przedtem zabić". Nie mógł ani wyrazić, ani zaspokoić pragnień. Zamiast tego, dzierżąc w ręku bagnet ojczyma, stał pewnej nocy przed domem nauczycielki "wyobrażając sobie, jak ją zabija i przenosi ciało, by odbyć stosunek".

Zaczął zachowywać się tak dziwacznie - miał długie okresy milczenia i dziwnie patrzył na ludzi - że rówieśnicy zaczęli go unikać. Zanim ukończył trzynaście lat, podejrzewano go o zastrzelenie psa sąsiadów. Po tym wydarzeniu został wyklęty przez kolegów, którzy "przedrzeźniali go, poniżali i odtrącali częściej niż przedtem". Raz wyglądało to "tak groźnie, że chłopiec schronił się w pobliskim budynku, a jakaś kobieta, na jego prośbę, wezwała policję". Rozważał możliwość zabijania mężczyzn, ale lęk przed męskim odwetem i brakiem seksualnej rekompensaty tłumił realizację planów. Myśli o przeprowadzaniu egzekucji na jakiś czas straciły na sile, kiedy jeden z licznych ojczymów okazał chłopcu trochę uczucia, zabrał na ryby i polowanie. Mimo to nadszedł moment, kiedy Kemper, trzymając żelazny pręt, stanął za ojczymem gotowy do uderzenia. "Plan przewidywał - jak pisze Margaret Cheney, biograf Kempera - po uprzednim zadaniu ciosu w głowę kradzież samochodu ojczyma i przejażdżkę na południe Kalifornii na spotkanie z ojcem". Zawiodła go jednak odwaga i uciekł z domu.

Po powrocie trzynastolatek zabija ponownie, aby zawładnąć płochliwym kotem, ulubieńcem siostry. Tym razem rytuał jest bardziej skomplikowany. Za pomocą maczety Kemper odcina górę kociej czaszki, odsłaniając mózg. Wijący się w konwulsjach kot obryzguje chłopca krwią. Kemper, trzymając zwierzę za przednią nogę, dźga je wielokrotnie nożem. Przerażony, że czyn wyjdzie na jaw, zakopuje kota na podwórku

i zaciera ślady w pokoju. Boi się kary. "Kawałki zwierzęcia, z powodów, których do końca nie rozumiał, chowa w szafie". Nie po raz ostatni głowa ssaka będzie stanowiła dla niego magiczne trofeum i najwspanialszą nagrodę -dowód zemsty i zmysłową zdobycz. Matka odkryła później kocie szczątki i pokazała je Edmundowi, żądając wyjaśnień. Ale, jak twierdzi Lunde, "kiedy matka lub inni zarzucali mu popełnienie jakichś czynów, Ed zwykle wszystkiemu zaprzeczał i zrzucał winę na kogoś innego".

Czas zabijania

Kemper, opisywany przez własną matkę jako "niezwykłe dziwadło", spędza następny okres życia pomiędzy domami matki i ojca, który w tym czasie zdążył ponownie się ożenić. Wbrew swojej woli zostaje wysłany do dziadków ze strony ojca i zamieszkuje z nimi na odludnym rancho w Kalifornii. Pewnego dnia pod koniec lata, teraz już będąc czternastoletnim chłopcem, siedział z babcią przy kuchennym stole. Kobieta przeglądała korektę napisanego przez siebie kolejnego opowiadania dla dzieci. Kemper wstał, zdjął ze stojaka karabin kalibru .22 i powiedział babci, że idzie zapolować na króliki. Nagle odczuł ten sam gniew, który nim owładnął przy zabijaniu kotów. Również i tym razem rozwiązanie leżało w zasięgu ręki. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, celuje w głowę kobiety i naciska spust. Krew trysnęła z nosa i ust ofiary. Kemper oddaje jeszcze dwa strzały w plecy. Według Lunde'ego, Kemper dodatkowo kilka razy dźga ofiarę nożem, tak jakby chciał ją po wielokroć zabić, co zresztą wstępnie przećwiczył na kotach. Kiedy dziadek podjeżdża pod dom, również ginie od strzału, zanim zdąży się dowiedzieć, jaki los spotkał jego żonę.

Po chwili wahania Kemper dzwoni do matki i pyta, co ma robić. Kiedy przyjeżdża policja chłopak zaprzecza popełnieniu zbrodni, ale wkrótce przyznaje: "Tylko chciałem sprawdzić, jakie to uczucie, kiedy zabija się babcię". Biegli psychiatrzy sądowi stwierdzili, że w czasie krótkiego pobytu w sądzie dla nieletnich, Kemper wyrażał żal, że stracił okazję do rozebrania babci, "ale czuł, że byłoby to czymś nienaturalnym i nie chciał więcej o tym mówić". Następne cztery lata życia Kemper spędza w Atascadero, w szpitalu psychiatrycznym o zaostrzonym rygorze. W roku 1969, w wieku dwudziestu jeden lat, zostaje oddany pod nadzór kuratora, który, wbrew opinii psychiatrów, zezwala Kemperowi na ponowne zamieszkanie z matką.

Po odzyskaniu wolności, zaczyna się dla Kempera okres przejściowy, podczas którego opracowuje ostateczny plan działania, a następnie przeprowadza jego próby. Ma prawie 190 cm wzrostu i waży około 150 kilogramów. Ten oto olbrzym rozpoczyna nie kończące się przejażdżki samochodem. W latach 1970-71, w ramach przygotowań do realizacji "zadania", podwozi dziesiątki młodych i ładnych autostopowiczek. Pracuje nad stworzeniem wizerunku "łagodnego olbrzyma", testując umiejętność obcowania z kobietami, prowadzenia rozmów i stwarzania miłej atmosfery.

Kemper nie był wyjątkiem, ponieważ miasto Santa Cruz wydało jeszcze dwóch innych wielokrotnych morderców: Huberta Mullina i Johna Fraziera, którymi Kemper pogardzał później za brak "powołania" i kompetencji. Wreszcie, w wieku dwudziestu trzech lat poczuł, że jest gotów do rozpoczęcia. ostatecznej rozgrywki. Będzie trwała jedenaście miesięcy i zginie ośmioro ludzi, zanim Kemper odda się w ręce policji.

Siódmego maja 1972 roku dwie osiemnastoletnie współlokatorki z Fresno State College wybrały się autostopem w odwiedziny do przyjaciół z Uniwersytetu Stanforda. Mary Ann Pesce, doskonała narciarka pochodząca z zamożnej kalifornijskiej rodziny, i Anita Luchessa, najstarsza córka ranchera stały przed skrętem na autostradę. Zatrzymały samochód Kempera, po czym do niego wsiadły. Ponieważ nie znały dobrze okolicy, Kemperowi udało się zmylić pasażerki i skręcić na wschód, a nie na południe, co zrobił dzięki "kilku zjazdom i podjazdom wokół autostrady". Wreszcie zatrzymał samochód na końcu jakiejś spokojnej wiejskiej drogi. Pesce starała się przemówić mu do rozsądku, próbując znaleźć nić porozumienia, i o dziwo nawet jej się to udało. ,3yłem pod wrażeniem jej osobowości i wyglądu, odczuwałem niemal coś w rodzaju czci" - wspominał Kemper. Starając się zrobić to jak najdelikatniej przykuł dziewczynę kajdankami do tylnego siedzenia. "Wydaje mi się, że kiedy zakładałem jej kajdanki, niechcący - wprawia mnie to w duże zakłopotanie - dotknąłem dłonią jej piersi i bardzo się speszyłem. Chyba nawet powiedziałem "ojej, przepraszana czy coś w tym rodzaju". Luchessa zostaje zamknięta w bagażniku.

Następnie Kemper wraca do Pesce. Wkłada jej na głowę plastikową torbę i zawiązuje pasek od szlafroka wokół szyi; pasek pęka, gdyż pociągnął za mocno. W tym czasie dziewczyna wygryza otwór w torbie, rozpraszając napastnika. Pamięta, że odwrócił ją plecami do siebie i "przyłożył nóż, próbując ustalić, gdzie jest serce, następnie wbił ostrze w środek pleców". Nie poprzestaje na tym i dalej "zadaje kolejne ciosy" uderzając w plecy. Próbując walczyć o życie, Pesce odwraca się i Kemper wbija nóż w bok; potem: "odwróciła się do mnie przodem po to, żeby zobaczyć... albo żeby odsunąć ode mnie plecy, i wtedy pchnąłem ją nożem w brzuch". W tym momencie Pesce "pochyliła się do przodu, a ja dalej uderzałem nożem". Kempera niepokoiło, że ciosy są tak mało skuteczne. "Zdałem sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi. (...) Wyciągnąłem rękę, chwyciłem za podbródek, odchyliłem głowę do tyłu i poderżnąłem gardło... Natychmiast straciła przytomność".

Zostawiwszy Pesce martwą lub umierającą na tylnym siedzeniu, Kemper wysiada z samochodu i wyciąga Luchesse z bagażnika, zadając rany kłute w szyję, serce, oczy i ramiona. "Zaskoczyło mnie, ile ciosów była w stanie wytrzymać. A uderzałem mocno". Kemper wraca do domu i wnosi ciała do środka. W zaciszu swojego mieszkania robi zdjęcia Polaroidem, dokumentując kolejne etapy tragedii: odcina Luchesse głowę, rozbiera i kroi na kawałki Pesce, usiłuje odbyć stosunek z niektórymi częściami ciała. Następnie wsadza ciało Pesce do plastikowego worka i jedzie w góry. Zakopuje zwłoki i zaciera ślady, korzystając ze sposobów zapamiętanych z czasów skautowskich. Przez jakiś czas przechowywał głowy obu ofiar, ale potem zrzucił je z urwiska. Nigdy nie zapomniał o Pesce, ani o "czci", którą do niej poczuł. "Zdarzało się później - wyznał w sądzie - że chodziłem w to miejsce... by być blisko niej... ponieważ ją pokochałem i pragnąłem jej".

Przez cztery miesiące Kemper nie podejmował żadnych działań, zadowalając się syceniem oczu zdjęciami, które wykonał w czasie niedawnej sesji. Czternastego września 1972 roku ponownie rusza na polowanie. Przez jakiś czas obserwuje piętnastoletnią Aiko Koo, która na przystanku autobusowym próbowała złapać "okazję"; jechała do San Francisco na lekcję tańca. Koo wsiada do samochodu Kempera, a ten wozi ją rozmaitymi okrężnymi drogami wokół autostrady. Samochód zatrzymuje się wreszcie na odludnej wiejskiej dróżce niewidocznej z szosy. Kemper zakleja usta ofiary plastrem i zaciska nos palcami, żeby dziewczyna się udusiła. Koo wyrywa się z całych sił. Kiedy dziewczyna przestaje się szarpać, Kemper zdejmuje rękę z twarzy, lecz stwierdza, że ofiara ciągle oddycha: "Zdaje się, że na tyle odzyskała świadomość, by zdać sobie sprawę, co się dzieje i ponownie wpaść w panikę". Teraz Kemper dokłada wszelkich starań, by przestała oddychać. Plecy ofiary wyginają się w pałąk, a płuca próbują złapać oddech - dziewczyna traci przytomność. Jeszcze oddycha, kiedy Kemper wynosi ją z samochodu i kładzie na ziemi. Zdejmuje bieliznę i zaczyna stosunek. Dziewczyna ponownie zaczyna głębiej oddychać, tym. razem po raz ostatni. "Zdjąłem szalik, który miała na szyi i... trochę ją przydusiłem" - wspomina. Odprężony po stosunku i przekonany, że dziewczyna nie żyje, wkłada ciało do bagażnika. W drodze do domu zatrzymuje się w przydrożnym barze i wypija kilka butelek piwa. "Było mi gorąco, byłem zmęczony i spragniony" - wspomina.

Wróciwszy do samochodu otwiera bagażnik, by rzucić okiem na Koo "niczym wędkarz, który podziwia to, co się złapało na haczyk". Zadowolony z widoku, jedzie z wizytą do matki. W swoim mieszkaniu odcina Koo głowę i rozczłonkowuje zwłoki. Następnego dnia jedzie na spotkanie z dwoma psychiatrami, którzy w wyniku rozmowy z pacjentem zgodnie oświadczają, że "nie stanowi zagrożenia". W tym czasie głowa Koo spoczywa w bagażniku jego samochodu na parkingu przed kliniką. Psychiatrzy ustalają, że należy zamknąć akta dotyczące czynów popełnionych przez Kempera w okresie dojrzewania, aby umożliwić mu powrót do normalnego, dorosłego życia. Po spotkaniu Kemper grzebie głowę i ręce Koo w górach w pobliżu obozowiska jakiejś sekty religijnej.

Miną kolejne cztery miesiące, zanim potrzeba działania znów da znać o sobie. Ósmego stycznia 1973 roku Kemper podwozi Cindy Schall, studentkę z Cabńllo College, która nie zdążyła jeszcze podjąć decyzji, czy chce zostać nauczycielką, czy policjantką. Powielając stary schemat wywozi dziewczynę w odosobnione miejsce. Wymachując nowiutkim Rugerem .22, zmusza ją do wejścia do bagażnika. Pamięta, że dziewczyna zdążyła zobaczyć uniesioną broń. Był pod wrażeniem szybkości, z jaką kula przebiła czaszkę i zakończyła życie ofiary. ‚Jest pełna życia, a w sekundę potem już martwa. Tylko huk, a potem absolutny, absolutny bezruch". Podjechał pod dom matki, gdzie umieścił ciało w szafie, i poszedł spać. Kiedy następnego dnia matka wyszła do pracy (gdzie była zatrudniona w administracji uniwersytetu), Kemper wyjął ciało Schall z szafy i zaniósł do łóżka. Tu dopuścił się nekrofilii. Następnie umieścił zwłoki w wannie i poćwiartował je posługując się nożem i siekierką. Zmył ślady krwi, zapakował kawałki ciała do plastikowych toreb i zabrał je ze sobą na przejażdżkę wzdłuż oceanu. Co jakiś czas zatrzymywał się i zrzucał torby z wysokiego brzegu do wody. Kiedy kilka dni później policja znalazła to, co zostało z Cindy Schall, jej głowa ciągle spoczywała w pudełku w szafie. Zakopał ją w ogródku matki.

Schall była pierwszą ofiarą z tego samego miasta co Kemper. Fakt ten umocnił go tylko w przekonaniu, że nie zostanie zdemaskowany przed zakończeniem misji. Z jeszcze większą pewnością siebie zaczyna działać na terenie tego samego miasteczka uniwersyteckiego, gdzie pracowała matka, i zwiększa tempo. Nie minął miesiąc i nadarzyła się kolejna sposobność. Piątego lutego 1973 roku dwudziestotrzyletnia Rosalinda Thorpe, studentka Merrill College z Santa Cruz, zatrzymywała samochody na terenie kampusu. Wsiadła do wozu Kempera. Po kilku minutach jazdy dosiadła się jeszcze jedna autostopowiczka, Alice Liu, która zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Działo się to na głównej drodze do uniwersytetu. Ponieważ akurat nikogo nie było w zasięgu wzroku, Kemper odwrócił się do pasażerki siedzącej z przodu i strzelił jej powyżej lewego ucha. "(Thorpe) miała stosunkowo wysokie czoło i zastanawiałem się, jak wygląda jej mózg; chciałem strzelić w sam jego środek". Reakcją Liu na dramatyczny przebieg wydarzeń na przednim siedzeniu było zasłonięcie rękami twarzy. Kemper próbował strzelić przez ręce dziewczyny, ale dwa razy chybił. Trzeci strzał "trafił ją dokładnie w okolice skroni". Kemper oddał jeszcze kilka strzałów. Schował broń, kiedy na drodze pojawił się samochód. Kemper przejechał w pobliżu budki strażnika na obrzeżach kampusu. Kiedy

zbliżali się do granic miasta, Uu dawała jeszcze oznaki życia. "Powolutku zatrzymałem samochód, odwróciłem głowę na bok i strzeliłem w sam środek czaszki". Udało mu się niezauważenie umieścić oba ciała w bagażniku.

Morderca pojechał do matki, ale zostawił ciała w samochodzie. Rozmawiał z matką do późna w nocy. Następnie wyszedł do samochodu i odciął nożem obydwie głowy. Poszedł do baru po papierosy i spędził noc u matki. Kiedy następnego ranka wyszła do pracy, wniósł do domu pozbawione głowy ciało Liu, położył na podłodze i odbył stosunek. Po powtórnym umieszczeniu zwłok w bagażniku, odciął po namyśle dłonie ofiary. Następnie zaniósł głowę Thorpe do domu i starannie usunął z niej kulę. "W łazience zmyłem krew... żeby wyglądać jak człowiek". Z ciałami w bagażniku, pojechał do Alameda odwiedzić znajomego, ale tej nocy nie miał ochoty na kolację. Poszedł do kina, zatankował samochód i pozbył się ciał z dala od Santa Cruz.

"Zadanie" było niemal wykonane. Nie będzie już zabijał młodych studentek. Przez jakiś czas rozważał inne możliwości, nawet poważnie myślał o wymordowaniu wszystkich mieszkańców domu, w którym mieszkał. "Myślałem, że będzie to pokazem dla władz w Santa Cruz - jak dalece sprawa jest poważna i na jakiego natrafili groźnego przeciwnika. Miałem w planach unicestwienie całego budynku, w którym mieszkałem... Mało tego, przyległych domów też, co daje nam około dziesięciu do dwunastu rodzin. Byłby to powolny, niespieszny, spokojny atak". Nie był to jednak warunek konieczny do spełnienia misji i pomysł spełzł na niczym. Wydaje się jednak, że biorąc pod uwagę taką ewentualności, musiał na wpół świadomie odwlekać to, co i tak miało niechybnie nastąpić; planując nowe zbrodnie próbował oddalić myśli o czekających go "obowiązkach"'

W sobotę przed Wielkanocą nie mógł już dłużej udawać. O czwartej nad ranem leżał w łóżku "myśląc o tym". "Trudno po prostu wstać i to zrobić - przyznał później. - Ale byłem zaabsorbowany tą sprawą, ponieważ wiązało się z tym mnóstwo innych rzeczy. Ktoś, kto przyglądałby się temu boku, nie zobaczyłby w tym żadnego ładu ani składu". Ale poczucie odpowiedzialności i oddania sprawie przeważyło. "Robiłem różne rzeczy i czułem, że ciężar tego, co się stało, spoczywa na mnie w całości. Z pewnością chciałem, żeby matka miała spokojną i łatwą śmierć, tak jak każdy tego pragnie".

W poczuciu odpowiedzialności, twierdząc, że ma dobre serce (jedna z niewielu sytuacji, w których twierdził, że to, co robi, jest moralne) o piątej piętnaście nad ranem idzie z młotkiem do sypialni matki. "Trochę się poruszyła i myślałem, że może się budzi. Chwilę odczekałem, ale ona spała dalej. Więc podszedłem od prawej strony... i uderzyłem tuż nad prawą skronią... bardzo mocny cios.... Krew zaczęła cieknąć jej po twarzy, a ona ciągle oddychała". Z tak charakterystycznym dla siebie zamiłowaniem do szczegółów Kemper opisał, jak przewrócił matkę na plecy, przytrzymał podbródek prawą dłonią i poderżnął gardło. Kiedy patrzył, jak się leje krew, zdecydował, że "to, co dobre dla moich ofiar, będzie też dobre dla matki". Odciął głowę, założył kajdanki i włożył ciało do szafy. Krążyły plotki, że postawił głowę na półce nad kominkiem i albo celował do niej lotkami, albo zadawał ciosy pięścią, może jedno i drugie. Faktem jest, że wyciął krtań i wrzucił do zsypu, a następnie odbył stosunek z bezgłowym torsem.

Nawet w tym momencie nie miał jeszcze poczucia spełnienia. Czuł się chory - nie mógł ani jeść, ani cieszyć się życiem. "Nie mogłem znieść przebywania w domu" - powiedział później. Kierowany chęcią mordowania pojechał do miasta i spotkał znajomego o imieniu Robert, który był mu winien dziesięć dolarów. W duchu śmiał się, że Robert jest czegoś nieświadomy: głowa Koo, dla żartu, została zakopana na tyłach domu kolegi. Panowie postanowili, że czegoś się napiją i podjechali pod sklep z alkoholem, gdzie Robert zaproponował zwrócenie pożyczki. "Mówiąc szczerze, to mu uratowało życie. Wykręcił się, a ja musiałem kogoś zabić i myślę, że zasługiwał na to bardziej niż ktokolwiek inny".

Nawet jeśli Robert "zasługiwał" na śmierć z racji zwlekania ze spłatą pożyczki, nie zajmował kluczowej pozycji w emocjonalnym życiu Kempera. Zadecydował więc, że "tym kimś" będzie przyjaciółka matki, Sally Hallet, która cieszyła się jej zaufaniem i sympatią. Tych samych uczuć pani Kemper odmówiła synowi. Zadzwonił zatem do pani Hallet i zaprosił ją na "obiad-niespodziankę" u matki. Kobieta przyjechała na miejsce zmęczona całym dniem pracy i powiedziała: "Usiądźmy, jestem nieżywa". "Wziąłem ją za słowo" - wyznał później Kemper, który w tym momencie zadał gościowi cios w brzuch i zaczął dusić. Po odcięciu głowy, zostawił korpus na swoim łóżku jako ostateczne trofeum, a sam spędził noc w łóżku matki.

"Zadanie" zostało wykonane, a energia, która pchała Kempera do zabijania, prawie wyczerpana. Zabił dziesięć osób -zostały uduszone, zakłute nożem i zastrzelone. Kolejność, w jakiej zabijał, ukazuje idealną symetrię: dwoje krewnych (dziadkowie), następnie sześć pięknych młodych kobiet, oraz na końcu matka i ktoś na tyle bliski, że też może uchodzić za krewną (najserdeczniejsza przyjaciółka matki). Jadł kawałki ciał dwóch swoich ofiar. Według Dona Westa, dziennikarza, Kemper "ostatecznie przyznał, że wycinał kawałki ciała z nóg ofiar, zamrażał, a następnie przyrządzał potrawy w stylu włoskim". "Chciałem, by w ten sposób stały się częścią mnie - twierdził - i tak też się stało". W czasie przesłuchań ujawnił wiele innych szczegółów dotyczących okaleczania ciał ofiar, takich jak wyrywanie zębów i zachowywanie włosów i kawałków skóry na pamiątkę.

Dokonawszy dzieła, nie bardzo wiedział, co dalej robić. W domu matki zostawił karteczkę dla policji, zakładając jej rychłe przybycie.

Około 5:15 nad ranem, sobota. Nie było potrzeby, by dalej cierpiała z. powodu tego okropnego "rzeźnika-mordercy". Nie trwało długo - we śnie - tak jak chciałem. Panowie, to nie fuszerka. Tylko "brak czasu". Mam jeszcze sprawy do załatwienia!!!

Ale nie wiedział, czym miałyby być te "sprawy do załatwienia". O dziesiątej rano w Wielką Niedzielę ruszył na wschód. Dojechał do Reno w Newadzie, gdzie wynajął samochód i stamtąd pędził na oślep, byle dalej od wybrzeża. Po osiemnastu godzinach jazdy został zatrzymany przez policję drogową w Kolorado i dostał mandat za przekroczenie szybkości. Był zaskoczony, a następnie rozczarowany, kiedy uświadomił sobie, że w jego sprawie nie wysłano "meldunku do wszystkich jednostek". Istotnie, policja nic jeszcze nie wiedziała o sprawkach Kempera.

Jechał dalej na wschód, połykając jedną po drugiej tabletki z kofeiną, żeby nie zwolnić tempa. Ale po dojechaniu do wschodniej części stanu Kolorado "poczułem, że tracę kontrolę. Przestraszyłem się, że stracę grunt pod nogami i wtedy nie wiedziałbym, co robić. Nigdy przedtem nie znalazłem się w sytuacji, nad którą bym nie panował". Dał w ten sposób do zrozumienia, że wszystko, co do tej pory robił, było racjonalne i że przestraszył się działania w sposób irracjonalny. To właśnie ta obawa spowodowała, że zatrzymał się przy budce telefonicznej. Policjanci z Santa Cruz (niektórzy byli kumplami Kempera od butelki) nie wzięli jego opowieści poważnie, więc musiał kilkakrotnie zadzwonić i poczekać dłuższą chwilę na przyjazd miejscowego radiowozu. Z punktu widzenia Kempera, sprawa zakończyła się honorowo: wkrótce będzie spał i jadł w poczuciu spełnienia. Już nigdy nie wyjdzie na wolność.

Czas rozmów

Jakże niezwykłą istotą był Edmund Emil Kemper III. Dokonane przez niego morderstwa łączyły w sobie dwa rzadko występujące jednocześnie elementy - zabijanie członków rodziny i młodych kobiet. Kemper wyróżniał się również niezwykłymi cechami charakteru. Był potężnie zbudowany. Z powodu rozmiarów ciała nie mógł urzeczywistnić marzenia życia -wstąpienia do policji. Nie mamy jednak do czynienia z upośledzonym potworem doktora Frankensteina, gdyż jego iloraz inteligencji wynosił zaszczytne 136. W rozmowie Kemper tchnął dowcipem i ironią (nawet jeśli dość monotematycznie krążył wokół zabójstw w celu zaszokowania rozmówcy). Nie ulegał też omamom (jak starali się nam wmówić tacy zabójcy, jak Mullin i Berkowitz), które umożliwiałyby stwarzanie niekonwencjonalnych, a tym samym zafałszowanych światów. Umysł Kempera odbierał rzeczywistość w sposób przejrzysty i konwencjonalny, nie było w nim miejsca na fantazje o demonach lub siłach nieczystych. Kemper zdecydowanie zasługuje na głębszą analizę.

To niejasny wydźwięk konformistycznych wypowiedzi udzielanych przez rozmaitych Kemperów oraz pseudoradykalizm różnych Charlesów Mansonów powodują, że społeczeństwo nie rozumie wielokrotnych morderców. Dlaczego robią tak straszne rzeczy? Czego możemy oczekiwać po wyjaśnieniach tego giganta, który gloryfikował Johna Wayne'a (dorastał uwielbiając i identyfikując się z tym amerykańskim aktorem-bohaterem, którego rywal Kempera Mullin, wręcz nienawidził[7]), obnosił poplamioną krwią kurtkę z cielęcej skóry (do której przypiął z trudem zdobytą odznakę Młodzieżowej Izby Handlowej) i deklarował skrajną konwencjonalność? Czy od tego wybryku natury, którego dzieciństwo upłynęło w atmosferze nieustannych połajanek kilkakrotnie zamężnej matki, możemy oczekiwać przemyślanej odpowiedzi? Na szczęście tak, nie tylko z powodu inteligencji lub szczegółowego opisu postępków. O głównym powodzie przypomina nam Cheney mówiąc, że chociaż osobnik zaburzony jest zwykle "kiepskim autodiagnostą", to Kemper po latach psychoanalizy miał bardziej wnikliwe spojrzenie od innych jemu podobnych".

Nie możemy jednakże oczekiwać po nim jednoznacznej odpowiedzi. Moglibyśmy się łudzić, że taką otrzymamy, gdybyśmy w twarzy Kempera nie dostrzegli nie skrywanej pogardy dla wszystkich i wszystkiego, co go otacza. Uwielbiał igrać z prostolinijnymi policjantami zadającymi mu pytania, najpierw podsuwając jedno wyjaśnienie, potem sobie przecząc i proponując następne. W ten sposób robił na słuchających wrażenie, że "nie ujawnia prawdziwego klucza do swojego zachowania". Bawił się z psychologami sądowymi, rozpoczynając wywiad od wręczania im Wielofazowego Testu Osobowościowego, który sam nauczył się rozwiązywać w czasie wieloletniego pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Zdaniem przesłuchujących go specjalistów nigdy nie powiedział całej prawdy, a kiedy zdawał sobie sprawę, że mówi więcej, niż sobie tego życzy, zmieniał temat i szczegółowo opisywał rozczłonkowywanie dała, skupiając na tym uwagę zebranych.

Ponadto nieustannie dochodził do głosu czarny humor Kempera, po części dla własnej rozrywki, ale również po to, by zaszokować słuchaczy. Żartował mówiąc, że marzył o odcinaniu głów autostopowiczom, gdyż chciał się dowiedzieć, skąd przybywają. W ten sam sposób zaskoczył reporterkę z jakiegoś pisma

[7] Wpływ Wayne'a na psychikę amerykańskich wielokrotnych morderców jest głęboki i niezmienny. Warta uwagi jest sylwetka Johna Wayne Gacy, homoseksualisty o skłonnościach sadystycznych i wielokrotnego mordercy.

kryminalistycznego, która próbowała wysondować jego stosunek do kobiet: "O czym pan teraz myśli, widząc ładną dziewczynę idącą ulicą?" - "Część mnie mówi: Rany, ale laleczka, chciałbym z nią porozmawiać, mieć z nią randkę. A druga część powiada: Zastanawiam się, jak wyglądałaby jej głowa zatknięta na kiju". Była to bez wątpienia zabawa w kotka i myszkę.

Ponure żarciki w tym stylu charakteryzowały również postawę Kempera w stosunkach z jego "rywalem", wielokrotnym mordercą Herbertem Mullinem, który przez jakiś czas zajmował sąsiednią celę. Kemper z uporem zwracał się do niego używając zdrobnienia "Herbie", które doprowadzało Mullina do szewskiej pasji. Kiedy dziennikarz zapytał Kempera, dlaczego nieustannie prześladuje i naśmiewa się ze współwięźnia, odparł: "Cóż, lubił sobie podśpiewywać i zawracać ludziom głowę w czasie oglądania telewizji. Więc polewałem go wodą, żeby zamknął pysk. Kiedy zachowywał się grzecznie dawałem mu orzeszki. Herbie lubił orzeszki. Ta metoda odnosiła skutek, ponieważ bardzo szybko prosił, żebym pozwolił mu śpiewać. To się nazywa terapia modyfikacji zachowań".

Nie powinniśmy ulec złudzeniu, że Kemper robił to ot tak sobie, gdyż w swoim odczuciu wypełniał misję i nienawidził takich jak Mullin, których czynów nie usprawiedliwiała żadna ideologia. "(Mullin) był zwykłym, wyrachowanym mordercą (...) zabijającym kogo popadnie bez dania racji. (...) To chyba trochę śmieszne - dodał później - że tak tu sobie siedzę, obłudnie rozmawiając po tym wszystkim, co zrobiłem". Zapytany, czy Mullin jest chory umysłowo, Kemper odpowiedział z mieszaniną autoironii i pompatyczności: "Biorąc pod uwagę lata, które spędziłem w Atascadero, powiedziałbym, że tak". Zobaczymy, czy jest to zwykły racjonalizm i pokpiwanie.

O ile okazanie skruchy było dla Kempera niewyobrażalne, twierdził czasami, że przyznanie się do winy sprawia mu kłopot.

"To przykra sprawa. Dlatego właśnie wpadam w depresję w tej cholernej celi. Dzisiaj rano, po tym jak z wami rozmawiałem, zdałem sobie sprawę, że... bardzo się staram, by nie myśleć o tym wszystkim, o niczym z tym związanym, a już zwłaszcza o mojej matce. Dostaję chandry. Tylko siedzę, a i tak nie spałem od czterech dni. Już dwa razy próbowałem zasnąć i kładłem się na pryczy, ale natychmiast zaczynam myśleć o tym ostatnim weekendzie. I tak mnie skręca, że od razu się rozbudzam i senność odchodzi. A przecież mam za sobą 2500 kilometrów jazdy praktycznie bez postoju, ostatnie 1500 pokonałem zatrzymując się tylko po benzynę, butelkę czegoś gazowanego do picia i tabletki z kofeiną".

W przeciwieństwie do takich zabójców jak Bundy, który nie mówił nam o niczym, i Panzram, który wyrażał się zbyt zwięźle, Kemper wypowiada się swobodnie, a w głosie pomimo wszystkich zastrzeżeń, protestów i sprzeczności słychać zarówno zażenowania, jak i rozkosz. Ostatecznie zostawia nas nie z jednym, lecz z pięcioma wyjaśnieniami. Rozpatrywane osobno, tak jak zrobili to badający Kempera specjaliści, wydają się sobie przeczyć i wzajemnie wykluczać. Dlatego wszyscy przesłuchujący skarżyli się, że albo nieustannie gderał, albo robił wszystko, by nie powiedzieć całej prawdy. "Zawsze mieliśmy wrażenie, że ma coś w zanadrzu" - powiedział jeden z policjantów obecnych przy przesłuchaniach. Mnie osobiście tak się nie wydaje. Przesłuchujący nie dostrzegli, że Kemper za każdym razem podsuwał im pełną, niezmienną wersję, często przyprawioną elementami psychologu wyniesionymi z Atascadero, a jedynie sposób relacjonowania nosił znamiona niespójności.

Raz po raz Kemper cierpliwie wyjaśniał, że jego mordercza działalność była zorganizowaną operacją, którą rządziły konkretne zasady, a morderstwa były w istocie egzekucjami, do których przygotowywał się od dzieciństwa. Wielokrotnie odrzucał sugestie policji, że zabójstwa były wynikiem spontanicznej reakcji, i upierał się, że miały głębsze znaczenie. Trudno byłoby, jak twierdził "pętać się zabijając ludzi dla samej draki. Tego się nie robi dla jaj i od samego początku dałbym sobie z tym spokój. Coś mnie pchało. Nie mogę powiedzieć, że zależało to od nowiu księżyca lub czegoś w tym rodzaju. Zwróciłem uwagę, że niezależnie od tego, jak przerażająca była zbrodnia lub okrutne potraktowanie ciał po śmierci, pojawiała się żądza zrobienia tego ponownie, nawet już w tydzień lub dwa po ostatnim razie... silna żądza, i im dłużej zwlekałem, tym stawała się silniejsza, aż wreszcie podejmowałem ryzyko zabicia następnych osób - ryzyko, którego, według moich zasad działania, normalnie bym nie podjął, bo mogłoby doprowadzić do aresztowania".

W zachowaniu Kempera nie ma śladu brawury; w rzeczywistości czasami zwlekał całymi miesiącami. Przyznał, że na początku bał się. "Powtarzałem sobie, że tak naprawdę to nie chcę tego zrobić. Ale byłem zdeterminowany. Bardzo sfrustrowany, ponieważ było to dla mnie jak gra - zawsze tak było. Jak wielka przygoda z dużym dreszczykiem emocji. Ale do pewnego momentu nigdy nie pozwoliłem sobie, by pójść na całość". Kiedy jednak tak się stało, cała operacja została przeprowadzona do tego stopnia bezbłędnie, że "gdybym trzymał język za zębami, wydaje mi się, że uszłoby mi wszystko na sucho, po wsze czasy".

Do czego tak naprawdę nawiązywał Kemper mówiąc, że po dziesiątym zabójstwie "pierwotny cel przestał istnieć"? Który plan został zrealizowany, jaka siła się ujawniła, by pozwolić mu "wypalić nienawiść i lęk"? Jaka zaszła radykalna zmiana, że obecnie "potrzeba zadawania śmierci, którą odczuwałem, stała się zbędna i śmieszna. Nie służyła żadnemu konkretnemu celowi. Była zwykłą stratą czasu". Nasze rozważania wymagają szczegółowej analizy tego oświadczenia.

Mania seksualna

.Najbardziej oczywiste i zdroworozsądkowe wyjaśnienie postępowania Kempera, za którym zdecydowanie opowiadała się policja, psychiatrzy, dziennikarze i opinia publiczna, opiera się na motywacji seksualnej; sam Kemper od czasu do czasu je podsuwał dla podtrzymania dyskusji. Do pewnego stopnia można się w nim dopatrzyć jakiejś logiki: przede wszystkim zabijał piękne, młode kobiety i wyżywał się seksualnie na ich zwłokach. Czasami posuwał się dalej w wyjaśnieniach twierdząc, że nie jest niczym więcej jak tylko wyjątkowo brutalnym gwałcicielem, który zabijał wyłącznie w celu wyeliminowania jedynych świadków swoich wyczynów seksualnych. Wyjaśniał, że nauczono go takiego podejścia do sprawy w czasie pobytu w szpitalu psychiatrycznym; inni pacjenci ostrzegali go, że wielu gwałcicieli zostaje rozpoznanych i skazanych. Zgodnie z logiką tego oświadczenia oznajmił: "W czasie pobytu w Atascadero nasłuchałem się różnych opowieści i doszedłem do następującego wniosku: o wiele lepiej pozbyć się kogoś, jeżeli nie jest się absolutnie pewnym, że ta osoba nikomu nie powie. (...) Zdecydowałem się na następujące wyjście z sytuacji: gwałt, morderstwo, żadnych świadków, żadnego oskarżenia". Wszystko, co powiedział Kemper, trafiałoby do przekonania, gdyby systematycznie gwałcił swoje ofiary. Tak jednak nie było. Niektóre nie zostały poddane "zabiegom" o charakterze seksualnym. Może pomogły zaspokoić inne potrzeby?

Trzeba podążyć za tym wątkiem. Kemper z jednej strony twierdził, że gwałt bez morderstwa był zbyt ryzykowny, ale z drugiej strony zastanawiał się, czy zabijanie rzeczywiście było konieczne. "Cofając się pamięcią - mówił - jestem głęboko przekonany, że gwałt uszedłby mi na sucho. Właściwie nie używałem słowa "gwałt". Jedna z nich (dziewcząt) spytała: "Czego chcesz?" Wtedy podniosłem rewolwer: "Wiesz, czego chcę"".

Takie podejście jednak nie bierze pod uwagę odchyleń w seksualizmie Kempera. "Miałem bardzo silny popęd - twierdził z uporem - dość specyficzny popęd seksualny, który zacząłem odczuwać bardzo wcześnie, o wiele wcześniej niż rówieśnicy, jeszcze zanim uświadomiłem sobie, do czego służy fallus. Fantazje seksualne zwykle dotyczyły kobiet, a jeśli chodzi o orgazm, to zawsze przeżywałem go z martwą kobietą. Tak wyglądały moje rojenia. Zawsze widziałem to w kategoriach gwałtu, ale bez stosowania nadmiernej przemocy". Mimo to na próżno by szukać ewidentnej przesłanki, że seksualizm był najsilniejszym impulsem Kempera. Były chwile, kiedy był bliski zaprzeczenia wcześniejszemu twierdzeniu o swojej wszechpotężnej seksualności. "Seksualnie czułem się niedojrzały - przyznawał - jak również społecznie i uczuciowo". Fantazje o namiętnej miłości fizycznej z kobietami "przestały mnie satysfakcjonować, ponieważ coś mi mówiło, że tak naprawdę nie mógłbym tych marzeń urzeczywistnić. Nie mógłbym do końca spełnić się jako mężczyzna, zatem moje wyobrażenia... gdybym je zabił, nie mogłyby odrzucić mnie jako mężczyzny. To tak jakbym z ludzkiej istoty robił coś w rodzaju lalki... i realizował swoje marzenia z lalką, żywą, ludzką lalką".

Twierdził, że wolałby zgwałcić Mary Ann Pesce i Anitę Luchessa, swoje pierwsze ofiary. "Ale zdecydowanie miałem zamiar zabić obydwie. Strasznie chciałem je zgwałcić, ale nie mając żadnego doświadczenia w tej dziedzinie... to jeden z największych problemów, jakie miałem". Mimo wszystko, popełnionym przez Kempera morderstwom zawsze towarzyszyła szczególna delikatność w sprawach seksu. Podkreślał, że z Cynthią Schall nie próbował "żadnych numerów", zanim jej nie zabił i nie poćwiartował. Pamięta, jak przeprosił Mary Ann za przypadkowe dotknięcie jej piersi w trakcie przyduszania ofiary plastikową torbą. "Nie było mowy o dotykaniu miejsc intymnych" - twierdził absurdalnie. Czy kryje się za tym jakieś obłąkane, drobnomieszczańskie poczucie "czystości", jakaś szaleńcza pruderia, która zabrania dotykania miejsc intymnych w czasie mordowania młodych kobiet? Z drugiej jednak strony, jeśli zabił własną matkę, by oszczędzić jej wstydu poznania prawdy o synalku wielokrotnym mordercy, dlaczego obowiązkowo dokonywał seksualnych i symbolicznych aktów z jej zwłokami?

Występuje tu zbyt wiele sprzeczności, a na czoło wysuwa się twierdzenie o nadpobudliwości seksualnej. Pomimo wielokrotnych zapewnień Kempera o jego niezwykłym popędzie, nie odnosimy wrażenia, by mu często ulegał. Ponadto jedyną czynnością, która przynosiła mu pełne zadowolenie seksualne, było odcinanie głowy. "Pamiętam do jakiego stopnia mnie to podniecało - wyznał, wspominając z rozrzewnieniem pewien szczególny odgłos w momencie oddzielania głowy od reszty ciała. - Słyszysz takie jakby kląśnięcie, ciągniesz i podnosisz głowę za włosy. Podnosisz głowę, a ciało zostaje. To mnie rajcowało". Nikt nie ma co do tego wątpliwości, ale do jakiego stopnia było to doświadczenie seksualne?

Dla Kempera, śmierć, a nie seks, była ekstazą. Śmierć, nie seks, była o wiele bliższa wyznaczonemu celowi. "Zawsze byłem rozczarowany niemożnością nawiązania więzi seksualnej, na przykład z ofiarą. Stąd czasami brał się seks po śmierci, z powodu tej frustracji". Okazuje się, że seks był zaledwie wtórną korzyścią. Widać to jeszcze wyraźniej, kiedy tłumaczy, dlaczego nie zabijał mężczyzn (z wyjątkiem dziadka, który akurat był pod ręką): "Chyba mógłbym postępować tak samo z mężczyznami, ale było to bardziej ryzykowne... nie są tacy bezbronni. Poza tym, tam gdzie w grę wchodzi seks albo podniecenie faktem, że masz koło siebie kobietę, żywą lub martwą, mężczyźni odpadają". Czyli mógłby zabijać mężczyzn i taki czyn nie zanegowałby celu, jaki sobie postawił. Ale mężczyźni jednak nie są tak bezbronni i podniecający. Zatem seks był wtórnym, a nie nadrzędnym celem. Śmierć, nie seks, była ważniejszym motywem, pozostaje tylko pytanie dlaczego?

Posiadanie

Motyw posiadania jest drugim głównym wątkiem przewijającym się w monologu Kempera. Zeznając w sądzie twierdził, że zabijał kobiety z tego samego powodu, dla którego w dzieciństwie zabijał koty - "by stały się moje". Zabijał kobiety, ponieważ "żywe były odległe, niczego ze mną nie dzieliły. Próbowałem wejść z nimi w jakiś związek, ale żaden nie wychodził... Kiedy były zabijane, nic innego mi po głowie nie chodziło z wyjątkiem tego, że będą moje... To był jedyny sposób, bym mógł je posiąść".

W tej wypowiedzi Kemper chciał wykazać, że są pewne sposoby, które pozwalają człowiekowi posiąść duszę i ciało swoich ofiar. Elementy te często spotykamy u kultur pierwotnych. "Chciałem mieć te dziewczęta dla siebie - jako coś, co posiadam. Miały być moje i są moje!" W tym też celu jadł ciała niektórych ofiar. "Chciałem je mieć dla siebie. Chciałem, żeby stały się częścią mnie - i są".

Proces posiadania, według jego słów, polegał na zamianie ludzkiego życia, którego nie mógł ani posiąść, ani kontrolować, na coś materialnego i nieożywionego (coś, co do tej pory było kwintesencją życia), nad czym mógłby zapanować. "To tak jakby z istoty ludzkiej robić lalkę. (...) Pozbawić istotę ludzką życia, a potem wejść w posiadanie wszystkiego, co do niej należało. To wszystko mogło być moje. Wszystko... szedłem na całego". Zgadza się. Korpusy ofiar w szafie, głowy w bagażniku, ostatnie fotografie zrobione w sypialni Kempera, posiadł ich ciało i duszę - jak pirat grasujący po galeonie wyładowanym złotem. Wrócimy jeszcze do tego wątku.

Polowanie na trofea

Kemper podsunął kolejne wyjaśnienie, w którym podkreślał radość z odniesionego zwycięstwa, często błędnie interpretowane przez specjalistów jako jeszcze jedna sprzeczność. "W moich wyobrażeniach traktowałem głowę jako trofeum. Bo wiecie, w głowie jest wszystko: mózg, oczy, usta. Cała osoba. Pamiętam, jak mi mówili, kiedy byłem dzieckiem, że jak odetniesz głowę umiera ciało. Ciało jest niczym po odcięciu głowy... (West twierdzi, że w tym momencie Kemper przerwał i zachichotał.) Cóż, niezupełnie. Kiedy ma się do czynienia z dziewczyną, w jej ciele kryje się jeszcze bardzo dużo, nawet bez głowy. Oczywiście przepada jej osobowość".

Kemper tak porządkował swoje myśli, by wykazać, co było jego celem, a co nie. Próbował podkreślić, że krew i babranie się w niej nie było najważniejsze w tym, co robił. To odchylenie ujawniło się o wiele później. "Zacząłem wchodzić na wysokie obroty dopiero pod koniec. Można by powiedzieć, że było to coraz bardziej chore i wynikało z coraz większej potrzeby krwi, chociaż ona mi przeszkadzała. Nie była czymś, na co lubiłem patrzeć. Tak naprawdę dała mi się we znaki. (...) Pragnąłem jedynie oglądać śmierć, chciałem widzieć jej triumf, jej zwycięstwo. To tak jak jedzenie lub narkotyk, wciągało mnie coraz głębiej. Był mi potrzebny triumf nad przeciwnikiem. Innymi słowy wygranie ze śmiercią. One były martwe, a ja żyłem. W moim pojęciu było to zwycięstwem". Trzeba dodać, że zwycięstwo było podwójne, gdyż triumf nad pozbawioną życia ofiarą oznaczał też pokonanie strachu, w czym wydatnie pomogło użycie broni palnej, która "wszystko bardzo uprościła, ułatwiła i przyspieszyła, stwarzała mniejsze zagrożenie. Czułem mniejszy strach przed zaatakowaniem".

Złość na matkę.

Czwartym wyjaśnieniem jest mniemanie (na które z pewnością ogromny wpływ miały lata "terapii" w szpitalu psychiatrycznym), że zabójstwa były formą przeniesienia złości, którą czuł do matki, na inne, bezpieczniejsze obiekty. Na nich mógł ją wyładować. Bardziej wyrobiona psychologicznie część społeczeństwa uchwyciła się właśnie tego wyjaśnienia jako Prawdziwej Wersji Wydarzeń. "Gdyby ją (matkę) zabił na początku, być może pozostałe ofiary uszłyby z życiem" - spekulowała Cheney, prześlizgując się nad faktem, że po zgładzeniu matki, Kemper pokusił się o jeszcze jedno zabójstwo. Znajdujemy jednak szereg dowodów na to, że wściekłość na matkę głęboko zaciążyła na życiu Kempera. Jest to teoria, której nie można zignorować.

Kemper niezwykle trafnie opisywał swoje niespokojne dzieciństwo. "Od samego początku moi prawdziwi rodzice zachowywali się bardzo głośno i agresywnie. Kiedy dorastałem, uciekałem od hałasów i głośnych sprzeczek. Matka była silną kobietą i potrzebowała silnego mężczyzny. Ojciec był dobrze zbudowany i głośno się zachowywał, ale był słaby, a ona potrzebowała czegoś wręcz przeciwnego... no wiecie, zaloty i randki to jedno, ale po ślubie wszystko idzie w odstawkę. Była zbyt silna. Przeganiała mężczyzn, atakowała słowami, kwestionowała ich męskość".

Cheney zwróciła uwagę na istotny element mówiąc, że matka Kempera uważała pracę swojego męża za podrzędną i często kłóciła się z nim o pieniądze. Pani Kemper twierdziła ponadto, że jej mąż "nigdy nie dawał dzieciom klapsa i dlatego nie darzyły go szacunkiem. Jedyne, co dał Edowi, to swoje medale i opowieści z wojny". W jednym z wcześniejszych listów wspominała, że ojciec Kempera "faworyzował syna i był nad-opiekuńczy... Nie podobało mu się, że rugałam chłopca, nawet gdy był bardzo mały, i często winił córki, że przez nie Ed ma kłopoty". Ojciec z kolei donosił o niepokojących poczynaniach matki: "Przez około osiem miesięcy zmuszała ośmioletniego chłopca do spania w piwnicy. To miejsce go przerażało. Z piwnicy było tylko jedno wyjście - trzeba było przesunąć stół w kuchni i podnieść klapę w podłodze. Położyłem temu kres i groziłem policją". Matka Kempera tłumaczyła swoje zachowanie niechęcią do

"nadopiekuńczości" - jej siostra była nad-opiekuńcza w stosunku do własnego syna i wychowała homoseksualistę.

Rodzice Kempera zdecydowali się na separację w roku 1957, po czym pani Kemper przeprowadziła się wraz z trójką dzieci do miasta Helena w Montanie, gdzie zatrudniła się jako urzędniczka w banku. Ostatecznie rozwiodła się z Kemperem w roku 1961 i dwa miesiące później wyszła za mąż za niemieckiego emigranta, który bardzo szybko ją opuścił. Rok później, ponownie rozwiedziona, poślubia czterdziestopięcioletniego hydraulika o nazwisku Tumquist. "Zrozumiałem - wspominał Kemper wiele lat później - że wcale nie potrzebowała opiekuńczego ramienia. Często mówiła, jak bardzo przypominałem jej mojego ojca, którego oczywiście szczerze nienawidziła". Tumquist okazał się dobrym ojczymem, który zabierał małego Kempera na ryby i wprowadzał w arkana polowania, ale to właśnie za nim chłopak stanął z żelaznym prętem, chcąc go pozbawić przytomności i ukraść samochód, żeby odwiedzić ojca. Mniej więcej w tym właśnie okresie jego matka zanotowała: "Od wielu lat martwię się, że brak (Kemperowi) ojcowskiej ręki, więc próbowałam zrobić wszystko, by to zrekompensować". Ale według Lunde'ego, rozumiała to jako carte blanche do "wymierzania chłopcu kary i ośmieszania go, by "zrobić z niego mężczyznę"". W czasie pobytu w szpitalu psychiatrycznym po zamordowaniu dziadków, Kemper w mgnieniu oka przyswoił sobie psychologiczny styl wypowiedzi, którym posługiwał się personel w Atascadero. Ujawniło się to bardzo wyraźnie w jego późniejszych deklaracjach: "W szpitalu powiedziano mi, że tak naprawdę to zabiłem babcię, ponieważ chciałem zabić matkę". Ale dlaczego ciągle czuł żądzę krwi po zabiciu matki? Po co zabijać jej przyjaciółkę? ‚3abcia była gorsza od matki. Do matki czułem jednocześnie miłość i nienawiść, z czym nie umiałem sobie poradzić, i to powodowało, że zamykałem się w sobie, i dlatego miałem słaby kontakt z otaczającym mnie światem. Nie mogłem sobie poradzić z nienawiścią, a miłość była mi jakby narzucona. To była miłość wynikająca z bardzo silnych związków rodzinnych. W środku staczałem nieustanną walkę i to mi towarzyszyło przez całe życie. Nie reprezentowałem sobą żadnej postawy społecznej, pełny brak osobowości". Ten motyw często się przewija, zwłaszcza wśród tych, którzy zgładzili swoje rodziny. W Atascadero dowiedział się, że tak naprawdę nienawidził matki: absolutna prawda, ale niewystarczająca jako motyw dalszych poczynań.

Kiedy został wypuszczony z Atascadero, władze nie wzięły pod uwagę rozważnej opinii psychiatrów. "Zostałem zwolniony warunkowo prosto do mamuśki. Cóż, matka i ja zaczęliśmy od koszmarnych awantur, wręcz bitew pełnych przemocy i zacietrzewienia. Nigdy przedtem nie toczyłem z nikim takiej wojny na słowa. Biłbym się na pięści z mężczyzną, ale to była moja matka i nie mogłem znieść myśli, że mógłbym się wobec niej do czegoś takiego posunąć. Była uparta i to w jakichś głupich sprawach". Co było przedmiotem sporów? Mamy tu do czynienia z klasycznymi, obsesyjnymi problemami ludzi niepewnych swojej pozycji społecznej, zaniepokojonych schodzeniem "w dół", co wyrażało się niezadowoleniem z wykonywania zbyt przyziemnej pracy, brakiem dochodów i rozdźwiękiem pomiędzy stylem życia, a osobistymi aspiracjami. "Pamiętam, że jedna z awantur była o to, czy powinienem umyć zęby".

Kemper próbował się wyrwać. Podjął pracę w Wydziale Autostrad i wynajął własne mieszkanie. Niestety na początku 1972 roku złamał ramię w wypadku motocyklowym i w okresie rekonwalescencji spędzał więcej czasu w domu matki. West odnotował, że sąsiedzi wiedzieli, kiedy Kemper przychodził z wizytą, gdyż słyszeli wrzaski i kłótnie, od których trzęsły się ściany. "Kemper był karcony za lenistwo, picie piwa i ogólnie za nicnierobienie. Świadkowie twierdzili, że potrafiła swoim ostrym języczkiem doprowadzić Guya (jak zdrobniale nazywała Kempera) do łez w obecności znajomych". W tym okresie Kemper twierdził, że kłótnie nie odgrywały znaczenia. Tłumaczył sąsiadowi, że gwałtowne sprzeczki były jedynie sposobem, w jaki w tej rodzinie wyrażano poglądy. Obnosząc się z terminologią zasłyszaną w Atascadero mówił: "Lubimy wszystko z siebie wyrzucić. Ja i matka jesteśmy sobie bardzo bliscy i wiemy, że te spory nic nie znaczą".

W tym czasie Kemper sprawiał wrażenie osoby, która walczy o matczyną miłość obsypując ją prezentami przy przeróżnych okazjach, takich jak Wielkanoc lub urodziny. Ale okazało się, że nasz piwosz, były pensjonariusz zakładu psychiatrycznego i pracownik służby drogowej niczym nie mógł zadowolić matki, pracownika administracji uniwersyteckiej. Kiedy chował się w swoim mieszkaniu, nie przestawała go prześladować. "Nie mogła się ode mnie odczepić... Była zła jak cholera, chwytała za telefon, wydzwaniała, pchała się z wizytą. Sprzeczki z matką powodowały, że czułem się niedowartościowany w stosunkach z kobietami; wydawało mi się, że stanowią dla mnie zagrożenie. To był bardzo poważny problem. Nie potrafiłem grać w te gierki, które kobiety tak lubią, nie potrafiłem sprostać ich oczekiwaniom, więc się wycofywałem... Zgodnie z tym, co zrozumiałem w Atascadero, próbowałem patrzeć na nią jak na matkę i przestać widzieć w niej cholerną, wściekłą bestię, która wszystkimi manipuluje. Na terenie kampusu była wspaniała, nad wszystkim panowała. Ale po powrocie do domu maska opadała i stawała się wściekłą suką. Spalała się w pracy odgrywając wspaniałą damulkę, a wieczorem w domu wyłaziło z niej całe gówno".

Chwilami przypisywał zamordowanie Rosalind Thorpe i Alice Liu sprzeczce z matką. "Tego wieczoru byłem naprawdę wściekły. Na serio pożarłem się z matką. Byłem zalany. Powiedziałem jej, że idę do kina, trzasnąłem drzwiami i od razu poszedłem w stronę kampusu, bo lało i było idealnie (o pogodzie na

"polowanie"). Powiedziałem sobie, że pierwszej dziewczynie, która wsiądzie do mojego samochodu i będzie wyglądała do rzeczy, rozwalę łeb".

Większość specjalistów analizujących przypadek Kempera opowiadała się za wersją, że zabójstwa były jedynie specyficzną formą rozmowy z matką. West twierdził, że po zastrzeleniu Cynthii Schall Kemper "był zadowolony z wyboru wydłużonych naboi, ponieważ ofiara zmarła szybciej i łatwiej niż jej poprzedniczki. Przez chwilę przyszło mu do głowy, by pójść do domu i powiedzieć matce, że są rzeczy, które potrafi zrobić dobrze". Ale sam Kemper patrzył na to trochę inaczej, podkreślając istnienie innych problemów poza burzliwym związkiem z matką: "W Atascadero moje prawdziwe "ja" umocniło się na tyle, że nie pozwoliłbym na to, by ktoś mógł mnie pchnąć do samozniszczenia. Jeśli chodzi o dziewczyny, to wracamy do świata marzeń. Zamiast walczyć z matką, walcz ze światem, zdecydowałem, czyli pieprzyć to. Zagram w ich gierki". Wszystko bardzo ładnie, ale o jakich dziewczęcych gierkach mowa i co miał na myśli mówiąc, że będzie w nie grał?

Kemper opowiedział Donaldowi Lunde'emu, psychiatrze, o "powracających wizjach, w których zabija kobiety, a matkę w szczególności"; często rozważał taką możliwość, wchodząc w nocy do jej sypialni z jakimś potencjalnym narzędziem zbrodni. Dokonany już mord wyjaśniał jednak chęcią oszczędzenia jej wstydu. "Czułem, że mnie wkrótce złapią za zabicie tych dziewczyn... Od dawna zastanawiałem się, co bym zrobił, jakby mnie złapali i widziałem następujący wybór pogodzić się z tym faktem, pójść do więzienia i pozwolić, by matka dźwigała cały ten ciężar - tak jak ostatnim razem z dziadkami - albo pozbawić ją żyda". Kemper myślał racjonalnie, tak jak każdy człowiek, a zwłaszcza ten, który znalazł się w równie poniżającej sytuacji. Robi to jednak - co rzadko mu się zdarza - z niezwykle egoistyczną naiwnością. Cóż, trudno znaleźć czyn, który byłby bardziej jednogłośnie potępiony przez społeczeństwo, jak matkobójstwo.

Kiedy go zapytano, dlaczego zwlekał z zabiciem matki, wyznał, że napawała go strachem: "Nigdy nie starczało mi odwagi. Musielibyście zrozumieć, jaką przepaść musiałem przeskoczyć. Weźcie pod uwagę sposób, w jaka mną manipulowano". Kiedy było po wszystkim, okazało się, że zabicie matki dało mu więcej niż oczekiwał: przestała być groźna i wypuściła go ze swojego więzienia. "Zawsze uważałem matkę za osobę porywczą, napawającą przerażeniem, której obecność wróży coś złego. Wywarła ogromny wpływ na moje życie i niezależnie od tego, czy ją kochałem, czy nienawidziłem, zawsze mnie zadziwiało, że w chwili śmierci okazała się taka bezbronna i delikatna, jak wszystkie moje ofiary. Było to dla mnie pełnym zaskoczeniem. Chyba jest w dalszym ciągu, (ale) jej śmierć przyniosła ulgę". W czasie ucieczki przez Kolorado Kemper zastanawiał się nad biblijną symboliką swoich postępków. Biblia zawsze go fascynowała i odcięcie lewej ręki od ciała matki było "symboliczne, jak sądzę. (...) Myślę, że ma to coś wspólnego z lewą ręką Boga". Odcięcie matczynej ręki, czyli karzącej ręki Boga uwolniło go od jakiejkolwiek zemsty.

Zemsta

.Biblijne "oko za oko" jest piątym i ostatnim wątkiem, który przewija się w wieloznacznych wyznaniach Kempera i może służyć za wyjaśnienie jego czynów. Jaką rolę odgrywa wątek ze Starego Testamentu, nad którym się szczegółowo i dość przekonująco rozwodził w czasie śledztwa, a następnie wyparł w czasie procesu? Idea jest jasna: chciał urządzić "demonstrację wobec władzy" oraz "zbilansować rubryki Winien i Ma". Ale co chciał władzy pokazać i jakie to zaległe płatności wymagały zbilansowania w księdze rachunkowej? Już samo określenie "demonstracja wobec władzy" jest szczególnie trafne, gdyż bardziej przypomina polityczną deklarację niż osobistą wendetę. Żądanie zapłaty też nie jest w stylu Kempera: nie był czarnym robotnikiem ze slumsów, przed którym na zawsze zamknięto możliwość awansu społecznego. Przeciwnie, przy jego inteligencji i pozycji społecznej matki (na krawędzi klasy średniej) z powodzeniem mógł nadrobić wszelkie niedociągnięcia ze szkoły podstawowej, pójść na uniwersytet i zostać przedstawicielem klasy średniej. Tak się jednak nie stało: w przeciwieństwie do wielu fałszywych buntowników czyny Kempera potwierdziły manifestowaną przez niego pogardę. Wybrał drogę skomplikowanej wendety jako jedyny sposób samopotwierdzenia i przejęcia kontroli nad własnym przeznaczeniem (nawet gdyby miało to oznaczać poświęcenie reszty życia).

Jaką Kemper miał wizję społeczeństwa - co sądził ten niewykształcony wielbiciel Johna Wayne'a? "Nasze społeczeństwo to wielka lipa, świat to wielka lipa; jest to świat, w którym ludzie, zbyt zajęci walką o przetrwanie i dopasowanie się do innych, zapomnieli o swoich celach i dążeniach. Zagubiłem się w tym wszystkim i byłem bardzo krytyczny wobec tego, co uważałem za lipne wartości i lipną egzystencję... Zdecydowałem się... może nie na wyplenienie wszystkich chwastów, bo wtedy musiałbym pozabijać większość ludzi na świecie, ale na uderzenie w tę klasę (społeczną), która najbardziej stała mi ością w gardle i do której nigdy nie udało mi się wpasować: klasę ludzi, którym się powiodło". Tę wypowiedź zaczyna Kemper logicznie i sensownie, chociaż wyraża się dziecinnie. Szybko jednak zaczyna sobie przeczyć, posługując się językiem przypominającym terapię grupową w Atascadero: najpierw twierdzi, że odwraca się od społeczeństwa (zwłaszcza od tych, którzy zapominają o własnych ideałach, po to by się "wpasować"), a następnie przyznaje, że chciał jedynie samemu dołączyć do takiej grupy.

Naiwnością byłoby oczekiwać od każdego człowieka niezmienności poglądów, a cóż dopiero od wielokrotnego mordercy, który robi wszystko, by usprawiedliwić sens swego istnienia. Niemniej mamy tu

do czynienia z człowiekiem inteligentnym, opowiadającym o celu swego życia, któremu oddał się tak bezgranicznie, że poświęcił wszystko inne. Przemyślenia Kempera wymagają głębszej analizy. Nie mijał się z prawdą, kiedy mówił o nie zrealizowanym planie "unicestwienia" całego bloku mieszkalnego. "Taaak... to w moim stylu. (...) Biorąc pod uwagę moje umiejętności, na przykład w stwarzaniu wokół siebie atmosfery zaufania, żeby ludzie niczego się nie domyślali i nie byli podejrzliwi... Twierdziłem i w dalszym ciągu twierdzę, że chciałem, by była to demonstracja - zwłaszcza wobec władz miasta Santa Cruz - powagi moich zamiarów. Chciałem, żeby zrozumieli, z jakim wrogiem mają do czynienia".

Ten "wróg" władzy chciał czegoś więcej, niż patrzeć z lubością na zebrane trofea i ukarać matkę. "Nie chodziło mi tylko o zadawanie śmierci. Jak mówiłem, było to coś w rodzaju społecznej deklaracji". Ta wypowiedź jest całkowicie zgodna z inną, w której mówi, dlaczego ofiarami nigdy nie były dzieci mimo swojej pełnej bezbronności. "Przeciwko dzieciom przemawiają dwie rzeczy. Pierwsza, najważniejsza, to to, że dzieci są niewinne. Dzieci nie wiedzą. Z tego powodu zawsze starałem się chronić dzieci". A czym zawinili dorośli? Kemper: "Te dziewczyny niewiele w sumie różniły się od dzieci... ale czułem, że są dostatecznie dorosłe, by zdawać sobie sprawę z tego, co robią... stania na drodze bez powodu, łapania okazji, kiedy wcale nie musiały tego robić. Paradowały przed moim nosem tak, jakby chciały powiedzieć, że mogą robić, co im się podoba, i że społeczeństwo jest rzeczywiście równo popieprzone. Ale nie to jest głównym powodem, dla którego zginęły. Było coś, co mnie wnerwiało, chyba myśl o tym, że czuły się tak bezpiecznie w społeczeństwie, w którym ja nie czułem się bezpiecznie". Ale czego mógł się bać prawie dwumetrowy olbrzym ważący sto pięćdziesiąt kilogramów?

Kemper żerował tylko na tych, którzy popełnili ten sam grzech (albo bezpośrednio poprzez posiadanie nad nim władzy, albo pośrednio przez związek z władzą dzięki pozycji społecznej): należeli do klasy dominującej. Ofiarami padły jej najpiękniejsze i najbardziej godne pożądania przedstawicielki, te które "paradowały" obnosząc się ze swoją obojętnością wobec niego, co bolało Kempera najbardziej. Mógł zatem szczerze wyznać:

"Były braki w rubryce Winien, a rubryka Ma była już podkreślona, więc musiałem je w jakiś sposób zbilansować". Celem stały się młode kobiety z klasą, przynajmniej z wyglądu. Jedynie podróżowanie autostopem czyniło z nich łatwy cel: "W żaden inny sposób nie udałoby mi się namówić młodej, zamożnej cwanej dupci, której szczerze nienawidziłem, do tego, by wsiadła do mojego samochodu i pojechała na przejażdżkę". Nie uważał się za bezmyślną "bańkę mydlaną, która nagle prysła (...) - byłem o wiele lepiej zorganizowany". Wiedział, gdzie szukać ofiar i dlaczego je unicestwiał. "Byłem w swoim żywiole, niszczyłem tylko najwspanialsze młode dziewczyny, jakie wydało społeczeństwo. Nie zwracałem uwagi na obszarpane, brudne hipiski, to byłoby zbyt proste. Gdyby tak było, miałbym o wiele lepszy wynik".

Wróg władzy skonstruował precyzyjny plan, zorganizował swoją "demonstrację" i zdecydował się na atak. "Moje marzenia i pragnienia były źródłem pełnej frustracji. To naprawdę smutne. Nie winie społeczeństwa za to, że nie mogłem zostać policjantem, ale..." społeczeństwo było całkowicie obojętne. Nawet przy wkładaniu korpusu Liu do samochodu "po prostu wyszedłem z nią z domu i wsadziłem do bagażnika. I to mnie zdumiewa, jeśli chodzi o ludzi - możesz robić niemal wszystko, co ci się podoba, i nikt nie powie słowa ani nie zwróci uwagi. (...) Zamiast walczyć z matką, walcz ze światem, zdecydowałem, czyli pieprzyć to. Zagram w ich gierki. Zobaczą to, co chcą zobaczyć - Eda przy pracy, Eda, jak robi to czy tamto. A tymczasem Ed głęboko się zastanawia, jak przede wszystkim odegrać się na społeczeństwie za wsadzenie go do tego piekła".

W duszy tego mieszkańca piekła wykrystalizowała nowa osobowość, bez wątpienia pierwsza, którą akceptował: Mściciela-Zawadiaki. Tylko dzięki całej serii intelektualnych zwrotów i przemian osoba tak konwencjonalna jak Kemper (John Wayne i policjant, skauting. Związek Strzelecki, Młodzieżowa Izba Handlowa) mogła poświęcić się idei zabijania kobiet. Zgładzi kilka przedstawicielek klasy, która go odrzuciła, kobiet, które dosłownie wtrąciły go do piekła, zamykając go w piwnicy lub oferując mu jedynie pogardę, brak szacunku i zwykłą obojętność.

Kemper był zbyt dumny, by spędzić resztę życia jako sygnalizator ruchu w czasie robót drogowych, zbyt zaabsorbowany swoimi niedociągnięciami, by cokolwiek z nimi zrobić i wreszcie zbyt rozchwiany przez matkę i szpital w Atascadero, by skierować energię na coś więcej, niż utrzymanie się przy życiu. Wybór, którego dokonał, miał sens: jeśli zacznie podwozić kobiety samochodem, będzie to służyło wyłącznie poważnemu celowi. "Najprawdopodobniej egzekucji... i tylko jeśli będą młode, w miarę przystojne, niekoniecznie zamożne, ale należące do lepszej kategorii ludzi, niż brudne, śmierdzące fleje jak hipiski, którymi nigdy się nie interesowałem. Poszłoby z nimi łatwiej, ale nie o to chodziło.

Moja deklaracja brzmiała: spróbuję zranić społeczeństwo tam, gdzie boli najbardziej, zabierając to, co w nim najcenniejsze - jego przyszłe przedstawicielki. Tych, co byli na samej górze drabiny społecznej, uważałem za snobów i obrzydliwych gnojków, albo za osoby, które lepiej niż mnie nauczono, jak radzić sobie z życiem i jak najlepiej się przystosować".

Nawet po złożeniu tej deklaracji pragnął jeszcze nawiązać kontakt ze snobistycznymi, zadowolonymi z życia gnojkami. W czasie jazdy próbował znaleźć nić porozumienia ze swymi pierwszymi ofiarami Pesce i

Luchessą, ale poczucie społecznej niekompetencji było tak wyraźne, że "czułem się jak kompletny bałwan... Chyba miały po osiemnaście lat, a ja dwadzieścia trzy, co nie jest dużą różnicą, a mnie wydawało się, że dzielą nas miliony lat".

Po dokonaniu zabójstwa drobiazgowo zbadał, czy ofiary plasowały się dostatecznie wysoko na drabinie społecznej (gdyby było inaczej, jego protest nie miałby sensu). Dotyczyło to zwłaszcza Mary Ann Pesce, która mu się wyjątkowo podobała. Przejrzał jej dokumenty: legitymacja studencka była wydana przez szacowny college, obok karta członkowska klubu narciarskiego z Bear Yalley. Po znalezieniu adresu domowego dziewczyny przejechał setki mil, by upewnić się, że leży "wśród wiejskich rezydencji" (gdyby było inaczej, cały plan spaliłby na panewce). Później pozwolił sobie na sfingowanie bliskiego związku z Pesce.

"Uderzyła mnie jej osobowość, jej wygląd, miałem do niej niemal nabożny szacunek", ale i tak na nic się to nie zdało, gdyż nawet "mając pełną kontrolę nad sytuacją, nie miałem żadnej kontroli nad nią i to mnie wnerwiło".

Ted Bundy świadomie eliminował wszelki kontakt emocjonalny ze swymi przyszłymi ofiarami - starał się mówić jak najmniej, żeby uniknąć stworzenia jakiejkolwiek więzi, która mogłaby utrudnić zadanie. Kemper postępował odwrotnie -próbował nawiązać znajomość, ale głównie po to, by uzyskać potrzebne informacje odnośnie właściwego statusu społecznego wybranych ofiar (czyli wyższych sfer). "Zwykle podejmowałem taką próbę - troszkę pogadać o różnych sprawach, delikatnie wysondować, poznać styl życia, warunki mieszkaniowe i tak dalej". Początkowo nie miał pewności, czy Aiko Koo reprezentowała właściwą grupę społeczną. "Mówiła dużo i swobodnie i z jej wypowiedzi wywnioskowałem, że nie pochodzi z zamożnego domu, czyli albo jej rodzice byli rozwiedzeni, albo ojciec opuścił rodzinę, kiedy była małą dziewczynką... W domu nie było samochodu. Jedynym środkiem transportu, z jakiego korzystała, był autobus. Ubranie niewyszukane, choć widać było, że zadawała sobie trud, by się wystroić i wyglądać jak najschludniej". Nawet jeżeli Koo była na granicy kryteriów Kempera, stanęła na jego drodze; stylem plasowała się wysoko i Kemper właściwie wyczuł, że pochodzi z "arystokratycznej rodziny", która mocno zubożała. Mimo to niepokoiło go, że Koo nie była najwłaściwszym wyborem.

W sumie, przedstawiony tu materiał maluje nam obraz Kempera jako pirata, który dostaje się na pokład wspaniałego galeonu i porywa to, co na nim najcenniejsze: piękne, młode kobiety. Tymczasem w sądzie, podczas przesłuchania przez własnego obrońcę, Kemper zaprzeczył całej teorii, którą tak starannie skonstruował w czasie dochodzenia. Twierdził, że zabijał tylko po to, żeby te dziewczęta posiąść (teoria numer dwa). "Kiedy były żywe, zdawały się odległe, niczego ze mną nie dzieliły. Próbowałem nawiązać znajomość". Czy to zaprzeczenie jest szczere, czy jest tylko odbiciem frustracji wynikającej z wielokrotnych prób wyjaśnienia tego, co się stało? A może znudzony ustąpił na prośbę adwokota, który chciał uzyskać taki, a nie inny wyrok? Myślę, że to drugie. Nie trzeba mieć bujnej wyobraźni, by odtworzyć pospieszne rozmowy z adwokatem, podczas których omawiano korzyści wynikające z przyznania, że jest się niepoczytalnym (opętanym, by posiąść ofiary), co dawało względną wygodę i bezpieczeństwo szpitala psychiatrycznego. Deklaracja o wendecie prowadziła nieuchronnie za kratki.

Pod koniec procesu pirat ujawnił swoją prawdziwą ideologię: stał na czele buntu, nie rewolucji. Jedyną osobą, z którą nawiązał znajomość w czasie procesu, był zastępca szeryfa Colomny, odpowiedzialny za nadzór więzienny nad Kemperem. "Jest dla mnie niemal jak ojciec. Ojciec, którego nigdy nie miałem" - powiedział w ostatnim słowie. Mówiąc to wyjął z klapy kurtki z cielęcej skóry to, co miał najcenniejszego: Młodzieżową Odznakę Izby Handlowej. Colomny widział, jak "Ed patrzył na nią długo i łzy napłynęły mu do oczu. Potem podał mi ją i powiedział: "Masz, chcę, żebyś ją zatrzymała". Jak wielu innych korsarzy przed nim, kiedy było już po wszystkim, poddał się woli społeczeństwa i przeliczał zyski i straty.

Opowieści z dziedziny psychiatrii

Z punktu widzenia psychiatrii nie ma powodu, by uważać, że (Kemper) stanowi zagrożenie dla siebie lub kogokolwiek.

Psychiatra Kempera

Dzięki kolosalnej roli, jaką psychiatria odgrywa w sprawach sądowych, jej przedstawiciele mają dostęp do najbogatszego materiału źródłowego na temat zachowań przestępczych. Jakie przemyślenia mieli psychiatrzy na temat Kempera, kiedy przez wiele lat przebywał pod ich opieką? Zwrócono na niego uwagę po tym, jak zabił swoich dziadków. Od pierwszej chwili stał się przedmiotem sporu. Pewien psychiatra sądowy, jeden z niewielu specjalistów z dziedziny zdrowia psychicznego, który zdał sobie sprawę z zagrożenia, jakie stanowi Kemper, uznał go za "psychotycznego, (...) niezrównoważonego i niezdolnego do samodzielnego funkcjonowania". "(Kemper) ma paranoiczne wyobrażenia, które przybierają na sile i stają się coraz bardziej udziwnione - czytamy dalej w jego notatkach. - Warto zwrócić uwagę, że paranoja skupia się na wszystkich kobietach, z wyjątkiem własnej matki, która jest najbardziej winna. Jest psychotyczny i stanowi zagrożenie dla siebie i innych. Niewykluczone, że jest to przypadek wymagający długotrwałego leczenia" - stwierdził z dużą przenikliwością. Niezależnie od tego, czy diagnoza psychiatry sadowego

określająca Kempera jako "psychotycznego" była trafna, był ostatnim fachowcem, który nie dał się zwieść Kemperowi co do jego prawdziwych, morderczych intencji.

Pracownicy socjalni Wydziału do Spraw Młodzieży stanu Kalifornia oraz personel medyczny zostali prawdopodobnie zmyleni łatwością wypowiedzi, dwulicowością i inteligencją Kempera, gdyż nie podzielili opinii psychiatry sądowego i uznali, że pacjent nie jest niezrównoważony, a jego sposób myślenia dziwaczny lub psychotyczny. W jednej z opinii podkreślano, że nie cechowała go "gonitwa myśli, żadne zaburzenia procesu myślowego, halucynacje, urojenia, dziwactwa". Zgodnie z ich diagnozą Kemper, typ pasywno-agresywny, cierpiał na zaburzenia osobowości przy jednoczesnym słabym ego, bierności i lęku przed przemocą ze strony innych chłopców. Przed ukończeniem szesnastego roku życia, pomimo faktu, że zabójstwo dziadków nie miało podłoża seksualnego, Kemper został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym dla przestępców seksualnych w Atascadero. Była to "lekcja", która trwała pięć lat.

W Atascadero Kemper poznał niejakiego doktora Vanaska, dla którego zaczął pracować; w ten sposób wyrabiał sobie dobrą opinię. Segregował testy psychologiczne, którym poddawano pacjentów. "Był bardzo dobrym pracownikiem - wspominał Vanasek - i to nie jest typowe dla socjopaty. Naprawdę był dumny ze swojej pracy". W takich okolicznościach Kemper przechodził przez okres dojrzewania w otoczeniu brutalnych gwałcicieli, których namawiano do opowiadania o swoich przewinieniach i fantazjach w czasie terapii grupowych. Chłopak nasiąkał ich rozchwianym seksualizmem i różnymi psychologicznymi teoriami, którymi tętnił szpital. Odnosimy też wrażenie, że wykorzystywał całą przyswojoną wiedzę psychologiczną do zamaskowania własnych, rodzących się pomysłów i mydleniu oczu badającym go lekarzom.

A jednak testy ujawniły wściekłość, która się w nim gotowała.

W wieku dziewiętnastu lat tradycyjny test Rorschacha ujawnił obrazy pełne przemocy, bez obecności ludzi: "dwa niedźwiedzie wpadające na siebie", "szeroko otwarta paszcza aligatora", "widoczna na horyzoncie luna płonącej ropy, czarny dym unosi się w górę, odbijając się w wodzie", "klapa zakrywająca wejście do piwnicy, w której pająk czyha na owada". Przeprowadzający badania psycholog, na podstawie testów Rorschacha i Testów Apercepcji Tematycznej doszedł do następujących wniosków:

"Pan Kemper jest emocjonalnie niedojrzały i labilny. Dominującym nastrojem jest umiarkowana depresja, której towarzyszy stan lękowy. Istnieją przesłanki o występowaniu dużej dozy skrywanej wrogości. Pacjent sprawia wrażenie osoby biernej, niesamodzielnej, potencjalnie agresywnej. Wyraźnie widać możliwość nagłego uwolnienia emocji". Profil osobowościowy ukazuje Kempera jako człowieka "inteligentnego, niezrównoważonego emocjonalnie, łatwo dającego się wyprowadzić z równowagi, nieśmiałego, podejrzliwego, przekonanego o słuszności swoich poglądów, nieskomplikowanego, lękliwego, bezkrytycznego, beztroskiego, dążącego do spełnienia własnych zachcianek, spiętego, łatwo się nużącego i niespokojnego". Za pomocą wymienionego powyżej zestawu cech osobowościowych można by scharakteryzować połowę ludzi na świecie. Ten oto nie przejawiający agresji, "raczej bierny, niesamodzielny" człowiek miał wkrótce wyjść na wolność.

Kemper został oddany pod kuratelę matki mimo sprzeciwu psychiatrów. Opuścił Atascadero z szybko krystalizującą się wizją, jak będzie wyglądała jego życiowa misja. Ale obojętność i brak emocji, które demonstrował w czasie badania psychiatrycznego kilka miesięcy później, utwierdziły lekarzy, decydujących o zwolnieniu Kempera z opieki kuratora, o słuszności podjętej decyzji. Nie zajrzeli do bagażnika samochodu swojego pacjenta, a tam spoczywała głowa ofiary. W uzasadnieniu decyzji, która na zawsze pozostanie w naszej pamięci jako przykład najbardziej chybionego rozpoznania psychiatrycznego, czytamy: "Jako psychiatra, nie widzę żadnego powodu, by uznać, że (Kemper) jest niebezpieczny dla samego siebie lub jakiegokolwiek innego członka społeczeństwa. Jazda samochodem lub motocyklem jest groźniejsza dla jego życia i zdrowia niż zagrożenie, które jego osoba mogłaby stanowić dla innych".

Kiedy krwawa misja została zakończona, czyli kiedy zrealizował swoją "demonstrację wobec władzy", Kemper oddał się w ręce sprawiedliwości i został poddany o wiele dokładniejszemu badaniu psychiatrycznemu. Specjalista od dewiacji seksualnych, doktor Joel Fort, badał Kempera i doszedł do wniosku, że pacjent jest maniakiem seksualnym. "Dwa centralne wątki to po pierwsze niebywała ciekawość i obsesja seksualna, dające o sobie znać w takim stopniu, że w kategoriach norm powszechnie występujących w naszym społeczeństwie można go uznać za maniaka seksualnego. Określenie to pasuje do niego bardziej niż do kogokolwiek, nad kim przyszło mi pracować w dwudziestoletniej praktyce. Wątek drugi to niebywała wręcz nienawiść, furia i agresja, które mają swoje źródło w doświadczeniach z dzieciństwa, a także późniejszych przeżyciach. W psychice Kempera odnajdziemy zarówno chęć odegrania się na społeczeństwie, które w jego przekonaniu skrzywdziło go, jak i chęć odegrania się na ojcu i matce, przez których też, jak twierdzi, został skrzywdzony". Ale czy obsesja seksualna Kempera była rzeczywiście silniejsza od tej, jaką odczuwa każdy samotny i sfrustrowany prawiczek? A w świecie pełnym ludzkiej krzywdy, czyż nie doświadczył o wiele mniej krzywd niż inni, których być może jest zdecydowana większość?

Z zapałem godnym każdego wyznawcy szkoły Freuda doktor Fort skupił się na zboczonych praktykach seksualnych Kempera, rozwodząc się nad "kopulacją oralną z ofiarami", "gwałtownymi stosunkami przy pełnej penetracji pochwy, w czasie których szybko osiągał wytrysk" i "robieniu zdjęć ofiarom lub głowom bezpośrednio po dekapitacji". Fort zwrócił również uwagę na fakt "czerpania satysfakcji seksualnej ze zbierania i przechowywania fragmentów garderoby, książek i innych przedmiotów należących do ofiar i spoglądania na nie od czasu do czasu".

Fort odrzucił rozpoznanie paranoidalnej schizofrenii u Kempera - etykietę, którą mu często przyczepiano po aresztowaniu - twierdząc dość rozsądnie, że "paranoidalny schizofrenik powinien mieć wyraźne poczucie oderwania od rzeczywistości, cierpieć na utratę osobowości, czyli zacieranie granic pomiędzy sobą, a innymi ludźmi z otoczenia (ale dlaczego ma to być oznaką choroby psychicznej, a nie reakcją na zajmowane miejsce w społeczeństwie?), i przede wszystkim mieć urojenia, czyli w tym wypadku błędne wyobrażenie, że jest się prześladowanym". Jeszcze jednym powodem, dla którego Fort odszedł od wersji o paranoi, był fakt odrzucenia Kempera przez własną matkę i babkę i nieokazania mu przez nie uczucia. Niestety, Fort obstawał przy obarczaniu Kempera stygmatem społecznej alienacji. "Umieściłbym go w szerszej kategorii zaburzeń osobowościowych, a konkretnie osobowości antyspołecznej, co jest ni mniej, ni więcej dawną definicją psychopaty lub socjopaty". Fort twierdzi, że ludzi znajdujących się w takim właśnie stanie cechuje "nieumiejętność funkcjonowania zgodnie z jakimikolwiek uznanym lub zaakceptowanym kodeksem moralnym", nie korzystanie z "doświadczeń, czyli brak umiejętności dostosowania swojego zachowania do wymagań społecznych". W tym miejscu po prostu opisuje niektóre z cech charakterystycznych dla jakiegokolwiek ekscentryka lub nonkonformisty, pozbawiając nas wnikliwego spojrzenia w duszę wielokrotnego mordercy. Trafniejszym spostrzeżeniem jest to, że Kemper osiągnął status osoby otoczonej sławą, co często staje się udziałem wielokrotnych morderców w Ameryce (nawet proszono go o autograf). Fort zwrócił uwagę, że Kemper "osiąga ogromną satysfakcję i przyjemność z posiadania statusu masowego mordercy", ale zamiast zgłębić ten temat wyjaśnia go w kategoriach niedostosowania Kempera do życia: było to po prostu "uznanie, którego tak bardzo potrzebował będąc dzieckiem, swoista reakcja na odepchnięcie".

Donald Lunde, psychiatra i pisarz, spojrzał na Kempera w sposób najbardziej naukowy. Odrzucił wiarygodność teorii o "przestępczym chromosomie", według której "chłopcy o chromosomach XYY są bardziej impulsywni niż ci z XV. Lunde zwrócił uwagę, że Kemper "pasuje do jednej z przedstawionych wersji XYY: nieprzeciętnie wysoki, inteligencja powyżej normy i wyjątkowa gwałtowność" (plasując się tym samym w znacznej grupie Amerykanów płci męskiej), ale ostatecznie stwierdził, że testy przeprowadzone w Centrum Medycznym Uniwersytetu Stanforda wykazały normalność chromosomów Kempera, tak jak to ma miejsce z wszystkimi omawianymi tu wielokrotnymi mordercami. Lunde posunął się do odrzucenia wersji o paranoidalnej schizofrenii, zaburzeniach osobowościowych i Kemperze-socjopacie. Zamiast tego przedstawił własną - o "sadystycznym mordercy".

"W rzadkich przypadkach, z powodów nie do końca zrozumiałych, u niektórych osobników bodźce seksualne i agresja stapiają się ze sobą już we wczesnym okresie rozwoju dziecka, ostatecznie znajdując swe ujście w pełnych przemocy napaściach seksualnych, a w wyjątkowych przypadkach, w sadystycznych morderstwach na tle seksualnym". To interesujący punkt widzenia, ale zostawia czytelnika bez odpowiedzi na pytanie, dlaczego u niektórych osobników seksualizm łączy się z przemocą, dlaczego muszą zabijać i czy satysfakcja, którą czerpią, ma kontekst seksualny czy społeczny?

Misja Kempera

Nie chciałem pozabijać wszystkich studentek na świecie.

Edmund Kemper

Powinniśmy udowodnić tezę, która głosi, jak niewiele daje nam wiedza o tym, że "psychotycy" i "sadyści" pragną poniżać i niszczyć swoje ofiary. Musimy wykazać, że atak Kempera jest czymś więcej niż tylko objawem choroby psychicznej lub ego-maniakalną rozrywką wypaczonego seksualizmu i że jego "misja" umożliwiła mu stworzenie pewnej tożsamości, która zakończyła proces wyobcowania ze społeczeństwa. Od którego miejsca zacząć odcyfrowywanie szyfru Kempera? Jednym z logicznych punktów jest chwila, w której wszystko się skończyło, kiedy podjął świadomą decyzję o położeniu kresu "operacji" i kapitulacji przed władzą. W tym właśnie momencie Kemper dał nam najlepiej do zrozumienia, że jego mordercza działalność była zadaniem, które zostało spełnione.

Kapitulacja

Kemper, wykorzystując wiedzę o metodach działania policji, którą posiadł dzięki znajomości z kolegami z posterunku, rozumował, że dopóki działa według starannie przemyślanego planu, może dalej zabijać. "Gdybym trzymał gębę na kłódkę, .wszystko uszłoby na sucho, na wieki". Wiedział, że policja próbuje złapać mordercę, ale wiedział też, że "za pomocą dostępnych metod śledczych i przy założeniu, że ludzie nie są tak zimni, bezwzględni i skrytobójczy jak ja, policja nie miała (szansy). Byłem bardzo przebiegły". Już samo to oświadczenie przekreśla teorię o maniaku seksualnym, bo dlaczego miałby zaniechać prowadzenia

"działalności", którą uważał za konieczną i przyjemną? (Wiedział, że z chwilą ujęcia i przyznania się do winy zostanie wsadzony do więzienia na resztę życia, a przecież nie dręczyło go poczucie winy i skrucha).

Częściowe wyjaśnienie leży w napięciu, które odczuwał. "Byłem tym wszystkim bardzo poruszony - twierdził. - Chodziłem w kółko i byłem bardzo zdenerwowany. Skręcało mnie w żołądku. Chyba robią mi się wrzody. Teraz już nie odczuwam tego tak bardzo, ale działałem w dużym stresie, kiedy to wszystko się działo - ludzie w bagażniku i konieczność pozbywania się (ich ciał). Często byłem bliski paniki, zanim nie było po wszystkim. (...) Psiakrew, przecież nie mogłem robić tego w nieskończoność... nie mogłem. Nie wytrzymywałem tego emocjonalnie. (...) Pod koniec zaczynało do mnie docierać całe szaleństwo tego, co się działo i kiedy byłem bliski wyczerpania, załamania, powiedziałem: do diabła, dam sobie spokój. Powiedzmy... że się zużyłem". Tak mówił o swojej ostatniej, szaleńczej jeździe w głąb kraju, zanim podjął decyzję o kapitulacji:

"Było późno w nocy, byłem wykończony... nawet bardziej, tylko czysta adrenalina utrzymywała mnie na nogach. Cały drżałem, a w głowie wszystko zaczynało się otwierać". To wyjaśnienie pomija jeden fakt, o ile przed zabójstwami i w trakcie ich dokonywania działał pod silną presją, kiedy było już po wszystkim i ciało zostało usunięte, doświadczał czegoś, co można nazwać stanem euforii. "Całkowicie się odprężałem". Dlaczego teraz zaszła zmiana? Dlaczego ekstaza pełnego odprężenia już go nie nachodziła? Czy stało się tak, bo zadanie zostało spełnione, udowodnił to, co miał udowodnić i niczym już nie mógł usprawiedliwić dokonanych morderstw?

Drugie, częściowe wyjaśnienie, dlaczego Kemper dał za wygraną, znajdujemy w następującej uwadze: w czasie jazdy do Kolorado poczuł, że "traci kontrolę" nad sobą. "Nigdy nie zdarzyło mi się, żebym stracił kontrolę nad własnym życiem". Jest to zdumiewająca deklaracja w ustach człowieka, którego mieliśmy podobno uważać za osobę całkowicie nie panującą nad sobą, obłąkanego z wściekłości mordercę. Kemper wyjaśniał to twierdząc, że istnieje różnica pomiędzy panowaniem nad umysłem i ciałem. "Straciłem panowanie nad ciałem. Doświadczyłem tego, kiedy w wieku piętnastu lat zabiłem dziadków. Całkowicie straciłem panowanie nad sobą. Jeśli jednak chodzi o mój umysł, to zdawałem sobie sprawę z mojego stanu, ale nie mogłem położyć temu kresu. Organizm był wyczerpany i umysł też zaczynał zawodzić. Miałem halucynacje".

Ciągnąc dalej oświecanie nas co do swojego punktu widzenia Kemper mówił: "W końcu naszła mnie myśl. Zacząłem rozumować: Cholera, muszę położyć temu kres, bo wszystko wymyka mi się z rak. Nie mogę brać odpowiedzialności za to, co może się jeszcze zdarzyć, a taka możliwość wcale mi nie odpowiadała". Innymi słowy Kemper brał pełną odpowiedzialność za to, co nam wydaje się szaleństwem, a jemu nie - za zgładzenie dziesięciu istnień ludzkich. Przedmiotem niepokoju Kempera była możliwość zrobienia czegoś, czego nie da się usprawiedliwić, czyli zabicia bez przyczyny lub bez pełnej świadomości popełnionego czynu. "Pierwotny motyw przestał istnieć. Wszystko zaczęło mi jakby ciążyć. Powiedzmy, że był to powrót do chwili refleksji, że... że nienawiść i lęk zaczęły się wypalać, że potrzeba zabijania, którą odczuwałem, stała się bezprzedmiotowa i śmieszna. Nie służyła już żadnemu rzeczywistemu, realnemu lub emocjonalnemu celowi. Była zwykłą stratą czasu". Zabijanie bez przyczyny było dla Kempera nie do przyjęcia, dziesięć zabójstw wyczerpało jego potrzeby. Dalsze zabijanie nie miałoby celu, a nie chciał, by taki zarzut ciągnął się za nim. Jeśli zatem oddał się w ręce władzy, gdyż cel został osiągnięty, jakiż był ten cel?

Nie dokończona sprawa

.Najbardziej zdumiewającym elementem w biografii Kempera, podobnie jak u innych wielokrotnych morderców, jest to, że nie ma w niej nic, co by nas zdumiało, przynajmniej do czasu rozpoczęcia kariery mordercy. To prawda, że fakt zamykania w piwnicy przez demoniczną matkę musiał zostawić uraz w psychice, ale wielu ludzi musiało doświadczyć podobnie bezwzględnego traktowania, a mimo to cieszy się zdrową psychiką w wieku dojrzałym. To prawda, że matka nieustannie, w sposób wręcz maniakalny czepiała się syna, przez co nie sposób było mieszkać z nią pod jednym dachem. Nie potrafiła też zapanować nad chorobliwym niepokojem co do zajmowanej przez siebie pozycji społecznej i ten brak poczucia bezpieczeństwa nieustannie przelewała na syna. Lecz nie mieszkali już razem, kiedy zaczął zabijać, a nawet gdyby tak było, rozsądniejszym rozwiązaniem dylematu wspólnego mieszkania byłaby ucieczka. To prawda, że matka zmieniała mężów jak rękawiczki, co może całkowicie zdezorientować dziecko[8], ale według wszystkich relacji, nawet samego Kempera, kolejni ojczymowie obchodzili się z nim nadzwyczaj dobrze. Nie to złożyło się na legendę Kempera. Błędem jest szukanie motywów serii zabójstw jedynie w rodzinie i okresie dzieciństwa, które w przypadku Kempera, przykładając do niego współczesne kryteria, nie było tragiczne.

Czytelnik mógłby odnieść wrażenie, że postępując w ten sposób zamknęliśmy drzwi prowadzące do zrozumienia problemu, ponieważ w naszym społeczeństwie dominuje tendencja do analizowania osoby dorosłej wyłącznie w kategoriach dziecięcych. Ale nie zamknęliśmy wszystkich drzwi, a sam Kemper

[8] Niewspółmierna liczba wielokrotnych morderców miała matki, które wychodziły za mąż trzy lub więcej razy.

pootwierał kilka innych. W swoich zeznaniach podsunął pięć "teorii" wyjaśniających jego zachowanie - teorii, które jak czytelnik zapewne pamięta, często sobie przeczyły lub takie sprawiały wrażenie. Były to w kolejności: sfrustrowany seksualizm, potrzeba posiadania, polowanie na trofea, wściekłość na matkę i pragnienie zemsty. Jeżeli nawet tylko częściowo uwierzymy jego słowom i spojrzymy na te teorie nie jak na odrębne i wzajemnie się negujące, ale jak na nie dość dokładnie wyrażone elementy jednej teorii, zbliżymy się o krok do prawdy; wszystkie teorie składają się na motyw Kempera i owoc jego morderczej działalności, wszystkie stanowiły część jednego planu.

Mówiąc bez ogródek, pytanie: "dlaczego Kemper zabijał?", jest niewłaściwie postawione. Faktem jest, że wielu ludzi posiada potencjalną możliwość odebrania życia innemu człowiekowi (spytajcie dowolnego psychiatrę lub inspektora policji) w celu wyeliminowania przeciwnika lub dla osiągnięcia sadystycznej satysfakcji, ale niewielu się na to decyduje. W większości przypadków zamiar pozostaje zamiarem, nie z powodu rozterek etycznych, jak sami pytani często twierdzą, ale dlatego że są zaplątani w sidła odpowiedzialności, zobowiązań, przekonań i sentymentów, które zamieniłyby popełnienie morderstwa w absurdalny hazard lub godną pożałowania autodestrukcję. Większość ludzi, nierozerwalnie wtopiona w rodzinę, otoczenie i społeczeństwo, czerpie z takiego stanu rzeczy dostateczną satysfakcję. Jeśli nie, są utrzymywani w przekonaniu, że taką satysfakcję da im praca, modlitwa lub hit szczęścia. Sprowadza się to do tego, że większość ludzi ma zbyt dużo do stracenia i jeżeli nie są obciążeni całkowitym brakiem trafności oceny sytuacji, nigdy nie zdecydują się na zabawę w śmierć, nie mówiąc o przemyślanej długotrwałej akcji.

Ale wyobraźmy sobie człowieka, całkowicie poczytalnego, który od najwcześniejszego dzieciństwa jest odsuwany od toczącego się wokół życia. Chłopca, który czuje, że nie jest kochany ani że sam nie potrafi pokochać. Chłopca, którego tożsamość w okresie dojrzewania zaczyna kształtować stworzony przez wyobraźnię żądny przygód pirat lub kowboj naprawiający wszelkie wyrządzone zło. Fakt, że został odrzucony przez oboje rodziców i zamieszkał z dziadkami, został odebrany przez Kempera jako kara. Nie jest zatem niczym niezwykłym, że ten właśnie chłopiec, opętany przez myśli o przemocy (jedyny sposób, w jaki mógł odeprzeć nieustanne ataki na swoją osobowość), wybuchnie i popełni mord, straci panowanie nad ciałem, ale nie nad umysłem, jak sam to wyrazi.

W burzliwym okresie dojrzewania zostaje uwięziony w zakładzie, w którym obcuje wyłącznie z mężczyznami; w ten sposób jest pozbawiony sposobności doświadczenia związku emocjonalno-seksualnego z kobietą (lub nawet dowiedzenia się, że taki może istnieć, biorąc pod uwagę opowieści zboczonych kolegów z zakładu). Nigdy się nie dowie, że mógłby być kimś innym, niż mu się wydawało. Nie dziwi nas, że mając tak okrojoną tożsamość, której nigdy nie dano szansy rozwoju, będzie później sugerował "brak jakiejkolwiek osobowości". Łatwo padał ofiarą rojeń dających mu namiastkę tożsamości. W podobny sposób nieumiejętność nawiązywania kontaktów zaowocowała poczuciem tak głębokiej alienacji, że poza szalejącą matką nie było nikogo w jego życiu. Stoi oto przed nami człowiek, który nie ma nic do stracenia. Nic więc dziwnego, że dojrzały kowboj-pirat-poszukiwacz przygód będzie postępował w sposób zawadiacki i opracuje taki plan postępowania, za pomocą którego będzie mógł stawić czoło wszystkim dylematom swojego życia, a zrobi to z taką energią i nieubłagalnością, której nie powstydziłby się żaden prawdziwy poszukiwacz przygód.[9]

O jakich dylematach mowa? O wściekłości na matkę, frustracji seksualnej i całkowitym wyobcowaniu.

Urzeczywistnienie rojeń świadomą decyzją o wyruszeniu na "podbój świata" rozprawiłoby się nie tylko ze złymi duchami z dzieciństwa, ale również z pustką dorosłego życia. Ale Kemper nie był rewolucjonistą, nie chciał zmieniać świata pod sztandarem nowej, wspaniałej ideologu. Przeciwnie, identyfikował się ze wszystkim, co konserwatywne. Wiedział też, że nigdy nie włączy się do życia, jeżeli nie zrzuci klątwy. Mógł to zrobić wyłącznie poprzez dokonanie czegoś niesłychanego, znajdując w ten sposób swoje miejsce w społeczeństwie i budując trwałą tożsamość - niezbyt wygórowane pragnienie, ale konieczne, gdyż tylko określając granice własnej osobowości można stawić czoło otaczającym nas ludziom.

Zatem motyw Kempera był jasny. "W moich marzeniach i pragnieniach panowała pełna frustracja". Lekarstwem na ten stan miała stać się "misja"; musi coś zademonstrować władzy, porządek społeczny musi stanąć do konfrontacji z Kemperem, który będzie się oczyszczał z klątwy. Nie będzie błagał na kolanach jak jakiś tchórz o przygarnięcie go do społeczeństwa. Nie, jak bohater swoich marzeń będzie z zimną krwią dokonywał aktów zemsty, wprowadzając w życie swoją "deklarację społeczną", "niszcząc to, co społeczeństwo ma najcenniejszego". Dlaczego młode kobiety? Częściowo ich bezbronność czyni je łatwym celem, częściowo powodem jest manifestowany przez nie erotyzm, który w ten sposób stanie się dla niego

---

[9] Patrząc z perspektywy czasu nietrudno dostrzec przesłanki tego, co miało nastąpić. Tak było w przypadku jednego z testów apercepcji tematycznej, któremu został poddany w wieku lat dziewiętnastu. Kiedy pokazano mu fotografię chłopca w towarzystwie starszego mężczyzny, Kemper odpowiedział: "Widzimy tu młodzieńca, który ma problem, i jego ojca, który udziela mu rad... Syn chciał iść w ślady ojca, ale było tyk innych rzeczy, którymi się interesował, ze z czegoś musiałby zrezygnować, gdyby zajął proponowane stanowisko w firmie ojca... Dochodzi do wniosku, że w gruncie rzeczy nie odpowiada mu ta praca. Krępowałaby go, wiec sprzedaje swój udział w firmie, wstępuje do marynarki handlowej i rusza na podbój świata".

dostępny. Głównym powodem jest jednak fakt, że stały jakby w pierwszej linii tej klasy społecznej, która codziennie upokarzała go swoją obojętnością i odmową akceptacji.

Cel, jaki postawił sobie ten wróg władzy, jest jasny. Wprowadzając zamiar w czyn, zniknąłby przyziemny status przeciętniaka kierującego ruchem przy robotach drogowych, tożsamość nabrałaby charakteru i położyłby kres alienacji. W momencie zdobycia etykiety okrytego sławą wielokrotnego mordercy wyleczył się z kompleksu obojętności społeczeństwa wobec siebie, przy jednoczesnym wyegzekwowaniu zemsty i daniu upustu stłumionym pragnieniom seksualnym. W ten sposób pojedynczy akt przemocy przyniósł tyle korzyści - zemstę, triumf i ekstazę.

Po zabiciu sześciu młodych kobiet nastąpiła przerwa - "Nie chciałem pozabijać wszystkich studentek na świecie". Po zrealizowaniu deklaracji i zaspokojeniu seksualnych pragnień, po stworzeniu tożsamości i znalezieniu własnej niszy społecznej stało się oczywiste, że cel przestał istnieć. Wkrótce będzie czas na odpoczynek, ale zanim to nastąpi musi dokonać się jeszcze akt zemsty w potrójnym wymiarze: społecznym, seksualnym i rodzinnym. Zabijając w wyjątkowo brutalny sposób matkę i jej najbliższą przyjaciółkę, podwójnie łamie najbardziej fundamentalne zasady tego społeczeństwa. Ten do tej pory wyobcowany człowiek bez żadnej tożsamości znalazł swoje miejsce w życiu. Nie sposób zignorować człowieka, który stworzył tak potężną, męską tożsamość. Poradził sobie z "totalną frustracją", co jest dążeniem wszystkich wielokrotnych morderców wyruszających na swoją krucjatę. Złożone przez Kempera obszerne zeznania na zawsze zapewniły mu prawo do wielkości. "Misja" została spełniona; teraz mógł spać spokojnie (nie w czasie składania zeznań, dopiero kiedy wszystko zostało opowiedziane).

Opłakujemy ofiary Kempera i współczujemy ich pogrążonym w smutku rodzinom, ale jego samego nie ma co żałować. Jeśli wierzyć zrobionym mu niedawno w więzieniu zdjęciom, robi wrażenie człowieka zadowolonego z życia. Nie powinno to nikogo dziwić - stanął do konfrontacji z wszystkimi problemami, jakie postawiło przed nim życie i wszystkie rozwiązał. Kemper, na swój sposób, napisał od nowa własną historię i w szale zniszczenia stworzył siebie.[10]

Aby posiąść kobietę...
THEODORE ROBERT BUNDY
O jedną osobę mniej na ziemi -jakież to ma znaczenie?
Ted Bundy

Trudno dokładnie powiedzieć, ile pięknych młodych kobiet zabił Bundy, ponieważ nie do wszystkich zabójstw się przyznał. Ogólnie przyjmuje się, że mordował co najmniej dwadzieścia razy, lecz istnieje podejrzenie, iż liczba ofiar oscyluje wokół czterdziestu. W ten sposób Bundy - przynajmniej do czasu pojawienia się Henry Lee Lucasa - plasował się wśród najbardziej "aktywnych" ze wszystkich znanych wielokrotnych morderców naszych czasów. Podobnie jak w przypadku Edmunda Kempera, ofiary Bundy'ego pochodziły wyłącznie z klasy średniej. Zabójca był przystojny i inteligentny, co spowodowało, że otaczał go nimb tajemniczości, ale chociaż często mówił zagadkami, prawda była inna. Celem tej analizy będzie wykazanie, że popełnione przez Bundy'ego zabójstwa wyraźnie stanowią logiczną część systematycznie przeprowadzonej "operacji".

Wiemy, że przyszedł na świat jako dziecko nieślubne, czego zawsze strasznie się wstydził. Wychowywał się w drobnomieszczańskim domu, którego stylem i atrybutami pogardzał. Coraz bardziej desperackie pragnienie wspięcia się po drabinie społecznej ujawniało się pod różnymi postaciami już we wczesnym dzieciństwie. Najpierw było to poczucie upokorzenia, kiedy wraz z ojczymem sprzedawał za mamę grosze zebrane z pola warzywa. W wieku dojrzewania przyjęło formę kradzieży samochodów i przedmiotów luksusowych, które dawały mu tak bardzo upragnione poczucie przynależności do zamożnej warstwy klasy średniej. We wczesnym okresie dorosłości objawiło się chęcią zawarcia małżeństwa z kobietą z "wyższych sfer" oraz zostania prawnikiem. Ostatecznie stwierdził, że nie czuje się swobodnie, udając kogoś spoza własnej klasy społecznej. Marzenie o zmianie tożsamości było jednak bodźcem do rozpoczęcia "kariery" prawnika oraz, co ważniejsze, popełnienia serii zabójstw. W ten sposób zapewnił sobie tak bardzo pożądany związek z kobietami dobrze sytuowanymi.

Pierwsze przesłanki tego, co ma nastąpić, pojawiły się w roku 1972. Kochając się z przygodnie poznaną dziewczyną, Bundy ucisnął przedramieniem jej szyję tak silnie, że nie mogła oddychać. Próbowała krzyczeć, ale nie reagował. Zabrał rękę dopiero po ejakulacji. Jak twierdziła dziewczyna, nie wyglądało na to, by zdawał sobie sprawę, co zaszło. Kilka miesięcy później zaczął wiązać kochankę przed stosunkiem. Szybko położyła temu kres, gdyż Bundy, znajdując się jakby w transie, zaczął ją dusić. Niedługo potem ruszył za jakąś kobietą, która wyszła z baru i znikła w ciemnej uliczce. Znalazł po drodze coś poręcznego, czym mógł

[10] Kemper został uznany za poczytalnego i skazany na dożywotnie więzienie bez możliwości skrócenia kary. Jego prośba o wykonanie wyroku śmierci została odrzucona (przyp.tłum.).

uderzyć, i pobiegł, by wyprzedzić ofiarę. Ukrył się w miejscu, do którego, jak sądził, kobieta wkrótce dojdzie, ale ku jego ogromnemu rozczarowaniu wcześniej skręciła w stronę domu.

Przepełniony pożądaniem, które to doświadczenie w nim rozpaliło, zaczął śledzić inne kobiety. W końcu drewnianą pałką uderzył jedną z nich, w chwili gdy nerwowo szukała kluczy. Kobieta krzyknęła i upadła. Bundy zdał sobie sprawę, jak daleko się posunął, wpadł w panikę i uciekł.

Dopiero na początku stycznia 1974 roku opanował strach i opracował metodę działania, aby napaść była skuteczniejsza. Zaatakował niedaleko domu, w którym mieszkał, w dzielnicy uniwersyteckiej w Seattie. Ofiarą była młoda kobieta, która spała przy otwartym oknie w pokoju w suterenie. Nie obudziła się, kiedy metalowy pręt spadł na jej głowę. Bundy brutalnie wepchnął jakiś instrument medyczny do pochwy nieprzytomnej kobiety powodując poważne obrażenia wewnętrzne. "Mary" leżała w śpiączce przez szereg miesięcy. Wyzdrowiała, ale nic nie pamiętała z całego zajścia.

Czas wbijania

Pierwszą zbrodnię Bundy popełnił kilka tygodni później. W nocy 31 stycznia 1974 roku LyndaAnn Healy, dwudziestojednoletnia studentka psychologu na Uniwersytecie Stanu Waszyngton, spała w suterenie domu, który zajmowała wraz z czterema innymi kobietami. Bundy wkradł się do środka prawdopodobnie przez nie zamknięte na klucz drzwi i uderzeniem pozbawił Lyndę przytomności. Po zakneblowaniu zdjął z dziewczyny koszulę nocną, którą następnie powiesił w szafie. Zasłał łóżko, tak aby sprawiało wrażenie, że nikt w nim nie spał i wyniósł ofiarę przez okno. Relacjonując przebieg wydarzeń, Bundy posługuje się przedziwnym stylem - relacje w trzeciej osobie liczby pojedynczej - który później na stałe przyjmie wobec swoich biografów Michauda i Aynesworthа. "Prawdopodobnie położył ją na tylnym siedzeniu samochodu i czymś przykrył... Załóżmy, że zdecydował się pojechać w miejsce tak odległe, gdzie nie lękałby się, że krzyki mogą zwrócić czyjąś uwagę. Po przyjechaniu na miejsce rozwiązałby kobietę... Zmusiłby ją do rozebrania, a następnie, zaspokoiwszy swoje pragnienia, zrozumiałby, że znalazł się w sytuacji, w której nie może dziewczynie pozwolić odejść. W tym momencie musiałby ją zabić i zostawić ciało". Nie do końca jest jasne, jak długo przetrzymywał ciało przed porzuceniem go w lesie w pobliżu Seattie, który wybrał na cmentarzysko. Przypuszcza się, że stosunkowo szybko pozbył się zwłok.

Musiało minąć sześć tygodni, aby Bundy doszedł do siebie po strachu wywołanym przez pierwsze morderstwo i nabrał odwagi, by zabić jeszcze raz. Dwunastego marca 1974 roku nakłonił dziewiętnastoletnią studentkę Donnę Gail Manson, aby wsiadła do jego samochodu, kiedy szła z akademika na koncert jazzowy odbywający się w pobliskim Evergreen State College w Ołympii. Jej ciała nigdy nie odnaleziono.

Po raz pierwszy poznano metodę działania Bundy'ego, którą opracował w celu porywania zdolnych studentek, gdy powinęła mu się noga na innym kampusie - tym razem był to Central Washington State College. Wieczorem czternastego kwietnia 1974 roku z lewą ręką na szynie i w gipsie oraz furą podręczników w prawej poprosił dziewiętnastoletnią studentkę o pomoc w załadowaniu książek do samochodu. Chciał, żeby otworzyła drzwi kluczykiem, ale dziewczyna była czujna i odmówiła. Bundy sam otworzył drzwi i kazał jej wsiąść do środka. "Uciekłam - opowiadała później policjantom. - I to szybko". Trzy dni później, na terenie tego samego kampusu. Bundy zagadnął inną studentkę. Tym razem jedną rękę miał na temblaku, a drugą na szynie. Książki leciały na ziemię. Zgodziła się pomóc, ale zawahała się i odeszła, gdy trzeba było się schylić i poszukać kluczyków, które "upadły" Bundy'emu tuż przy samochodzie.

Chwilę później Bundy miał więcej szczęścia. Studentka ostatniego roku biologii Susan Rancourt wyszła ze spotkania dla przyszłych członków rady domów akademickich, by udać się do swojego pokoju. W pewnym momencie natknęła się na Bundy'ego, który najprawdopodobniej zastosował ten sam fortel. Uderzył dziewczynę w głowę tępym narzędziem, a następnie porwał, zgwałcił i zamordował, porzucając ciało niedaleko zwłok Lyndy Healy, na zalesionym zboczu. Susan Rancourt była trzecią ofiarą.

Nie minęły trzy tygodnie, kiedy szóstego maja 1974 roku zabił kolejną studentkę. Karny Parks, robiąca specjalizację z religii świata na Oregon State University w Corvallis właśnie wychodziła z akademika, by napić się kawy z przyjaciółmi w siedzibie Związku Studentów. Zagadnął ją, kiedy pokonywała krótki odcinek drogi z domu na miejsce spotkania. Bundy porwał dziewczynę, zgwałcił i zamordował. Pokonał odległość czterystu kilometrów do Corvallis, jak później tłumaczył Michaudowi i Aynesworthowi, by popełnić przestępstwo, którego nie łączono by z poprzednimi morderstwami. Oto jak opisał spotkanie z Karny, ponownie mówiąc w trzeciej osobie, tak jakby to nie on był sprawcą. "Powiedzmy, że jadła kanapkę w barku i (on) po prostu usiadł przy niej i zaczął rozmawiać, przedstawiając się jako student z tego samego uniwersytetu. Zaproponował, żeby pojechać dokądś na obiad i czegoś się napić. Albo mówił bardzo przekonująco, albo miała chandrę, dość, że przyjęła zaproszenie. Oczywiście, jak tylko wsiadła do samochodu, bardzo jej zapragnął i chciał mieć nad nią kontrolę... Załóżmy, że im bardziej oddalali się od obszarów zabudowanych, pasażerka zaczynała czuć się nieswojo... i w chwili gdy zatrzymał samochód, nad niczym praktycznie nie miała już kontroli. Z samego strachu musiałaby postąpić dokładnie tak, jak jej kazał". Bundy twierdził, że po zgwałceniu dowiózł Parks żywą do Seattie. Przywiózł dziewczynę na swoje

cmentarzysko, ponownie zgwałcił i "właśnie wtedy zabił (Karny). Zrobił to w samochodzie, a może zeszli z drogi i zabił ją w bardziej odludnym miejscu".

Przy piątym morderstwie wprowadził zmianę. W nocy pierwszego czerwca 1974 roku zatrzymał się przy podrzędnej knajpie w Seattie by podwieźć dwudziestodwuletnią Brendę Bali. Zawiózł ją do swojego mieszkania i zatrzymał siłą. Jak to później opisywał Michaudowi i Aynesworthowi: "Był zainteresowany zmianą modus operandi, aby nie podsycać ognia nienawiści lokalnej społeczności, ani nie intensyfikować działań policji. W taki oto sposób padło właśnie na tę dziewczynę. Sama szukała okazji. Zaczęli rozmawiać, okazało się, że miała czas. Pewnie spytał, czy ma ochotę pójść do niego na party i zawiózł ją do domu... Pierwsze zbliżenie mogło być dobrowolne, ale z pewnością nie zaspokoiłoby wszystkich pragnień, które żywił. Zatem po pierwszym stosunku potrzeby seksualne musiały stopniowo narastać i dołączyły poniekąd do innych nie zaspokojonych pragnień, jak na przykład chęci posiadania jej w sposób całkowity. Po tym jak straciła przytomność (od alkoholu) i leżała w stanie letargu, udusił ją".

Przechowywał ciało w mieszkaniu przez kilka dni, przenosząc je wielokrotnie z szafy do łóżka i z powrotem. "Nie było pośpiechu (z pozbyciem się ciała), gdyż nie znajdowało się w miejscu publicznym. W końcu był zmuszony do zapakowania zwłok i wyniesienia ich do samochodu późną nocą". Istnieją dowody na to, że kiedy ciało dziewczyny leżało w mieszkaniu, Bundy poprawiał trupowi makijaż i mył włosy szamponem.

Przed upływem dwóch tygodni, nocą jedenastego czerwca 1974 wrócił na kampus Uniwersytetu Stanu Waszyngton w Seattie, by porwać Georgeann Hawkins, kiedy wracała od swojego chłopaka z akademika znajdującego się kilkadziesiąt metrów od jej domu. Zostanie szóstą znaną ofiarą gwałtu i morderstwa. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zniknęła Georgeann, inni studenci widzieli w pobliżu mężczyznę z nogą w gipsie poruszającego się o kulach.

Po miesiącu Bundy ponownie zaatakował, tym razem zabijając aż dwie osoby tego samego dnia, tak jakby chciał nadrobić stracony czas. Czternastego lipca 1974 roku, w słoneczną niedzielę plażowicze tłoczyli się nad brzegiem jeziora Sammamish. Bundy wykorzystał swój poprzedni fortel w zmodyfikowanej wersji. Z ręką na temblaku zaczepił upatrzoną kobietę i rozpoczął rozmowę o pogodzie. Następnie spytał, czy pomoże mu przy transporcie łodzi. Zgodziła się i poszła z Bundym na parking, ale zawahała się nie widząc łódki. "Gdzie łódź?" - spytała. "W domu rodziców - odparł. - Tam na wzgórzu". Zdecydowanie nie miała ochoty z nim iść, ale po chwili dwudziestotrzyletnia Janice Ott wsiadła do samochodu. Oto co Bundy opowie później swoim biografom: "Nie mógłby daleko odjechać bez wzbudzenia podejrzeń kolejnych dwóch dziewcząt w samochodzie. Musiał znaleźć odosobnione miejsce w odległości kilku minut jazdy od jeziora. Miejsce bez samochodów, ruchu i tak dalej. Odgrywałby swoją rolę: parę słów o pogodzie, uwiarygodnienie podstępu, takie sobie gadu-gadu. W okolicy miał dom i właśnie tam mógł je zawieźć. Pierwszą dziewczynę musiałby zaprowadzić do domu i potem wrócić po drugą... Gdy osobnik znalazł się już z dziewczyną w sytuacji, w której miał nad nią pełną kontrolę, wszelka rozmowa musiała ograniczyć się do minimum, żeby uniknąć nawiązania jakiejkolwiek nici porozumienia. Gdyby był ostrożniejszy, prawdopodobnie zabiłby pierwszą dziewczynę przed pójściem po drugą. Ale w tym wypadku, skoro już ustaliliśmy, że nie działał ostrożnie, nie zabił tej pierwszej przed porwaniem następnej. Z drugą dziewczyną powtórzyłby ten sam scenariusz... Potem jego psychika dałaby o sobie znać i zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, wpadłby w panikę i zaczął rozważać sposoby ukrycia popełnionych czynów, lub przynajmniej roli jaką w nich odegrał. Zatem zabiłby dwie dziewczyny, umieścił ciała w samochodzie, zawiózł w odosobnione miejsce i zostawił". W ten właśnie sposób Janice Ott i Denise Nasiund zostały porwane i zamienione w siódmą i ósmą własność Bundy ego. Kiedy miał ich już dosyć, porzucił ciała na jednym ze swoich cmentarzysk i udał się na wieczorne spotkanie z kochanką, ukrywającą się później pod pseudonimem "Elizabeth Kendall". Narzekał, że chyba jest przeziębiony, ale jadł z apetytem pożerając kilka potężnych hamburgerów.

Dziewiętnaście dni później, drugiego sierpnia 1974 roku w centrum Vancouver w stanie Waszyngton porwał dwudziestoletnią Carol Yalenzuela. Kiedy zaspokoił wszelkie pragnienia, udusił dziewczynę i porzucił ciało na kolejnym cmentarzysku w pobliżu granicy stanu z Oregonem. Była dziewiątą udokumentowaną ofiara. Dziesiątej, kolejnej młodej dziewczyny, nigdy nie udało się zidentyfikować, ale jej zwłoki znaleziono niedaleko ciała Valenzueli.

Mieszkańcy stanu Waszyngton odetchnęli z ulgą, gdyż we wrześniu i październiku nie było doniesień o następnych zaginięciach. Policjanci zaczęli przypuszczać, że zabójca wyniósł się do innego stanu. Nie mylili się. Bundy przeprowadził się do Salt Lakę City, aby uczęszczać na Wydział Prawa Uniwersytetu Utah. Doczekał do drugiego października 1974 roku i zamordował szesnastoletnią Nancy Wilcox. Była to jego pierwsza udowodniona zbrodnia w stanie Utah. Osiemnastego października porwał swoją dwunastą ofiarę, Melissę Smith, siedemnastoletnią córkę szefa policji w Midvale, Utah. Zgwałcił dziewczynę, odbył z nią stosunek analny, po czym udusił podkolanówką. Porzucił nagie ciało na poboczu; w pochwie znaleziono ziemię i poutykane gałązki. Z oględzin medycznych wynikało, że od chwili porwania ofiara żyła jeszcze przez tydzień, chociaż musiała być cały czas nieprzytomna od ciosu, który strzaskał czaszkę.

Minęły trzy dni. Nocą zabrał z szosy swoją trzynastą ofiarę, Laurę Aime, która najprawdopodobniej czekała na podwiezienie. Sekcja zwłok wykazała, że Bundy zastosował tradycyjną metodę; stwierdzono pęknięcie żuchwy i kości czaszki od ciosu zadanego tępym narzędziem. Były ślady, że przed uduszeniem ofiary pończochą odbyto stosunek analny i pochwowy. Stwierdzono urazowe przebicie pochwy, a włosy Laury Aime były świeżo umyte szamponem, co wskazuje na fakt, że Bundy przechowywał ciało przez jakiś czas, tak jak to było w przypadku Melissy Smith.

Ósmego listopada 1974 roku Bundy popełnił istotny błąd, który w końcu doprowadził do zakończenia jego kariery mordercy. Podając się za policjanta, pod byle jakim pretekstem skłonił Carol DaRonch do tego, by wsiadła do samochodu; dziewczyna zachowała przytomność umysłu i zaczęła się szamotać, kiedy próbował założyć jej kajdanki. Udało jej się wydostać z samochodu, uciec i schronić w innym pojeździe, w którym siedzieli jacyś ludzie. Bundy nie rzucił się w pościg i odjechał. Zeznanie dziewczyny, jedynej, która przeżyła napaść, doprowadziło wkrótce do skazania mordercy za usiłowanie porwania. Tej samej nocy jednak, po nieudanej napaści na Carol DaRonch, Bundy nie dał za wygraną i udało mu się odwieść Debrę Kent od pójścia na szkolne przedstawienie w Salt Lakę City. Była jego czternastą ofiarą.

Całe Utah było tak poruszone morderstwami, że Bundy postanowił działać ostrożniej i przenieść swoje "tereny łowieckie" do Kolorado. Polował nie wychodząc ze swojego ukochanego volkswagena. Jedenastego stycznia 1975 roku porwał piętnastą ofiarę, dwudziestotrzyletnią pielęgniarkę, Caryn Campbell, która właśnie spędzała wakacje w luksusowym hotelu w Aspen. Zabił ją w typowy dla siebie sposób, druzgocząc czaszkę tępym narzędziem. Piętnastego marca spotkał szesnastą ofiarę, młodą instruktorkę jazdy na nartach, Julie Cunningham. Jej ciała nigdy nie znaleziono. Szóstego kwietnia porwał dwudziestopięcioletnią Denise Oliverson, która po wizycie u swojego chłopaka wracała do domu na rowerze. Zwykle po dokonaniu przestępstwa Bundy przeprowadzał długie, pełne uczucia rozmowy telefoniczne ze swoją kochanką z Seattie, Elizabeth Kendall, żeby się odprężyć.

Tempo, z jakim działał zabójca, zostało nagle zahamowane w sierpniu 1975 roku, kiedy czujny i dociekliwy policjant z Utah zwrócił uwagę na Bundy'ego, który jeździł bez celu nocą po przedmieściach. Zatrzymał Volkswagena do kontroli. Oto co znalazł w samochodzie: kajdanki, szpikulec do lodu, maskę na twarz wyciętą z pończochy, gogle narciarskie, kilka metrów liny i podarte kawałki białego prześcieradła. Policjant zatrzymał te wszystkie przedmioty jako materiał dowodowy i uprzedził Bundye'ego, że otrzyma wezwanie w sprawie posiadania przedmiotów, z których korzysta się przy włamaniach. Zwykle w takich przypadkach śledztwo mogło przynieść niespodziewane wyniki. Od tego momentu Bundy będzie już zawsze pod obserwacją policji. Nawet jeżeli ciągle udawało mu się bezkarnie zabijać, przychodziło to z coraz większym trudem. Wkrótce został oskarżony o porwanie Carol DaRonch i skazany na krótki pobyt w więzieniu stanowym Utah. Po jakimś czasie został przeniesiony do Kolorado, gdzie gromadzono przeciwko niemu coraz więcej dowodów. Miał stanąć przed sądem za zamordowanie Caryn Campbell. Po dwóch latach spędzonych w więzieniu o zaostrzonym rygorze, podjęta przez Bundy'ego druga, wręcz genialna próba ucieczki udała się. Zaczął przemierzać Amerykę szukając odpowiedniego miasteczka uniwersyteckiego, w którym mógłby osiąść, gdyż tylko w środowisku akademickim czuł się swobodnie. Brał pod uwagę Uniwersytet Columbus w stanie Ohio, zastanawiał się nad Uniwersytetem stanu Michigan w Ann Arbor, ale ostatecznie wybrał Florydę. Wynajął pokój w Tallahassee i udawał absolwenta Uniwersytetu Stanu Floryda.

Być może próbował zawiesić swoją zbrodniczą działalność. Gdyby to uczynił (i powstrzymał się od nieustannych kradzieży) mógłby zostać na wolności do końca życia, gdyż policja szukała go tysiące mil od Borydy. Jednakże w przeciągu kilku tygodni znowu wyruszył na polowanie na ludzi. Opisany poniżej atak miał już być przedostatnim. O świcie piętnastego stycznia roku 1978 Bundy, ubrany na czarno i uzbrojony w pałkę, forsuje rozklekotany zamek do drzwi żeńskiego bractwa studenckiego Cni Omega. Sprawdza pokój po pokoju, bezgłośnie atakując śpiące kobiety. Osiemnastą ofiarą była Lisa Levy; miała strzaskaną czaszkę i głęboki ślad po ugryzieniu na pośladku. Po dokonaniu gwałtu Bundy wbił w odbyt ofiary puszkę po lakierze do włosów. Przeszedł do następnego pokoju zadając ciosy pałką z taką siłą, że "pokój był cały w plamach krwi, nawet sufit był upstrzony czerwonymi kropeczkami, które odrywały się od unoszonej w górę pałki". Nie zabił dwóch kobiet mieszkających w następnym pokoju, ale pierwsza z nich, Karen Chandler, doznała następujących obrażeń: pęknięcia żuchwy, złamania prawego ramienia i palca, pęknięcia kości czaszki, prawego oczodołu i obu kości policzkowych. Pałka zostawiła na twarzy głębokie wyżłobienia i rozcięcia. W pewnym momencie Bundy zwrócił uwagę na śpiącą współlokatorkę. Karny Kleiner, której złamał szczękę z taką siłą, że kilka zębów znaleziono później w przesiąkniętej krwią pościeli. Przechodząc do następnego pokoju zadał ciosy pałką, a następnie udusił Margaret Browman - dziewiętnastą ofiarę. W tym momencie - aż dziw, że nie brak mu energii - Bundy musiał przerwać jatkę; prawdopodobnie jedna ze studentek wracała późno do domu. Uciekając, zatrzymał się przed mieszkaniem Cheryl Thomas, dwudziestojednoletniej studentki tańca. Po włamaniu się do środka kilkoma uderzeniami pałki zmiażdżył śpiącej dziewczynie żuchwę. Za sobą zostawił maskę z pończochy i rozległą plamę nasienia na zakrwawionym łóżku. Cheryl Thomas przeżyła, ale nieodwracalnie straciła słuch w jednym uchu i cierpi na częściowe zachwianie równowagi, co położyło kres karierze tancerki.

Społeczność stanu Floryda była głęboko poruszona masakrą w Cni Omega. Bundy tymczasem rozpoczął ostatnią rundę, tym razem chaotyczną i nie przemyślaną. Gdyby wyniósł się do innego stanu, być może nigdy nie zostałby ujęty. Z jego zachowania wynika, że mordercza działalność go przerosła: jeździł bez celu po Florydzie, znajdując czas jedynie na picie alkoholu i dwudziesty mord. Dziewiątego lutego 1978 roku namówił dwunastoletnią Kimberly Leach do zejścia ze szkolnego boiska. Po porwaniu dziewczynki, zgwałcił ją pochwowe i analnie, a następnie albo udusił, albo poderżnął gardło (kiedy znaleziono zwłoki, nie udało się ustalić przyczyny zgonu ze względu na posunięty rozkład). Zanim porzucił ciało w opuszczonym chlewie, nie rozstawał się z nim przez nie ustalony okres czasu. Przez następnych kilka dni Bundy zachowywał się tak dziwacznie, że kolejny obdarzony intuicją policjant zmusił go do zatrzymania samochodu. Miało to miejsce nocą z czternastego na piętnastego lutego. Szamoczący się Bundy został aresztowany. Prosił policjanta, który zakładał mu kajdanki, o zastrzelenie na miejscu. Od tej pory już nigdy nie wyjdzie na wolność.

Bundy i psychologia

Jestem psychologiem i to daje mi ostrość spojrzenia.

Ted Bundy

Bundy zawsze cierpiał z powodu podwójnego piętna, które ustawiało go na drabinie społecznej: bycia nieślubnym dzieckiem i "gminnego" pochodzenia. Został jednak pacjentem psychologów i psychiatrów dopiero, gdy popełnione czyny wplątały go w tryby machiny sprawiedliwości. Kontakty ze specjalistami okazały się jednak bezowocne, gdyż Bundy wykorzystał całą swoją inteligencję, by gmatwać i zaciemniać obraz, utrudniając wszelkie wysiłki mające na celu ustalenie stanu jego psychiki. Jak to niechybnie musiało nastąpić w przypadku osoby tak niekomunikatywnej jak on, diagnoza była wyjątkowo pobieżna i dawała jedynie pogląd o niedoskonałości nauki, którą nazywamy psychologią sądową. Na czoło wysuwa się trudność przewidzenia, czy jednostka jest potencjalnie zdolna do popełniania kolejnych aktów przemocy. Równie trudno rozpoznać stan chorobowy oskarżonego, chociaż wyraźnie domaga się tego sąd.

Występująca od czasu do czasu nieumiejętność rozpoznania prawdziwej natury badanego pacjenta ujawniła się w całej krasie, kiedy Bundy bez problemu ukończył psychologię na Uniwersytecie Waszyngtońskim (zanim zainteresował się prawem). Jego wykładowcy mieli o nim doskonałą opinię; jeden z nich napisał jeszcze w trakcie studiów: "Sprawia wrażenie młodego profesora, a nie studenta. Umieściłbym go w samej czołówce studentów, z którymi przyszło mi pracować, a tacy stanowią jeden procent ogółu". Inny nauczyciel tak napisał o Bundym: "Coraz lepiej widać, że inni studenci stawiają go sobie za wzór do naśladowania... Jego osobowość oceniam bardzo wysoko. Ted jest dojrzałym młodzieńcem, odpowiedzialnym i zrównoważonym emocjonalnie (co nie znaczy, że jest bezbarwny, jak to ma miejsce w wielu przypadkach - zależnie od sytuacji potrafi okazywać ekscytację i zdenerwowanie)... Trudno byłoby mi wskazać na jakąś istotną słabość jego charakteru".

W czasie wakacji Bundy odbywał praktyki w pogotowiu psychiatrycznym w Seattie. Jego zadanie polegało na przeprowadzaniu rozmów z osobami zaburzonymi emocjonalnie. Nie miał konfliktów z kolegami, chociaż było kilku, którzy zwrócili uwagę na jego sztywność i apatię. "Ted zawsze serwował zgłaszającym się pacjentom tę samą beznamiętną gadkę, za pomocą której pouczał ich, jak powinni kontrolować emocje i nad sobą panować - opowiadał Larsenowi jeden z podejrzliwszych kolegów. - Nie odniosłem wrażenia, by okazywał... współczucie lub by rozumiał, że ci ludzie nie są w stanie nad niczym zapanować". Sztywność, o której tu mowa, odzwierciedlała jego własne kroki, niepewnie stawiane na drabinie społecznej. Trudno jednak powiedzieć, czy to, że był wykwalifikowanym psychologiem i zaczynał praktykę, w momencie gdy utwierdzał się w postanowieniu o zabijaniu, stanowi argument przeciwko temu zawodowi.

Do chwili w której wybitny psychiatra sądowy Tanay rozmawiał z Bundym w celi na Florydzie, jedynej wnikliwszej oceny dokonali na początku dochodzenia psychiatrzy z Seattie wykonując in absentia profil osobowościowy mordercy, którego znali tylko jako "Teda". Dziennikarze Winn i Merrill tak podsumowali przedstawiony profil Bundy'ego: "Jego posunięcia i postawa charakteryzują go jako socjopatę i z całą pewnością można powiedzieć, że jest seksualnym psychopatą, którego charakteryzują pewne typowe cechy, takie jak brak zaangażowania emocjonalnego i skruchy. Ten typ, o dziwo, to często ekstrawertycy, sympatyczni, ujmujący ludzie o tendencjach hedonistycznych... W sumie, zdaniem specjalistów, taka osoba sprawia wrażenie najzupełniej normalnej. Ale nie obciążony poczuciem winy psychopatyczny morderca po wielokroć popełni zbrodnię". Jednak nawet ta analiza, wnikliwa czy nie, nie wyszła poza kategoryzację - została raczej oparta na dotychczas zebranej wiedzy o zachowaniu morderców niż na badaniu cech człowieka.

Pierwszym fachowcem, który tak naprawdę badał Bundy'ego był doktor Gary Jorgensen, psycholog kliniczny na Uniwersytecie Utah. Jego diagnoza w niczym nie ustępuje tej, którą psychiatrzy postawili Edmundowi Kemperowi: wykazała całkowity brak psychologicznego przewidywania. Chyba nigdy przedtem bardziej się nie pomylono. Jorgensen działał na polecenie adwokata Bundy'ego i miał przedstawić swoją opinię biegłego. Spędził wiele godzin z Bundym, którego poddał całej serii testów, wśród nich testowi

Rorschacha i wielofazowemu testowi osobowości z Uniwersytetu Stanu Minnesota. Doszedł do wniosku, że Bundy jest "zupełnie normalny". "Pan Bundy jest niezwykle inteligentnym, młodym człowiekiem bez skazy psychologicznej. Pod wieloma względami jest typowym młodym republikaninem, którym zawsze był w przeszłości". Jorgensen pogrążył się całkowicie, wyliczając dostrzeżone przez siebie pozytywne cechy osobowościowe: "właściwa postawa społeczna, silne ego i pozytywna osobowość, wysoka inteligencja, niezależność, tolerancja, odpowiedzialność". Według niego, Bundy wykazywał również "normalny rozwój psychoseksualny". Można przyjąć, że wnioski Jorgensena opierały się na założeniu o niewinności Bundy'ego i na "analizie" wizerunku przedstawiciela klasy średniej, który oskarżony tak skrupulatnie budował. Byli też inni, którzy podobnie dali się oszukać i za swój błąd zapłacili życiem.

Tymczasem jedynym ludźmi, którzy mieli dość zdrowego rozsądku, by powątpiewać w tworzony przez Bundy'ego własny wizerunek, była oczerniana i wyśmiewana policja. Oto co powiedział policjant wkrótce po aresztowaniu Bundy'ego za posiadanie narzędzi do włamań: "No, nie wiem. Bundy to najdziwniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem... Czuję to przez skórę. Ten facet kombinuje na dużą skalę".

Po skazaniu za porwanie Carol DaRonch, Bundy został poddany intensywnemu, trwającemu dziewięć dni badaniu w więzieniu stanowym Utah. Lekarze próbowali znaleźć jakąś skazę, która mogłaby wyjaśnić akty agresji ale, jak to będzie w przypadku wszystkich opisanych tu wielokrotnych morderców, nic nie wskórali. Rentgenogramy czaszki nie wykazały żadnego odchylenia od normy, a wyniki prześwietleń skaningowych były negatywne. Elektroencefalogramy były "zupełnie przeciętne" i "nie stwierdzono żadnej choroby mózgu" ani upośledzenia umysłowego. Testy psychologiczne wniosły więcej, ale tylko dzięki temu, że psychologowie już wiedzieli z procesu p skłonności Bundy'ego do stosowania przemocy wobec kobiet. Ponieważ został skazany za porwanie, ta informacja pozwoliła psychologom na "znalezienie" kilku odstępstw od normy. Na tej podstawie psychiatra więzienny doktor Van O. Austin przeczuwał, że Bundy "posiada cechy antyspołeczne, jak na przykład brak poczucia winy, gruboskórność oraz bardzo wyraźną tendencję do szufladkowania i skrupulatnego racjonalizowania swojego zachowania. Przeważnie prowadził samotną, wyizolowaną egzystencję, która jest typowa dla osobowości schizoidalnej, ale nie musi na nią wskazywać".

Opierając się na wynikach testów psychologicznych przeprowadzono w więzieniu analizę porównawczą pozytywnych i negatywnych cech osobowości Bundy'ego. Na plus przypisano mu "wysoką inteligencję, brak znacznych psychicznych urazów z dzieciństwa i okresu dojrzewania, brak istotnych defektów w rozwoju fizycznym, nawykach, przystosowaniu do życia szkolnego, dojrzałości emocjonalnej lub rozwoju seksualnym, typowe zainteresowania i formy rekreacji, przeciętne poczucie odpowiedzialności społecznej i brak wcześniej występujących zaburzeń emocjonalnych". Wszystkie wymienione spostrzeżenia w sposób dramatyczny ujawniają, do jakiego stopnia testy opierają się na wizerunku tworzonym przez daną osobę i na wyobrażeniach testującego o niezmienności tego, co powszechnie uznaje się za typowe atrybuty przedstawiciela klasy średniej. Jeśli chodzi o cechy negatywne, narzekano, że kiedy "ktokolwiek podejmuje próbę zrozumienia pana Bundy'ego, staje się on wykrętny", ale to spostrzeżenie jest raczej oparte na posiadanej wiedzy o oskarżeniu o porwanie niż na psychologicznej przenikliwości. Podobnie jest z uwagą, że Bundy "w kontaktach z ludźmi czuł się zagrożony, chyba że potrafił przewidzieć, do czego może doprowadzić znajomość z daną osobą".

Wreszcie wszystko, co zawarto w wystawionej opinii, a co wydawało się mieć znaczenie, da się przypisać znakomitej części ludzkości. Tak jest na przykład z uwagą lekarzy o ,istnieniu konfliktu - jest na to dowód w wypracowanym profilu - który polega na dużej zależności (pacjenta) od kobiet z jednej strony, a potrzebie niezależności z drugiej. Pan Bundy potrzebuje bliskiego związku z kobietami, ale boi się, że go skrzywdzą. Ponadto pojawiły się przesłanki, że odczuwa gniew, a dokładniej dobrze zamaskowany gniew w stosunku do kobiet". Niestety, jedyne, co z tego wynika, to to, że skazujący wyrok sądowy powiedział nam więcej o człowieku niż dowolna ilość wielofazowych testów osobowościowych z Minnesoty. Może powinniśmy nawet wyciągnąć wniosek, że dobry policjant i sędzia są równie spostrzegawczy i dokładni jak psycholog i wiedza, którą dysponuje. Niemniej siódmego czerwca 1976 roku psychiatra sądowy stwierdził: "Nie wydaje mi się, żeby pan Bundy był psychotyczny. W rzeczywistości, ma dobrą percepcję rzeczywistości, odróżnia dobro od zła, nie ma halucynacji ani omamów".

Spostrzeżenia Bundy'ego o tych, którzy prowadzili badania są równie pouczające. W liście do swojej przyjaciółki Ann Rule napisał: "...po przeprowadzeniu licznych testów i zakrojonych na szeroką skalę badań, stwierdzili, że jestem normalny i są w kropce. I ja, i oni wiemy, że nikt tak naprawdę nie jest "normalny". Może powinienem powiedzieć, że nie znajdują podstaw do uzasadnienia wyroku i postawienia innych zarzutów; Żadnych napadów furii, żadnej psychozy, żadnego rozdwojenia jaźni, ale bez wątpienia wariat. Teoria na dzisiaj, która przeczy ich własnym spostrzeżeniom, głosi, że o wszystkim zapomniałem. "Bardzo ciekawe" - mruczą pod nosem".

Prawdopodobnie nie wzbudziły też jego zachwytu wyniki kalifornijskiego testu, który określa przydatność do danego typu pracy z punktu widzenia celów życiowych. Niczego nie rozstrzygając wykazały, że Bundy

ma w życiu sześć całkiem przeciętnych celów: "nie cierpieć na niedostatek, kontrolować poczynania innych, kierować innymi za ich zgodą, unikać nudy, być człowiekiem samowystarczalnym i żyć po swojemu".

Nawet jeśli testy dały w wyniku same bzdury, to list, który Bundy napisał do Rule o swoich odczuciach wobec procesu jeszcze w trakcie badań psychiatrycznych, może być źródłem wielu ciekawych spostrzeżeń. "Przede wszystkim miałem poczucie spełnienia. Byłem odprężony, ale zdeterminowany, czułem się manipulowany, ale szczery i przejęty". Jaki człowiek mówi o "spełnieniu", gdy tymczasem życie przecieka w więzieniu przez palce? Dlaczego to, że został poddany "obróbce" przez sąd i psychologów napełniało go emocją? Mamy tu do czynienia z niezwykle ważnymi deklaracjami Bundy'ego i wrócimy do nich w dalszej części książki.

Ostatni kontakt z psychiatrami miał miejsce, gdy Bundy'emu groził wyrok dożywocia w Tavahassee. Został zbadany przez wybitnego psychiatrę doktora Emanuela Tanaya, który uważał, że "Bundy ma antyspołeczną osobowość, cechuje go zła ocena sytuacji, podnieca go myśl o wystąpieniu przeciwko władzy i może być niebezpieczny". Tanay napisał, że Bundy "nie posiada umiejętności ocenienia wagi przedstawionego materiału dowodowego, (chociaż) uproszczeniem byłoby stwierdzić, że oszukuje. Jednocześnie jego zachowanie wskazuje na to, że ma właściwą ocenę wagi tego materiału. Podejmuje decyzje opierając się na zniekształconej wizji rzeczywistości. Ponadto jego postawa i nastroje są zgodne ze sposobem, w jaki odbiera rzeczywistość, czyli nie przejmuje się w dostatecznym stopniu przedstawionymi mu zarzutami. Zapisy wielogodzinnych rozmów, które policja przeprowadziła z Bundym - uzupełnia Tanay - stanowią coś w rodzaju "wyznania". Jednak kiedy próbowałem mu to uzmysłowić, nie kwestionował trafności spostrzeżenia, ale podsuwał inne wyjaśnienie". Tanay był przekonany, że "tego typu zachowanie, nie jest wynikiem racjonalnego przemyślenia i procesem decyzyjnym, ale przejawem choroby psychicznej, na którą cierpi pan Bundy". Tym samym Tanay uważał, że już sama odmowa Bundy'ego zaakceptowania ciężaru materiału dowodowego zebranego przeciwko niemu wskazuje na chorobę psychiczną. "W przekonaniu Bundy'ego, sprawa przeciwko niemu oparta jest na słabym materiale i należy ją zignorować. Obrona uważa, że ten osąd pana Bundy'ego nie jest trafny i najprawdopodobniej jest przejawem jego choroby". W podsumowaniu Tanay niezwykle trafnie stwierdził: "Odnoszę wrażenie, że głównym czynnikiem jest tu głęboko zakorzeniona potrzeba stanięcia przed sądem, co jego zdaniem byłoby okazją do konfrontacji i wyprowadzenia w pole ludzi, którzy mają nad nim władzę". Waśnie tak. Ale skąd u Bundy'ego tak głęboko zakorzeniona potrzeba? Co mógłby w ten sposób zyskać?

Publiczne oświadczenia

Nie czuję się winny. Współczuję. ludziom, którzy czują się winni.

Ted Bundy

W rzeczywistości. Bundy nigdy do końca nie przyznał się do popełnionych morderstw. W czasie procesów w Utah i Kolorado, głośno zapewniał o swojej niewinności. W emocjonalnym liście napisanym w tym okresie do przyjaciółki Ann Rule czytamy: "Chcę, żebyś wiedziała, chcę, żeby cały świat wiedział o mojej niewinności. W życiu nie skrzywdziłem żadnej ludzkiej istoty. Boże, proszę, uwierz mi". Jednak nawet wtedy pojawiał się dziwny rozdźwięk i sprzeczność w zaprzeczaniu stawianym zarzutom; w przedziwnym oświadczeniu, które złożył przed kamerami telewizyjnymi w Kolorado, powiedział; "Bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonany o mojej niewinności". Bardziej niż kiedykolwiek?

Przestał się upierać przy swojej niewinności po ostatnim aresztowaniu na Florydzie, skrupulatnie dobierając do swoich komentarzy słowa pełne dwuznaczności. Nie kwestionował oskarżenia o morderstwo, ale krytykował jakość materiału dowodowego. Przez cały okres spędzony w areszcie na Florydzie bądź w trakcie wyczerpujących przesłuchań albo w prywatnych listach do przyjaciół mówił swoistym szyfrem. Kiedy na przykład został zapytany przez policję na Florydzie o rolę, jaką odegrał w morderstwie w Chi Omega, odpowiedział: "Wszystkie dowody znajdziecie na miejscu. Tylko nie przestańcie szukać". W liście do przyjaciela napisał: .Marzyła mi się wolność. Miałem ją i straciłem, ponieważ przymus działania połączył się z głupotą", co jest wyjątkowo trafnym osądem, jeśli się weźmie pod uwagę ostatnie morderstwa - brak w nim jednak przyznania się do winy. Oględnie mówił o swoich "problemach i antyspołecznych postępkach" i opowiadał detektywom: "Bardzo chcę z wami rozmawiać, ale się zablokowałem, żeby niczego nie opowiedzieć". W ten sposób, zamiast udzielić obciążającej siebie odpowiedzi, mówił: "Nie chcę być zmuszony do kłamania".

Opowiadał policjantom, że wolał Volkswageny, bo łatwo się wyjmowało przedni fotel.

- W ten sposób było mi wygodniej przewozić różne rzeczy -tłumaczył.
- Czy chce pan powiedzieć, że łatwiej było przewozić zwłoki? - spytał detektyw.
- Powiedzmy, że łatwiej przewozić ładunek.
- Czy ten ładunek, który pan przywoził, był czasami uszkodzony?
- Czasami był uszkodzony, a czasami nie - padła odpowiedź.

Kiedy Bundy czuł, że jest o krok od przyznania się do winy, wycofywał się. "Leżąc w łóżku - opowiadał - mówiłem sobie: strzel, będzie łatwiej i wszystko wyjdzie na jaw. Powtarzam, wiem, czego chcecie, ale mnie interesuje całość. (...) Tu jest pies pogrzebany i trzeba się tym zająć... Jestem zainteresowany wyjaśnieniem

wszystkiego i udzieleniem takich odpowiedzi, jakie mogłyby być pomocne... (ale) co ja takiego zrobiłem? Nie jest to dla mnie w tej chwili tak oczywiste jak przedtem".

Przez pewien czas sugerował, że utrudnia śledztwo, by wynegocjować dla siebie jak najlepsze warunki. Bez wątpienia, jest to częściowo prawdą, ale ponieważ obstawał przy tym dawno po tym, jak otrzymał trzy wyroki śmierci, słuszne będzie stwierdzenie, że chodziło o coś więcej niż zwykłe targowanie się. Mimo to pertraktował: "Według moich adwokatów, jedyne, co wy wszyscy chcecie zrobić poza rozwiązaniem tych przypadków, jest skazanie mnie na śmierć. I byłoby to logiczne podsumowanie tego wszystkiego, co chcecie ze mnie wyciągnąć, jeżeli rzeczywiście tego chcecie. Nie ma cienia wątpliwości, biorąc pod uwagę prawodawstwo stanu Floryda, że dokładnie tak by się stało, gdyby ujęto winnego. Moi prawnicy mają inny punkt widzenia: mam robić to, co mi każą, co w rezultacie ma mi zapewnić wolność. Lubię takie sytuacje, bo pozwalają mi wybrać... nie, chyba na nic mi nie pozwalają. Gdybym miał wybór, co nie jest koniecznie, ale gdybym usiadł i pomyślał, jak to zrobić, żeby sprawa sama się rozwiązała, zadowolić wszystkich odpowiadając na pytania, które chcą zadać, i kiedy byłoby już po wszystkim, chciałbym wrócić do stanu Waszyngton, bo tam mieszka moja matka, tam jest moja rodzina i stamtąd pochodzę... Chodzi o powrót do domu, miejsca, gdzie się wychowałem, przebywanie blisko rodziny. Wiem, że to może trudno zrozumieć - kontynuował - ale dla mnie to ma sens. Dobra, Ted Bundy chce coś z tego mieć, może to nie w porządku, może na to nie zasługuje - i w pewnym stopniu to prawda. Ale mimo wszystko muszę zadbać o moją skórę. Ted Bundy też chce pożyć. Czuję się odpowiedzialny za wiele rzeczy, jak już wcześniej mówiłem, za rodziców, ale to tylko część prawdy. Chcę jak najszybciej przestać być w centrum zainteresowania i uniknąć tych okropnych procesów... Chcę wrócić do rodziców. Chcę, żeby odetchnęli ci, którzy nie wiedzą, co się stało... z tymi, których kochają".

W tym oświadczeniu Bundy w sposób wyjątkowo nieprzekonujący odgrywa rolę wydziedziczonego domatora, bardzo oddanemu własnym rodzicom, troszczącego się o "spokój" rodziców własnych ofiar. Po co przybierać taką pozę? Jest dla mnie oczywiste, że Bundy w tym momencie nie mógł pokonać tremy przed swoim najważniejszym popisem, procesem o morderstwo w stanie Floryda. Czas i spokój wyleczą go z obaw.

Tymczasem mógł jedynie twierdzić przed policją: "Robię, co mogę, by was nie rozwścieczyć, wierzcie mi. Nie chcę, żeby to tak zabrzmiało, ale inaczej nie potrafię. Jedno wiem na pewno: mam wszystkie odpowiedzi i ode mnie zależy, czy ich udzielę. Chcę dojść do momentu, który byłby dla wszystkich najkorzystniejszy, nie wyłączając mnie samego. Ciągle wysoko się cenię". Mimo to, kiedy detektywi błagali go, by ujawnił gdzie ukrył ciało ostatniej ofiary, był zażenowany: "Jestem najbardziej zatwardziałym skurwysynem, jakiego kiedykolwiek spotkaliście". Detektyw ponownie zapytał: "Ted, jeśli powiesz mi, gdzie jest ciało..." Bundy odparł: "Nie mogę wam tego zrobić, widok jest zbyt przerażający". Szybko się opanował i przypomniał detektywom: "Znam wszystkie odpowiedzi i ode mnie zależy, czy ich udzielę".

Bawił się w tego typu szarady jeszcze długo po skazaniu. Nawet gdy rozmawiał z Michaudem i Aynesworthem (posługując się wyłącznie formą "załóżmy, że" i trzecią osobą liczby pojedynczej), powstrzymywał się od odpowiedzi, które mogłyby go obciążyć: "W to nie wchodzę - powiedział Michaudowi. -To już prawie nie jest zakamuflowane. Posunąłem się dalej, niż zakładałem". Twierdził z uporem, że padł ofiarą złośliwości sądów i środków masowego przekazu, a został zamknięty wyłącznie na podstawie materiałów poszlakowych i z powodu sprzedajnej, niekompetentnej prasy. Jego zdaniem "niewinność" nie polega na tym, czy istotnie popełnił morderstwa, lecz czy władze stanowe zebrały dostateczny materiał dowodowy przeciwko niemu. "Nie jestem przekonany, w sensie obiektywnym, że mają sprawę nie do obalenia" - powiedział na sali sądowej w Miami. Podchodził do zagadnień prawnych z namiętnością, jaką trudno spotkać i ta zdumiewająca cecha wymaga wyjaśnienia.

Biografie

Zawsze czułem się zagubiony w życiu.

Ted Bundy

Oczywiste paradoksy, którymi usiane jest życie Bundy'ego, frapowały wielu - tych, którzy go znali i o nim pisali: Bundy--terapeuta z pogotowia psychiatrycznego, który gwałcił kobiety, Bundy - potencjalny gubernator stanowy kierowany tajemną żądzą mordu, Bundy-student prawa, który traci czas, zamiast pogodzić się z faktem, że nie nadaje się na prawnika... Bundy nie pasował do powszechnie przyjętego wizerunku wielokrotnego mordercy, bo Bundych było wielu. Córce jednego z szeryfów wydał się "typem faceta, na którego dziewczyna w moim wieku spojrzałaby i powiedziała: "Jezu, ale przystojniak!" Taki w stylu Kennedy'ego. Był orędownikiem wielu istotnych problemów -wspominała. - Obchodziła go sytuacja czarnych, wszystkich mniejszości etnicznych. Obchodzili go biedni. Przejmował się krzywdą społeczną i chciał coś w tej sprawie zrobić". Z drugiej jednak strony pewna owdowiała kucharka odbierała jego przyjaźń i przekonującą retorykę z mieszanymi uczuciami: "Zawsze pożyczał ode mnie pieniądze - opowiadała biografowi Bundy'ego, Larsenowi - ale nie zawsze oddawał". Młoda kobieta, z którą się spotykał, dostrzegła sprzeczności jego natury. Chociaż byli bliskimi przyjaciółmi, Bundy nie miał w zwyczaju odwiedzania jej

rodziców, zamożnych przedstawicieli klasy średniej. "To śmieszne - wspominała. - Ted był zawsze taki pewny siebie, ale miałam wrażenie, że czasami uważał się za kogoś gorszego".

Wielu go kochało, między innymi jego matka, która uwielbiała swoje dziecko miłości, być może widząc w nim kogoś, kto pomoże rodzinie na powrót wejść do szacownej klasy średniej. Louise Bundy robiła, co mogła dla swoich dzieci. "Miały wszystko, co przy przeciętnych zarobkach można dać dzieciom - opowiadała Winnowi i Merrillowi. - Przede wszystkim obdarzaliśmy je miłością. Często nie kładliśmy się do łóżek przed północą. Jeżeli (Bundy) miał następnego dnia jakiś egzamin, szłam do niego i przepytywałam go z materiału... Zawsze miałam wyjątkowy układ z własnymi dziećmi... a że Ted był najstarszy, można by powiedzieć, że był moją dumą i radością, nasz wzajemny stosunek był wyjątkowy. Często długo rozmawialiśmy".

Pełne podziwu kobiety i kochająca rodzina? Wydaje się, że w dzieciństwie i wychowaniu Bundy'ego nie było nic niezwykłego; z całą pewnością przeczy domniemaniom, że mógł być molestowany jako dziecko. Nie znajdujemy też nic, co sugerowałoby, że z Bundy'ego wyrośnie istota tak dalece odbiegająca od normy.

Oficjalna autobiografia:

Bundy jako miody republikanin

Idąc za wzorem sławnych kobiet i mężczyzn, Bundy zrobił wszystko pisząc autobiografię, by przedstawić się takim, jakim chciał, by go widziano. To dzieło niezachwianie karmi czytelnika wystudiowanymi komunałami, przynajmniej do chwili aresztowania na Florydzie. Po niczym nie wyróżniających się latach w szkole nastąpił równie bezbarwny okres studiów, za to swój okres chłopięctwa wspominał ciepło, lecz niejednoznacznie. "Nie wyrzuciłem przeszłości z pamięci, ale za nic nie chciałbym być kimś innym ani zrezygnować z tego, co zrobiłem, ani zapomnieć o ludziach, których znałem. Ciągle myślę o tych czasach. Czasami leżę sobie, wspominam i jest to podróż pełna nostalgii". W czasie studiów unikał angażowania się w pracę w bractwach studenckich z takim samym zapałem, z jakim unikał nauki twierdząc: "nie interesowałem się życiem towarzyskim, a zwłaszcza ciuchami i prywatkami. Było płytkie i powierzchowne".

Oddanie Bundy'ego nauce było równie powierzchowne, ale odnosimy wrażenie, że przepadał za atmosferą miasteczek uniwersyteckich. "Ludzie z natury są wspaniali, ale studenci są po prostu piękni. Przystojni, zdrowi, ekscytujący". W szczególności przepadał za dzielnicą uniwersytecką w Seattie, czyli miejscem, gdzie wszystko się zaczęło. Mówił o szczególnym odczuciu jakim go napawało: "Kocham to miejsce. Nigdy bardziej nie przywiązałem się do żadnego innego. Czułem się wręcz częścią tego organizmu". I rzeczywiście, w tym był cały problem.

Koniec lat sześćdziesiątych upłynął Bundy'emu na utrwalaniu wizerunku pewnego siebie młodego republikanina z wyższej warstwy klasy średniej. Coraz lepiej przystosowywał się do odgrywanej roli i starał się pozować na Kennedy'ego. Podziwiało go wiele kobiet i mężczyzn (chociaż nie wszyscy dali się zwieść pozorom i całą tę fasadę uważali za sztuczną). Bundy uzyskał nawet pochwałę od policji w Seattie za udany pościg za złodziejem, który wyrwał kobiecie torebkę. W 1970 roku uratował tonącą dziewczynkę. Co powstrzymało owego strażnika wartości moralnych od kontynuowania tej linii? Ideologicznie był skrajnym konserwatystą. Podania, które pisał o przyjęcie do szkół prawniczych, to teksty odzwierciedlające sposób myślenia młodego, oddanego sprawie republikanina - wyznawcy systemu, jak nazywał go przełożony w Partii Republikańskiej. W liście do jednej z uczelni napisał, że chce być prawnikiem, "by rozstrzygać kwestie sporne między obywatelami i instytucjami, by szukać faktów, a wreszcie, aby poszukiwać rozwiązań konfliktów zgodnych z literą prawa i unikać "przemocy" - te cele motywują mnie do rozpoczęcia studiów prawniczych. Rolę prawnika widzę w służbie przestrzegania porządku".

Zaskakujące, że ten przyszły wielokrotny morderca tak skupia się na "porządku, rozwiązywaniu konfliktów i unikaniu przemocy". Dziwne, że ten przyszły buntownik jest tak oddany sprawie zmian w rządzie za pomocą prawnych, a nie rewolucyjnych metod. "Z powodu takiej postawy - napisała przyjaciółka Ann Rule - był osamotniony wśród studentów odbywających praktyki w pogotowiu psychiatrycznym. Trochę hipisowali... a on był konserwatywnym republikaninem". Co więcej, rozwścieczały go bunty studenckie. "Nie raz zagradzał drogę demonstrantom, wymachiwał pałką i kazał się rozejść. Był przekonany, że istnieje lepsza droga rozwiązywania sporów, ale, o dziwo, jego własne wzburzenie było równie silne jak tych, których próbował powstrzymać". Spierał się wtedy z Rule, że jego konserwatyzm był w rzeczywistości wybiegiem. .Anarchia niczego nie rozwiąże - wspomniała jego słowa. - Rozpraszasz tylko swoje siły i nabijasz sobie guza".

Nawet po aresztowaniu, z uporem trzymał się swojej wersji autobiografii. "Kiedy po raz pierwszy zostałem zaatakowany przez system prawniczy - pisał - miałem dwadzieścia osiem lat, byłem kawalerem, studentem prawa, byłem zaręczony -w sumie, najpogodniejszy okres mojego życia. Pogodziłem się z wieloma sprawami... a ta, z którą pogodziłem się już bardzo dawno, to okoliczności mojego przyjścia na świat" - aluzja do nieprawego pochodzenia. Twierdził z uporem, że w jego życiu i w nim samym nie było nic nienormalnego i dalej przedstawiał siebie jako kwintesencję młodego człowieka z klasy średniej o doskonałych perspektywach, zajętego wyłącznie odkrywaniem siebie i znalezieniem miejsca w społeczeństwie. .Jestem ciągle zbyt młody, by uznać dotychczasowe życie za należące do historii - napisał

do jednego z lokalnych pism w Seattie. -Jestem na takim etapie życia, niewątpliwie egocentrycznym, kiedy liczy się tylko to, że rozumiem, kim jestem, a nie tym, kim inni mnie widzą".

Autobiografia po korekcie:

Bundy jako "istota realna" to aresztowaniu na Florydzie Bundy, aczkolwiek niechętnie, napisał od nowa wiele fragmentów swojej autobiografii. Nowa wersja pozwala nam na rzut oka na młodego republikanina od podszewki. "Posługując się wyważonym, fachowym językiem - wspominają Michaud i Aynesworth - "zaczął mówić o problemach współczesnego świata: przemocy, pozycji kobiet, rozkładzie rodziny, anonimowości, stresie. W końcu od socjologu przeszedł do konkretów i zaczął opisywać zabójcę. "W tym osobniku - wyjaśniał Bundy - zamieszkało coś". Ted nazywał to czasami "istotą ze zwichrowaną osobowością" albo "złośliwym stworzeniem". Opowieść o "istocie" powstawała powoli, chronologicznie, jako logiczna opowieść o narastającej psychopatii, dla której pożywkę stanowiła otaczającą ją negatywna energia. Chowając się za trzecią osobą liczby pojedynczej ciągnął szczegółową opowieść, która miała wyjaśnić, w jaki sposób ogólne myślenie o seksie zaczęło skupiać się na przemocy seksualnej, jak pornografia ukształtowała i ukierunkowała "istotę", jak choroba popychała go do eskalacji aktów przemocy i wreszcie, jak zabójcy udało się ukryć swoją zwichrowaną osobowość przed niczego nie podejrzewającymi przyjaciółmi. Zadał sobie dużo trudu, by wszystko wyjaśnić. "Zabójca nie miał schizofrenii -powtarzał na okrągło Bundy. - To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane^ Ted nazywał tę sytuację "hybrydą", psychopatologią, która polega na tym, że "istota" zarazem tkwi w mordercy i w nim nie tkwi. Nie jest ona jakąś obcą formą życia, ale czysto destrukcyjną siłą, która rośnie od środka".

Samoanaliza, którą Bundy dokonywał w trzeciej osobie, była usiana fachowymi eufemizmami jakże charakterystycznymi dla absolwentów psychologii; "odbiegające od normy zachowanie" oznaczało morderstwa, a "zaspokajanie pewnych potrzeb" -gwałt. Jednakże jego uwagi dotyczące wewnętrznej walki, jaką staczał, wydają się stosunkowo prawdziwe. "Ta osoba nieustannie próbowała zachować obiektywizm i ustalić, czy jej psychopatologiczne tendencje wychodzą na jaw. Ciągle sprawdzała, czy taki fakt ma miejsce i próbowała zachować w samej sobie poczucie równowagi. (...) Robiła to nie tylko po to, by nie zagrozić warunkom przeżycia złośliwego stworzenia, ale również po to, by pokonać pragnienia".

Często przypominał Michaudowi i Aynesworthowi, że zaspokojenie, którego poszukiwał, polegało na wejściu w posiadanie ofiary, a nie na przemocy i seksie. Jednak tym, co najbardziej niepokoiło rozmówców Bundy'ego było dostrzeżenie przez nich "elementów woli, świadomej woli, która brała udział w wykreowaniu tej istoty, tak jakby Ted chciał zostać zabójcą". Zgadza się - to nie był nie kontrolowany przymus. Bundy podjął decyzję, uroczyste zobowiązanie, a następnie ściągnął na siebie karę.

Próbując wyjaśnić, dlaczego łączy seksualizm z przemocą, Bundy wyznał: "Osobnik nie od razu dostrzega lub rozpoznaje ten stan jako coś poważnego. Manifestuje się on jako zainteresowanie zachowaniami i wyobrażeniami seksualnymi. Może to być coś na tyle atrakcyjnego jak magazyn "Playboy" albo cały szereg innych normalnych, zdrowych bodźców seksualnych, które nas otaczają. Ale to zainteresowanie, z niewiadomych powodów, skłania się w stronę spraw seksualnych, w których rolę odgrywa przemoc. Trudno mi określić, jak długo ten proces przebiega. Nie trwa to krótko". W ten właśnie sposób Bundy próbował wyjaśniać seksualny motyw zabójstw, sugerując, że zaczął interesować się "pornografią jako zastępczym sposobem doświadczenia tego, co jego rówieśnicy w rzeczywistości doświadczali. Potem coraz bardziej wciągały go mroczne aspekty tak ewidentnie występujące w pornografii - instrumentalne traktowanie kobiet, ich wykorzystywanie i sprawowanie nad .nimi kontroli". Wciągały?

Potem, jak dalej twierdzi Bundy, nastąpiło snucie rojeń, w których "ta osoba" zaczęła widzieć siebie jako aktora. "Pewnego wieczora szedł ulicą i przez zupełny przypadek popatrzył w okno, i zobaczył rozbierającą się kobietę. Zaczął z coraz większą regularnością jakby tworzyć obraz otoczenia, w którym mieszkał. Zaglądał do okien i obserwował rozbierające się kobiety lub to, co zwykle można było zobaczyć wieczorami. Traktował to niemal jako całe przedsięwzięcie, angażując się w nie na wiele lat... W zamian czasami osiągał z tego pełne zaspokojenie. Był w tym coraz lepszy, jak każdy, kto wielokrotnie coś robi.

Bundy'emu wydawało się, że jego rozmówcy "zrozumieją to wszystko lepiej, jeśli weźmie się pod uwagę wpływ alkoholu. To ważne. Alkohol jest jak zapalnik. Kiedy ta osoba dużo piła, jej zahamowania były w znacznym stopniu ograniczone". Pewnego wieczoru zdał sobie sprawę, że idzie za jakąś kobietą z zamiarem zaatakowania. "Pełna świadomość tego doświadczenia i szaleńcza żądza, która go opanowała, pchnęła w nowym kierunku część jego psychiki zafascynowaną przemocą, kobietami i seksem - taka zbitka niezbyt dokładnie określona, która jednak z czasem coraz bardziej się krystalizowała. Właśnie ten incydent pchnął go do następnych czynów: krążenia po okolicy i węszenia". W końcu zaatakował jakąś kobietę i uciekł w panice. "To, co zrobił, przeraziło go - snuł swoje przypuszczenia Bundy - strasznie przeraziło. Pełen skruchy, czyniąc sobie wymówki, że to, co robi, jest samobójstwem, przerażony okropieństwem tego wszystkiego, szybko otrzeźwiał. Był zaskoczony świadomością, że jest zdolny popełnić coś takiego. Lękał się, strasznie się lękał, że z jakiegoś tam powodu mogą go złapać. Ale powoli napięcia, stresy, niezadowolenie, które na wczesnym etapie pchały go do robienia takich rzeczy, przeważyły. Tym razem istota napędzała się już sama

i nie wymagała takiego napięcia ani ingerencji z zewnątrz jak przedtem. Został osiągnięty moment, w którym stan wewnętrzny sam produkował swoje potrzeby i obywał się bez pożywki z napięcia i stresu".

Nauczył się pokonywać strach. "Następnym razem dojście do siebie zabrało mu już tylko trzy miesiące - twierdził Bundy. - Stało się tak, że nie sposób już było zapanować nad istotą, która w nim żyła, przynajmniej nie na długo. Próbowała się sama usprawiedliwiać, stwarzać racjonalne uzasadnienie tego, co robi. Może, żeby zadowolić tę racjonalną, normalną część osobnika. Jednym z elementów, który zaczął odgrywać rolę, był gniew, wrogość. Chociaż nie wydaje mi się, żeby to było dominujące odczucie, kiedy wychodził na polowanie, lub jak chcielibyście to inaczej nazwać. Przeważnie było to w dużym stopniu oczekiwanie, ekscytacja lub podniecenie. Coś w rodzaju przygody".

Bundy upierał się, że "nie czerpał przyjemności z robienia krzywdy, ani z zadawania bólu osobie, którą atakował. Nie miał z tego absolutnie żadnej satysfakcji. Wszystko, co robił, było w granicach rozsądku - biorąc pod uwagę całą irracjonalność sytuacji - czyli nie chciał torturować swoich ofiar, przynajmniej nie fizycznie. Rojenia, które towarzyszyły i poprzedzały każde przestępstwo oraz potęgowały uczucie oczekiwania, są zawsze bardziej stymulujące niż to, co następowało bezpośrednio po zbrodni. Powinien zdawać sobie sprawę, że tym, co naprawdę go fascynowało, było polowanie, emocja wywołana wyszukiwaniem ofiar oraz, do pewnego stopnia, branie ich w posiadanie. Stawał się czymś w rodzaju właściciela tej osoby".

Ofiary, które wybierał, odzwierciedlały jego zdaniem "wyidealizowaną kobietę", co w jego wypadku oznaczało przedstawicielkę wyższej warstwy klasy średniej. Ponieważ wolał, by pozostały tylko wyobrażeniami, unikał rozmawiania z nimi i nie wchodził w bliższy kontakt. "Nie musiały odzwierciedlać stereotypów. Ale stosunkowo wiernie reprezentowały kobiety jako klasę. Klasę nie kobiet jako takich, ale klasę, która została stworzona przez mitologię kobiet i przez przedstawianie ich jako przedmioty". Wybierał konkretną kobietę, jeśli nadarzała się okazja, i jeśli uważał, że jest atrakcyjna, ale nawet na urodę patrzył ze społecznego punktu widzenia. "Kryteria jakie stosowała osoba oparte były na standardach atrakcyjności uznawanych przez rówieśników". Kiedy kobieta została już wybrana .i porwana, "osoba nie chciała wdawać się (z ofiarą) w poważną rozmowę, a gdy dowiozła ją w końcu na miejsce, gdzie rozumiecie, czuła się bezpiecznie, wtedy rozmowy już prawie wcale nie było, co służyło uniknięciu nawiązania jakichkolwiek bliższych kontaktów".

Po aresztowaniu i ucieczce z więzienia w Kolorado, Bundy spokojnie przemierzał kraj i miał ogromne poczucie spełnienia, podczas gdy inni uciekinierzy baliby się powtórnego aresztowania. Ale już w kilka dni po przybyciu na Florydę to szczególne odczucie znikło. "Nagle czułem się coraz mniejszy i mniejszy. I coraz bardziej niepewnie. I coraz bardziej osamotniony. Coraz bardziej i bardziej. Czułem, jak coś ze mnie wycieka. Czułem, jak to coś się ze mnie wymyka jak w starych filmach, gdzie widzimy ducha ulatującego się z ciała, które leży na ziemi. W momencie w którym wysiadałem z autobusu w Tailahassee, nic nie było w porządku. Od chwili gdy postawiłem nogę na Tennessee Street, powtarzałem sobie: "Muszę stąd wyjechać". W miarę jak Bundy czuł, że rozpada się jego osobowość, zanikało jego postanowienie, by unikać stróżów prawa. Ale dlaczego? Co spowodowało, że ponownie poczuł się taki bez życia i taki mały?

Michaud i Aynesworth, jak wielu innych, sądzili, że było to ewidentnym dowodem na "nie uświadomioną potrzebą powtórnego uwięzienia", ale ja jestem innego zdania. W rzeczywistości misja nie została do końca spełniona; w ciągu pięciu tygodni zabije kobiety w Cni Omega. Nigdy nie mówił o tych morderstwach, ale raz przechwalał się przed Aynesworthem: "Jestem jedynym, który mógł to zrobić. Jedynym". W kilka godzin po masakrze podobnie przechwalał się przed kolegami, z którymi mieszkał. Nie była to też forma samodestrukcji w sensie psychiatrycznym, ponieważ dopiero teraz misji stało się zadość. Jak tylko to zrozumiał, będąc w stanie umysłowego i fizycznego wyczerpania po zamordowaniu Kimberly Leach, nic nie stało na przeszkodzie, by w więzieniu znaleźć spokój, możliwość rozwijania własnej filozofii, i delektować się sławą, która stała się jego udziałem. "Nie ma prawdziwej odpowiedzi - mówił w ostatnim słowie w czasie decydującej rozprawy - zostają kontrowersje". To oświadczenie odzwierciedla niezmienną satysfakcję Bundy'ego w zadziwianiu swojej publiczności.

Wyjaśnienie tajemnicy Teda Bundy'ego

Theodore Robert Bundy nie był żadną enigmą: przemawiał do nas posługując się wyłącznie kłamstwami i zagadkami, ponieważ ta metoda zaciemniania obrazu i obrażania ludzi była podstawową częścią jego planu. Nawet długo po procesie, kiedy zgodził się powiedzieć prawdę, mówił w trzeciej osobie, by jeszcze bardziej nas zwodzić i antagonizować oraz, być może, żeby nie zaprzepaścić ewentualnego zawieszenia wykonania wyroku. Aby zrozumieć tego człowieka wystarczy, że przeanalizujemy dwie z jego cech osobowościowych - uporczywy snobizm i nieobywatelską postawę w stosunku do władzy, oraz dwa centralne wydarzenia w życiu Bundy'ego: nieprawe pochodzenie i nieumiejętność pokochania kobiety, którą pragnął pokochać.

Bundy-snob

Papeteria z wydrukowanym imieniem i nazwiskiem to jeden z niewielkich, acz. absolutnie niezbędnych przejawów przepychu.

Ted Bundy

Już mały Teddy miał głębokie poczucie klasowości" -spostrzegli Michaud i Aynesworth. Jeszcze przed ukończeniem dziesięciu lat, w wieku, w którym Edmund Kemper grzebał żywcem kota. Bundy odbierał jako "upokorzenie", kiedy widziano go w "pospolitym" Ramblerze ojczyma. W istocie jedynym krewnym, który nie wzbudzał w nim pogardy, był wykształcony wuj, nauczyciel muzyki w College of Puget Sound w Tacoma. Profesorski dom wuja z połyskującym fortepianem tonął w jego oczach w atmosferze przepychu i subtelności, które utożsamiał z klasą średnią. Marzyło mu się, że zaadoptuje go Roy Rogers i Dale Evans; z pewnością dość typowe rojenia wśród amerykańskich ośmiolatków, ale Bundy przede wszystkim chciał mieć własnego kucyka, być bogatym i uciec od wszystkiego, czym na swój wiek zbyt ambitny chłopiec tak głęboko pogardzał. Ten przedwcześnie odczuwany materializm był tak intensywny, że, jak wspomina matka, mały Teddy zawsze zaciągał ją do sklepów z najdroższymi ubraniami.

Snobizm dorosłego Bundy'ego był na tyle skrajny, że wskazuje na wyjątkowy stopień niepokoju o przynależność klasową niezależnie od tego, jak dobrze radził sobie na co dzień. Ilu czekających na rozprawę o morderstwo ludzi zawracałoby sobie głowę burżuazyjnymi drobnostkami w stylu papeterii z nadrukiem i komentowaniem roli, jaką odgrywa w życiu człowieka? Ilu ludzi hołdowałoby w więzieniu snobizmowi tyczącemu się jedzenia i gatunków wina? Pisał do przyjaciółki: .Jakiekolwiek tajemne moce decydują o naszym przeznaczeniu... muszę wierzyć, że niewidzialna ręka naleje nam dobrze schłodzonego Chablis w mniej zdradliwych, spokojniejszych czasach, które nadejdą". Jest oczywiste, że snobizm służył mu do imponowania innym. Jego kochanka, Elizabeth Kendall, kobieta przeciętna, napisała rozbrajająco, jak z zapartym tchem obserwowała Bun-dy'ego w trakcie dobierania francuskiego wina do ich pierwszego wspólnego posiłku: .Jakiekolwiek wino z korkiem w butelce robiło wtedy na mnie wrażenie". W późniejszym okresie, kiedy namawiano Bundy'ego do opowiedzenia o potwornych zbrodniach, które popełnił, powiedział swoim rozmówcom: „Jak opisalibyście smak bouillabaisse?[11] Niektórzy pamiętają małże, inni cefalę". Mamy tu do czynienia ze starannie wyćwiczonym i dobranym snobizmem, zupełnie nie pasującym do tego, co można wynieść z robotniczego domu w niewielkim porcie Tacoma. Nienawidził wszystkiego, co uważał za "pospolite" i często używał tego słowa. Ale zastanówmy się jeszcze raz, dlaczego jego psychika była na tyle "kolonialna", że uważał za niezbędne mówić z brytyjskim akcentem?

Niepokój co do zajmowanej pozycji społecznej odegrał szczególną rolę w jego stosunkach z kobietami. Czy to dla młodzieńczego żartu, czy raczej z powodu głębokiego poczucia klasowego wyobcowania pożyczył od przyjaciela najlepszą zastawę z porcelany i srebrne sztućce do obiadu, który zorganizował dla przyjaciółki, wkładając na tę okazję kelnerską marynarkę i prążkowane spodnie z satyny? Co mu uniemożliwiało, pomimo wielu zaproszeń, odwiedzenie domu jednej ze swoich pierwszych przyjaciółek, pochodzącej z klasy średniej? "Czuł, że nie pasuje do mojej "klasy" - wspominała później. - Nie da się tego inaczej określić. Nie przychodził do domu moich rodziców, bo mówił, że nie pasuje". Na koniec najważniejsza sprawa. Kiedy wreszcie zakochał się po uszy w pochodzącej z Kalifornii koleżance ze studiów, należącej do eleganckiego świata, długowłosej i zgrabnej jak wszystkie ofiary Bundy'ego - dlaczego po tylu latach intensywnych podchodów, chłodno odrzucił ją w chwili, w której jego oświadczyny zostały przyjęte? "Chciałem tylko udowodnić samemu sobie - napisze potem Bundy - że małżeństwo z nią mogło stać się faktem". Czy nie jest to zbyt ekstrawagancka forma dostarczania sobie dowodów? "Poruszała się jak dziewczyny z "Vogue'a" ciągnął Bundy -a wszystko, co miała na sobie, wyglądało jakby kosztowało milion dolarów. Ja z kolei byłem obdarzony niewinnością misjonarza, a ze światowca miałem tyle co chłopak stajenny. Ona i ja pasowaliśmy do siebie jak pięść do nosa".

Nie ma wątpliwości, że Bundy miał obsesję na punkcie tego, co nazywał "społecznymi niedociągnięciami". To właśnie głębokie poczucie społecznej niższości i niedowartościowanie spowodowały, że odwrócił się od męskich i żeńskich bractw studenckich, które same w sobie stanowią doskonałą niszę dla osoby z jego ambicjami. W tym świetle fałszywie brzmi też jego twierdzenie, jakoby gardził nimi, ponieważ styl życia prowadzony przez żeńskie i męskie bractwa, nazwane od greckich liter, był "płytki i sztuczny". Zanim ukończył pierwszy rok studiów, jak później wyznał pewnemu psychiatrze, był opętany "tęsknotą za piękną studentką" oraz przeczuciem, że nie ma "talentu ani pomysłu, jak to pragnienie zaspokoić". Może teraz stanie się bardziej oczywiste, dlaczego porywał i zabijał studentki należące do żeńskich bractw, lub ich "wyidealizowane odpowiedniki", gdyż jest to oczywisty sposób, w jaki ten człowiek z kompleksem klasowości wyobrażał sobie wejście w ich posiadanie.

Bundy-snob otoczył się bezklasowymi przedmiotami i to, co robił, było podobnie bezklasowe. Jedyny samochód, jaki kochał, to Volkswagen "garbus", pojazd idealnie pasujący do bezklasowego image'u (w przeciwieństwie do pogardzanego Ramblera ojczyma, samochodu dla "gminu"). Takim właśnie bezklasowym samochodem woził swoje wyidealizowane studentki na spotkanie ze śmiercią, tym samym dokonując przemiany obiektu pożądania w przedmiot posiadany. Czuł się wygodnie tylko w miasteczkach uniwersyteckich, czyli takich miejscach, gdzie twierdzi się, że talent i styl stoją wyżej niż pochodzenie, a

[11] Zupa z kilku gatunków ryb i skorupiaków (przyp. tłum.).

wspólne życie studenckie zaciera wszelkie różnice społeczne. Bez wątpienia było to przyczyną nabożnego stosunku, z jakim traktował kampusy uniwersyteckie i ich mieszkańców. "Studenci to piękni ludzie. Przystojni ludzie. Zdrowi ludzie. Ekscytujący ludzie". Potwierdził to nie tylko spędzając młodzieńcze lata w uniwersyteckiej dzielnicy w Seattie, ale również przez mieszkanie w kampusach w innych miastach, nawet wtedy kiedy uciekał przed policją. Świadomie garnął się do polityki, ponieważ w ten sposób można było piąć się w górę bez względu na pochodzenie społeczne; to samo było powodem do zainteresowania się prawem. Nawet narciarstwo, który Bundy uprawiał -chociaż przyporządkowane klasowo - było pretekstem dla tego przedsiębiorczego złodziejaszka do kilku śmiałych kradzieży w sklepie ze sprzętem narciarskim. Dzięki bezklasowości uniwersytetów, zabawie w politykę i szaleństwom na stokach narciarskich robił, co mógł, by rozpychać się w tłumie odpowiednich ludzi.

Bundy-buntownik

Bundy pragnął przede wszystkim stworzyć wizerunek człowieka należącego do właściwej klasy społecznej. Koledzy opisywali młodego republikanina jako "wyznawcę systemu" i to właśnie ten "wyznawca" atakował protestujących studentów za pomocą słów i pałki. Ale kiedy stało się dla niego oczywiste, że umysłowością nie jest w stanie zrobić przeskoku z bungalowów w Tacomie do elity towarzyskiej w Kalifornii, porzucił to, co w jego życiu najbardziej zbliżało go do miłości, zasadniczo zmienił swoją postawę ideologiczną i został buntownikiem. Ta metamorfoza daje się zauważyć w każdej czekającej go konfrontacji z władzą - a bunt często będzie błędnie interpretowany przez obserwatorów jako rodzaj psychotycznej samodestrukcji. Od chwili pierwszego aresztowania w Utah traktował policję z pogardą, bardziej typową dla radykała niż republikanina. "Sądziłem, że mam do czynienia z bandą matołów, którzy będą się z tym wszystkim pieprzyć" - powiedział o przesłuchujących go detektywach. Najpierw podsunął im fałszywe alibi, które rozleciało się jak domek z kart przy najlżejszym dmuchnięciu. Bundy skarżył się, że w czasie przesłuchań nie miał szansy "wykazać się".

"Sądziłem, że będzie jeszcze czas na śpiew i taniec. Nic z tego nie wyszło". Następnie, jak to odnotowali Michaud i Aynesworth, "swoim postępowaniem Ted zapraszał detektywów do pójścia jego śladem, najwidoczniej spodziewając się, że będzie mógł droczyć się z wrogiem i go upokarzać". Dlaczego miałby obierać tak zgubny dla siebie kurs? W tym buntowniczym nastroju Bundy robił zdjęcia policjantom, którzy zastawiali na niego pułapki, zostawiał im liściki, czyli bawił się w kotka i myszkę - nie są to działania, jakie podejmuje pewny siebie przedstawiciel klasy średniej, któremu stawia się poważne zarzuty. Później jeden z psychiatrów napisze: "W pewnym sensie pan Bundy jest producentem sztuki, która ma wykazać, że można manipulować przedstawicielami władzy", co jest niezwykle wnikliwym spostrzeżeniem, ale kończy następującym wnioskiem: "Pan Bundy nie dostrzega jednego - że ceną za ten "thriller" może być jego życie". Cytowany tu lekarz z pewnością myli się co do zdolności Bundy'ego: prawdziwy buntownik gardzi zarówno swoim życiem, jak i konsekwencjami własnych czynów, ale ma zdolność ich postrzegania.

Po raz pierwszy zaczął urągać prasie, kiedy czekał na proces w Utah. "Próbowałem przedstawić swój wizerunek - opowiadał o swoich kontaktach ze środkami masowego przekazu. - Byłem z siebie dumny. Właśnie wtedy zacząłem odczuwać zadowolenie z wystrychnięcia (dziennikarzy) na dudka. Od tego momentu było już bardzo zabawnie". Bundy-buntownik złapał grunt pod nogami. Wypuszczony za kaucją w Seatfle chodził dumny jak paw, obnosząc książki prawnicze i wypowiadając się głośno i sarkastycznie o tej szczególnej sposobności, jaką mu dano, by został jednym z elementów systemu prawa. W czasie procesu w Utah, kiedy oskarżyciel zapytał Bundy'ego dlaczego w swoim Volkswagenie trzymał łom, odparł z nutką ugrzecznionego szyderstwa: "No, cóż, to użyteczne narzędzie, Dave. Cóż innego mogę ci powiedzieć?" A kiedy oskarżyciel zapytał, ile mil przejedzie Volkswagenem na pełnym baku benzyny, Bundy ledwie raczył odpowiedzieć: "Nie będę się nad tym zastanawiał, Dave. Wydawało mi się, że sam wyciągnąłeś wnioski. Nie jestem tu od rozwiązywania matematycznych problemów". Nie są to słowa kogoś, kto próbuje obalić oskarżenie, a raczej kogoś, kto walczy o coś zupełnie innego. Ale o co?

W czasie procesu w Utah zrezygnował z prawa do ławy przysięgłych, ale w ten sposób pozbawił się wdzięcznej widowni, wobec której odgrywałby rolę buntownika. W czasie procesu na Florydzie, zdecydował się na występ przed ławą przysięgłych oraz przed całą Ameryką, dzięki sprawozdaniom prasowym i telewizyjnym. FBI nazywał Fomicators (cudzołożnikami), Bastards (bękartami), Imposters (farbowanymi lisami)", wydawał "oświadczenia dla prasy", w których przyrównywał swoją sytuację do sytuacji radzieckich dysydentów, nieustannie spierał się ze swoimi adwokatami i często ich zwalniał. Zawsze przyjmował pozę prześladowanego buntownika, nonszalancko obnosząc się z egzemplarzem Archipelagu Gufag Sołżenicyna. Twierdził, że jest niesłusznie atakowany przez złośliwy system prawniczy; był dysydenckim intelektualistą płacącym cenę za swoją niezależność. Być może była to dziwaczna poza, ale nikt nie może zaprzeczyć, że czuł się z nią jak ryba w wodzie.

Bundy-bękart

Theodore Robert Bundy urodził się 24 listopada 1946 roku w Burlington w stanie Yermont, w jednym z domów dla niezamężnych kobiet, założonych przez Elizabeth Lund. Jego przyjście na świat było wynikiem przelotnego związku dwudziestodwuletniej matki z mężczyzną, którego nazywała "marynarzem", chociaż

istniały podejrzenia, że ten "marynarz" pochodził z zamożnej rodziny. Gdyby Louise Bundy była prawdziwą przedstawicielką klasy robotniczej, można by to wydarzenie pominąć jako nie mające większego znaczenia, ale było inaczej: pochodziła z głęboko religijnej, niezamożnej rodziny z Filadelfii i dano jej odczuć "wstyd". Zbyt wiele osób w Filadelfii znało historię ojcostwa Teda, dlatego w wieku czterech lat Ted wraz z matką przeprowadzili się do miasteczka Tacoma w stanie Waszyngton, gdzie Louise pracowała jako sekretarka i gdzie poznała kucharza wojskowego Johnnie Bundy'ego. Pobrali się dziewiętnastego maja 1951 roku jeszcze zanim Ted ukończył pięć lat. To wydarzenie zawstydziło chłopca, gdyż rodzice nie byli zamożni. Tak im się źle wiodło, że Ted wraz z ojczymem godzinami pracowali na polach w pobliżu Tacomy, w pocie czoła zginając karki za kilka dolarów dziennie, by uzupełnić niewielki dochód, podczas gdy samochody bogaczy śmigały po pobliskiej szosie. Nie miałoby to znaczenia dla kogoś, kto ma poczucie bezpieczeństwa własnej tożsamości, ale znaczyło mnóstwo dla kogoś, kto cierpiał z powodu zajmowania niewłaściwego miejsca na drabinie społecznej.

Być może najistotniejszą funkcją porządku społecznego jest zakorzenione w każdym osobniku poczucie tożsamości. Niewielu jest takich, którzy równie dotkliwie jak Ted Bundy odczuwali jego brak. Ten człowiek nieustannie zmieniał swoje oblicze i to nie tylko po to, by uniknąć aresztowania. Przyklejał sobie wąsy, kiedy pracował dla Partii Republikańskiej (uczył się charakteryzacji w szkole teatralnej), często zmieniał uczesanie albo wagę ciała, żeby zasadniczo zmienić swój wygląd. Korzystał z peruk i różnych "przylepek" jako głównych rekwizytów przy "wykradaniu" swoich wyidealizowanych kobiet. Rzecz w tym, że nie robił tego kierowany obłędem lub podszeptem podświadomości, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że nie jest "żadnym tam Walterem Mitty"[12]. "Dzisiaj jestem przebrany za prawnika" - powiedział sędziemu na Florydzie, przekazując w ten sposób więcej o swojej duszy, niż naprawdę chciał powiedzieć.

Społeczne piętno nieprawego pochodzenia, nieskończenie bardziej odczuwalne w latach pięćdziesiątych niż dzisiaj, głęboko zapadło w duszy Bundy'ego. Miał poczucie, że nieprawe pochodzenie pozbawiło go przeszłości oraz, jak sugerują Winn i Merrill, "bez przeszłości "pełny związek" z kobietą nie był możliwy". W swoim publicznym, "republikańskim" oświadczeniu zawsze twierdził, że pogodził się z tym problemem. "Sprawa, z którą dawno się pogodziłem, to okoliczności mojego przyjścia na świat". Jednakże w rozmowie z potencjalnymi przyjaciółmi podkreślał rozterkę związaną ze swoim nieokreślonym pochodzeniem. Przyjaciel z dzieciństwa pamiętał dzień, w którym Bundy mu o tym powiedział. "Odpowiedziałem mu, że to chyba bez znaczenia. Ale on powiedział, że dla niego to bardzo ważne. Nie było to coś, o czym można zapomnieć. Kiedy zbagatelizowałem sprawę powiedział: "Cóż, to nie ty jesteś bękartem". Mówił to z rozgoryczeniem. Będąc dorosłym mężczyzną, w rozmowie ze swoją przyjaciółką Ann Rule powiedział coś w rodzaju: "Wiesz, tak naprawdę dowiedziałem się, kim jestem, mniej więcej rok temu. To znaczy zawsze wiedziałem, ale musiałem to sobie uzmysłowić... jestem z nieprawego łoża. Kiedy się urodziłem, moja matka nie mogła się przyznać, że jestem jej dzieckiem".

Bundy dostarczał sprzecznych wyjaśnień co do tego, w jaki sposób dowiedział się o swoim pochodzeniu, oraz czy matka przyznała się wobec niego do nieprawego związku (czasami twierdził, jakoby mówiła, że jest jego siostrą). Tak czy inaczej poznanie prawdy przyczyniło się do nagłego zahamowania społecznego rozwoju Bundy'ego. "W podstawówce wszystko grało - wspominał później - ale w liceum nie robiłem postępów. Jeśli chodzi o kolegów, to czułem się wyobcowany. Oni szli do przodu, a ja nie. Nie wiem dlaczego i nie wiem, czy jest na to jakieś wytłumaczenie. Może ma to jakiś związek z genami. Na początku edukacji nie było problemów z nauczeniem się właściwych form zachowania. W liceum jakbym trafił na ścianę. Nie potrafiłem wskazać zła. Nie byłem pewien, co jest złe, a co dobre. Jedyne, co czułem, to to, że jestem inny". Bundy w nowym wydaniu, wyobcowany i skonfundowany, nie był popularny wśród szkolnych kolegów i przez cały okres liceum miał tylko jedną koleżankę, z którą się spotykał. Wygodnie czuł się tylko w takich enklawach jak sala lekcyjna i zbocza narciarskie, które dawały możliwość wykazania się. "Wypowiadałem się w czasie lekcji. Jest to sytuacja sformalizowana i ma sztywno określone zasady. Inną miarę przykłada się do twojej wypowiedzi w klasie, a inną do dyskusji w grupkach na korytarzu".

W ten sposób układ społeczny dosłownie pozbawił go tożsamości i oddziaływał na niego jak dezorganizujący halucynogen. Próbował z nim walczyć budując swoją własną osobowość, ale było to sztuczne i prowadziło prosto do alienacji. Michaud i Aynesworth opisali to jako "obcą formę życia, objawiającą właściwe formy zachowań przez mimikrę i podstęp". "Nie wiedziałem, co zrobić, żeby wszystko grało -twierdził Bundy. - Nie wiedziałem, co powodowało, że ludzie chcieli się ze sobą zaprzyjaźnić. Nie wiedziałem, co powodowało, że ludzie się sobie podobali. Nie wiedziałem, co leżało u podstaw zachowań międzyludzkich". Społeczeństwo zapłaciło wysoką cenę za ten defekt.

Bundy-kochanek

Bundy-kochanek to Bundy-porażka. Rzeczywiście, jego przypadkowy romans z kobietą, o której z przekonaniem mówił, że ją kocha, jest źródłem, symbolem i metaforą jego przemknięcia niczym meteor po

[12] Postać z komiksów amerykańskich, która w marzeniach przezywała przygody (przyp. tłum.).

drabinie społecznej. Próbował się po niej wspiąć w czasie pobytu na uniwersytecie, jeżdżąc bezklasowym samochodem i mieszkając w bezklasowych kampusach, unikając życia towarzyskiego bractw studenckich, które z definicji go deklasowały. "Nie czułem się dostatecznie wyrobiony towarzysko. Nie wiedziałem, jak funkcjonować wśród tych ludzi. Czułem się wyjątkowo niezręcznie". W związku z tym zaczął budować własną tożsamość przedstawiciela klasy średniej, czemu dał wyraz, zakochując się w dziewczynie z Kalifornii. Adorował ją, kiedy był na drugim roku studiów, a potem pojechał za nią do jej rodzinnego stanu, gdzie zapisał się na letnie kursy. Szybko stwierdził, że zostaje w tyle za innymi studentami. "Zacząłem myśleć o kryteriach sukcesu i o tym, że nie mogę im sprostać" - powiedział oględnie myśląc o swoich kursach i ukochanej. Wyczuwając wszystkie mankamenty Bundy'ego i widząc w nim "człowieka przegranego", dziewczyna z eleganckiego świata zrywa z nim i w ten sposób druga połowa 1967 roku to "absolutne dno - najgorszy okres w moim życiu".

Bundy wraca do Seattie na następny rok akademicki, ale właściwie przestaje chodzić na zajęcia i w końcu rzuca uczelnię. Całkowicie traci grunt pod nogami i jedzie na wschodnie wybrzeże, próbując odnaleźć korzenie u mieszkających tam krewnych. Wraca do Seattie, by jego i tak kruche ego spotkał ostateczny cios: spada na sam dół pracując jako pomocnik kelnera w restauracji hotelowej i jako magazynier na nocną zmianę w supermarkecie sieci Safeway. "Próbowałem zrozumieć całą niepewność i zamieszanie w mojej głowie oraz dlaczego robię to, co robię, zastanawiając się, dokąd zmierzam tak samotnie... Nie jestem człowiekiem, który ma bogate życie towarzyskie, nie miałem możliwości, by dać upust frustracjom". Wkrótce dawał im jednak pełny upust, deklasując się do roli złodzieja, który kradł ze sklepów, co chciał, między innymi telewizor, ubrania, sprzęt stereo, dzieła sztuki, elementy wyposażenia domu, nawet duże drzewo ozdobne.

W chwili gdy sięgnął dna, zła passa nagle się odwróciła. Przypadkowe spotkanie ze znajomym zaowocowało zatrudnieniem Bundy'ego przy organizacji kampanii wyborczej pewnego murzyńskiego polityka ubiegającego się o stanowisko zastępcy gubernatora z ramienia Partii Republikańskiej. "Rzuciłem się w sam wir pracy. Rany! Wszystko zacząłem od początku. Od pewnego czasu nie miałem żadnego życia towarzyskiego. A teraz było mi z tym dobrze, że jestem gdzieś przypasowany, że jestem częścią czegoś... Powód, dla którego uwielbiałem politykowanie, był taki, że oto miałem coś, co dawało mi pewność siebie i możliwość wykorzystania moich talentów. Wiecie, o co chodzi, to ten sam facet, który podnosił rękę w klasie, żeby się wypowiedzieć. (Z nową pracą) łączyło się życie towarzyskie. Było się akceptowanym. Wychodziło się z ludźmi do restauracji. Było się zapraszanym do restauracji. Nie miałem ani pieniędzy, ani nie byłem członkiem klubu tenisowego - nie miałem nic, co trzeba mieć, by być na dobrym torze. Polityka stwarzała doskonałe możliwości poruszania się wśród różnych warstw społecznych. Można rozmawiać z ludźmi, do których inaczej nie miałoby się dostępu".

Kiedy jego kandydat na gubernatora przegrał. Bundy związał się z Elizabeth Kendall, córką zamożnego biznesmena z Utah. Właśnie w tym okresie pochłaniał książki pornograficzne i podglądał kobiety przez okno. Co więcej, narastająca w nim wściekłość przybrała formę głębokich cyklicznych depresji. "Nie wyznaczały ich ani fazy księżyca ani nic innego - powiedział Michaudowi i Aynesworthowi. - Żadne wahania nastroju, po prostu nagła zmiana. Cholernie trudno mi to opisać. Pragnąłem jedyne bezczynnie leżeć na plecach i marnotrawić czas". Mimo to ciągle się nie poddawał. Latem 1970 roku wrócił na Uniwersytet Stanu Waszyngton i po dwóch latach uzyskał dyplom z psychologii, jednocześnie pracując na pół etatu w firmie ze sprzętem medycznym i w pogotowiu psychiatrycznym w Seattie. Podania, które wysłał do kilku uczelni prawniczych, zostały odrzucone. Teraz już tylko snuł marzenia, penetrując swoje przyszłe tereny łowieckie w czasie ustawicznych przejażdżek za miasto.

Do końca roku 1972 i przez cały następny będzie czas na podjęcie ostatecznej decyzji; Bundy zacznie zabijać w styczniu 1974 roku. Tymczasem jego gwiazda zaczyna ponownie wschodzić. Wybory w roku 1972 umożliwiły mu powtórne wejście do świata polityki: zgłosił się jako ochotnik do pomocy przy reelekcji republikańskiego gubernatora. Po wygranych wyborach otrzymał rekomendację od gubernatora i dzięki niej jesienią 1973 roku został przyjęty na Wydział Prawa Uniwersytetu Stanowego Utah. Zanim podjął studia, wykonywał różne zlecenia rządowe. Przekonany przez znajomego, że uczelnia Puget Sound byłaby stosowniejsza dla kogoś, kogo czeka kariera polityczna, zapisał się tam, informując Uniwersytet w Utah, że miał wypadek samochodowy.

W tym momencie, opromieniony sukcesem, próbował tchnąć życie w dogasający romans z kalifornijską pięknością. Poleciał do San Francisco na spotkanie, tym razem jako człowiek ustabilizowany, który dopiął na ostatni guzik swój wizerunek młodego republikanina. Wydał jej się inny, bardziej godny pożądania, już nie "przegrany" jak kiedyś, "mdły piękniś przeistoczony w Człowieka Czynu". Spotykali się często i w okolicach Bożego Narodzenia 1973 roku wydawało jej się, że są zaręczeni. Jeśli chodzi o Bundy'ego, dawno zarzucił plany, by przy jej pomocy wejść parę szczebli wyżej po drabinie społecznej. Albo znudziło mu się powtarzanie w kółko tych samych frazesów, które w jego ustach stały się martwe, albo nie potrafił dłużej odgrywać roli małżonka królowej. Tak czy owak, to ten właśnie kryzys zapoczątkował koniec konwencjonalnej części życiorysu Bundy'ego. Nie spodobało mu się również to, co zobaczył, kiedy poszedł

na zajęcia z prawa w swojej nowej uczelni: anonimowy biurowiec bez charakteru w centrum Taco-my, a nie obrośnięty bluszczem kampus, jaki spodziewał się ujrzeć. Według Michauda i Aynesworthа, "dyshonor uczęszczania do tak bezbarwnej szkoły był w każdym calu równie poniżający dla tego dwudziestoparolatka, jak kanciaste Ramblery z dzieciństwa". Nie ruszył palcem, by zrobić jakieś postępy w nauce i szybko szedł w dół. Najwyraźniej nadszedł moment na podjęcie decyzji - decyzji o rozpoczęciu innej kariery. Nigdy więcej nie zadzwonił do "ukochanej", a kiedy ona miesiąc później zadzwoniła do niego z awanturą, by zerwać zaręczyny, miał już na sumieniu pierwsze zabójstwo. "Dlaczego do diabła nie zadzwoniłeś ani nie napisałeś" - krzyczała. "Wiesz, zabmęło się" - zdawało mu się, że odpowiedział w pijackim widzie, zadowolony, że pozbył się zarówno jej, jak i nie dającego się udźwignąć balastu aspiracji, z którymi ją utożsamiał.

Poniósłszy porażkę przy próbie zmiany statusu społecznego za pomocą olśniewającej kariery lub efektownego małżeństwa, skierował uwagę na inną formę zmian. "Jeszcze jednym czynnikiem, który nierozerwalnie towarzyszy tego typu zachowaniom - mówił później Bundy omawiając swoje zabójstwa - jest archetyp zmiany we współczesnej Ameryce. Mieszkając w tak ogromnym skupisku ludzi i żyjąc wśród nich, przyzwyczajamy się do obecności obcych. Nazywa się to czynnikiem anonimowości". Podjąwszy jakże brzemienną w skutkach decyzję, co zrobić z resztą życia, Bundy będzie się od tej pory zajmował wyłącznie obcymi.

Nocny złodziej

Chcę zapanować nad życiem i śmiercią.

Ted Bundy

Dlaczego Bundy zabijał? Powiedział nam dużo, ale zrobił to po swojemu, czyli co najmniej dziesięć razy sobie zaprzeczył. Czasami obarczał winą złe nasienie - skrzywienie kodu genetycznego. Kiedy indziej winił dominującą kulturę "wyobcowania", która umożliwiała, a nawet zachęcała do dehumanizacji społeczeństwa. Jeszcze innym razem twierdził, że zabijał dla wygody sądu, pozbywając się świadka popełnionego gwałtu. "Samoobrona - jego zdaniem - zmuszała go do zabicia dziewcząt". Upierał się, że gwałcił i mordował, by dostarczyć seksualnego zaspokojenia istocie" zamieszkującej jego ciało, ale również po to, by posiąść kobietę. Czasami mówił, że napięcia i stresy wywoływały ataki morderczej furii, innymi razy głosił, że potrzeba zabijania sama się napędzała na kształt siły, która funkcjonowała niezależnie od niego samego. Jednak po odbyciu z młodą autostopowiczką stosunku, który nie miał oznak przemocy, rozważał zabicie jej tylko po to, by stwierdzić, że "nie było żadnego usprawiedliwienia". Jakiego usprawiedliwienia?

Jedno jest jasne: KOGO zabijał. Za każdym razem ofiarami były kobiety reprezentujące ten sam typ - młode, piękne, długowłose, pochodzące z wyższych warstw klasy średniej (przynajmniej z wyglądu) "wyidealizowane kobiety". KIEDY zaczął zabijać? Wtedy gdy doszedł do wniosku, że nie potrafi się utrzymać na kolejno zdobywanych szczeblach hierarchii społecznej, czego tak bardzo pragnął. Wreszcie pojawia się wyreżyserowany sposób, w JAKI zabijał. Wabił ofiary fortelem, gdyż w żaden inny sposób nie mógł ich do siebie przyciągnąć: najczęściej była to symulowana potrzeba pomocy (złamana noga lub ramię). Ukradkiem lub siłą wsadzał ofiary do samochodu i tam przejmował nad nimi "kontrolę", albo przez założenie kajdanek, albo strzaskanie czaszki ciężkim narzędziem. Następnie wywoził je w odosobnione miejsce i wyżywał się seksualnie tak długo, jak czuł się bezpiecznie. Czasami jego ofiary były świadome tego, co się dzieje, i przerażone, ale częściej traciły przytomność lub umierały. Jeżeli czuł się wyjątkowo bezpiecznie, przetrzymywał ofiary (martwe lub żywe) przez szereg dni, od czasu do czasu poprawiając im makijaż lub myjąc włosy szamponem. Kiedy miał dosyć, a ofiary do tej pory jeszcze żyły, dusił je i porzucał ciała na jednym z wybranych cmentarzysk. Gdyby nie miłośnicy dzikich ptaków przeczesujący zarośla, większości ciał nigdy by nie odnaleziono; wydaje się jednak pewne, że wiele ciał czeka jeszcze na odkrycie.

To, co początkowo robił Bundy, a co wyglądało na pospolite zabójstwa, było zemstą na pewnej grupie społecznej, która go odrzuciła (przez upokorzenie go w takim stopniu, w jakim nie był już nawet w stanie zaakceptować ich akceptacji). Jednocześnie zemsta dostarczała zaspokojenia seksualnego.

Jednak "działalność" Bundy'ego uległa przeistoczeniu i osiągnęła punkt kuluminacyjny w rozgrywce z władzą. Czyż nie słusznie? Czyż władza nie kontroluje społeczeństwa, które okaleczyło Bundy'ego? Pierwszą próbę konfrontacji podjął w czasie przygotowań do procesu w Utah. Jego dziwaczna postawa wobec policji i sądu była dla niego źródłem ogromnej satysfakcji. W więzieniu w Kolorado dni mijały na próbie zrozumienia tej przemiany. W liście do kochanki napisał: "Czas przemyśleć to okropne doświadczenie, ponieważ podnieta, którą dawało stanięcie w pojedynkę do nierównej walki, nie przynosi już zadowolenia. Czas dokonać ponownej oceny wartości życia. Chcę się rozejrzeć. Chcę zapanować nad życiem i śmiercią". Było o czym myśleć, bo zaledwie kilka miesięcy wcześniej, w czasie procesu w Utah odczuł "głębokie poczucie spełnienia. Byłem odprężony, ale zdeterminowany, czułem się manipulowany, ale szczery i przejęty. Nie miało znaczenia, kto mnie słuchał, chociaż chciałem każdym słowem jak najmocniej uderzyć sędziego. Przez chwilę, co prawda zbyt krótką, byłem znów sobą, wśród wolnych ludzi, wykorzystując wszystkie umiejętności, walcząc jedyną bronią, jaką znałem: słowami i logiką. I przez tę

krótką chwilę realizowałem marzenie o zostaniu prawnikiem". W tym momencie wszystkie nitki wróciły do kłębka. Obnosząc się z książkami Sołżenicyna, bawiąc się w mormonizm (mówił, że czuje się jak bracia Amuleka, którzy byli prześladowani za przekonania), odnalazł swoją ostateczną osobowość: represjonowanego dysydenta, publicznie walczącego o swoją wiarę w wolność. Od tego momentu procesy stały się sposobem na wyrażenie idei swojej misji: skonfundowanie władzy i zrównanie się z nią.

Ucieczka z więzienia stworzyła Bundy'emu okazję do zaniechania "działalności", ale nonsensem byłoby sądzić, że mogło tak się stać, gdyż zabijanie, ucieczka i obrona stały się kwintesencją jego życia i istnienia. Stąd wybór akademika żeńskiego bractwa Chi Omega i zabicie dziewczynki; zrozumiawszy, że nie jest w stanie przestać zabijać, postanowił zakończyć działalność w najbardziej szokujący sposób, potwierdzając tym samym sugestię francuskich badaczy Petera i Favreta, że "tylko tym, którzy są wyrzuceni poza margines społeczności, przychodzi do głowy sprawdzenie granic ludzkiej natury".

Jednak te morderstwa wyczerpały go. Zamiast uciekać, błąkał się bezradnie po Florydzie do chwili ujęcia przez policję w Pensacola. W ciągu kilku godzin znalazł się na ostrym dyżurze w szpitalu, gdzie miał mnóstwo okazji do ucieczki, ale ich nie wykorzystał. Mówił, że nie wie dlaczego. "Nie bardzo mogę stanąć na własnych nogach i spróbować" - musiał zdawać sobie sprawę, że ucieczka jedynie oddaliłaby spełnienie napawającej go największym dreszczem próby - procesu sądowego. Wkrótce potem, w czasie oficjalnych przesłuchań, miał wyraźne poczucie końca. "Wszyscy się bardzo zaangażowali. Siedzieli z powagą w pokoju, a napięcie narastało. Było to bardzo dramatyczne. Być może przeceniam wagę tego wydarzenia, ale dla mnie to był koniec drogi, prawda?" Wyspowiadał się przed księdzem, być może z wszystkich grzechów (nigdy się tego nie dowiemy). Gwałtowi położono kres.

Zmagał się wewnętrznie, by złożyć zeznanie w czasie śledztwa, ale nie był w stanie. "Nie mogę o tym mówić, byłbym głupcem... Próbowałem wam pomóc, zrozumcie... naprawdę próbowałem wam pomóc, spróbujcie zrozumieć". Kiedy policja sugerowała, że może po prostu boi się przyznać, odpowiedział:

"Nie boję się umrzeć". Potem jeden z detektywów obdarzonych większą intuicją powiedział: ‚3oisz się, że zostaniesz stracony, zanim cała historia zostanie opowiedziana". "Właśnie" - odparł Ted.

"Zgadza się - dodał detektyw - i wtedy całe życie Teda Bundy'ego byłoby na nic". Mniej więcej wtedy Bundy powiedział strażnikowi więziennemu: "Zdaję sobie sprawę, że już nigdy nie będę funkcjonował w społeczeństwie. Nie chcę uciekać, ale gdybym miał szansę, zrobiłbym to. Chcę, by pan wykazał się swoimi umiejętnościami i nigdy nie stworzył mi tej szansy".

W czasie procesu, w blasku reflektorów i w obecności kamer telewizyjnych relacjonujących każdy dzień rozprawy. Bundy zrealizował swoje marzenie o zostaniu adwokatem. W czasie całego procesu wszyscy odnieśli wrażenie, że bycie własnym adwokatem okazało się najpełniejszą formą samorealizacji. Określił to tak: "Prokurator stanowy, z wszystkimi swoimi umiejętnościami i doświadczeniem... (a tu) facet po półtora roku studiów prawniczych może wypuścić z niego powietrze jak z przekłutego balonika".

Pożegnanie

Pracodawca Bundy'ego z ramienia Partii Republikańskiej nazwał go "wyznawcą systemu", i rzeczywiście tak było. Sprzeciwiał się wszystkiemu, co radykalne, dopóki nie zdał sobie sprawy, że sam wypadł z gry - deklarując, że nie potrafi wspiąć się po drabinie społecznej. Dopiero wtedy zdecydował się na radykalny krok popełniania zbrodni, zbrodni, które mogą popełnić jedynie ludzie do takiego stopnia zniewoleni, że zdołają wywrócić cały system wartości i odgrywać bogów. Świat Bun-dy'ego upadł dwukrotnie: po raz pierwszy, kiedy odkrył swoje nieprawe pochodzenie i w ten sposób utracił tożsamość i cel w życiu, po raz drugi, kiedy stwierdził, że nie umie obcować z istotą, którą sam stworzył dla zdobycia względów zamożnej piękności z Kalifornii. Wiele ludzi przed nim znosiło podobne upokorzenia, ale często podejmowało próbę rekonstrukcji życia, podnosząc rzuconą rękawicę. Bundy nie mógł w ten sposób postąpić. Chciał zemsty "za to, co zrobił ze mną system". Na podobnej zasadzie, na jakiej Bundy - zubożały materialista -został zwykłym złodziejaszkiem, przekreślony społecznie parweniusz zdecydował się ukraść przedmiot swoich marzeń. Zabijanie tych, które wybrał jako obiekt pożądania, stało się celem jego egzystencji. Ofiary były jednocześnie symbolami jego upadku, lecz tym razem nie było drogi ucieczki.

W chwili gdy oczekująca go przyszłość okazała się "pospolita", nie mógł znieść tej myśli. Jedyne, co mógł zrobić, to zapanować nad biegiem wydarzeń i uwiecznić siebie i swoje dzieło na głównej scenie Ameryki. Nie przyjmował do wiadomości orzeczenia o chorobie umysłowej, chociaż mogło mu to ocalić życie, gdyż gdyby tak zrobił, przekreśliłby ideę swojego buntu, podobnie jak poznanie prawdy o nieprawym pochodzeniu okaleczyło jego osobowość. Istniał w ten sposób racjonalny powód, dla którego pozornie zachowywał się tak nieracjonalnie w sądzie: to, co Tanay i inni biegli uważali za przejaw choroby psychicznej Bundy'ego, mianowicie "nieumiejętność" dostrzeżenia wagi zebranego materiału dowodowego, było w rzeczywistości przejawem czegoś wręcz odwrotnego. Ustalenie niewinności lub winy było nieistotne dla osiągnięcia celu, który polegał wyłącznie na konfrontacji i zbiciu z tropu władzy poprzez podważenie jakości materiału dowodowego, w ten sposób spełniając marzenie o zostaniu adwokatem. Ostatecznie, dzięki sprytowi i obłąkanym manewrom (obłąkanym, bo kwestionowały prawo do życia) został uznany za poczytalnego. Zdaniem biografów Winna i Merrilla "Ted Bundy chciał coś zrobić z Ameryką". I zrobił.

Niestety, jak wszyscy wielokrotni mordercy, ukarał niewinnych - co oznacza, że po tysiąckroć zebrał krwawe żniwo za zbrodnię popełnioną na nim przez społeczeństwo.

Dzisiaj już tylko rodziny ofiar opłakują swych bliskich, gdyż sam Bundy, jak wszyscy inni opisani tu mordercy, nie odczuwa skruchy. W dalszym ciągu oczekując na egzekucję w więzieniu na Florydzie, studiuje filozofię orientalną - buddyzm, taoizm i mistycyzm Wschodu. Uważa, że są zgodne z jego osobowością. "Moim zdaniem napięcia, którym byłem poddany, pomogły mi wejść w okres rozwoju" - powiedział swoim biografom. Niezależnie od tego, w jakiej formie społeczeństwo dokona zemsty na Bundym, nie będzie w pełni satysfakcjonująca, bo na jego pogodnej twarzy maluje się zadowolenie.

"Każdy dojrzewa, jestem tego pewien - powiedział niedawno - niezależnie od tego, gdzie się znajduje. Tyle razy w ciągu ostatnich kilku lat czułem się tak, jakbym patrzył ze szczytu góry i widział rzeczy, których nigdy przedtem nie widziałem. Mam o wiele więcej wiary w siebie. To wspaniałe. Nie czuję się silny, ale mam nad wszystkim władzę". Ta pogoda ducha nie powinna nas dziwić, bo przecież ten człowiek zapanował nad życiem i śmiercią.

Odegranie się na ludziach z wyższych sfer

ALBERT DeSALVO

Nie chciałem nikogo skrzywdzić, nigdy nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Albert DeSalvo

Powszechnie znany jako Dusiciel z Bostonu, Albert DeSalvo jest jednym z najbardziej tajemniczych wielokrotnych morderców naszych czasów. Jest również tym, o którym najczęściej pisano. Stał się tematem filmu i wielu książek; powstałych w następstwie jego usianej trupami włóczęgi po Bostonie. Sądzono, że morderstwa są dziełem opętanego szaleńca: zwykle dusił ofiary w ich mieszkaniach, ich pończochami. Uważano, że DeSalvo to psychotyczny, zboczony maniak. Bez wątpienia był w nieustannej gotowości seksualnej; musiał się rozładowywać pięć do sześciu razy dziennie. DeSalvo, murarz, rozpoczął karierę przestępcy seksualnego od molestowania, a następnie przeszedł do gwałtu. Podawał się za przedstawiciela agencji modelek, schlebiając setkom kobiet i nakłaniając je (przy użyciu siły, jeśli to było konieczne) do pójścia z nim do łóżka.

Nagle, jakby bez widocznej świadomej decyzji, "zadanie" się uzewnętrzniło i DeSalvo zaczął zabijać. Zamordował trzynaście kobiet. Następnie, równie nagle, uznał "zadanie" za wykonane. Nie był inteligentnym człowiekiem i miał mgliste pojęcie o motywach swoich czynów; policja i biegli psychiatrzy musieli z niego wszystko wydobyć podstępem. Nie został aresztowany za uduszenia: zaczęto go podejrzewać o popełnienie tych zbrodni, kiedy ze swojej celi w szpitalu psychiatrycznym (gdzie trzymano go za gwałty) wielokrotnie dopominał się udzielenia mu pomocy. Sędziom śledczym i psychiatrom zaczęło świtać, że DeSalvo-gwałciciel może rzeczywiście być tym, za kogo się podawał, czyli Dusicielem z Bostonu. Podjęli działania mające na celu rozszyfrowanie motywów tej przedziwnej serii morderstw. DeSalvo był chętny do współpracy z organami ścigania, ale wyniki dochodzenia były mocno zubożone przez niego samego: po pierwsze był zaskoczony swoimi czynami, a po drugie miał skłonność do delektowania się rolą, jaką odegrał w tym, co nazywał "największą historią tego stulecia".

Pod wieloma względami miał rację. Dorastał w głodzie i zimnie bostońskich slumsów. Zwyrodniały ojciec alkoholik brutalnie bił syna i jego matkę (mały był świadkiem, jak ojciec wyłamywał jej palce, jeden po drugim). Możemy się tylko domyślać, jakich upokorzeń chłopiec musiał doświadczyć, kiedy ojciec sprzedał go wraz z siostrą na jakąś farmę - jak niewolników (ten okres trwał szereg miesięcy). Możemy założyć, że kradzieże popełniane w okresie dorastania były próbą odreagowania napięć. Wiemy, że małżeństwo z surową Niemką - pochodziła z niższej warstwy klasy średniej - która poznał w czasie służby wojskowej w Europie i zawsze wielbił, miało być furtką do wejścia do reprezentowanej przez nią klasy społecznej. Całkowicie odrzucając jego fizyczne, emocjonalne i społeczne potrzeby jego ukochana zatrzasnęła przed nim tak bardzo upragniony awans społeczny. W ten sposób został przygotowany grunt pod wybuch agresji.

Czas zabijania

- Pierwsza próba dokonania zabójstwa była porażką. Nie udała się z powodu braku zdecydowania i zakłopotania, które charakteryzują nowicjusza. Na początku czerwca 1962 roku DeSalvo próbował udusić skandynawską emigrantkę w jej bostońskim mieszkaniu. Miała długie, ciemne włosy, jak jego żona, ale potrzeba dokonania czynu jeszcze nie przytłumiła skrupułów. Był nieprzeciętnie silny, ale ofiara próbowała stawić opór. Wreszcie, jak sam twierdził, zobaczył swoje odbicie w lustrze w sypialni i ujrzał siebie duszącego jakąś kobietę. "Boże, co ja robię? Jestem żonaty. Jestem ojcem dwojga dzieci. Boże, pomóż mi!"

Nie znajdując dość siły, by popełnić morderstwo "...jak najszybciej stamtąd wyszedłem. Patrzyłem na siebie, jakbym nie był sobą - to było tak, jakbym obserwował kogoś innego. Po prostu się stamtąd zwinąłem". Musiał minąć tydzień, żeby DeSalvo wziął się w garść i przed następną wyprawą zostawił skrupuły w domu.

Czternastego czerwca 1962 roku zabił po raz pierwszy. Mówiąc żonie, że jedzie na ryby, udał się do Bostonu i wybrał blok mieszkalny, który odpowiadał jego wymaganiom. Włóczył się po korytarzach, aż wreszcie zapukał do mieszkania pięćdziesięciopięcioletniej Anny Slesers, emigrantki z Łotwy. Kiedy kobieta otworzyła drzwi powiedział jej, że został "przysłany do zreperowania czegoś w jej mieszkaniu". Zaprowadziła go do łazienki i pokazała coś, co rzeczywiście wymagało naprawy. "Uderzyłem ją w głowę ołowianym ciężarkiem. Strasznie krwawiła, okropnie - wspominał DeSalvo. - Założyłem jej pasek na szyję, rozdarłem szlafrok i bawiłem się z nią... rozchyliłem jej nogi, o tak, i odbyłem stosunek... chyba jeszcze żyła, kiedy miałem z nią stosunek.[13] Potem rozglądałem się dookoła i nie wiadomo czemu byłem zły... naprawdę nie wiem, czego szukałem, rozumiecie?" Następnie DeSalvo obmył się w łazience, wszedł do pokoju, wyłączył gramofon, włożył płaszcz, który wisiał w szafie i wyszedł. Pozbył się poplamionych krwią ubrań wrzucając je do morza. Syn ofiary znalazł ciało i wezwał policję: kobieta leżała na plecach, naga i przykryta rozerwanym szlafrokiem. Jak to później odnotował Gerald Frank, biograf DeSalvo, "pasek od szlafroka był zadzierzgnięty wokół szyi, a jego końce związane pod brodą w kokardę jaką noszą małe dziewczynki". Badania lekarskie nie wykazały śladów gwałtu.

Dwa tygodnie później, dwudziestego ósmego czerwca, zabił po raz drugi. Zapukał do drzwi osiemdziesięciopięcioletniej Mary Mullen i powiedział: "Mam coś zreperować w pani mieszkaniu". Kobieta dała się nabrać fałszywemu monterowi i wpuściła mężczyznę do środka. Pamiętał, że odwróciła się do niego plecami. "Rozmawiała ze mną tak miło i nie wiem, co się stało. Jedyne, co pamiętam, to to, że moje ramię znalazło się wokół jej szyi. Nawet nie zaciskałem... a ona zaczęła się osuwać. Próbowałem ją podtrzymać, nie chciałem, żeby upadła na podłogę... ta kobieta zmarła w moich ramionach". Podniósł ciało i położył je na tapczanie, słusznie zakładając, że policja przypisze jej zgon naturalnym przyczynom. "Nie dotknąłem jej. Niczego jej nie zrobiłem - po prostu odeszła, ot tak. Odeszła. Kiedy zamknę oczy, tak jak teraz, to tak jakbym tam był. Podniosłem ją, położyłem na tapczanie i wyszedłem".

Dwa dni później, trzydziestego czerwca, zabił dwie kolejne osoby. Wybierając na chybił trafił blok mieszkalny zapukał do pierwszych z brzegu drzwi. Było to mieszkanie Helen Blake, sześćdziesięciopięcioletniej emerytowanej pielęgniarki. Ponieważ było wcześnie rano, Blake otworzyła drzwi w piżamie. Ponieważ kilka dni wcześniej prosiła administratora o wykonanie jakichś napraw w mieszkaniu, powitała intruza słowami:

"No nareszcie!" "Trochę rozmawialiśmy - wspominał. - Opowiadała mi o swojej siostrzenicy, wiecie, to była bardzo miła kobieta, która opowiadała mi o siostrzenicy". Zaproponował, by przejść do sypialni i zobaczyć, czy nie ma tam nic do naprawienia. Stał za kobietą w chwili, gdy ta pokazała okno, w którym trzeba było coś dokręcić. "Kiedy wyciągnęła rękę, chwyciłem ją za szyję. Była dobrze zbudowaną kobietą, z dużymi piersiami. Od razu się osunęła - zemdlała, po prostu zemdlała. Podniosłem ją i zdjąłem piżamę - guziki się oderwały - wszystko z niej zdjąłem. Była nieprzytomna. Położyłem się na niej, odbyłem stosunek". DeSalvo ugryzł ofiarę, a wokół szyi owinął stanik i nylonową pończochę. Następnie wyszedł do kuchni i zrobił coś, co stanie się jednym ze znaków rozpoznawczych:

przetrząsnął całe mieszkanie, bez widocznego celu (nic nie zostało ukradzione). Próbował otworzyć skrzynkę wsuniętą pod łóżko, ale nóż, którym się posłużył, złamał się. "Upuściłem rękojeść na podłogę i wyszedłem. Było to około 10.20".

Ciało leżało w mieszkaniu przez dwa dni. Wreszcie zaniepokojeni sąsiedzi wezwali policję. Panią Blake znaleziono na łóżku twarzą do dołu - góra od piżamy zarzucona na ramiona, pod szyją stanik zawiązany na kokardę. Mieszkanie zostało przewrócone do góry nogami: powyciągane szuflady od komody, szuflada biurka "leżała na podłodze, zupełnie tak jakby morderca kucnął i z uwagą przeglądał jej zawartość, na którą składały się listy, papeteria, gumki recepturki, medal o treści religijnej i jedna kość do gry". Badanie lekarskie ujawniło, że mord miał podłoże seksualne, ale nie stwierdzono, by doszło do stosunku.

DeSalvo spędził kilka następnych godzin "tak sobie jeżdżąc po mieście" w stanie oszołomienia, jakby się znalazł "w samym środku świata". Wreszcie skręcił na parking przed nieco wiekowym budynkiem mieszkalnym. Nacisnął kilka dzwonków u drzwi wejściowych. Sześćdziesięcioośmioletnia wdowa Nina Nichols, emerytowana fizykoterapeutka, podniosła słuchawkę domofonu. Okazała nieufność przy drzwiach, kiedy DeSalvo sprzedawał swoją historyjkę o "monterze", ale kiedy powiedział, że przecież może zadzwonić do administratora i sprawdzić wiarygodność jego słów, ustąpiła. "Czułem się dziwnie -wspominał DeSalvo. - Nie chciałem, żeby znowu to się stało. Ale wszedłem do środka i przechodziłem z jednego pokoju do drugiego. Kiedy doszliśmy do sypialni popatrzyłem na okna... była odwrócona - wtedy się to zdarzyło. Bo ją chwyciłem i przewróciła się razem ze mną na łóżko, na mnie". Owinął pasek wokół szyi i próbował ją udusić, ale pasek się urwał. Ostatecznie udusił kobietę jedwabną pończochą. Twierdził, że miał z ofiarą "stosunek". Kiedy skończył, wepchnął butelkę po winie do pochwy. "Nie mam pojęcia, po co wsadziłem jej butelkę". Następnie, już zwyczajowo, rozpoczął bezładne przeszukiwanie mieszkania. Nie wiedział

---

[13] Dla DeSalvo słowo "stosunek" jest eufemizmem dla określenia dowolnych praktyk seksualnych kończących się ejakulacją.

dokładnie, czego szuka, ale czuł, że nie chodzi mu o kradzież. "Nie przyszło mi do głowy, by coś zabrać". Kiedy zadzwonił telefon, wyszedł z mieszkania. Ciało pani Nichols znaleziono w ciągu kilku godzin. Mieszkanie wyglądało jak po przejściu włamywaczy:

powyciągane szuflady od komód, a ich zawartość wytrząśnięta na podłogę. Ofiara leżała z rozłożonymi nogami na podłodze w sypialni. Podomkę podciągnięto na biodra. Pończocha, którą została uduszona, werźnęła się w szyję, a jej końce "były ułożone po obu stronach ciała, niczym groteskowa kokarda" - odnotował Frank.

Albert DeSalvo odczekał sześć tygodni. Dziewiętnastego sierpnia popełnił piątą zbrodnię. Idą Irga, siedemdziesięciopięcioletnia wdowa, wiodła spokojne życie w cieszącej się niegdyś wzięciem dzielnicy Bostonu. Postępując zgodnie z opracowanym systemem, na chybił trafił naciskał dzwonki u drzwi wejściowych, dopóki ktoś się nie odezwał w domofonie. "Wchodzę na ostatnie piętro, a ona już stoi na klatce schodowej przechylona o metalową balustradę. Powiedziałem jej, że muszę coś zreperować w mieszkaniu". Była podejrzliwa, ale DeSalvo rozproszył obawy. "Jeśli nie chce pani, bym to zrobił, nie ma sprawy - tłumaczył. - Po prostu powiem im, że pani sobie tego nie życzy". Kobieta ustąpiła i jak tylko znalazł się za jej plecami w sypialni, zacisnął ramię wokół szyi. "Omdlała bardzo szybko. Kątem oka zobaczyłem ciemnoczerwoną krew w prawym uchu. Zobaczyłem ją wyraźniej, kiedy owinąłem powłoczkę od poduszki wokół szyi, ale najpierw udusiłem ją ręką, a potem zacisnąłem powłoczkę. Wydaje mi się, że miałem z nią stosunek".

Kiedy policja weszła do mieszkania dwa dni później, Irga leżała na plecach w porwanej koszuli nocnej. W raporcie policyjnym odnotowano: "Nogi ofiary były rozchylone, odległość między stopami wynosiła około 130 cm. Stopy leżały oparte na rozsuniętych krzesłach, a poduszka bez powłoczki leżała pod pośladkami". Frank nazwał ułożenie ciała "groteskową parodią pozycji ginekologicznej". Dlaczego DeSalvo zaczął w tej pozycji zostawiać swoje ofiary, bezczeszcząc tym samym zwłoki i zadając dodatkowy ból rodzinom ofiar? Irga została wykorzystana seksualnie. Mieszkanie wywrócono do góry nogami, ale nie ukradziono żadnego cennego drobiazgu.

Następnego dnia, dwudziestego sierpnia 1962 roku, DeSalvo zamordował Jane Sullivan, samotną sześćdziesięciosiedmioletnią pielęgniarkę. Wszedł do budynku w charakterystyczny dla siebie sposób i zastał ją w trakcie przygotowań do przeprowadzki do nowego mieszkania. Wzięła go za jednego z tragarzy i zaprowadziła do szafy, by coś pokazać. "To stało się właśnie tam - wspominał. - Jestem za nią... prawą ręką objąłem szyję, oboje przewróciliśmy się na podłogę. Szamotała się i szarpała... to była duża kobieta, nie miałem za co chwycić. W końcu zastygła w bezruchu. Wszystko trwało około półtorej minuty". Nie pamięta, czy zgwałcił ofiarę. Ciało znaleziono po dziesięciu dniach - dziesięć dni rozkładu w sierpniowym upale. Ofiara klęczała w wannie, z głową do dołu, eksponując pośladki. Podomka i pas były owinięte wokół talii, bielizna ściągnięta do kostek. Została uduszona para pończoch. Rozkład ciała uniemożliwił stwierdzenie, czy doszło do gwałtu. Mieszkanie zostało dokładnie przeszukane.

Po tym morderstwie nastąpi raptowna zmiana scenariusza: od tej chwili DeSalvo będzie mordował przeważnie młode kobiety, a czyny seksualne staną się bardziej wyrafinowane. Piątego grudnia 1962 roku po raz siódmy dopisało mu szczęście, gdy zabił dwudziestoletnią Sophie Ciark, studentkę Camegie Institute of Medical Technology. Jeździł po mieście, dopóki nie znalazł odpowiedniego budynku. Najpierw zapukał do mieszkania jakiejś kobiety, która wystraszyła go udając, że w sypiam! jest mąż. W innym skrzydle tego samego budynku zapukał do drzwi Sophie Ciark. "Murzynka, śliczna, o długich pięknych włosach... Była ubrana w bardzo pociągający sposób". Początkowo powiedział, że ma coś naprawiać, ale szybko wrócił do dawnego fortelu. .Musiałem ją zagadać. Powiedziałem jej, że mam dla niej robotę modelki i że dam jej od dwudziestu do trzydziestu dolarów za godzinę". Poprosił ją, żeby się odwróciła i pokazała mu, jak jest zbudowana. Kiedy spełniła jego prośbę, "było po wszystkim. Prawą ręką chwyciłem dziewczynę za szyję; była bardzo wysoka, kiedy przewróciła się na mnie na kanapę, nogami ścisnąłem jej nogi. Wcale się nie szamotała". Kiedy ofiara leżała nieprzytomna odbył z nią stosunek. Dziewczynie zaczęła wracać świadomość, więc, żeby nie zaczęła krzyczeć, "chwyciłem dwie pończochy z szuflady. Tę (dziewczynę) musiałem bardzo mocno związać. Zaczęła się wyrywać. Tak mocno zacisnąłem pętlę, że (pończocha) schowała się w ciele. Rozerwałem ubranie, rozerwałem halkę i owinąłem wokół szyi, potem pończochy... Zbyt głęboko... Tak mocno". O dziwo, DeSalvo przypomniał sobie, że później przeglądał jakieś pisma. Współlokatorka Sophie Ciark znalazła jej ciało kilka godzin później: ofiara leżała na plecach, szlafrok rozchylony, knebel w ustach, nogi rozłożone. Jak zwykle, szuflady były powyjmowane, a ich zawartość rozrzucona po pokoju. Płyty z muzyką klasyczną, czasopisma i rodzinny album ze zdjęciami nie były na swoim miejscu, tak jakby ktoś czegoś w nich szukał.

Ósma zbrodnia została popełniona po kilku tygodniach, trzydziestego grudnia, pozbawiono życia dwudziestotrzyletnią Patricię Bissette, sekretarkę zamieszkałą na stałe w Bostonie. Była niedziela rano. DeSalvo otworzył zamek wytrychem i zobaczył przed sobą owiniętą kocem Patricię, która spytała, co intruz robi w jej mieszkaniu. "Zacząłem szybko zmyślać -wspominał DeSalvo. - Powiedziałem, że jestem jednym z facetów, którzy mieszkali piętro wyżej i że mam sprawę do jej koleżanki. Na drzwiach były trzy nazwiska,

więc wymieniłem jedno z nich". Dziewczyna powiedziała, że poza nią nikogo nie ma w domu, ale zaprosiła nieznajomego na filiżankę kawy. Nastawiła też płytę. "Patrzyłem na nią i coraz bardziej się podniecałem. Podszedłem do niej. Uklękłem... "Co jest? - spytała. - Wolnego!" A ja na to: "Nikogo tu nie ma. Nikt cię nie usłyszy. Mogę zrobić z tobą, co zechcę"". Te słowa rozzłościły dziewczynę, kazała mu się wynosić. W chwili gdy wstała, odwróciła się plecami. "Następnie, zanim zdążyła się zorientować, chwyciłem ją za szyję... przewróciła się na mnie i zemdlała". DeSalvo zdarł z niej piżamę. "Podniosłem ją. Pamiętam, jak leżała na podłodze, zupełnie naga". Zgwałcił i udusił dziewczynę.

Warto tu zwrócić uwagę na pewien fakt, który przywołuje na myśl Edmunda Kempera i jego ofiarę Aiko Koo, oraz Charlesa Starkweathera, zabójcę akwizytora. DeSalvo miał poczucie winy z powodu zabicia Patricii. "Była jakaś inna - wspominał ze smutkiem. - Nie chciałem na nią patrzeć, kiedy tak leżała naga i w ogóle... Rozmawiała ze mną jak mężczyzna i potraktowała mnie jak mężczyznę". Powrócimy jeszcze do tego szczególnego zdarzenia, ponieważ mieszane odczucia morderca zawsze wskazują na motyw działania. Mimo nietypowości sytuacji żadnej z trzech wymienionych ofiar nie udało się ujść z życiem.

Ciało Bissette znaleziono następnego dnia, we własnym łóżku, na plecach, owinięte prześcieradłem. Lekarz sądowy stwierdził zgon przez uduszenie za pomocą pończochy. Piżama była podciągnięta pod samą szyję i wszystko wskazywało na niedawno odbyty stosunek płciowy. Mieszkanie zostało spenetrowane.

Następna próba miała miejsce sześć tygodni później. Osiemnastego lutego 1963 roku wszedł do mieszkania dwudziesto-dziewięcioletniej kelnerki, która, podobnie jak jego żona, urodziła się w Niemczech. Kiedy odwróciła się do niego plecami, oplótł ramieniem jej szyję i podciął nogi. Dziewczyna nie dała za wygraną, zaczęła kopać i gryźć; ugryzła go na tyle głęboko w palec, że na chwilę zwolnił uścisk. Wtedy krzyknęła. Według zeznań kobiety, na krawędzi dachu sąsiedniego domu pojawił się robotnik i DeSalvo uciekł. On sam twierdził, że było inaczej. "Miałem ją w uchwycie, już była gotowa, było prawie po niej. Trzymałem ją od tyłu... ale nie mogłem tego zrobić. Nie wiem dlaczego. Zębami chwyciła mój palec i ugryzła do kości. Miałem nóż, mogłem pokroić ją na kawałki, ale tego nie zrobiłem... nawet nie mogłem jej uderzyć. Widziałem brązowe włosy, a kiedy się odwróciłem i zobaczyłem jej twarz, nie mogłem podnieść ręki i uderzyć. Powiedziałem: "Puszczę cię wolno" i zacząłem zwalniać uchwyt, ale ona ciągle trzymała mój palec między zębami, a ja robiłem wszystko, by zmusić ją do ich rozwarcia, ale się nie udawało. Chyba jej przyłożyłem, uderzyłem pięścią i straciła przytomność - nie wiem, co mnie powstrzymało".

Trzy tygodnie później, dziewiątego marca, kolejny sukces. Pobił, a następnie zakłuł nożem sześćdziesięciodziewięcioletnią Mary Brown. Wszedł do budynku, w którym mieszkała, podniósł leżący na podłodze kawałek rury i zapukał do drzwi. Wyjaśnił, że polecono mu pomalować kuchnię. "Kiedy odwróciła się do mnie plecami, uderzyłem rurą w tył głowy. Osunęła się... nogi były rozchylone, piersi obnażone. Zdjąłem prześcieradło z krzesła, żeby ją przykryć. Uderzałem raz po raz... to było okropne, ponieważ czułem, że jej głowa... czułem to tak, jakby tej głowy już nie było". Wziął do ręki widelec. "Pamiętam, że dźgnąłem nim w pierś, prawą... i tam go zostawiłem... wszystko było zakrwawione... tak było. O Boże!" Sekcja zwłok wykazała, że Brown zmarła na skutek pęknięcia czaszki i uduszenia rękami. Znaleziono dowody na seksualny motyw napaści.

Dziesiąta ofiara poniosła śmierć szóstego maja 1963 roku. Dwudziestotrzyletnia Beverly Samans była absolwentką Uniwersytetu Bostońskiego. DeSalvo miał trudności z opisaniem tego morderstwa, ponieważ uważał je pod pewnymi względami za bardziej "szokujące" od pozostałych. Dostał się do mieszkania w typowy dla siebie sposób. Wymachując nożem, zmusił dziewczynę do wejścia do sypialni. Była przerażona, że zajdzie w ciążę i DeSalvo pamiętał jej błagania: "Proszę mi obiecać, że nie zajdę w ciążę, że mnie pan nie zgwałci". Obiecał, że niczego takiego nie zrobi, położył dziewczynę na łóżku, związał ręce z tyłu w nadgarstkach i zasłonił oczy. "Tak czy inaczej zabierałem się do odbycia z nią stosunku, kiedy znowu zaczęła prosić: "Pan obiecał, powiedział, że tego nie zrobi, proszę, nie. Zajdę w ciążę". W kółko powtarzała te słowa... Ciągle słyszę, jak mówi: "Proszę, nie, proszę mi tego nie robić..." Czułem się taki zbrukany, sposób, w jaki się do mnie zwracała... To, co z nią robiłem... nie podobało się jej... Zachowywała się coraz głośniej... Coś krzyczała albo próbowała krzyczeć... wtedy ją pchnąłem nożem. Jak zrobiłem to raz, to nie mogłem już przestać... sięgnąłem jeszcze raz po nóż... i dźgnąłem w gardło. Coś tam jeszcze mamrotała. Przełożyłem nóż do lewej ręki i chwyciłem za koniuszek piersi i całym ciałem pchnąłem, głęboko... Poruszyła się, a potem, no wiecie, to już tylko krew, wszędzie... zadawałem cios po ciosie tym cholernym nożem... w pierś też pchnąłem dwa razy... i jeszcze raz, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Dlaczego? To właśnie próbuję wam powiedzieć... to było zupełnie tak, jakbym był z moją Irmgard (żona DeSalvo)". Nagie ciało Beverly Samans znaleziono dwa dni później: ręce były związane z tyłu jedwabną chustą wyszywaną cekinami, a nylonową pończochę owinięto wokół szyi. Doliczono się dwudziestu dwóch ciosów nożem.

Zabójstwo Beverly Samans musiało z jakiegoś powodu zaspokoić mordercę na jakiś czas, ponieważ do następnego morderstwa upłynęły cztery miesiące. Ósmego września udusił pięćdziesięcioośmioletnią Evelyn Corbin, pełną młodzieńczego wigoru rozwódkę, zatrudnioną przy Unii montażowej w fabryce. DeSalvo wszedł do mieszkania podając się za montera, ale kobieta była podejrzliwa. "Skąd mam wiedzieć, że pan nie

jest tym słynnym Dusicielem?" - zapamiętał jej pytanie. Zdobył zaufanie kobiety proponując, że może sobie pójść. W łazience zaczął grozić nożem. Kobieta rozpłakała się. "Nie mogę robić tych rzeczy - łkała. - Jestem pod opieką lekarza". - "I tak miałem zamiar z nią to zrobić. Była cała we łzach; powiedziała, że zrobi to inaczej". Kiedy było po wszystkim, odwróciła się, by poprawić poduszkę. DeSalvo złapał ją za szyję, a ręce związał z przodu. "Usiadłem na niej przyciskając dłonie. Na twarzy położyłem poduszkę, żeby na nią nie patrzeć... Udusiłem rękami. Próbowała mnie zrzucić, ale jej się nie udało, a potem już nie oddychała". Kilka godzin później sąsiadka znalazła zamordowaną. Podomka na ciele ofiary była rozerwana i podciągnięta do góry, nogi rozchylone, majtki służyły za knebel. Została uduszona pończochą. Druga pończocha była zawiązana w kokardę wokół lewej kostki. Mieszkanie robiło wrażenie, jakby ktoś czegoś szukał: powyciągane szuflady, taca z biżuterią na podłodze, na tapczanie zawartość torebki.

Działalność DeSalvo powoli zbliżała się do końca. Upłynęły kolejne trzy miesiące. Dwudziestego trzeciego listopada 1963 roku, czując się nieswojo z powodu zamachu na prezydenta Kennedy'ego (zastanawiał się, czy wypada popełnić zbrodnię w dniu żałoby), po raz dwunasty targnął się na czyjeś życie. Ofiarą była dwudziestotrzyletnia Joann Graff, grafik użytkowy i nauczycielka ze szkółki niedzielnej. Dzięki staremu fortelowi dostał się do mieszkania: tu - ciekawostka - był niemile zaskoczony jego opłakanym stanem. "Było to bardzo liche mieszkanie z tanimi meblami - nawet Armia Zbawienia by ich nie wzięła. Zupełnie tak, jakby mieszkała na walizkach. Kuchnia okropna, a najgorzej było z podłogą". DeSalvo realizuje jednak swój plan pomimo skrupułów co do ubóstwa przyszłej ofiary. Zaczął grozić nożem i zmusił dziewczynę do wejścia do sypialni. "Zacisnąłem ramię wokół szyi i pociągnąłem do tyłu na łóżko. Przewróciliśmy się, była na mnie... straciła przytomność... zdjąłem z niej ubranie... miała duże piersi... możliwe, że ją ugryzłem... odbyłem z nią stosunek i po sprawie. Wszystko stało się bardzo szybko - pewnie nie trwało dłużej niż dziesięć minut". DeSalvo pamięta, że udusił ją trykotem. Kiedy było po wszystkim, wyszedł pospiesznie i pojechał do domu. . "Zjadłem kolację, pozmywałem, pobawiłem się z dzieciakami, obejrzałem telewizję".

Lekarz sądowy ustalił, że została uduszona dwiema pończochami przeplecionymi z trykotem, które zawiązano wokół szyi w wymyślną kokardę. Ofiara leżała na łóżku, bluzka podciągnięta, nogi rozchylone. Na lewej piersi ślad po ugryzieniu. Mieszkanie spenetrowano, lecz niczego nie zabrano.

Trzynaste, a tym samym ostatnie zabójstwo zdarzyło się sześć tygodni później, czwartego stycznia 1964 roku. Zginęła dziewiętnastoletnia Mary Sullivan, pomoc pielęgniarska od niedawna mieszkająca w Bostonie. Otworzyła drzwi trzymając w ręku nożyk, którym właśnie obierała ziemniaki. Nie przyszło jej do głowy, by się nim posłużyć, kiedy zagroził jej swoim nożem. Zmusił dziewczynę do wejścia do sypialni, a następnie związał i zakneblował. "Usiadłem na niej w taki sposób, żeby nie mogła mnie podrapać. Jeszcze żyła, kiedy miałem z nią stosunek, żyła i pozwoliła, bym jej to zrobił". W czasie stosunku zarzucił jej sweter na głowę "żeby nie widzieć jej twarzy". Potem udusił dziewczynę, przeciął apaszkę, którą skrępował ręce i wrzucił do muszli klozetowej. Następnie przeniósł ciało na inne łóżko, zdjął sweter, usiadł na ofierze jak na koniu. Masturbował się tak, żeby nasienie wytrysnęło na twarz ofiary. Potem, jak przyznał, "zrobił coś" kijem od szczotki. "Teraz wydaje mi się, że nie wsadziłem go po to, przynajmniej mam taką nadzieję, by ją tam w środku pokaleczyć. Moglibyście powiedzieć: "Co masz na myśli mówiąc pokaleczyć? Przecież i tak była martwa". Ale nawet teraz... tak myślę... to było coś złego... Mary Sullivan była ostatnia. Nigdy więcej już tego nie zrobiłem. Nikogo już potem nie zabiłem. Tylko wiązałem. Następnym (kobietom) nie robiłem krzywdy". Współlokatorki Mary znalazły jej ciało kilka godzin później. Sposób, w jaki je zostawiono, sprawiał wrażenie, że Dusiciel posunął się do skrajnej profanacji. Policyjny protokół stwierdzał, że "ciało znajdowało się na łóżku w pozycji półleżącej, pośladki na poduszce, plecy oparte o podpórkę, głowa przechylona na prawe ramię, kolana ugięte, oczy zamknięte. Lepka ciecz (nasienie?) wyciekała z ust i skapywała na prawą pierś. Piersi i kończyny dolne obnażone, kij od szczotki wepchnięty do pochwy. Na łóżku nóż do krojenia mięsa... na kocu plamy po nasieniu". Pod brodą, ogromna kokarda z różowej szarfy, a przy lewej stopie kolorowa karta pocztowa. Na karcie widniał napis "Szczęśliwego Nowego Roku".

Czas wyjaśnień

Musi być jakieś wyjaśnienie, dlaczego to wszystko się stało.

Albed DeSalvo

Pomimo faktu, że na dzieciństwie DeSalvo wycisnęła piętno niewyobrażalna przemoc fizyczna, w tym sprzedanie go jako niewolnika, zaczął zabijać dopiero wtedy, kiedy jego ukochana żona ostatecznie odrzuciła zarówno jego miłość, jak i społeczne aspiracje. Od pierwszego dnia uwięzienia chciał współpracować z policją i powiedzieć wszystko, co pamiętał o morderstwach. Ale ponieważ słabo rozumiał, co nim kierowało, mógł jedynie wyjaśnić, jak tego wszystkiego dokonał, i omówić przerażające, pełne przemocy szczegóły unicestwiania ludzkiego życia. Jeżeli chodzi o interpretację swoich czynów, początkowo opisywał zdumienie i zaskoczenie swoim zachowaniem. Później, podobnie jak Kemper, Bundy i Berkowitz, podał szereg odmiennych wyjaśnień. Ale w przeciwieństwie do Kempera, który ochoczo

podsuwał różne pomysły zafrapowanej widowni, DeSalvo robił to wyłącznie dlatego, że sam po omacku zmierzał do właściwego wniosku. Ostatecznie powiedział wystarczająco dużo.

Dlaczego się przyznał? Kiedy policja ogłosiła przez radio, że po schwytaniu Dusiciel zostanie wysłany do zakładu dla psychicznie chorych, DeSalvo rozważał możliwość oddania się w ręce organów ścigania jeszcze w czasie wypełniania "misji". Przypomniał sobie również, że gubernator podobno optował za karą śmierci w tym przypadku, więc porzucił myśl o zgłoszeniu się na policję. Można przypuszczać, że podjął decyzję o przyznaniu się do winy, kiedy został wezwany telefonicznie na .posterunek w sprawie o molestowanie seksualne. "Popatrzyłem na żonę - wspominał. - Płakała, siedziała blisko mnie przy telefonie. Wiedziałem, że płakała i wymiotowała cały dzień, od tego porannego telefonu. Nie mogłem znieść tego widoku. Oczy wypłakiwała, były całe czerwone. Spytała: "A1, czy znowu masz kłopoty?" Zasłoniłem ręką mikrofon w słuchawce. "Nie martw się - uspokajałem. - Wszystkim się zajmę". Wiedziałem, że dłużej tak nie pociągnę. Powiedziałem inspektorowi: "Zgłoszę się jeszcze dziś wieczorem". I mówię mu: "Już idę. Jutro może być za późno. Chcę wszystko wyjaśnić". Nie wiedział, o co mi chodzi, ale ja wiedziałem. Dokładnie wiedziałem, że wszystko musi się tak skończyć. Myślę, że wiedziałem od samego początku".

Jednak przyznanie do winy nie nastąpiło spontanicznie. Początkowo zaprzeczył, jakoby miał coś wspólnego z uduszeniami, tylko sugerował inspektorom i współwięźniom, że być może jest zaplątany w coś więcej niż zwykłe molestowanie i gwałt. Jednemu z detektywów, którego szczególnie lubił, powiedział: "Gdybyś znał całą historię, nie uwierzyłbyś". A kiedy inspektor zażądał dokładniejszych wyjaśnień, DeSalvo powiedział wymijająco: "Leo, wszystko wyjdzie na jaw. Wtedy się dowiesz". Po uwięzieniu w szpitalu stanowym Bridgewater nieustannie chełpił się swoimi wykroczeniami seksualnymi, nawet w czasie terapii grupowej. Zapytał oględnie jednego ze współwięźniów: "Co by się stało, gdyby skazali faceta za napad na jeden bank, podczas gdy w rzeczywistości było ich trzynaście?" Swojego adwokata spytał bardziej otwarcie: "Co byś zrobił, gdyby ktoś dał ci do ręki największą historię stulecia? Coś większego od napadu na wagon pocztowy w Anglii. Taka rzecz trafia się raz na dwa miliony (spraw). Jak Kuba Rozpruwacz. Nazywali mnie Człowiekiem Kotem, Zielonym Człowiekiem, Ulotnym Włamywaczem, a teraz "D" z Bostonu". Kiedy znajomy odwiedził DeSalvo w szpitalu i powiedział, że dostanie dożywocie za gwałty, DeSalvo odparł: "Eddie, mogę dostać dożywocie pięćdziesiąt razy i tak by mi nie odpłacili za to, co zrobiłem. Moja rodzina musiałaby zmienić nazwisko". Innym razem tak zwrócił się do współwięźnia, który czekał na proces za zabicie swojej młodej żony: "Do diabła, to, co zrobiłeś, to nic takiego. Wiesz, co ja zrobiłem? Zabiłem kilka dziewczyn". Kilka miesięcy później powiedział adwokatowi, że zabił trzynaście kobiet, a wobec prawie dwóch tysięcy dopuścił się czynów lubieżnych, co jest zupełnie prawdopodobną liczbą.

Potem zmienił zdanie. Według Franka, żona, z którą DeSalvo rozmawiał przez telefon, wpadła w histerię i zagroziła zabiciem siebie i dzieci, jeśli przyzna się, że jest Dusicielem. Następnego dnia, w rozmowie z jednym z psychologów z Bridgewater, DeSalvo odmówił poddania się jednemu z rutynowych testów. Zamiast tego okazywał duże zainteresowanie tym, co ludzie myślą "o całej tej sprawie". Kiedy psycholog powiedziała mu, że nie ma zamiaru rozmawiać o uduszeniach, odrzekł: "To zrozumiałe. Poza tym nigdy nie powiedziałem, że to ja jestem Dusicielem. Prasa nigdy nie kojarzyła mojego nazwiska z tamtymi sprawami. (Sprawę Dusiciela) należy badać, a nie pogrzebać".

Kilka tygodni później adwokat zorganizował spotkanie z kalifornijskim hipnoterapeutą w celu przeprowadzenia badania. DeSalvo zgodził się poddać temu niecodziennemu doświadczeniu. Będąc w głębokim transie, pacjent potrafił opisać tylko wydarzenia, które prowadziły do zabójstw. Kiedy dochodziło do sceny mordu, wydawał z siebie jedynie przeraźliwe wrzaski. Hipnoterapeutą podał mu sugestię posthipnotyczną, żeby zapamiętał i zapisał każdy sen, który przyśni mu się najbliższej nocy. Następnego dnia DeSalvo wręczył opis snu, który przybliżał go jeszcze bardziej do przyznania się do winy. Była to szczegółowa relacja napaści seksualnej i związania jednej z ofiar, ale bez elementu zabójstwa. Niestety ten obiecujący początek został zaprzepaszczony. Lekarz uparł się, by na gruncie teorii Freuda zbadać twierdzenie, że atakując kobiety, DeSalvo w istocie wyżywał się na własnej kalekiej córce. Będąc ponownie w transie DeSalvo płakał i zaprzeczał temu twierdzeniu, potem z okrzykiem: .Jesteś kłamcą!" rzucił się lekarzowi do gardła. To zakończyło badania z wykorzystaniem hipnozy. Tymczasem policja dreptała w miejscu, nie mogąc złapać Dusiciela, gdyż żadna z ofiar, które przeżyły napaść, nie potrafiła go zidentyfikować.

Dopiero wiosną 1965 roku, gdy poszukiwania Dusiciela trwały już ponad dwa lata, Albert DeSalvo, pacjent zakładu psychiatrycznego, przyznał się, że to on jest poszukiwanym mordercą. Czekał z tą informacją do chwili, kiedy nabrał głębokiego zaufania do przesłuchujących. Zeznania poprzedził wyjaśnieniem, dlaczego popełniał zbrodnie prawie wyłącznie w weekendy (fakt, który policja zawsze uważała za bardzo istotny). "W soboty zawsze mogłem wyrwać się z domu mówiąc żonie, że idę do pracy. Musicie to zrozumieć... jeździłem po ulicach i zatrzymywałem się, gdzie popadło. Nigdy nie wiedziałem, dokąd jadę. Nigdy nie wiedziałem, co zrobię - dlatego nigdy mnie nie przygwoździliście, bo ani ja nie miałem pojęcia, gdzie uderzę, ani wy. Tak więc obie strony były zbite z tropu... Ja nie wiedziałem, więc skąd

wy mogliście wiedzieć?" Przez całe lato i jesień 1965 roku, w czasie nie kończących się przesłuchań, recytował "pamiętnik" zabójcy, a nie ukrywał niczego, bo sam chciał siebie zrozumieć.

Zdziwienie

Powracającym tematem w trakcie odsłaniania prawdy było zdumienie DeSalvo własnym postępowaniem. Jak wielu wielokrotnych morderców, mówił o zabójstwach w trzeciej osobie, co umożliwia zachowanie dystansu do opisywanych wydarzeń. Taki chwyt językowy pozwala na zdjęcie z siebie pełnej odpowiedzialności - tak jakby morderstw dokonał ktoś inny, a mówiący był jedynie obserwatorem ("Spojrzałem do lustra w sypialni i zobaczyłem w nim siebie, duszącego jakąś kobietę!") W przypadku DeSalvo, stworzenie perspektywy wypowiedzi służyło nie tylko oszczędzeniu sobie wstydu, ale również wyrażeniu pełnego zdumienia, że takie fakty miały miejsce. Mimo to twierdził: "Robię, co w mojej mocy, byście mieli pełny obraz bez żadnych zafałszowań".

Odczuwał coś w rodzaju przytłaczającego przymusu, nad którym nie potrafił ani zapanować, ani sprawować kontroli. Kiedy Nina Nichols wpuściła go do mieszkania, ponaglając go, bo sama musiała wyjść, DeSalvo relacjonował to w sposób następujący: "Ja i tak wiedziałem, że kiedy zamknę drzwi, nigdzie nie pójdzie, chociaż tak bardzo walczyłem ze sobą. To śmieszne. Wcale nie chciałem tam wejść. Nie chciałem, żeby to się stało". Nie mógł też zrozumieć, dlaczego przeszukiwał mieszkania swoich ofiar. Zapytany, czego szukał, odpowiadał:

"Wtedy nie wiedziałem - pewnie niczego... szczerze, niczego nie zabrałem ani z tego mieszkania, ani żadnego innego... Nie byłem tam po to, żeby kraść. Sam próbuję to zrozumieć. Robiłem to, wiem, przeglądałem rzeczy... Tak... Dlaczego nie zabierałem? Zdaje się, że miała też brylant. Dlaczego go nie zabrałem? Nie wydaje mi się, żebym tak naprawdę szukał czegoś do ukradzenia. Może szukałem czegoś - podsunął - żeby wyglądało na napad rabunkowy". Później przyznał, że nie wie, czy tak było naprawdę.

Przesłuchujący próbowali wyjaśnić niechęć DeSalvo do omawiania niektórych szczegółów, jak na przykład wpychania butelek do pochwy. Fakt ten interpretowano brakiem zrozumienia tego czynu. "Częściowo to prawda - zgodził się oskarżony -ponieważ wydaje mi się nieprawdopodobne, że to robiłem. Czemu to robiłem, nie wiem, ale w tej chwili wiem, że aby to zrobić - cóż... Pamiętam, że robiłem te rzeczy. Jeśli chodzi o przyczyny mojego postępowania, w tej sekundzie nie mogę dać odpowiedzi". Czy myślał o czymś, kiedy zabijał? "Nie, po prostu to robiłem". Mimo to zawsze wiedział, co ma robić, na przykład w mieszkaniu Jane Sullivan. "Jak tylko ją zobaczyłem, rozejrzałem się szybko po pokoju. Wiedziałem, po co tam jestem. Stało się, co się miało stać". DeSalvo nie potrafił też pojąć symboliki swoich czynów. "W Annie Slesers nie było nic, co mogło zainteresować jakiegokolwiek mężczyznę. Dlaczego to zrobiłem? Szykowała się do kąpieli. Dlaczego nie wsadziłem jej do wanny, skoro wsadziłem tam panią Sullivan? Tak samo jest z wsadzaniem kija i butelki? Nie rozumiem tego".

Najbardziej żałował, że zabijał młode kobiety. O Sophie Cłark powiedział: "Nie musiało się to zdarzyć". Zaprzeczał, jakoby zabił dziewczynę po to, by ją posiąść. "To nie był powód, dla którego ją załatwiłem. Dlatego cała sprawa się gmatwa. Nie było powodu. Kropka. Nie było powodu, dla którego miałaby umrzeć. Nic nie zostało jej zabrane, żadne pieniądze, nic. Jak mogę wam to wyjaśnić? Siedziałem tam, czegoś szukałem, przeglądałem fotografie, tak jakbym chciał kogoś znaleźć". O Patricii Bissette zachował takie wspomnienie. "Rozmawiała ze mną po męsku, potraktowała mnie jak mężczyznę, nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Nic do mnie nie miała - a jednak to zrobiłem. Rozumiecie? Dlaczego jej to zrobiłem? Dlaczego to zrobiłem?" O zamordowaniu Joann Graff, które zbiegło się w czasie z tragicznym zamachem na prezydenta Kennedy'ego, powiedział: "Płakałem... kiedy ludzie mówili o tym, jak prezydent został postrzelony, potem, że już umarł. Stałem i płakałem. Jak to jest, że tego dnia prezydent został zastrzelony, a ja poszedłem i robiłem swoje? (...) Słyszałem, jak ktoś później mówił, że śmierć prezydenta to niewystarczający powód, by kogoś nie udusić... A ta Graff? To było takie bez sensu, że wręcz ma sens, nie? Jeśli o mnie chodzi, to kompletnie nie pojmuję, dlaczego te rzeczy miały miejsce".

Mimo to był w pełni świadomy, że zabija ludzi. "Wiedziałem, że to ja. Nie chciałem w to uwierzyć. To tak trudno wam wyjaśnić. Wiedziałem, że to ja, ale dlaczego robiłem te i inne rzeczy - nie wiem. Nie byłem tym podniecony; siadałem do obiadu i wcale o tym nie myślałem. (...) Zawsze było tak samo, zawsze to samo odczucie. Było się tam, wydarzenia się toczyły, a potem jak już wyszedłem z mieszkania, czułem się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Zamykałem drzwi, schodziłem na dół, ale gdybyście mnie zobaczyli tam na górze, to tak jakbym to nie był ja. Nie potrafię wam tego inaczej wytłumaczyć. To takie niepojęte... byłem tam, stało się, a gdybyście rozmawiali ze mną godzinę lub pół godziny później, nic już nie znaczyło, po prostu nic nie znaczyło. (...) Zdaję sobie sprawę, że to wszystko prawda. Czytałem w książkach, co inni ludzie robili, nigdy jednak nie sądziłem, że sam mógłbym to zrobić. Nie ma tu ani ładu, ani składu. Nie jestem człowiekiem, który może zrobić komuś krzywdę, a tu, proszę, robię takie rzeczy... Dzięki Bogu (ofiary) nie miały krewnych - żadnych dzieci - wszystko samotne kobiety. Mogę tylko za to dziękować... ale, bądź co bądź, życie jest życiem. (...) To już nie jest sen - to rzeczywistość - i to wszystko się zdarzyło. Mam córkę, mam syna i żonę, ale kiedy moje dzieci dorosną, chcę, żeby potrafiły mnie zrozumieć... nikomu nie chciałem

zrobić krzywdy. Dlaczego nie robiłem tego wcześniej i dlaczego nie robiłem tego później? Co mnie pchało? Musi być jakiś powód. Chyba taki się nie urodziłem? Dlaczego zacząłem? Dlaczego przestałem?"

Przypisanie winy

Wydaje mi się, że chodzi o wiele więcej, niż tylko bycie specem od gwałtu.
Albert DeSalvo

Wydaje się, że DeSalvo był autentycznie zaskoczony motywem swoich zbrodni. Jednak w miarę jak przesłuchania przeciągnęły się na lato i jesień, przedstawiał coraz to nowe interpretacje, a nawet w pewnym momencie - co jest zachowaniem nietypowym dla wielokrotnych morderców - wziął całą winę na siebie. Najgwałtowniej oskarżył swoją żonę, Irmgard, i nie bez powodu. W liście ze szpitala psychiatrycznego napisał: "Przyznasz, że gdybyś traktowała mnie inaczej, jak sama powiedziałaś... te wszystkie lata, które straciliśmy, miłość, której szukałem, to, co czułem, kiedy się pobraliśmy. Tak, Irm, skradłem te lata. Ale dlaczego? Co się stało, kiedy urodziła się Judy i powiedziano nam, że może nigdy nie będzie chodzić. Jak płakałaś. "A1, proszę, żadnych więcej dzieci" - mówiłaś. Od tego dnia zmieniłaś się. Całą swoją miłość przelałaś na Judy. Dla mnie byłaś oschła i oziębła i nie możesz temu zapżeczyć (sic!). Dlatego zawsze toczyliśmy walkę o łóżko, ponieważ bałaś się mieć dziecko. Myślałaś, że urodzi się nienormalne. Irm, ja nawet pytałem lekarzy, co jest nie tak z naszym współżyciem, a oni mówili, że musisz mieć następne dziecko, które urodzi się normalne, wtedy się uwolnisz i pokochasz od nowa... Irm, nie twierdzę, że to wszystko twoja wina. Bo to ja postępowałem źle. Miałem powód, dla którego cię kochałem. Kiedy wyszedłem z więzienia - choćbym nie wiem co robił - odmówiłaś mi praw przysługujących mężowi, ciągle mówiłaś, że muszę się wykazać i krótko mówiąc próbowałaś zmienić moje życie w piekło, czy zdawałaś sobie z tego sprawę, czy nie". Kiedy pytano go, czy kiedykolwiek obawiał się, że skrzywdzi żonę, kontynuował swój wywód: "Na swój sposób wyrządzała mi taką krzywdę, jak nie wiem. Gdyby dawała mi tyle seksu, ile chciałem, przynajmniej traktowała jak człowieka, a nie poniżała cały czas, nie musiałbym na ulicy szukać potwierdzenia, czy jestem mężczyzną, czy nie... "Posłużyłam się seksem, by cię zranić" - mówiła. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego ona, osoba, którą kochałem, traktowała mnie jak śmieć. Mówiła: "Nie wychodź wieczorami" - i przez dwa, trzy lata nie wychodziłem. Przestałem grać w kręgle. Kiedyś powiedziała: "Nigdy mnie nie opuszczaj -jesteś jedyną osobą, jaką znam w tym kraju". Wszystko dla niej robiłem. (...) Dlaczego nie prosiłem o pomoc? Chciałem - rozmawiałem o tym z Irmgard, ale jak już powiedziałem, mówiła, że to "niładnie" mówić takie rzeczy o sobie".

Aby poprzeć twierdzenie, że do morderstw pchała go wściekłość na Irmgard, wyznał powód, dla którego z takim okrucieństwem zabił Beverly Samans: dlatego tyle razy pchnął ją nożem, bo odmawiając odbycia stosunku, przypomniała mu jego żonę. "Dokładnie jak moja... To była Irmgard. Chwyciłem ją (Irmgard) za gardło, czułem się przy niej taki upokorzony, tak jakbym prosił o coś, o co nie powinienem prosić, tak jakbym domagał się czegoś nieczystego. Tamtej nocy chciałem ją zabić! Prosić ją o pójście do łóżka, to jak jakby prosić kłodę drewna, żeby się przesunęła. Zawsze tylko: "Zrób to szybko, raz dwa i kończ" - traktowała mnie gorzej niż zwierzę... Tak bardzo ją kochałem, a jednocześnie nienawidziłem. Wypalałem się. De nocy leżałem obok niej, rozgorączkowany, pragnący miłości i gotowy ją odwzajemnić - a ona: "Nie". Tamta (Samans) przypominała mi ją: "Nie rób tego, nie rób tego!"

Takie wyjaśnienie wydaje się w miarę wiarygodne, ale zawiera kilka istotnych sprzeczności. Po pierwsze, dwie kobiety, którym udało się ujść z życiem, swoją przynależnością etniczną, sposobem wypowiadania i wyglądem najbardziej przypominały żonę DeSalvo. Dlaczego ich nie zabił? Ponadto możemy uznać za logiczne, że jednocześnie kochając żonę i nienawidząc jej, musiał przenieść wściekłość na kogoś innego, żeby uratować swoją szaleńczą miłość do niej. Ale jeśli tak, prawdą jest również, że żyje wielu ludzi, którzy jednocześnie nienawidzą i kochają swoich współmałżonków, bez odczuwania potrzeby wkroczenia na długotrwałą, krwawą ścieżkę wojenną. Dlaczego nie znalazł nowej, kochającej żony? Musimy dojść do wniosku, że anormalny związek z żoną nie był ani koniecznym, ani dostatecznym powodem do zabijania. Niewielu z omawianych tu wielokrotnych morderców startowało z tak dużym obciążeniem z dzieciństwa. Odpowiedzi musimy więc szukać w kontekście społecznym, jeśli mamy zrozumieć ten przypadek.

Drugie i równie wiarygodne wytłumaczenie źródła furii DeSalvo znajdziemy w jego niezwykłym dzieciństwie, które przypomina koszmary ze stronic Dickensa. Wspomnienia z tego okresu zostały osobno potwierdzone przez przyjaciół domu i pracowników opieki społecznej. "Ojciec często wracał pijany. Przyprowadzał prostytutki, bił przy nich matkę, a mnie było wstyd, że moim ojcem jest człowiek, który poczciwej kobiecie robi takie rzeczy. Jednym z najwcześniejszych wspomnień jest scena bicia matki. Chyba nie miałem jeszcze pięciu lat, ale to pamiętam. Przewrócił ją na tapczan, szamotali się i zrobił jej coś z ręką, coś, co tak bardzo bolało, że ciągle pamiętam jej krzyk, a my krzyczeliśmy razem z nią. Stary miotał się jak wariat, bił nas, aż w końcu przyszedł jakiś glina albo ktoś inny i go ustawił. Nie był to rosły mężczyzna, ale ojciec zmieniał się, kiedy musiał stawić czoło mężczyźnie, rozumiecie? Lanie dostawało się za niewinność, wystarczyło być w pobliżu, kiedy stary był gotowy komuś przyłożyć. Widziałem, jak ojciec wybił matce zęby, a potem wyłamał jej wszystkie palce. Miałem chyba siedem lat. Mamusia leżała pod zlewem -

widziałem to. Wybił jej wszystkie zęby. Tatuś był hydraulikiem, przyrżnął mi kiedyś po plecach rurą. Po prostu nie dość szybko się ruszałem. Pewnego dnia sprzedał mnie i moją siostrę za dziewięć dolarów, sprzedał nas jakiemuś farmerowi z Maine. Nikt nie wiedział, co się z nami stało.[14] Mamusia szukała nas przez sześć miesięcy i nie mogła znaleźć".

"Zwykle uciekaliśmy do Eastie na Noddle Island i chowaliśmy się pod pomostami, a on bał się nas tam szukać ponieważ inne dzieciaki, które tam mieszkały, pomogłyby nam go zabić za kilka doków wyjętych mu z kieszeni. Tak, mola w Eastie... ja i bracia znaleźliśmy tam jakby drugi dom. Tam było niebezpiecznie. Mieszkały tam dzieciaki, które nie miały domu. Ich dom to te pomosty i stare magazyny na nabrzeżu. Były niczym szczury portowe, tak ich ludzie nazywali i zasłużyły na to miano. Prawdziwe szczury też były - całe miliony dużych szczurów - i wcale się nie bały. Te dzieciaki, te portowe szczury, widziałem, jak pewnej nocy obrabiały pijaka; dorwały się do niego, tak jak zrobiłyby to prawdziwe szczury z chorym lub kalekim zwierzęciem - brudne, ruchliwe ciała, które rozrywały i szarpały, dopóki to coś, na czym siedziały, nie było martwe i obgryzione do kości. Dzieciaki, niektóre nie miały więcej niż dziesięć, jedenaście lat, ale była ich masa i załatwiały tego pijaka jak prawdziwe szczury... dosłownie rozrywały ciało na kawałki, które potem wrzuciły do wody. Nikt ich się nie czepiał, ciała zawsze wyławiano w porcie, zmasakrowane i objedzone przez ryby. Mówię wam o tym po to, by opowiedzieć o tych zwyrodniałych dzieciakach, tych szczurach portowych, bo tam spędzałem dużo czasu, kiedy byłem w ich wieku. Ja nie byłem zwyrodniały. Byłem zbyt nieśmiały i przerażony. Nie lubiłem się bić i chyba nie potrafiłem. Bardzo się zdziwiłem, że potrafię się nieźle bić, kiedy było trzeba. Ale to przyszło dużo później".

"Inne rzeczy, jakie pamiętam z dzieciństwa w Chelsea, to to, że w zimie było zawsze zimno - piec węglowy w kuchni ogrzewał dom, ale opału nigdy nie było dosyć, bo to, co dostawaliśmy, przydzielała opieka społeczna i czasami stary robił kombinację z węglarzem i zamiast węgla brał pieniądze. Pamiętam jeszcze, że nigdy nie było dość jedzenia, tak, to dobrze pamiętam. Nie chodzi o to, że byliśmy głodni lub zagłodzeni, po prostu nigdy nie było dosyć, zawsze coś by się jeszcze dojadło. Nawet dzisiaj pamiętam to uczucie niedosytu, kiedy byłem chłopaczkiem, tak bardzo chciałem więcej i nigdy nie było. W okolicy mieszkały dzieciaki, które zjadły cały tynk ze ścian domu i to jest fakt. Myślę, że jak dzieciak dorasta w takich warunkach, zawsze ma gdzieś tam głęboko potrzebę zagarnięcia wszystkiego, co się da, nieważne jak, ponieważ jest człowiekiem, którego brzuch nigdy nie był pełny".

"Nie przypominam sobie takiego momentu, kiedy nie uczyłbym się czegoś, czego byłoby lepiej, żebym nie umiał. Ojciec zabierał mnie do takich sklepów w Bostonie, Chelsea i Easde, gdzie wszystko kosztuje pięć lub dziesięć centów i uczył, jak zwijać przedmioty z lady. Miałem pięć lat, jak zaczął mnie tego uczyć... Teraz, jak na to wszystko patrzę, to widzę, że z upływem czasu było coraz gorzej. To znaczy z kradnięciem. Kradzieże w sklepach zamieniły się w wyrywanie torebek, a potem na "w i w" (wyważ i wchodź) i napady rabunkowe. Teraz, z perspektywy lat, widzę, że rabunek ustąpił miejsca gwałtom i morderstwom. (...) To wszystko miało miejsce, zanim skończyłem dwanaście lat, a już dwukrotnie byłem aresztowany -raz za kradzież, a drugi za moje pierwsze "w i w". Miałem dwanaście lat, kiedy wysłali mnie do Lyman School dla młodocianych przestępców. W tym poprawczaku to dopiero dostałem szkołę życia. (...) Mówi się, że jest to miejsce, gdzie złych chłopców uczą, jak być dobrymi chłopcami. Kupa śmiechu, nie? O Lyman School z całą pewnością trudno to powiedzieć. Można się tam nauczyć wszystkiego o perwersjach seksualnych. Można się nauczyć, jak kraść. Nie ma takiego przestępstwa, o którym nie można się tam dowiedzieć... Kiedy opuszcza się Lyman School, wie się, jak myśli przestępca. Wyszedłem stamtąd wiedząc mnóstwo o dewiacjach".

Po warunkowym zwolnieniu z Lyman School, natychmiast powrócił do "wyważania i wchodzenia", a robił to z pasją iście gargantuiczną, gdyż był chłopcem ambitnym, który koniecznie chce być dobry w tym, co robi. Prawnik Sheinfeld, zajmujący się w tym okresie sprawami rodziny, był dla DeSalvo podporą - zawodowo i prywatnie. "Pan Sheinfeld był dla mnie bardzo dobry. Nie winie go za nic, winie tylko siebie, a to, co mówił pan Sheinfeld, było prawdą. Okropnie ryzykowałem i było pewne, że okryję się hańbą, a na rodzinę ściągnę jeszcze więcej biedy. Ale ja tego nie rozumiałem. Nie widziałem tego tak wyraźnie jak inni ludzie, którzy mają lepsze życie. Pan Sheinfeld, chociaż był bardzo dobrym człowiekiem, był taki sam jak faceci z Komisji Zwolnień Warunkowych - wyjaśniał DeSalvo, okazując tym samym wyjątkową świadomość klasową. - On siedział w środku, a ja przez całe życie byłem na zewnątrz. Tak, wiem, że są faceci ze złych domów, którzy do czegoś doszli - nie o to chodzi. Chodzi o moją reakcję na to, jaki był mój własny dom".

Lista okropności z dzieciństwa DeSalvo - czas spędzony w niewoli, przyglądanie się napaściom na pijaków i na własną matkę, marznięcie w zimie, żołądek nieustannie domagający się jedzenia, czy to nie dostateczna pożywka, na której może się wykarmić niejeden wielokrotny morderca? Tylko dwaj inni mordercy, Lucas i Panzram, mieli równie nędzne dzieciństwo. Możemy jedynie snuć przypuszczenia, czy

[14] DeSalvo nigdy nie mówił o tym okresie żyda, możemy się tylko domyślać, co on i siostra przeżyli w tym czasie

ktoś obciążony takim dzieciństwem nie powinien skończyć jako zawodowy morderca. Nasuwa się następujące pytanie: co doprowadziło DeSalvo do zabijania w tak przedziwny sposób, bez chęci zysku, i to w momencie, kiedy ostatecznie wyrwał się ze swojego lumpenproletariackiego środowiska? Przecież "sprawdził się" jako oddany mąż i ojciec, miał stałe zatrudnienie, oddanego pracodawcę, dom i samochód. Cytując DeSalvo: wszedł do środka, chociaż całe życie był na zewnątrz. Jakiego typu zemsty szukał na drodze usianej trupami.

Jeszcze innym czynnikiem, którym DeSalvo tłumaczył swoje postępowanie, był nieposkromiony apetyt seksualny. Zwracali na niego uwagę wszyscy, którzy badali osobowość tego przestępcy. Zaskakujący wręcz potencjał seksualny szybko zyskał uznanie w środowisku DeSalvo i wynagrodził go "częstym seksem na boku z panienkami i pedałami z całej okolicy. Zdumienie budziło to, że pięć minut po pierwszym mogłem mieć następny wytrysk. Pedały to ubóstwiały i za to też płaciły, co zupełnie mi nie przeszkadzało, bo potrzebowałem forsy, a oprócz tego trochę to rozładowywało żądzę, która nieustannie pchała mnie do seksu, chociaż tak naprawdę to tylko chciałem kobiety. Nie jakiejś szczególnej, po prostu kobiety, z tym wszystkim, co kobieta mieć powinna, nie tylko po to, żeby się spuścić, ale by bawić się piersiami i całym ciałem, gryźć i całować, a potem jej wsadzić... było mi w sumie obojętne, jak wyglądała albo ile miała lat... miała być kobietą, ani piękną, ani jakąś ekstra, tylko kobietą, której pragnąłem".

Stosunkowo wcześnie dostrzegł związek między popędem seksualnym, a włamywaniem się do mieszkań, który to fakt był często wykorzystywany przez psychologów opierających się na Freudzie. "Nie lubiłem obrabiać pijaków. Najczęściej byłem facetem od "w i w". Było coś podniecającego, elektryzującego we wchodzeniu do czyjegoś domu... Teraz wydaje mi się, że łączyło się to też z wchodzeniem do sypialni - pustych lub takich, w których spały kobiety. Zdarzało się, że rajcowało mnie samo stanie pod drzwiami sypialni i słuchanie, jak jakaś kobieta oddychała... więc widzicie, jak bardzo mnie do tego ciągnęło i nie minęło wiele czasu, jak poczułem się na tyle ośmielony, by wejść do sypialni, w której leżała kobieta i zmusić ją do uległości".

Czy w świetle tych wypowiedzi można wyobrazić sobie małżeństwo bardziej niedobrane niż to, które zawarł z ukochaną Irmgard? Oto co powiedział o żonie, uciśnionej, purytańskiej emigrantce, która nie mogła przełamać się, by sprostać mężowskiemu pożądaniu: "Była bardzo niewinna i bała się seksu. Myślę, że nauczyli ją bać się seksu, to znaczy jej rodzina, i nigdy się od tego nie uwolniła... ale mówiąc szczerze, była zimna, co bardzo źle wróży takiemu facetowi jak ja, który cały czas potrzebuje seksu, prawda? Kochałem ją... i pragnąłem po ślubie - rano, po południu, wieczorem, cały czas jej pragnąłem... Siedziałem i patrzyłem na nią i pragnąłem jej, albo leżałem w łóżku i tak bardzo chciałem ją mieć, a jak już było po, znowu jej chciałem... nie lubiła tego... Mówiłem wam już, że potrzebowałem dużo seksu, pięć lub sześć razy dziennie to było nic... Mogę znowu w kilka minut po stosunku... ta niesłychana żądza nigdy mnie nie opuszcza... zawsze się zastanawiałem: Co ze mną jest nie tak?"

Jeszcze zanim przyznał się do popełnienia morderstw, opisał swój maniakalny popęd w liście do prawnika: ‚Jak imałem powiedzieć żonie, że jestem naładowany seksem i nie mogę zapanować nad żądzą? Nawet pan, panie Sheinfeid, kiedy w 1961 roku prowadził pan w Cambridge moją sprawę o molestowanie tamtych kobiet, pytał mnie, czy podniecałem się, kiedy ich dotykałem, a ja skłamałem i powiedziałem, że nie, bo wstydziłem się przyznać do mojej żądzy. Teraz przesiałem nad tym panować... Z całych sił starałem się być grzeczny i sam przynosiłem sobie ulgę co najmniej cztery lub pięć razy dziennie. Było aż tak źle. Ale kiedy znikałem i robiłem to, co robiłem i za co tu teraz siedzę, miałem takie dziwne uczucie, bo to było tak, jakby we mnie w środku coś się paliło i to, co czułem, powodowało, że ogarniała mnie jakby mgła, jakbym śnił. Nie miałem pujęcia (sic!), dokąd idę, ale jak zobaczyłem kobietę przed sobą, to zastanawiałem się, jakie miała ciało i tak dalej. Czasami nawet, zanim dokądś dojechałem, to już w samochodzie mi uirzyło (sic!), ale po pięciu minutach znów wracało. Znów bytem gotowy". Faktycznie, w czasie wielu napaści, które nie kończyły się zabójstwem, często miewał wytrysk, zanim dotknął swojej ofiary. "Niektóre kobiety to nawet mówiły, że kiedy się do nich zblirzałem (sic!), to czuły, że już sobie uirzyłem (sic!), bo tylko je wiązałem i odchodziłem, nic im nie robiąc. Po prawdzie kładłem tylko rękę i po wszystkim. I zdawałem sobie sprawę z tego, co robiłem. Prawie za każdym razem kobiety mówiły, ponad połowa, że nawet ich nie tknąłem, tylko wiązałem i uciekałem, co hyba (sic!) zabierało od trzech do pięciu minut - sami widzicie, jak bardzo się napalałem -przysuwałem się i od razu mi uirzyło (sic!)".

Motywy seksualne przestępstw są oczywiste. A jednak często nie udawało mu się odbyć ze swoimi ofiarami czegoś, co chociaż w zarysie przypominałoby stosunek. Co więcej, czysto seksualna potrzeba była zaspokajana gwałtami i napaściami, które miały miejsce przed serią morderstw i po niej. W gruncie rzeczy wydaje się, że nie ma wyraźnego motywu seksualnego w popełnionych morderstwach: ani razu nie przyznał, by z zabijania czerpał jakiekolwiek zadowolenie seksualne. Składając zeznania, po raz pierwszy w życiu próbował mówić uczciwie i nie pomijać milczeniem tego, co jest "wstydliwe", innymi słowy próbował pokonać zakłamanie, wyniesione wraz z kołtuńskim wychowaniem. Istotnie, często miał bardzo wnikliwe spojrzenie, zwłaszcza gdy opisywał zabicie Patricii Bissette. "Tak więc mówię, że miałem z nią stosunek, kiedy była nieprzytomna, ale jeszcze żyła... cały czas, kiedy to robiłem, myślałem o tym, jaka była dla mnie

miła i czułem się z tego powodu nieswojo. Potraktowała mnie dobrze, a ja tu robię jej coś, czego nie chciała... naprawdę mi przykro z jej powodu, naprawdę przykro, ale nie trzeba mnie było zapraszać do środka, a potem było tylko to, co czułem... Chodzi mi o to, że coś pcha człowieka... Nie wiem, czy zrobiłem to dla seksu, czy z nienawiści lub innego powodu. Myślę, że nie dla aktu seksualnego, ale z nienawiści do niej - nie konkretnie do niej, ale do kobiety w ogóle. Nie sądzę, by akt seksualny był czymś wyjątkowym. Wszyscy to robią - i wielcy, i maluczcy tego świata - ale nie o to mi chodzi. Inną sprawą jest robić to wtedy, gdy kobieta tego chce, a inną, kiedy nie chce, rozumiecie? Jeśli kobiety nie chcą, byś zrobił coś, co jest słuszne i naturalne, to znaczy, że jest to nieczyste. Wtedy stajesz się zwierzęciem, jeśli mimo wszystko to robisz, o to mi chodzi, jasne? Mogę jedynie powiedzieć, że kiedy zobaczyłem jej ciało, przyszła pora na zbliżenie. Ale stosunek z tą kobietą nie dał mi zadowolenia. Za bardzo myślałem o tym, że nie chciała, żebym jej to zrobił. Nie było żadnej emocji".

Zgadza się. Seksualizm DeSalvo był oczywistą i wyraźną częścią napaści, ale był bardziej posłowiem niż siłą motywacyjną - często nie dawał żadnego zadowolenia. Dlaczego zatem DeSalvo trwał w postanowieniu dokonywania tak niebezpiecznych i nie dających satysfakcji napaści? Dlaczego twierdził, że czuł nienawiść do "kobiet w ogóle", podczas gdy jedynymi osobami, jakie kochał w życiu, były matka, żona i uwielbiana kaleka córka?

Oprócz tego był przekonany, że od czasu do czasu ulegał nieprzepartemu i z pewnością nie kontrolowanemu przymusowi zabijania. Wyraźnie wiązał ten fakt z zachowaniem z okresu dzieciństwa, kiedy to znęcał się nad kotami.

"Lubiłem konie, ale nienawidziłem kotów. Może nawet nie nienawidziłem, ale nie patrzyłem na nie tak, jak patrzyłem na konie. Zwykle strzelałem do kotów... z łuku... strzała na ogół przechodziła przez podbrzusze, a czasami w nim utkwiła. Koty uciekały z wrzaskiem i nie przypominam sobie, bym był tym poruszony, chociaż jestem wrażliwym facetem i łatwo się wzruszam... czasami, kiedy widziałem je tuż przed strzałem, opanowywała mnie taka złość, że chyba mógłbym je rozerwać na kawałki gołymi rękami. Nie rozumiem tego, ale wtedy ich nienawidziłem, a przecież nic mi nie zrobiły... i kiedy widzę je przeszyte strzałą, zdychające, dostaję szału, chociaż tego wcale nie rozumiem... szczególnie że trudno powiedzieć, abym je lubił albo nienawidził, rozumiecie?"

Rozumiał ten przymus jako rodzaj choroby psychicznej, która nachodziła go od czasu do czasu. "Zarabiałem na chleb i bardzo dbałem o rodzinę. Chciałbym powiedzieć, że gdyby nie moja choroba, której nie leczono w sposób należyty, coś z tego życia miałem... próbowałem dać z siebie to, co najlepsze... To prawda, że moja choroba zawsze mi towarzyszyła. Zmuszała mnie do wypadów i robienia rzeczy, o których wiedziałem, że są złe. To działo się nagle i musiałem robić to, co robiłem". Jego zdaniem ta "choroba" funkcjonowała na zasadzie ciśnienia rosnącego wewnątrz organizmu, ciśnienia, które raptownie musiało być zmniejszone. Tak opisywał swoje odczucia, kiedy był sam z kobietą w jej mieszkaniu: ‚3yłem cały rozpalony, czułem się tak, jakby z powodu potężnego ciśnienia miała mi zaraz eksplodować głowa -i to w momencie... jak to wyrazić... jak tylko widziałem tył jej głowy, nie? Wszystko we mnie wzbierało. W mgnieniu oka chwytałem za szyję i tyle. (...) W takim momencie nie potrafiłem już nad sobą zapanować. Nic już nie mogłem na to poradzić".

O dziwo przymus zabijania zniknął równie nagle i bezpowrotnie, jak się pojawił. Po zamordowaniu Mary Sullivan -zawiązaniu najbardziej jak dotąd wymyślnej kokardy i zostawieniu szyderczej kartki z życzeniami "Szczęśliwego Nowego Roku" - nastąpił powrót do napaści czysto seksualnych. "Mary Sullivan była ostatnia. Nigdy już tego więcej nie zrobiłem. Nikogo już potem nie zabiłem. Tylko wiązałem. Następnym (kobietom) nie robiłem krzywdy... Raz w Cambridge zrobiłem to w trzech różnych miejscach pod rząd. Potem zacząłem płakać i powiedziałem: "Przepraszam, ale nie wiem, dlaczego tu jestem", po czym uciekłem". DeSalvo uporczywie trzymał się teorii, że działał pod wewnętrznym przymusem. W przeciwieństwie do większości wielokrotnych morderców, którzy odmawiają przyznania się do choroby umysłowej, gdyż przekreśliłoby to ich motywację, DeSalvo (który miał mgliste pojęcie, dlaczego to robił) chciał, by sąd uznał go za niepoczytalnego - w ten sposób uwolniłby się od odpowiedzialności za popełnione zbrodnie. Ponadto stwarzałoby to możliwość ewentualnego "wyleczenia", a może nawet wyjścia za jakiś czas na wolność.

Jednakże sam DeSalvo podał w wątpliwość "wyjaśnienie" o działaniu pod przymusem, kiedy spokojnie i pragmatycznie tłumaczył, dlaczego przestał zabijać. "Żona zaczęła traktować mnie lepiej - zasugerował, próbując określić swoje postępowanie na gruncie społeczno-ekonomicznym. - Zacząłem tworzyć, można by powiedzieć, moje lepsze "ja", pracowałem nad tym, co we mnie dobre. Byłem odpowiedzialnym pracownikiem, lubianym, dostałem dwie podwyżki". DeSalvo rozumiał, że źródłem nienawiści było to, czego brakowało mu w życiu osobistym. Nie mógł sobie natomiast uświadomić charakteru "buntu", który w jego własnym odczuciu niczym nie dał się usprawiedliwić. Próbował z tym sobie radzić twierdząc, że to jakaś forma obłędu pchała go do działania.

Motyw, jaki wyłania się na podstawie złożonych zeznań pozostaje niepełny bez zwrócenia uwagi na specyficzny, ale dość wyraźny element krytyki społecznej - coś na kształt prywatnej i prymitywnej wojny

klasowej, do której często powracał. Przyznał, że to on jest niechlubnym "Człowiekiem z Centymetrem Krawieckim", który pod pretekstem załatwienia kobietom pracy w agencjach reklamowych chodził po mieszkaniach i brał ich wymiary, co stwarzało okazję do obmacywania różnych części ciała. "Chcę wam wszystko o tym opowiedzieć - wyjaśniał. - Całe życie byłem biednym chłopakiem. Pochodzę z niedobrego domu, wszystko o tym wiecie, po co miałbym was bujać? No więc nie wiem nic o pozowaniu ani o aparatach fotograficznych... nie jestem wykształcony, a te dziewczyny to wszystko absolwentki wyższych uczelni, rozumiecie? Robiłem z nich idiotki... Wykonywały moje polecenia, akceptowały je i mnie słuchały. Po to chodziłem je mierzyć...? Mówię wam -chciałem sobie poprawić samopoczucie. (...) Wszystkie były studentkami - tłumaczył kuratorowi - a ja, mimo że niczego nie osiągnąłem w życiu, i tak je wykołowałem. Czułem, że są lepsze ode mnie, bo chodziły do szkół".

To właśnie fascynacja pewnymi subtelnościami związanymi z przynależnością społeczną, a nie czysty przypadek, decydowała o wyborze miejsc napaści i morderstw. "Tak więc jadę sobie i droczę się ze sobą, że może będzie to Swampscott... bo Swampscott... to takie eleganckie miejsce, gdzie są duże domy i całe mnóstwo eleganckich i wykształconych panienek, takich, z którymi zabawiałem się przy Harvard Square. Tymczasem panienki dorosły, powychodziły za mąż, urodziły dzieciaki - dziewczynki, takie same jak one, kiedy były małe, i wtedy zastanawiasz się, czy te dziewczynki chodzą do łazienki, jak pachną, czy się dotykają -przepraszam, jeśli jestem wulgarny, ale próbuję wam powiedzieć, jak myślałem i o czym w dalszym ciągu myślę.[15] Wiecie, w Bostonie jest takie powiedzenie: "Jej się wydaje, że jej gówno nie śmierdzi". A znaczy to, że wydaje jej się, jakoby była stworzona do czegoś lepszego, niż to, czym powinna zajmować się kobieta -spać z mężczyzną, kiedy on jej chce i pragnie, i pozwolić mu robić z nią, co chce, nawet jeśli wydaje jej się, że to niezbyt miłe... tak czy owak nie jadę do Swampscott, bo nie lubię, gdy z ich powodu, znaczy tych panienek, czuję się jak zwierzę, dlatego zawsze zakrywam im twarz i oczy, żeby na mnie nie patrzyły".

Kiedy został zamknięty w Bridgewater, ale jeszcze przed ujawnieniem, kim jest naprawdę, powiedział psychologowi, że "sprawę Dusiciela należy badać, a nie pogrzebać". Według Franka, DeSalvo twierdził również, że tylko biedni ponoszą karę, a "bogacze mogą robić różne rzeczy związane z seksem i uchodzi im to na sucho. Potrafią się wykupić. (...) Chcę również powiedzieć, że ten numer z "Centymetrem Krawieckim" nauczył mnie, jak przekonywać i namawiać kobiety. Jak się tego słucha, to wydaje się, że nawet dzieciak by się na to nie dał nabrać - wystarczyłoby kilka celnych pytań i odrobina rozsądku, by przejrzeć całą grę na wylot, ale udało się to zaledwie nielicznym. W większości były to mężatki, które powinny wiedzieć, że nie mają figury modelek. Ale im to schlebiało, poprawiało ich ego i na to leciały. Te, które dzwoniły do gliniarzy, robiły to, bo były rozczarowane, że nikogo nie przysłałem (do robienia zdjęć)... Chciały wiedzieć, dlaczego tego nie zrobiłem. Najbardziej to mnie rajcowały dziewczyny z okolic Harvardu. Nie jestem przystojny, nie jestem wykształcony, ale potrafiłem w jakiś sposób odegrać się na tych z wyższej sfery. Wiem, że pogardzają ludźmi z moim pochodzeniem. Myślą, że są lepsze ode mnie. Wszystko po uniwersytetach, a ja, mimo że niczego w życiu nie miałem, i tak je przechytrzyłem. Chciały, żebym odczuł, że są lepsze ode mnie, bo po uniwersytetach... Kiedy mówiłem im, że mogą zostać modelkami, to tak jakbym mówił: jesteście lepsze ode mnie, jesteście lepsze od każdego, możecie być modelkami... Każdy z odrobiną rozumu by się połapał. Nigdy nie żądały okazania jakichś dokumentów".

"Bywało, że kiedy odgrywałem numer z "Centymetrem" -DeSalvo przyznał niezwykle prowokacyjnie - nienawidziłem tych dziewczyn za to, że są tak głupie i wtedy chciałem im coś zrobić... coś takiego, żeby zaczęły myśleć, choć przez chwilę... coś, co pozwoliłoby im odczuć, że jestem tak dobry jak one, może nawet lepszy i bystrzejszy. Tych dziewczyn było całe mnóstwo, co najmniej pięćset, a niektóre to były tak podniecone tym, co mówiłem, że dawały się obmierzyć bez ubrania. Niektóre z nich wystarczyło lekko popchnąć, by poszły z tobą do łóżka. Wtedy ciągle jeszcze bałem się wywierać przymus. Gdyby tylko powiedziały, że coś jest nie tak, zmyłbym się w mgnieniu oka. Dopiero później zrozumiałem, że mogę je do czegoś zmusić. Sądzę, że nie rozminę się z prawdą, jeśli powiem, że kiedy robiłem numer z "Centymetrem", wszystkiemu można było jeszcze zapobiec. Kiedy skończyłem odsiadkę w Middlesex County House of Correction (za przewinienia związane z działalnością "Człowieka z Centymetrem"), nic nie mogło mnie już powstrzymać. Tak mi się wydaje".

DeSalvo wypowiadał się w podobnym duchu w czasie widzenia z prawnikiem.

.Jest pan mężczyzną, wie pan, o co mi chodzi, kończył pan te uniwersytety dla lepszych, na wszystkie pytania ma pan odpowiedź, ale ma pan też coś w spodniach - myślę, proszę pana, że jednym z problemów jest to, że tacy faceci jak pan, którzy się onanizowali, którzy patrzyli z pożądaniem na kobiety, niektóre z nich zdecydowanie za młode, zupełnie nieosiągalne, boją się do tego przyznać, ponieważ w ten sposób spadlibyście z tego pieprzonego piedestału, na którym umieściło was społeczeństwo - ale jest pan tylko

[15] To istotne, że jest to jeden z niewielu osądów, których nie zmienił nawet po przyznaniu się do winy. Bez wątpienia miało to dla niego specjalne znaczenie.

człowiekiem". Urażony spojrzeniem na twarzy swego rozmówcy, kontynuował: "Siedzisz pan teraz naprzeciwko mnie z obrażoną miną, ale niech mi będzie wolno powiedzieć tyle: nie mam nic do stracenia i gówno mnie obchodzi wasz świat, który jest bardzo ładny, dopóki ma się pieniądze... czy pomyślał pan kiedyś, jak wyglądałaby pańska dupa, gdyby nie miał pan szmalu? Założę się, że nie".

Zachowanie żony zaogniło w nim poczucie społecznego poniżenia. "Gdyby chociaż traktowała mnie jak człowieka, a nie poniżała cały czas... Własna matka mówiła mi, że jestem za dobry dla żony, sprzątałem w domu, szorowałem podłogę, traktowałem ją tak dobrze, że przestała mieć szacunek do człowieka, który wszystko za nią robił". W żadnym innym momencie ta świadomość społeczna nie wyraziła się lepiej jak w snobistycznym rozczarowaniu, które odczuwał, gdy wszedł do mieszkania Joann Graff: "Było to bardzo liche mieszkanie z tanimi meblami - nawet Armia Zbawienia by ich nie wzięła". Jakie odczucie zostało tu pogwałcone? Dlaczego ofiary miały jednoznacznie należeć do klasy średniej, a ich domy odzwierciedlać przynależność społeczną zarówno w stylu, jak i umeblowaniu? "Chłopie - opowiadał wcześniej kuratorowi - czuję się taki silny, kiedy potrafię zmusić te dziewczyny do robienia tego, co chcę - kiedy zmuszam je do uległości. Jestem niczym... ale chcę być kimś". Kiedy kurator zapytał go, czy chciał, by go złapano, odpowiedział: "Tak, wtedy stałbym się kimś. Pisaliby o mnie w gazetach". Kiedy DeSalvo ostatecznie przyznał się do wszystkiego, posłużył się retoryką niepokornego buntownika: "Jeżeli ma się umrzeć za powiedzenie prawdy... do diabla z tym. Żyje się tylko raz. Jaki ze mnie pożytek, jeśli będę żył? Jeśli bogaci żyją, a biedni umierają, to ja umrę. Przyjdą następni". Tylko w jakim celu mają przychodzić d następni?

W końcu, tak jak wcześniej pisałem, DeSalvo winił również samego siebie, chociaż wcale nie jest oczywiste, czy zdecydował się na ten niezwykły krok, żeby wymierzyć sobie karę.

"Od dawna wiedziałem, że potrzebuję pomocy. Nic w tej sprawie nie zrobiłem. Powinienem, ale nie zrobiłem. Nie znalazł się nikt, kto by mnie do tego namówił. Później, kiedy już było bardzo źle i byłem mężem Irmgard, to nie jej wina, że nie rozumiała, że potrzebowałem pomocy, a nie piekła w domu. Nie winie Lyman School za to, kim jestem. Nikogo nie winie, tylko siebie. Ci psychiatrzy mówią, że zrzucam winę na inne rzeczy... na społeczeństwo do pewnego stopnia, jak to przed chwilą powiedzieliście, ale ja tak nie mówię. Człowiek robi to, co robi, i musi wziąć winę na siebie. Tak to czuję... Często myślę o tym, kto zawinił, i stwierdzam, że ja sam, ponieważ mogłem robić coś innego. Mogłem szukać pomocy. Nawet kiedy byłem starszy i pracowałem, żeby utrzymać siebie i rodzinę, mogłem jeszcze coś poradzić, ale niczego nie zrobiłem".

Spotkanie z psychiatrią

Poszedłem do jednego (psychiatry) w 1961 roku. Była to najtrudniejsza droga szukania pomocy. Opowiedziałem mu, co mnie napędza, a on powiedział, że wszystko zależy ode mnie.

Albert DeSalvo

DeSalvo przez całe życie był badany przez szereg psychiatrów. Niestety dopiero kiedy przyznał się do napaści seksualnych, udało mu się ich przekonać, że jego problemy są poważne.

Pierwszy raz badano go w wieku trzynastu lat w poprawczaku. Psychiatra ustalił, że iloraz inteligencji badanego wynosi dziewięćdziesiąt trzy i odnotował: "Chłopiec wymaga stosownego nadzoru opieki społecznej oraz ukierunkowania zainteresowań na kontrolowane zajęcia w grupie, jak na przykład skauting lub YMCA". Przez następnych szesnaście lat nie poświęcano chłopcu uwagi do chwili aresztowania za pierwszą serię napadów na kobiety.

"Wtedy po raz pierwszy jako dorosły rozmawiałem z psychiatrą - wspomina DeSalvo. - Myślałem, że mi pomogą, ale uwierzcie, Bridgewater to nie miejsce, gdzie można uzyskać jakąkolwiek pomoc... Ten psychiatra powiedział, że potrzebuję pomocy, powiedział, że od dawna jestem zaburzony i że proponuje przeprowadzenie badań... powiedział, że mam psychopatyczne tendencje - wiem, co to znaczy - powiedział, że nie wystarczy wsadzić mnie do więzienia. Wysłali mnie do więzienia, ale mi nie pomogli... Wyszedłem w kwietniu 1962 roku... było już wtedy za późno, by uratować te kobiety". DeSalvo ciepło wspomina psychiatrę z Bridgewater. "To był bardzo rozsądny człowiek, myślę, że miał rację w tym, co mówił o skłonnościach psychopatycznych - i zgodził się ze mną, że potrzebuję pomocy". Istotnie, wspomniany psychiatra napisał o DeSalvo z dużą przenikliwością: "Mamy do czynienia z od dawna zachwianą osobowością, z polimorficznymi skłonnościami do perwersji, którym towarzyszy mania wielkości". Zalecił też szczegółowe badania w celu ustalenia "kierunków tendencji psychopatycznych". Zalecenia zignorowano i DeSalvo opuścił więzienie po odsiedzeniu zasądzonego wyroku.

Kiedy DeSalvo wyszedł z więzienia, a Dusiciel był ciągle nieuchwytny, policja zwróciła się do psychiatrów z prośbą o pomoc w nakreśleniu psychologicznego profilu mordercy. Nie ma nic bardziej okrutnego i niesprawiedliwego jak krytyka po fakcie, ale nie sposób powstrzymać się od komentarza, że profile nie zawsze są trafne. Jeden z psychiatrów sugerował, że zabójca jest "psychotycznym zboczeńcom seksualnym, który cierpi na niezwykle dotkliwą formę schizofrenii" i żyje w wyimaginowanym świecie. Inny zastanawiał się, czy ofiary Dusiciela podświadomie mu

nie sygnalizowały, posługując się jakąś nieuchwytną formą komunikacji pozazmysłowej, że przedstawiają sobą typ seksualny, którego szuka. Ten sam psychiatra rozumował, że przeszukując mieszkanie ofiar, zabójca szukał symboli fallicznych. Trzeci psychiatra twierdził, że Dusiciel był człowiekiem, który próbuje odnaleźć potencję seksualną i w tym celu po wielokroć zabija własną matkę. W miarę jak nasilono poszukiwania, a opinia publiczna była coraz bardziej poruszona zbrodniami, sięgnięto po inne, bardziej niekonwencjonalne formy prowadzenia śledztwa: o opinię poproszono między innymi słynne medium z Holandii. Zwrócono się również do pewnego człowieka, który utrzymywał, że posiada zdolność postrzegania pozazmysłowego. Człowiek ten będąc w transie, udzielał licznych wskazówek policji.

Powołano komisję, w której skład weszli wybitni psychiatrzy z Bostonu. Miała ona na celu dokonanie analizy zabójstw. Członkowie komisji doszli do wniosku, że najprawdopodobniej dwóch mężczyzn dokonywało morderstw, z których jeden zabijał wyłącznie starsze kobiety. Przypuszczali, że zabójca (lub zabójcy) młodych kobiet, to "cechujący się chwiejną osobowością przedstawiciele) mniejszości homoseksualnej", podczas gdy zabójca starszych kobiet był biernym heteroseksualistą, zdominowanym przez matkę, "uroczą, schludną, uwodzicielską, pewną siebie, surową, przytłaczającą swoją osobowością kobietą, (która) mogła chodzić na pół obnażona po mieszkaniu, ale surowo karała syna za okazywanie jakiejkolwiek ciekawości sprawom seksu. W konsekwencji - kontynuowali psychiatrzy -chłopiec dorósł w przekonaniu, że kobiety to napawająca strachem tajemnica. Miał mnóstwo zahamowań w związkach hete-roseksualnych, ale środowisko, w którym przebywał, prawdopodobnie powstrzymywało go od otwartej manifestacji homo-seksualizmu". Członkowie komisji zrobiliby lepiej, gdyby skupili się na analizie porównawczej ofiar i ich zabójcy pod kątem socjologicznym, a nie seksualnym. Gwoli sprawiedliwości, jeden z nich wykazał się większą przenikliwością od swoich kolegów psychiatrów, kiedy poproszono go o wyjaśnienie, dlaczego Dusiciel zakończył morderczą działalność na Mary Sullivan. Po zapoznaniu się ze szczegółami jej śmierci James Brussel stwierdził: "Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy już nigdy nie usłyszeli o tym człowieku. Myślę, że ma dosyć". Brussel doszedł do takiego wniosku opierając się na teorii "poszukiwania potencji". Zgodnie z tą teorią. Dusiciel zakończył poszukiwania i sądząc po imponujących przejawach potencji na ciele Mary Sullivan "wyleczył się".

Kiedy DeSalvo został aresztowany za napaści na tle seksualnym, policja zastanawiała się, czy Dusiciel to on, ale odrzucono ten pomysł, ponieważ nie pasował do profilu sporządzonego przez psychiatrów. Jak to ujął Frank, nic nie pasowało: "brak przemożnej nienawiści do matki, brak kompleksu Edypa, ewidentnie żadnych problemów z potencją - jeśli już to strach i pogarda dla ojca oraz wstyd za to, jak ojciec traktował matkę". Zatrudnieni w Bridgewater psychiatrzy badali DeSalvo i doszli do wniosku, że cierpi na "psychopatyczne zaburzenia osobowości, charakteryzujące się dewiacją seksualną, przy wyraźnych cechach schizofrenii i tendencjach depresyjnych", która to "diagnoza" oparta była wyłącznie na informacji, że DeSalvo był gwałcicielem i dokonywał czynów lubieżnych. Uważali, że balansował na granicy zaburzeń psychicznych, ale mógł stanąć przed sądem i odpowiadać za swoje czyny. Kiedy sąd odesłał DeSalvo do Bridgewater na powtórne badania, więzień zaczął coś bredzić w celi - tym razem lekarze uznali, że jest psychotykiem "Ł tendencjami samobójczymi i że bez wątpienia cierpi na schizofrenię". Miną miesiące, zanim ktokolwiek uwierzy w powtarzane z uporem przez więźnia twierdzenie, że jest Dusicielem.

Dalsze rozbieżności w opiniach psychiatrów wystąpiły w czasie przesłuchań, które miały na celu ustalenie zdolności DeSalvo do stanięcia przed sądem za napaści seksualne. Dr Robert Mezner zeznał, że DeSalvo cierpi na "przewlekłą schizofrenię, która stanowiłaby przeszkodę dla oskarżonego w postrzeganiu rzeczywistości w sposób, w jaki odbiera ją każdy człowiek". Doktor Samuel Tartakoff zasadniczo zgodził się z tym poglądem, ale scharakteryzował DeSalvo jako "socjopatę o niebezpiecznych tendencjach, osobnika, który od wczesnych lat okazywał odchylenia od powszechnie uznanych norm zachowania, myślenia i reakcji emocjonalnych". Doktor Ames Robey argumentował w sposób odwrotny. Jego zdaniem DeSalvo padł ofiara "reakcji schizofrenicznej", i wywnioskował: "Twierdzę, że w żaden sposób, powtarzam, w żaden sposób nie mogę go uznać za zdolnego do odpowiadania za własne czyny". Kiedy DeSalvo przebywał w szpitalu, Robey przyglądał się pacjentowi, który kiwał się "do przodu i do tym, często robiąc wrażenie typowego socjopaty, innymi razy zachowywał się prawie jak histeryk, jeszcze innymi wykazywał zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, zbliżając się bardziej do ostrej, nie kontrolowanej psychozy". Robey twierdził ponadto, że DeSalvo cierpiał na coś, co zazwyczaj nazywamy "paniką homoseksualną, lub innego typu paniką seksualną". Jego zdaniem DeSalvo "z powodu leżącej u podstaw problemu choroby ma głęboką potrzebę zamanifestowania sobie i innym, jak bardzo jest ważny", ale nie pokusił się o znalezienie źródeł takiej potrzeby u oskarżonego.

Interpretacja

Wielu ludzi zginało dla słusznej sprawy. Myślę, ze nie zginęli na darmo.

Albert DeSalvo

Co mamy sądzić o tym domniemanym "wrogu swojej matki," który w rzeczywistości był jej ulubionym dzieckiem, ochraniał ją i czule kochał? Albo o "wściekłym zwierzęciu," które zabijało wyłącznie kobiety, ale wielbiło swoją żonę i było oddane kalekiej córce. Co można powiedzieć o tym "szukającym potencji"

człowieku, który każdego dnia z pół tuzina razy zostawiał plamy nasienia na ciałach kobiet i ubraniu i ciągle czuł się nie zaspokojony? I wreszcie jak pojąć "psychotyka", który rozmawiał z nami swobodnie i zrozumiałym językiem, ale który uważał, że jego ofiary oddały życie dla "słusznej sprawy"? Możemy ulec pokusie i podobnie jak Peter i Favret, kiedy pisali o pewnym dziewiętnastowiecznym zbrodniarzu, zamknąć akta tej okropnej sprawy i zamilknąć - ale gdybyśmy tak zrobili, nie moglibyśmy "spłacić długu wobec ofiar".

Nie byłoby trudności ze zrozumieniem, dlaczego ktoś, kogo udziałem stało się życie pełne nikczemności i cierpienia, nagle wybuchnął, wyruszając jako morderca na niesamowitą wyprawę, znacząc trupami do tej pory anonimową podróż. Ale DeSalvo, jak wielu z omawianych tu wielokrotnych morderców, potrafił uwolnić się od swojego "brzydkiego", proletariackiego pochodzenia, zerwał z "życiem, jakim nie daje się żyć na co dzień". To prawda, że jego dzieciństwo wystarczyłoby do złamania kogoś słabszego - obrywanie nieustannych cięgów od ojca, przyglądanie się, jak wyłamywał palce matce i sprowadzał do domu prostytutki, by się z nimi zabawiać na oczach rodziny. Nie zapomnijmy o pijaku zabitym przez bezdomnych uliczników dla portfela, ani o pieszczotach homoseksualistów pedofilów w zamian za nędzne wynagrodzenie. Jest jeszcze okres niewoli. Jednak wszystkie wymienione tu zamachy na ciało i duszę nie zdołały zniszczyć tego człowieka.

Jeszcze zanim opuścił świat internatów i szkół, tkwiąca w nim głęboko ambicja pchnęła go do przyprawiającej o zawrót głowy wspinaczki po stromej drabinie społecznej. Nawet jeśli nienawidził szkoły w poprawczaku, to zachowanie w szkole powszechnej było wzorowe: jechał na opinii i na pozytywnych cechach charakteru, a zwłaszcza na pokorze. "Nigdy nie dostawałem dobrych stopni, ale nauczyciele mnie faworyzowali -byłem ulubionym chłopcem na posyłki, kupowałem im kanapki - i tak jakoś szło". Bazował na tych samych cechach w czasie służby wojskowej, gdzie wyróżniał się jako nienaganny żołnierz, okazując szacunek przełożonym i przestrzegając regulaminu -spodnie zawsze w kancik, mundur zapięty na ostatni guzik, buty na glans, najlepiej utrzymane samochody... dwadzieścia siedem razy miałem służbę przy pułkowniku". Był dzieckiem wychowanym w świecie przemocy, ale w bójkach brakowało mu pewności siebie. W wojsku odkrył w sobie specjalne umiejętności i przez dwa lata bronił tytułu mistrzowskiego w wadze średniej w zawodach bokserskich organizowanych przez armię amerykańską stacjonującą w Europie.

Małżeństwo z wyjątkowo drobnomieszczańską Irmgard jednocześnie odzwierciedlało i umacniało zdobytą pozycję społeczną. Czcił ją i słusznie, bo pochodziła z tak dobrej rodziny, że "nikt z jej strony nigdy nawet nie widział więzienia od środka". Poprzez małżeństwo noszące znamiona mezaliansu DeSalvo powtórzył to, co zrobił znienawidzony ojciec lumpenproletariusz. Ten wyjątkowy brutal z wyrokami za kradzieże, uchylanie się od łożenia na rodzinę, napaści i pobicia, włamania, zwykłe burdy, znęcanie się nad żoną i napaść z bronią w ręku, ożenił się z pochodzącą z szacownego domu skromną córką oficera bostońskiej straży pożarnej. Jeden z sędziów, który uczestniczył w rozprawie DeSalvo, przypomniał sobie jego matkę. "Lubiłem ją. Pochodziła z dobrej jankeskiej rodziny". Tym samym ujawnia się ciekawy fakt socjologiczny: DeSalvo dorastał w atmosferze wojny klasowej, w której proletariacki mąż z niewymownym okrucieństwem znęcał się nad burżuazyjną żoną. DeSalvo postanowił, że nie powtórzy tej tragedii i mimo lepszego pochodzenia traktował swoją żonę z największym szacunkiem, niemal służalczością. Obrażała go w obecności przyjaciół:

"przez nią czułem się jak śmieć... miałem z jej powodu kompleks niższości" - skarżył się, a raniła go najbardziej, kiedy obrażała jego rodzinę. Wreszcie rzadko się zdarza, by popęd seksualny obu partnerów był bardziej rozbieżny, co w sumie czyniło to małżeństwo wręcz niezdolnym do funkcjonowania. Bardzo szybko DeSalvo zaczyna uwodzić i molestować kobiety w całych Niemczech (gdzie stacjonował), chociaż za te czyny nigdy nie został postawiony w stan oskarżenia. Kiedy wrócił do Stanów Zjednoczonych i odszedł z wojska, kontynuował napaści na kobiety. W końcu został aresztowany w 1961 roku za działalność "Człowieka z Centymetrem Krawieckim", po czym przez rok przebywał w szpitalu psychiatrycznym.

W szpitalu, przepełniony miłością i podekscytowany myślą o powrocie do żony, opowiedział psychiatrze o swoim niewolniczym stosunku do niej. "Nie mogę się doczekać, kiedy wyjdę, żeby być z nią razem i traktować tak, jak powinno się traktować żonę, nawet jeśli miałbym myć jej stopy". Ale kiedy został zwolniony, odrzuciła go i wtedy cały świat się zawalił, gdyż zrozumiał, że na zawsze został wygnany z upragnionego świata. "Wychodzę po roku z więzienia, przez rok sam jak palec w celi, a Irmgard mówi mi: "Zmarnowałam rok życia". Wyznacza mi okres próbny. "Musisz nauczyć się panować nad popędem seksualnym" - mówi... Krzyczała, że jestem obleśny i odrażający, nazywała mnie zwierzęciem. W łóżku nie czułem się mężczyzną". Wkrótce po wypuszczeniu na wolność postanowił wprowadzić w czyn to, o czym naczytał się w więzieniu (powieści kryminalne, dużo erotyki). W ten sposób rozpoczął karierę wielokrotnego mordercy. Ale dlaczego uległ takiej przemianie? Dlaczego, przytaczając jego słowa, "było już za późno, by uratować te kobiety"? Czyny lubieżne i gwałty, które charakteryzowały działalność "Człowieka z Centymetrem", wystarczyłyby do zaspokojenia popędu i dania upustu ciągle tlącemu się gniewowi. Ale tego typu działanie nie wystarczało do zaprotestowania przeciwko wykluczeniu z klasy społecznej, do której pragnął należeć. Zdawało mu się, że wiele kobiet, które napastował, lubiło to, co robi -jedna dała mu nawet

sto dolarów i błagała, by przyszedł jeszcze raz. Z pewnością zdał sobie sprawę, że wiele z nich odbierało jego nagabywania jako wyraz adoracji, a nie poniżenia. Teraz musiał sięgnąć po inną, mniej dwuznaczną formę przekonania kobiet i całego społeczeństwa o swojej mściwości i chęci znieważenia: będzie zabijał, okaleczał ciała i robił wszystko, by upokorzyć swoje ofiary (wrzucanie ciał do wanny, układanie ich w wyzywających pozycjach, zostawianie obraźliwych kartek). W ten sposób narodziła się myśl o "zadaniu" - na wpół uświadomiona i nie wypowiedziana do końca będzie protestom przeciwko wyrzuceniu poza margines, zapłatą za poniżenie i przywróci status mężczyzny.

Kiedy zaczął zabijać, psychiatrzy, którzy badali jego przypadek, przyjęli kilka błędnych założeń twierdząc, że nie uświadomione manifestowanie seksualizmu jest główną siłą motoryczną ludzkiego zachowania. Niestety wiara w dogmaty ma to do siebie, że ci, którzy w nie wierzą, gardzą faktami; psychiatrzy nie przeanalizowali zabójstw ani nie zwrócili uwagi na pełne społecznej symboliki elementy występujące przy każdym morderstwie. Pierwszy z nich, którego waga została zignorowana przez wszystkich zajmujących się sprawą, to uderzająca jednolitość społeczna domów, w których dokonywał napaści. Jak czytelnik zapewne pamięta, DeSalvo nigdy nie polował w zamożnym Swampscott, ponieważ mieszkające tam pewne siebie i drwiące z niego kobiety onieśmielały go, czyli innymi słowy zbytnio podkreślały barierę społeczną, której nie mógł pokonać. Nie szukał też ofiar w przepełnionych kamienicach czynszowych, ich mieszkanki zupełnie go nie interesowały (jak mogłoby być inaczej, skoro nie należały do klasy, która się go wyrzekła). Zabójstw dokonywał w średniozamożnych mieszczańskich dzielnicach, kiedyś nawet cieszących się wzięciem, ale obecnie przeżywających swój schyłek. W ten sposób ofiarami stały się kobiety należące do niższej warstwy klasy średniej. Miały dość z klasy średniej, by wzbudzić chęć zemsty. Jednocześnie nie odbiegały od środowiska DeSalvo, by w rozmowie z nimi plątał mu się język albo by nie wiedział, jak się zachować. Jak wszyscy omawiani tu wielokrotni mordercy, DeSalvo zaatakował bardzo konkretną kategorię społeczną, stanowiącą wąski wycinek zróżnicowanego klasowo społeczeństwa, reprezentowaną przez tych wszystkich, którzy go uciskali, wyparli się go i próbowali przekreślić. Nic dziwnego, że DeSalvo się zbuntował i patrzył z lekceważeniem na "ubogie" mieszkanie Graff, które nie pasowało do przesłania "misji".

Drugim elementem koniecznym do zrozumienia jego działań był sposób, w jaki uzyskiwał dostęp do mieszkań swoich ofiar. Był nim podstęp, zarówno przy wcześniejszym napastowaniu seksualnym, jak i przy morderstwach. Czasami byłoby mu o wiele łatwiej (i z pewnością mniej by ryzykował, gdyż stosowana metoda wręcz prosiła się o zdemaskowanie), gdyby otwierał zamki wytrychem. Jednak posłużenie się taką metodą podważyłoby sens napaści, czyli "odegranie się na ludziach z wyższych sfer" i wystrychnięcie ich na dudka. Podstęp zatem był niezbędnym elementem "misji" i miał wyprowadzić w pole, a następnie upokorzyć ofiary, dowodząc wyższości DeSalvo. Ludzie postronni i eksperci zwrócili uwagę na ten fakt, ale tylko po to, by odgadnąć, w jaki sposób tak łatwo udawało mu się wejść do mieszkań; nie zastanawiali się, dlaczego przy tak powszechnym użyciu łomu do wyważania okien i drzwi, DeSalvo nie korzystał z tej metody.

Trzecim i często błędnie pojmowanym elementem całej sprawy był seks. Psychiatrzy zwrócili uwagę na zmianę w postępowaniu DeSalvo przy zabijaniu kolejnych ofiar. Początkowo nie było śladów spermy na ciałach kobiet, ale znajdowano plamy na podłodze. Dowody na to, że doszło do stosunku pojawiły się, gdy zaczęły ginąć młode, atrakcyjne kobiety. Wyciągnięto następujący wniosek: DeSalvo "zdecydował", że czas dać spokój "bezproduktywnemu" molestowaniu starszych pań, gdyż wzrost potencji pozwoli mu na zgwałcenie kobiety dojrzałej. Z drugiej jednak strony wiemy, że wybór kobiet był zupełnie przypadkowy i zależał wyłącznie od tego, kto pierwszy nacisnął guzik domofonu i otworzył drzwi. Gwałcił ofiary, gdy wydawały mu się atrakcyjne; jeśli nie, wytrysk mogło spowodować chorobliwe podniecenie przemocą, ewentualnie onanizował się, stojąc nad trupem. Nic w tym dziwnego, gdyż miał niezwykle silny popęd płciowy - czasami miewał bezwolne wytryski na przykład podczas prowadzenia samochodu. Mówiąc o seksie należy zwrócić uwagę na fakt, że atakował (podobnie jak Kemper, Bundy i Berkowitz) Kobietę-Ideał - ale nie młodziutkie studentki z klasy średniej preferowane przez wymienionych morderców, ani kobiety o konkretnym wyglądzie, ale kobiety należące do określonej warstwy społecznej:

niższej warstwy klasy średniej. Znalezienie zaspokojenia seksualnego, jeśli do niego dochodziło, nie było głównym motywem działania, lecz premią.

Po wyszukaniu ofiary należącej do konkretnej warstwy społecznej, zmyleniu podstępem, zabiciu i zbezczeszczeniu zwłok za pomocą profanujących ozdób lub ułożenia ciała, DeSalvo przystępował do ostatniego, niezmiennego elementu zajścia: przeszukiwania mieszkań. Nie wiedział, czego szuka. "Nigdy niczego nie zabrałem. Nigdy niczego nie potrzebowałem".

Początkowo zakładano, że szukał cennych przedmiotów, ale zostawiał je na miejscu zbrodni. Psychiatrzy sądzili, że szuka przedmiotu, który miałby związek z przedstawioną interpretacją teorii Freuda. Jaka jest prawda? "Nie wiedzieć czemu jestem wściekły i nie wiem, czego szukam - twierdził DeSalvo. Przetrząsał torebki, szperał w szafach i szufladach, przeglądał kolorowe pisma i płyty - robił to wszystko w jakimś oszołomieniu, był też podwójnie zły, bo nie wiedział, czego szuka i poszukiwania nie przynosiły rezultatu. Ślęcząc nad albumami ze zdjęciami, przerzucając wyciągi bankowe, szukał jakiejś wskazówki, która

powiedziałaby mu, co robi i kim jest. To, czego szukał, znalazł w mieszkaniu swojej ostatniej ofiary i dlatego znikła potrzeba dalszego zabijania. To, czego szukał, uwidoczniło się pod postacią kartki z noworocznymi życzeniami;

umożliwiła mu ostateczne znieważenie społeczeństwa. Zatem celem działania była zemsta na społeczeństwie, przesycona wściekłością reakcja za wyparcie się go - wszystko to wyraził kartą z życzeniami. Kiedy umieścił ją u stóp ofiary, zrozumiał, dlaczego zabijał, i w ten sposób uwolnił się od przymusu kontynuowania morderczej działalności - zadanie zostało spełnione.

Oto co osiągnął: odegrał się na tych, co stali wyżej od niego na drabinie społecznej, przechytrzając ich i kradnąc to, co mieli najcenniejszego - ich życie, a przy okazji dał upust popędowi seksualnemu. Wykazał swoją męskość; jakby w uznaniu tego faktu Irmgard ponownie się do niego zbliżyła, okazując "tyle miłości". Być może pozwolił sobie również na luksus złudzenia, że życie, o którym marzył, stanie się jego udziałem. Został jednak bardzo szybko aresztowany za wcześniejsze gwałty. Ponadto nasilała się potrzeba przyznania się do popełnionych czynów, bo wyglądało na to, że nikt nie wiedział, czego dokonał ani w jakim celu. Świat koniecznie musiał się dowiedzieć, że jego ofiary nie zginęły na darmo, ale dla słusznej sprawy. Poza tym przekonał się, że z tą miłością Irmgard nie było tak, jak mu się zdawało: "W ciągu ostatnich dwóch miesięcy, które spędziliśmy razem, po raz pierwszy pozwoliłaś, bym poczuł się jak mężczyzna - wyznał żonie. - Dałaś mi miłość, a ja już sądziłem, że nie jesteś do niej zdolna. Ale dlaczego? Przecież miałaś wszystko, o czym marzyłaś... wszystko, czego chciałaś: urządzony dom, pieniądze". Czuł się oszukany i za to odpłacił dobrowolnym przyznaniem się do winy.

Adieu

Zaspokoiwszy potrzebę złożenia wyjaśnień i opowiedzenia o wszystkim, zrozumiawszy, przynajmniej częściowo, co uczynił, błagał o uznanie go za niepoczytalnego, co byłoby dla niego swoistym przebaczeniem. Głęboko przeżył odmowę sądu[16]. Był , tylko buntownikiem, zbyt nieśmiałym, by wziąć odpowiedzialność za to, nad czym tak ciężko się napracował. Jak to było w przypadku innych buntowników, sprawa, o którą walczył, straciła blask. Próbował w jakiś sposób wynagrodzić wyrządzone zło poprzez powrót do proletariackich korzeni: poniżał się pełniąc rolę służącego starszych więźniów. "Golę starszych mężczyzn, myję ich... pomagam tym ludziom, daję im lepsze życie. Nawet jeśli nigdy mnie nie wypuszczą, będę coś dla nich robić... uważam, że mam zupełnie przyzwoity stosunek do całej sprawy. Ciągle wydaje mi się, że mogę z siebie coś dać. Wielu ludzi zginęło dla słusznej sprawy. Myślę, że nie zginęli na darmo". Jak wielu wielokrotnych morderców, DeSalvo czuł się nieswojo zrozumiawszy, że słuszna sprawa, dla której zabijał tak chętnie, była formą wojny klasowej. Niecałe dziesięć lat po skazaniu zginął pchnięty nożem podczas więziennej bójki. Może i lepiej dla niego.

Demony zrobiły ze mnie żołnierza
DAVID RICHARD BERKOWITZ
Nakazujemy ci, byś siał grozę wśród ludzi. Walcz z dobrem i odbieraj ludziom życie.
David Berkowitz

Berkowitz był nieślubnym dzieckiem; został również adoptowany. W swoich licznych, często buńczucznych oświadczeniach dla policji i prasy nazywał siebie Synem Sama. Dzięki zręcznemu manipulowaniu dziennikarzami zdobył rozgłos na długo przed aresztowaniem. Berkowitz ma dla nas znaczenie nie tylko jako jeszcze jeden przykład omawianego w tej książce zagadnienia; jest jednym z niewielu, którzy składają na tyle wyczerpujące zeznania, że mogłoby to istotnie świadczyć o chorobie psychicznej. Berkowitz, twierdząc, że jest nawiedzony przez wyjące demony ciemności, wydaje się chory i właśnie to przeświadczenie sprawiło, że społeczeństwo odetchnęło z ulgą. Niestety, istnieją liczne dowody na to, że jego myślami i zachowaniem wcale nie kierował szatan - jak Berkowitz pierwotnie twierdził - albo wymykające się spod jego kontroli moce. Dogłębna analiza tej postaci zmusza nas do rewizji przedstawionej nam przez Berkowitza wizytówki wariata.

Ponieważ jest zarówno dzieckiem swoich czasów, jak i dobrym przykładem do weryfikacji pojęcia choroby psychicznej -przynajmniej w kontekście medycyny sądowej - jego osoba wymaga skrupulatnej analizy. Wiemy, że jego poczucie społecznej tożsamości zmieniało się jak w kalejdoskopie: Żyd, który przeszedł na ewangelicyzm, szeregowy policjant, który imał się zajęć bez żadnych perspektyw, oraz człowiek, który czcił broń, lecz odmówił jej noszenia w czasie służby w armii amerykańskiej w Korei. Jest wreszcie nieślubnym dzieckiem, a zacznie zabijać, gdy zda sobie sprawę, że ktoś, kogo uważał za ojca to jedna osoba, prawdziwy ojciec to druga, a ojczym to trzecia. Taki człowiek nie mógł uzyskać

[16] 'Trzydziestego czerwca 1966 roku rozpoczął się proces, w wyniku którego DeSalvo dostał wyrok dożywotniego więzienia. Został skazany za liczne przestępstwa seksualne, a nie za zbrodnie przypisywane Dusicielowi, gdyż mimo pełnej zgodności zeznań nie potrafiono jednoznacznie wykazać, że rzeczywiście nim był. Zginął w roku 1973 w wieku 43 lat (przyp. tłum.).

międzynarodowego rozgłosu ani stworzyć dającej się zaakceptować tożsamości społecznej, dopóki nie został mściwym Synem Sama.

CZAS ZABIJANIA

Jestem demonem z przepaści bez dna, który tu, na ziemi, ma siać zamęt i strach. Jestem wojną, jestem śmiercią, jestem zagładą.

David Berkowitz

Według dziennika pisanego w więzieniu, demon, którym twierdził, że jest, oraz inne demony, które wskazywały mu drogę, objawiły się już we wczesnym dzieciństwie. "Nie mam cienia wątpliwości - pisał - że demon mieszkał we mnie od urodzenia. Całe życie byłem nieposkromiony, porywczy, nikczemny, okrutny, sadystyczny, motywowany nieuzasadnionym gniewem i destrukcyjny. Kiedy byłem dzieckiem, często miewałem realistyczne i przerażające mary nocne... Widywałem potwory, słyszałem je i nieraz biegłem z histerycznym krzykiem do pokoju rodziców... Dzisiaj wiem, że potwory były prawdziwe, tak samo jak teraz. Prześladowały mnie przez całe życie - nigdy nie zostawiały w spokoju". W dzieciństwie i okresie dojrzewania działalność demonów ograniczała się do nakłaniania Berkowitza do podpaleń. Kiedy miał dwadzieścia jeden lat, zaczął prowadzić ich rejestr: pomiędzy wrześniem roku 1974 a grudniem roku 1975 odnotował 1488 pożarów, z których kilka spowodowało znaczne straty. W miarę jak gniew przybierał na sile i zbliżał się do punktu kulminacyjnego, Berkowitz zastrzelił kilka psów w okolicy i zaczął wysyłać sąsiadom listy z pogróżkami.

W listopadzie 1975 roku dwudziestodwuletni Berkowitz rozpoczął poważne przygotowania do wendety. Wziął miesiąc urlopu z pracy, gdzie pełnił obowiązki ochroniarza, i zamknął się w małym mieszkaniu w robotniczej części dzielnicy Yonkers. Zasłonił okna kocami, by do środka nie wpadało światło, a spał na podłodze na gołym materacu. Na dwór wychodził tylko po to, by kupić coś do jedzenia; poza masturbacją była to jego jedyna rozrywka. Ściany zaczął pokrywać napisami: "W tej dziurze mieszka Zły Król", "Zabij dla mojego Pana", "Zamieniam dzieci w Morderców".

Pierwsza próba zabójstwa zakończyła się niepowodzeniem. W Wigilię 1975 roku uzbrojony w nóż myśliwski opuścił mieszkanie w przekonaniu, że nadeszła pora działania. Udał się w kierunku Coop City - średniozamożnej dzielnicy z przewagą wieżowców - gdzie mieszkał z ojcem. Parkując samochód zobaczył pierwszą ofiarę. Kiedy podchodził do kobiety, demony, jak później twierdził, szeptały mu do ucha: "Trzeba ją złożyć w ofierze - mówiły, gdyż pragnęły pić jej krew". Berkowitz był świadom wagi swojej misji. "Miałem zadanie do wykonania, więc je wykonywałem". Kiedy jednakże wbił kobiecie nóż w plecy, był rozczarowany rezultatem, wręcz przerażony: "Wbiłem nóż, a ona nic. Odwróciła się i spojrzała na mnie. To było okropne. Krzyczała tak żałośnie, a ja nie wiedziałem, co do diabła z tym zrobić. Wcale nie było tak jak w filmach. W filmach rąbiesz kogoś od tyłu, a ta osoba po cichu osuwa się na ziemię. Martwa. A tu było inaczej. Gapiła się na nóż i krzyczała. Wcale nie miała zamiaru umierać". Spłoszony krzykami ofiary, Berkowitz rezygnuje z dokończenia dzieła i ucieka. Opowiadał później psychiatrze, że lęk kobiety go zaskoczył. "Nie miałem zamiaru jej obrabować ani dotknąć lub zgwałcić, chciałem ją tylko zabić". Nigdy nie ustalono tożsamości niedoszłej ofiary; prawdopodobnie grube, zimowe palto uratowało kobiecie życie.

Kiedy chwilę później biegł wzdłuż bloku, w którym mieszkał z ojcem, zobaczył nadchodzącą piętnastoletnią Michelle Forman. "Nie wiedziałem, co zrobić, żeby zabić - opowiadał później Davidowi Abrahamsenowi, psychiatrze. - Pchnąłem nożem, spojrzała na mnie, pchnąłem raz jeszcze. To było okropne". Biograf Berkowitza, Lawrence Klausner odnotował, że Forman zadano trzy ciosy w tułów i dwa w twarz. Dziewczyna upadła, krzyczała i krwawiła. "Nigdy nie słyszałem, by ktoś tak krzyczał - wspomina Berkowitz. - Ciągle krzyczała, a ja zadawałem kolejne ciosy i dalej nic. Zaczęła się jeszcze bardziej szamotać i krzyczeć... już sam nie wiem, po prostu uciekłem". Ofierze zadano sześć ran kłutych głowy i tułowia. Mimo tych obrażeń i zapadniętego płuca Forman przeżyła napaść. Berkowitz święcił swój pierwszy "triumf' w podrzędnej restauracyjce.

Po sześciu miesiącach głosy kazały Berkowitzowi zadać kolejny cios. Wieczorem szóstego lipca 1976 roku do papierowej torby włożył pistolet typu Special Bulldog .44 i zaczął krążyć po ulicach czekając na Jakiś sygnał, że ma użyć broni". Kiedy w pobliżu na światłach zatrzymał się samochód, w którym siedziały dwie dziewczyny, głosy zawołały: "Bierz je!" Pojechał za nimi. Dziewczęta zaparkowały samochód i wysiadły, ale zanim Berkowitz ruszył w ich stronę, zniknęły w ciemnościach.

Wkrótce potem rzucił pracę. Spędzał dni na szukaniu nowego zajęcia i wieczornych przejażdżkach po mieście - "szukał ofiary i czekał na sygnał". Wreszcie został zatrudniony jako instalator systemów wentylacyjnych w oddawanych do użytku budynkach. Kolejne polowanie też zostało uwieńczone sukcesem.

W nocy dwudziestego ósmego lipca 1976 roku, z pistoletem w papierowej torbie i słysząc głosy natrętnie domagające się krwi, Berkowitz wyruszył na poszukiwanie ofiar, które mogłyby zaspokoić spragnione demony. W Bronksie minął zaparkowanego Oldsmobila, w którym rozmawiały dwie kobiety. Osiemnastoletnia Donna Lauria była technikiem medycznym, a jej dziewiętnastoletnia przyjaciółka. Jody Valenti, studentką pielęgniarstwa. "Wiedziałem, że muszę je dorwać - wspominał Berkowitz. - Takie otrzymałem rozkazy. Te kobiety zobaczyłem po raz pierwszy w życiu na chwilę przed oddaniem strzałów".

Zaparkował samochód za rogiem i pewnym krokiem ruszył w stronę Oldsmobila. Chciał, by zabójstwo było "czymś w rodzaju żartu". Podszedł do okna i strzelił pięć razy do kobiet siedzących w środku. Pierwsza kula strzaskała szybę i trafiła Laurię w szyję, druga trafiła Valenti w udo. Wijąc się z bólu Valenti upadła do przodu naciskając głową klakson. "Zacząłem strzelać w szybę - wyznał Berkowitz. - Patrzyłem, jak szkło się rozpryskuje. Nie mogłem oderwać wzroku od tego widoku. Tysiące szklanych okruchów... Opróżniłem magazynek, ale dalej naciskałem spust i słyszałem tylko odgłos spadającej iglicy... nie zdawałem sobie z tego sprawy... Poszedłem do domu i położyłem się do łóżka".

Zapadł w głęboki, niespokojny sen. Obudził się z poczuciem spełnienia i dopiero z porannej gazety dowiedział się, że zabił Laurię. "Nie przyszło mi do głowy, że ją zabiłem, nie mogłem w to uwierzyć. Tylko strzelałem, no wiecie, w ten samochód, w przednią szybę. Nie wiedziałem, że ta kobieta zginęła". Jak twierdzi, czuł się "dumny", kiedy szedł do pracy w firmie taksówkarskiej. "Stawiłem się do pracy o 6.45. Miałem wyjątkowo dobry dzień: wysokie napiwki i dużo kursów". Podobnie jak Edmund Kemper, Berkowitz wyobrażał sobie, że zakochał się w Laurii, swojej pierwszej ofierze; przez jakiś czas twierdził, że demony zaaranżowały coś w rodzaju małżeństwa pomiędzy nim i jej duchem.

Kilka tygodni minęło w poczuciu zadowolenia, ale gdzieś w połowie września demony ponownie dały o sobie znać i Berkowitz ruszył na polowanie. Nocą dwudziestego trzeciego października wycie demonów zakłóciło sen i o 1.45 wsadził pistolet za pasek i ruszył w stronę Queens. Zatrzymał się za zaparkowanym Volkswagenem, którego właścicielką była Rosemary Keenan, osiemnastoletnia córka inspektora policji.[17] Dwudziestoletni Car! Denaro, którego sięgające ramion włosy zmyliły Berkowitza co do jego płci, siedział z przodu obok kierowcy. Berkowitz opróżnił magazynek strzelając w samochód. "Byłem bardziej przestraszony niż oni. Tylko jedna kula trafiła mężczyznę, a tak naprawdę, to wcale nie on był zamierzonym celem.

Strzelałem na oślep trzymając pistolet w jednej ręce. Tym razem to była fuszerka. Ale naprawdę, byłem strasznie spięty. (...) Stałem chwilę i patrzyłem. (Potem) pobiegłem do samochodu i pojechałem do restauracji "White Castle"". Denaro dostał postrzał w tył głowy, ale wrócił do zdrowia po dwóch miesiącach leczenia (w jego czaszce umieszczono metalową płytkę). Następnego dnia Berkowitz studiował gazety, które potwierdziły, że ofiarą był mężczyzna. Keenan nie odniosła obrażeń.

Wieczór dwudziestego szóstego listopada 1976 roku zastał go na kolejnym polowaniu. Jeździł bez celu po swoich terenach łowieckich i dopiero przed pomocą zobaczył szesnastoletnią Donnę DeMasi, która wraz z osiemnastoletnią przyjaciółką Joannę Lomino wracała do domu z kina. Donna zauważyła jakąś postać stojącą za latarnią i powiedziała: "Słuchaj, tam stoi jakiś facet i nas obserwuje. Wygląda jakoś dziwnie. Chodźmy szybciej". Berkowitz udał się za nimi. Tak wspominał wydarzenia tej nocy: "Ruszyły, zanim zdążyłem się schować za latarnią. Poszedłem za nimi. Zorientowały się i przyspieszyły kroku. Kiedy przeszedłem na drugą stronę ulicy i zacząłem się zbliżać, dotarły już do domu. Wiedziały, że jestem tuż, tuż i próbowały otworzyć drzwi". Kiedy Lomino nerwowo szukała klucza "szedłem już po trawniku. Wszystko szło wspaniale. Były tuż przede mną. Żeby ich nie spłoszyć, zacząłem pytać o drogę. Z każdą chwilą byłem coraz bliżej. Odwróciły się na chwilę do drzwi, ale te były ciągle zamknięte. Potem obróciły głowy w moją stronę. Miałem już broń w ręku i wycelowałem. Strzeliłem dwa razy. Trafiłem obydwie. Upadły po przeciwnych stronach schodów. Było tak, jak być powinno. Strzelasz i padają. Nic prostszego". W stanie euforii Berkowitz opróżnia magazynek: oddaje dwa strzały w okna domu i jeden w powietrze. DeMasi została trafiona w szyję - kula strzaskała obojczyk, ale dziewczyna przeżyła. Kula, która trafiła Lomino, poważnie uszkodziła kręgosłup - ofiara doznała trwałego porażenia kończyn dolnych.

W ten sposób Berkowitz zamknął swój okres praktykancki jako seryjny morderca. Trzy pierwsze próby ujawniły brak pewności siebie.

"Zdałem sobie sprawę, że to, co robię, jest nie tylko nielegalne, ale również niebezpieczne - opowiadał później Abrahamsenowi. - Też mogłem zostać zabity albo raniony. Ten facet w samochodzie mógł wyciągnąć broń i zacząć mnie gonić. Nie wiem, co wtedy by się zdarzyło. Trzeba także liczyć się z tym, że w chwili oddawania strzałów w pobliżu może się znaleźć samochód policyjny lub jakiś policjant wracający ze służby. Tak więc było czego się bać". Ale od tej chwili Berkowitz będzie się zachowywał jak zawodowiec: spokojny, całkowicie opanowany i bez cienia lęku.

Pięć tygodni po ranieniu Lomino i DeMasi noc dwudziestego dziewiątego stycznia 1977 roku znowu okazuje się bezsenna. Berkowitz wsadza czterdziestkęczwórkę za pasek spodni i rusza na łowy do Oueens, które wyjątkowo sobie upodobał. Tym razem parkuje samochód i dalej rusza na piechotę. Tuż po północy spostrzega idącą w jego stronę parę. "Minęliśmy się. Prawie otarliśmy się o siebie", ale głosy nieubłaganie nakazują "bierz ją, bierz ją i zabij". Dwudziestosześcioletnia Christine Freund wsiada do samochodu swojego kochanka, trzydziestoletniego Johna Diela. Obejmują się. Przygląda się temu Berkowitz i chce

[17] To jeszcze jeden z wielu zbiegów okoliczności, którymi usiane są omawiane tu przypadki. Córka detektywa Swindlera z policji w Seatfle przyjaźniła się z Bundym, tak i tu ojciec Rosemary Keenan będzie wkrótce pracował nad sprawą Berkowitza.

"zabić tylko ją, głosy nic nie mówiły o nim. Wycelowałem w jej głowę, wiecie, szybko i skutecznie. Praktyka czyni mistrza. Całkowicie panowałem nad bronią. Podszedłem i lekko pochylony stanąłem przy oknie. Pistolet trzymałem w obu dłoniach. Zacząłem strzelać. Wystarczyły jedynie trzy strzały. Szkło rozprysło się po całym samochodzie. Trafiłem ją. Chciałem ją tylko zabić, nic więcej. Wykorzystałem trzy z pięciu naboi. Nie było sensu strzelać dłużej. Wiedziałem, że ją trafiłem. Musiałem oszczędzać amunicję. Po oddaniu strzałów zacząłem biec. Dopadłem do samochodu... Wydawało mi się, że słyszę klakson i chyba ten mężczyzna wysiadł i zaczął krzyczeć, ale w tym momencie byłem już daleko". Diel pamięta, że właśnie całował Freund, gdy szyba się rozprysła. Usłyszał jej krzyk, kiedy dwie kule trafiły w prawą skroń i szyję. Trzecia kula utknęła w tablicy rozdzielczej. Wytoczył się z samochodu i próbował zatrzymać przejeżdżające samochody, ale żaden kierowca nie zareagował. Ktoś wezwał policję i karetka zabrała Freund do szpitala, gdzie zmarła o czwartej nad ranem. Berkowitz twierdził, jakoby doskonale wiedział, że zabił Freund, ponieważ "głosy umilkły. Żądza demonów została zaspokojona".

Chociaż nie było na razie dowodów, które pozwoliłyby w sposób ostateczny połączyć ze sobą poszczególne incydenty i znaleźć motyw, obdarzeni intuicją policjanci zaczęli domyślać się, że to pojedynczy zabójca grasuje w Queens. Tymczasem Berkowitz, któremu znudziła się praca montera, ochroniarza i taksówkarza, uzyskał niezły wynik na testach kwalifikacyjnych na urzędnika państwowego i w marcu roku 1976 zaczął pracę na poczcie przy sortowaniu listów, z pensją 13 tysięcy dolarów rocznie, najwyższą, jaką kiedykolwiek otrzymał.

Ósmego marca 1977 roku, w wolny dzień, ponownie polował w Queens spacerując po średniozamożnej dzielnicy Forest Hills. Dwudziestojednoletnia Virginia Voskerichian, absolwentka Wydziału Rusycystyki w Bamard College wracała do domu ze szkoły. W ręku trzymała podręczniki. Kiedy Berkowitza dzielił od niej zaledwie krok, wyciągnął pistolet. "Była ładna, zgrabna i gustownie ubrana. Nie rozglądałem się dookoła, bo skupiłem wzrok bezpośrednio na niej. Wyjąłem broń z plastikowej torby i strzeliłem raz w twarz. Nie wiem dlaczego wybrałem właśnie ją. W ciemności z trudem rozróżniałem rysy twarzy". Voskerichian upadła w krzaki, które rosły wzdłuż chodnika i poniosła śmierć na miejscu. Gdy Berkowitz biegł z powrotem do samochodu, minął pierwszego naocznego świadka, który zobaczył mordercę opuszczającego miejsce zbrodni. "Cześć" - rzucił Berkowitz w jego stronę. Kiedy zbliżał się do samochodu, zobaczyli go patrolujący okolicę policjanci i uznając, że zachowuje się podejrzanie, zatrzymali się, by zadać mu kilka pytań. Właśnie w tym momencie zgłoszono przez radio doniesienie o zastrzelonej kobiecie i policjanci odjechali. Berkowitz dotarł do mieszkania. Wystrzelona przez mordercę pojedyncza kula przeszła na wylot przez podręczniki, które dziewczyna pod niosła na wysokość twarzy w geście samoobrony, przebiła górną wargę, strzaskała zęby, aby ostatecznie utknąć w kości czaszki. Teraz można już było porównać balistykę wystrzelonych kuł. Dziesiątego marca podano do wiadomości, że co najmniej trzy z napaści w Queens popełnił ten sam sprawca, posługujący się tą samą bronią. Wydano nakaz aresztowania, do którego dołączono mało precyzyjny opis uzyskany od świadków i od tych, co przeżyli napaść.

Przekonanie Berkowitza o wypełnianiu jakiejś misji nasiliło się. Należał do "spisku zła". Początkowo twierdził, że jest to spisek demonów. Później pomijał tę sprawę milczeniem. Pierwszego kwietnia, w prima aprilis, zaczął pisać Ust do szefa wydziału zabójstw. Siedemnastego kwietnia wsadził pistolet za pasek i ruszył do Queens na kolejne polowanie - tym razem zdecydował, że ofiarami będzie kobieta i mężczyzna. Osiemnastoletnia Valentina Suriani, studentka szkoły teatralnej Lehman College i dwudziestoletni Alexander Esau, pomocnik kierowcy z pomocy drogowej, zaparkowali samochód i zaczęli się obejmować. O trzeciej nad ranem, ciągle szukając ofiar, Berkowitz napotyka całującą się parę i parkuje przed następnym blokiem. Podchodzi do kochanków i oddaje cztery strzały. "To był mój najlepszy wyczyn - opowiadał Abrahamsenowi - bo miałem dwa trupy. Poza tym zostawiłem przy nich pierwszy, starannie zredagowany list. Znacznie poprawiła mi się celność strzelania dzięki stopniowemu pozbywaniu się strachu i trzymaniu pistoletu oburącz. Cztery strzały, z czego trzy trafione". Pobiegł z powrotem do samochodu. Czuł się, jak twierdził, "przepełniony władzą", a następnie przejechał w pobliżu mieszkania Donny Laurie (którą wielbił). Zatrzymał się jeszcze w podrzędnym barze, gdzie zjadł kilka hamburgerów i batonów czekoladowych. W tym momencie Suriani już nie żyła, natomiast Esau miał umrzeć osiemnaście godzin później.

Poczucie zadowolenia trwało ponad dwa miesiące, do dwudziestego piątego czerwca 1977 roku, kiedy myśli Berkowitza ponownie zaczęły krążyć wokół dziewcząt z Queens. "Demony domagały się dziewcząt. "Wszystkiego, co pachnące, milutkie i słodziutkie"". Wyszedł z mieszkania o dziesiątej wieczorem z czterdziestkaczwórką w papierowej torbie i zaczął krążyć po Queens. Zaparkował i zaczął spacerować, dopóki nie trafił na parę w samochodzie. "Zobaczyłem jej długie włosy. Rozejrzałem się dookoła, żywego ducha. Zacząłem podchodzić od tyłu, z prawej strony... Widziałem ich wyraźnie na przednim siedzeniu. Okno było zakręcone. Nie patrzyli w moją stronę. Przykucnąłem, by znaleźć się na tym samym poziomie co głowa dziewczyny i wystrzeliłem". Judy Placido, dopiero co po maturze, i Sal Lupo właśnie rozmawiali, kiedy "nagle -wspomina Placido - usłyszałam huk, żadnego bólu, tylko dzwonienie w uszach. Patrzę na Sala i widzę oczy równie szeroko otwarte jak usta. Żadnych krzyków, nie wiem, dlaczego nie krzyczałam. Nigdy nie będę wiedziała, dlaczego po prostu nie krzyknęłam". Lupo został trafiony w prawe przedramię, Placido

w głowę, szyję i bark. Berkowitz czuł się rozczarowany. "Byłem zły. Nie wiem jakim cudem dziewczyna przeżyła. (...) Przebijając szybę pocisk zmienił kierunek. A tak się starałem". Pobiegł do samochodu i wcale się nie bał. "Chroniły mnie demony. Nic złego nie mogło mnie spotkać ze strony policji".

Ostatnie zabójstwo miało miejsce w Gravesend Bay, średniozamożnej dzielnicy Brookłynu. Dwudziestoletnia Stacy Moskowitz, zatrudniona przy obsłudze teleksu, i Robert Violante, dwudziestoletni sprzedawca w sklepie z odzieżą, spotkali się trzydziestego lipca wieczorem w restauracji. Berkowitz już wcześniej upatrzył sobie parę w samochodzie, który ruszył, zanim morderca zdążył się zbliżyć. Samochód marki Buick kierowany przez Violante'a zaparkował na dopiero co zwolnionym miejscu. "Całowali się i obejmowali - opowiadał Berkowitz. - Miałem wzwód. Wyjąłem broń, wycelowałem w sam środek głowy Stacy i wypaliłem. Pierwsza kula trafiła w głowę, druga ledwie drasnęła dziewczynę. Nie wiedziałem, czy ją zastrzeliłem, bo nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nawet nie westchnęła. Potem wsiadłem do samochodu i odjechałem". Violante opowiadał, że usłyszał coś, co przypominało buczenie i wibracje. "Początkowo myślałem, że to tłuczone szkło, a potem jakieś buczenie. Wtedy Stacy przestała się odzywać. Niczego nie czułem, ale zobaczyłem, jak się ode mnie odsuwa". Violante został dwa razy postrzelony w twarz i stracił wzrok. Moskowitz została trafiona w głowę i zmarła trzydzieści osiem godzin później. Kilometr dalej, Berkowitz, człowiek o pełnej pogodzie ducha, zaparkował samochód i kupił gazetę. Usiadł na ławce w parku. "Długo na niej siedziałem. Przesiedziałem aż do rana. Kiedy wzeszło słońce, przeczytałem gazetę".

Berkowitz długo spał rankiem dziesiątego sierpnia. Nie wypalił plan otwarcia ognia do tłumu na ulicy w zamożnej dzielnicy Hamptons, ale teraz zastanawiał się nad zrobieniu czegoś podobnego w nocnym klubie w Riverdale. Torba leżąca na tylnym siedzeniu samochodu zawierała dodatkowy "sprzęt": półautomatyczny karabin z czterema magazynkami, dwunastostrzałowca marki Ithaca i dwa karabiny kalibru .22. Do niczego jednak nie doszło. Policja w pocie czoła powiązała cały materiał poszlakowy łączący Berkowitza z Synem Sama (ostatnim elementem był mandat, który otrzymał niedaleko miejsca zbrodni). Tym razem przeszukano samochód i odkryto cały arsenał. O szóstej po południu policja otoczyła blok, w którym mieszkał. Dokładnie o dziesiątej wieczorem Berkowitz opuścił mieszkanie i zaczął iść w stronę samochodu, trzymając w ręku papierową torbę z czymś trójkątnym w środku. Kiedy przekręcił klucz w stacyjce, detektywi podeszli od tyłu - tak samo jak robił to Berkowitz ze swoimi ofiarami. Jeden z policjantów zastukał kolbą rewolweru w szybę samochodu i krzyknął: "Nie ruszać się! Policja!" Jak twierdził policjant dokonujący aresztowania, "facet odwrócił się i uśmiechnął do nas. Miał taki głupi wyraz twarzy, jakby to wszystko było dziecinną zabawą". Berkowitz nie zdejmował ręki z kierownicy. Pomogli mu wysiąść z samochodu i ustawili do obszukania. "Teraz, jak już cię mam - odezwał się detektyw - powiedz kogo złapałem".

"Przecież wiecie" - odparł zatrzymany.

"Nie, nie wiemy. Ty nam powiesz".

"Nazywam się Sam" - z uśmiechem odparł Berkowitz.

Wyznania

Ciężkie kule ołowiu Spadały na jej głowę. Przynosząc śmierć, Lecz koty wciąż, nocą, Wychodzą, na harce, a wróble jak co dzieli ćwierkają nad ranem.[18]

David Berkowitz

Świat miał Berkowitza za kompletnego wariata - niepoczytalnego w każdym sensie tego słowa: medycznym, prawnym i moralnym. Listy, które wysyłał do gazet i policji w czasie dokonywania zabójstw wydatnie się przyczyniły do powstania takiej opinii. To samo można powiedzieć o zachowaniu Berkowitza w sądzie i szpitalu. Jednak dziennik pisany w więzieniu pobił listy na głowę. Został wydany w formie książkowej jako aneks do wnikliwej pracy Klausnera o Berkowitzu. Obraz, jaki Berkowitz ukazał światu, oraz to, co napisał, było zarówno próbą wyjaśnienia, jak i zakamuflowania (przed ludźmi, a może i przed samym sobą) wewnętrznego motywu jego czynów. Tak czy owak czuł, że ludziom trudno będzie go zrozumieć.

Demonologia

Zapytany, odrzekł, ze zabijał na zadanie głosów. Zmuszały go do tego "demony". "Sam", liczący sześć tysięcy lat starzec, dawał polecenie zabijania posługując się psem.

David Abrahamsen

-Ludziom wydaje się, że jestem jakiś niesamowity - napisał Berkowitz swoim nieciekawym charakterem pisma w więziennym dzienniku - że jest we mnie coś zimnego, nieludzkiego, potwożastego (sic!). To władza i osobowość demona. To urok, który rzucają ONI, by ludzie się ode mnie odsunęli. Próbują mnie odizolować, pozbawić toważystwa (sic!), wywołują frustrację jako część ich Wielkiego Planu. (...) Całe życie byłem przez nie (demony) prześladowany - zawsze odbierały mi spokuj (sic!). Prawdę mówiąc w zeszłym tygodniu dostałem krędźka (sic!), bo uderzyły mnie w głowę i wydawały przeraźliwe odgłosy".

[18] Ten wiersz, napisany przez Berkowitza, został znaleziony w jego kieszeni po aresztowaniu

Kiedy mordercza działalność Berkowitza była w pełnym rozkwicie, sąsiedzi i ich psy jawili mu się jako demony. Wielokrotnie w nocy wrzeszczały na niego, a chowały się w ścianach mieszkania. Berkowitz przypomniał sobie, jak pewnej nocy kopnął ścianę. "Podskoczyłem i kopnąłem. Próbowałem mu skopać twarz, ale nie było reakcji. Żadnego skutku. Głęboko w ścianie słyszałem różne dźwięki. Głosy, tysiące głosów. Wrzaski. Śmieszne dźwięki. Muzykę, jakby bębny... Próbowałem robić to, co mi kazały, ale nigdy nie miały dość. Czasami się z nimi sprzeczałem, pytałem, dlaczego każą mi robić te rzeczy. Nigdy nie odpowiadały. Tylko śmiały się ze mnie. Nie jestem złym człowiekiem, ale głosy kazały mi robić złe rzeczy. Nie chciałem. Robiłem wszystko, co kazały, a one ciągle były nie zaspokojone". Czy można dać wiarę tym omamom? Czy raczej Berkowitz, nie będąc zbyt lotnym młodzieńcem, zmyślił wszystko, by nie obarczano go odpowiedzialnością za popełnione czyny?

Powróćmy do pisanego w więzieniu dziennika, który rozpoczyna się chłodną refleksją nad życiem własnym i innych. "Kiedy patrzę na wszystkich więźniów, nie mogę im nie współczuć. Są jak zagubione duszyczki, wielu z nich spędza całe życie w więzieniach - wychodzą na wolność tylko po to, żeby zaraz do nich wrócić. Żadnej nadziei, rodziny lub przyjaciół. Myślę, że ludzie pragną w życiu spokoju i wygody, ale najwidoczniej niewielu wie, jak je znaleźć. Wydaje się, że jedynym zbawicielem dla tych pacjentów jest torazyna, ale tak naprawdę potrzebują Jezusa. Nigdy nie przypuszczałem, że moje życie przybierze taki obrót - prawdziwy mętlik. Gdyby nie rodzina i jej oddanie, gdyby nie adwokaci i ich pomoc, nie wiem, jak bym przeżył tę próbę. Jedni, jak mniemam, mają więcej szczęścia niż inni. Miłość, koleżeństwo i przebywanie blisko Boga, to wszystko, co jest konieczne, by stawić czoło wrogowi, czyli Szatanowi (Samowi). Tak, demony istnieją naprawdę. Widziałem je, czułem ich obecność i je słyszałem". W tym, co napisał Berkowitz, nie ma więcej szaleństwa niż w tym, co można usłyszeć w kościele z ambony. Banały ciągną się dalej, "Mam tylko nadzieję, że pozwolą mi tu czytać gazety. Zwłaszcza jeśli będzie w nich coś o mnie. Uważam, że muszę wiedzieć, co ludzie o mnie mówią. Sędzia (pan Starkie) nienawidzi mnie, jestem pewien. Pewnie myśli, że jestem jednym z tych, co nienawidzą kobiet. Ale sądziłem, że gazety uporały się z tą teorią, jak tylko zostałem ujęty. Jeżeli sędziemu wydaje się, że niedawno rzuciła mnie jakaś dziewczyna, to sam chciałbym wiedzieć, o kim mowa. Kim była owa tajemnicza kobieta?"

Nagle, bez ostrzeżenia, pojawiają się demony. Zmienia się charakter pisma: litery kurczą się i rozciągają, w miarę jak Berkowitz próbuje dać do zrozumienia, że znowu go opętało. "Jestem gladatorem (sic!) walczącym z mocą ciemności! Taka jest wola, bym uratował wiele istnień ludzkich. Za spokój jestem gotów umrzeć. Mogę pójść do więzienia, aby być wolnym. Dedykuję moje życie ludziom na ziemi. Czyż można przekonać świat, że na ziemi istnieje czarna moc? Umrę dla sprawy! O śmierci, zwyciężyłaś".

Ponownie następuje zmiana, a styl staje się niemal akademicki w naukowej samoanalizie. "Po przeczytaniu książki "Zakładnik Diabła" Malachi Martina nie mam już wątpliwości, że jestem człowiekiem, któremu złożyły wizytę istoty pozaziemskie lub którym zawładnęły pozaziemskie moce. Są na to przytłaczające dowody. Zwłaszcza od momentu, w którym moje życie jest tak podobne do opisu życia osoby kontrolowanej przez jakąś inteligentną moc. Najlepszym dowodem jest list do mojego ojca datowany na długo, zanim zacząłem strzelać. W tym liście określałem bożka (sic!) misję, która, jak sądziłem, była mi pisana. Ważną misję, chociaż jak teraz na nią patrzę, wydaje mi się kompletnie bez sensu. Strona 523 "Zakładnika Diabła", ostatni akapit ([Misja] zawsze izolowała ich od środowiska i osób im najbliższych). Były takie momenty, już po aresztowaniu, kiedy wątpiłem w obecność demonów; myślałem, że uległem halucynacjom lub żyłem w świecie ułudy, ale teraz, po przeczytaniu książki pana Martina, jestem ponad wszystko przekonany o ich istnieniu".

Berkowitz próbuje wyeksponować swoje poczucie odpowiedzialności społecznej, łącząc je z demonologią; kreśli nawet plany utworzenia nowych instytucji społecznych do walki z demonami. "Teraz muszę się zająć naprawą krzywd wyrządzonych przez Syna Sama, chociaż patrząc na nie oczami "obcych" i z punktu widzenia "sił zła" był to kawał dobrej roboty. Potrzebuję do tego więcej swobody, jak na przykład możliwość posiadania ołówka w celi, wyjścia na zewnątrz - pod strażą -i wysłania listów na poczcie. Musiałbym mieć zainstalowaną w celi "gorącą linię" do biura szefa policji Keenana. Wiem, że gdyby policja powołała "Wydział Specjalny do Walki z Demonami, byłby to ogromny krok na przód, wręcz milowy; podręczniki historii prawa na pewno by go odnotowały. Ponadto społeczeństwo musi przyczynić się do powstania "Szpitala dla ofiar Demonów", w którym izolowano by i leczono ludzi podejżanych (sic!) o opętanie przez Szatana. Nie sposób powiedzieć, ile przestępstw popełnili opętani i jak bardzo potrzebują pomocy. (...) Demony posiadają zdumiewającą umiejętność zostawienia człowieka niczym w prużni (sic!), czyniąc życie pustym. Jednakże siły nieczyste wypełnią tę prużnię (sic!), którą same tak umiejętnie stworzyły, światłem zła (ciemnością) i złą wiedzą. "Pustka się wypełniła" - powiedziałem panu Breslinowi, ale niestety wypełniła się ciemną, odrażającą substancją, która owocuje śmiercią i zniszczeniem. Jak w krzywym zwierciadle - wszystko, co dobre wygląda na złe, a wszystko, co złe, na dobre. Tak więc wyrzekłem się wolności osobistej, bo wydawała mi się złem, a w zamian dostałem tyle wolności, ile ma pies na długim łańcuchu. Mogę pracować, ale nie mam wolności. Mogę być kochany, ale nie mogę kochać. Mogę czuć i podziwiać dobro, ale we mnie go nie ma".

"Za zabójstwami popełnionymi przez Syna Sama stoi bez wątpienia głęboko ukryta moc. Nie da się tego pokazać czarno na białym. Problem jest o wiele warzniejszy (sic!) i sięga głębiej, niż mogłoby się wydawać. Oddane strzały są jak wołanie o pomoc: wskazują ukryte motywy i ujawniają duchy i siły, o których nigdy dotąd nie mówiono na sali sądowej. Dobro i Zło, Bóg i Lucyfer, ale kiedy każde miejsce w sali sądowej będzie zajęte, podobnie każdy skrawek przestrzeni na suficie będzie zajęty przez przedstawicieli świata duchów. Nie mam cienia wątpliwości, że wynik mojego procesu będzie miał wpływ na wszystkie boskie anioły i wszystkie demony szatana... Lękam się, że ja też zostanę demonem albo może już nim jestem. Czasami potrzeba zabijania staje się tak przytłaczająca, że sam siebie się boję. Ale wiem, że to nie ja. Jestem przekonany, że we mnie ktoś siedzi, jakiś "obcy", którego żądza krwi i zabijania ma związek z jego buntem przeciwko Bogu. Ta wiara w obecność "obcego" nie jest ucieczką od odpowiedzialności, ponieważ z radością zamieszkam w celi więziennej, jakże odmiennej od mieszkania opanowanego przez demony. Ponadto ja, David Berkowitz, nie chcę już nikogo zabijać, tylko przeżyć resztę życia w spokoju i mieć jakiś pozytywny cel przed sobą. Codziennie, po cichu zmagam się ze złem. Wiem, że gdybym był sam w domu, demolowałbym mieszkanie, walił się w głowę i sprzeczał z demonami, które się w nim panoszą". Tylko dlaczego posadzenie Berkowitza w celi miałoby powstrzymać demony od zatruwania mu życia?

"Mówię o mieszkaniu, że było moje, chociaż nigdy nie miałem wrażenia, że do mnie należy. Płaciłem czynsz, ale bardzo go nienawidziłem z powodu demonów, które w nim zamieszkały - chciałem je nawet podpalić. Płaciłem czynsz, podpisałem umowę o wynajem, wprowadziłem się w poszukiwaniu spokoju i odpoczynku i zamiast tego znalazłem rwetes i grozę. Nie, to nie jest moje mieszkanie. Zostało dla mnie zarezerwowane, gdyż chciano wciągnąć mnie w pułapkę, doprowadzić do ruiny i uniemożliwić ucieczki przed ostatecznym wrogiem - "Samem Carr", który istnieje, lecz go nie ma. Sam, który jest martwy, lecz żyje i pastwi się nad światem... Cóż mogę zrobić? Co zrobić, żeby ludzie zrozumieli? Martwię się i mam ku temu dostateczny powód, że być może pewnego dnia zamienię się w coś tylko podobnego do człowieka albo demona w ludzkiej skórze. Lękam się, że wraz z utratą człowieczeństwa stanę się jakimś zombie. Gwoli ścisłości, ludzie, którzy mnie badali, uznali, że nie potrafię odczuwać emocji. Dokładnie to samo dzieje się z opętanymi. Zadam zwrócenia mi mojej duszy! Żądam zwrotu tego, co mi odebrano! Mam prawo być człowiekiem". Ale kto mu ukradł duszę i tak naprawdę, co mu odebrano?

Spokojny ton dziennika raptownie się zmienia, tak jakby demoniczny duch ponownie wtargnął w duszę Berkowitza. Zmienia się też charakter pisma. "Nazywam się Abaddon, ten, który sieje zniszczenie. Odbieram życie tym, którzy nie chcą go oddać dobrowolnie. Czerpię z nich krew dla Sama i innych demonów... Tak dużo rzeczy chciałem zrobić, tyle miejsc chciałem odwiedzić. Lecz nie mogłem. Nie miałem żadnych praw jako człowiek. Nie mogłem się cieszyć życiem, kiedy byłem wolny. Nienawidziłem świadomości, że moim życiem jest misja. Znienawidziłem życie, które wiodłem jako SYN SAMA. Ale cóż mogłem zrobić? Nawet kiedy pojechałem na Florydę, nie zatrzymałem się nawet na zwiedzanie - nie miałem spokojnej głowy. Już to, że dojechałem na Florydę bez postoju, a następnie do Texasu, też bez postoju, mówi samo za siebie. Mianowicie, że mam ponadludzką moc i wypełniam specjalną misję szatana".

.Jestem demonem z przepaści bez dna, który tu, na ziemi ma siać zamęt i strach. Jestem wojną, jestem śmiercią, jestem zagładą! Wiem, kto się kurwił i sutenerzył. Wiem, kto popełnił powarzne (sic!) grzechy i kto pluł na matkę i ojca. Gdzie jest ten mocarz, który wtrąci mnie z powrotem w ciemność? Gdzie jego nadejście? Chyba podoba mu się to miejsce, w którym chwilowo przebywam - w Davidzie, gównie i brudzie. Jestem brudem i spermą. Jestem gnidą brudem rzygowiną. Jestem Synem Sama, który nie lęka się niczego, co niszczy. W imieniu przeklętego zabijam i rozdeptuję na miazgę ludzi na ziemi. Jestem dobrem jestem piekłem jestem śmiercią. Meysa (matka Stacy Moskowitz), kurwa ladacznica nie uniknie bożej klątwy, jej dzieci umrą, cała trójka, bo skurwiła swoje ciało i nim kramarzyła. Kto jest pełną nasienia, wielką kurwą ladacznicą, która się sprzedaje? Kto równa się z Synem Sama, mną, upadłym aniołem, który nastał, by zabijać i zbudować królestwo grozy i nędzy -ja. Syn Sama, zabójca, który nie lęka się śmierci ni piekła. Kim jest Stacy, która sprzedaje duszę za penisa? Niech rozpęta się wojna przeciw cywilizacji i niech niszczy i sieje grozę... Armaty królów nie dają ziemi pokoju. Kto jest chytry i przebiegły? Kto potrafi przechytrzyć prezydenta? Syn Sama i cały legion naszych nieustannie niszczy i rzyga".

Po raz kolejny Berkowitz wraca do swojej przyziemnej tożsamości - posługując się jego słowami, duchy chwilowo poluźniły krępujące Berkowitza pęta i pozwoliły dojść do głosu jego "prawdziwemu ja".

"Godziny mijają tak wolno, że trudno to znieść. (...) Oprócz demonów najgorsza jest nuda... Czym jest śmierć, że ludzie tak się jej boją? Może boimy się utracić, co posiadamy, naszych bliskich, a może człowiek boi się spotkania z Bogiem i ujrzenia wszystkich swoich grzechów... Brakuje mi swobody podróżowania - New Patty, Góra Niedźwiedzia, park Feny Point. To było wspaniałe przeżycie - wsiąść do samochodu i jechać".

Berkowitz kończy swoje wyznania oświadczeniem, które brzmi nieszczerze i jest żałosnym rozczulaniem się nad sobą. "Jestem winny społeczeństwu próbę poprawy i odpokutowania za wszystko, co uczyniłem w wyniku mojej choroby. Pewnego dnia ludzie powitają nowego Davida Berkowitza i pożegnają Syna Sama (w rzeczywistości trzeba będzie na to poczekać zaledwie kilka miesięcy). Syn Sama umrze na zawsze, jeśli

sądy i lekarze będą ze mną współpracowały. Istnieję. Moją wolność zawdzięczam Jezusowi Chrystusowi, Synowi Bożemu. "Ja i Ojciec jesteśmy jednością" - mówi Jezus. Obiecałem sobie, że nie będę wiecznie zamknięty za kratkami. Mam dłóg (sic!) wobec społeczeństwa i pewnego dnia będę wolny, by móc go spłacić. Muszę to zrobić, a ponieważ teraz jestem chrześcijaninem, będę pracował nad tym, by inni ludzie odnaleźli prawdziwą wolność i życie wieczne. W tym szpitalu odnalazłem Jezusa Chrystusa i to wobec Niego mam zobowiązania. Muszę opowiedzieć społeczeństwu o prawdzie i nadziei". Berkowitz kończy dziennik rysunkami przedstawiającymi jego smutną twarz, obok których napisał: "Nigdy nie jestem szczęśliwy. Jestem raczej smutny. Bardzo często płaczę, kiedy jestem sam w celi. Jestem bardzo znerwicowany. Nigdy, nigdy nie odpoczywam ani się nie odprężam. Załamię się nerwowo. Jestem opętany! Niespakojnie (sic!) śpię. Chce mi się krzyczeć. Muszą mnie uśmiercić. Demony nie dają mi spokoju. Nie wytrzymam". Pomiędzy jakimiś gryzmołami odnajdujemy dwa słowa: "POMÓŻCIE MI".

Po korekcie

Muszę zabijać kobiety z zemsty, zęby zapłaciły za cierpienia, które mi zadały.

David Berkowitz

\V lutym 1979 roku, kiedy nie minął jeszcze rok od skazania Berkowitza na kilkaset lat więzienia, potwierdza on swój status gwiazdy poprzez zwołanie konferencji prasowej. Ogłasza, że historia o Samie Carr, demonach i opętaniu przez duchy była zmyślona. Kilka tygodni później pisze do badającego go wcześniej psychiatry, Davida Abrahamsena i wyznaje, że cała historia o demonach była dobrze przemyślaną, starannie wyreżyserowaną bujdą. "Wiedziałem, dlaczego naciskam spust - przyznaje. -Byłoby dobrze, gdybyśmy porozmawiali". Wiosną roku 1979 Abrahamsen zaczyna odwiedzać Berkowitza w więzieniu Attica, ponieważ ten "wyraził pragnienie, by napisano książkę, której tematem będą nie tylko jego zbrodnie, ale również odczucia".

Berkowitz przyznał bez ogródek, że kupił pistolet kalibru .44, kiedy zdał sobie sprawę, jak trudno jest kogoś zabić nożem. Dokładnie wiedział, w jakim celu ma zamiar wykorzystać broń.

"Wiedziałem, że do czegoś mi posłuży. Myślę, że chodziło o zabijanie ludzi, no nie?" Szczegółowo opisał skrupulatny i starannie opracowany plan zabijania. "Często odwiedzałem moją siostrę i przy tych okazjach broń, mapy, dodatkowe naboje i wszystko inne, co mogło się przydać, miałem przygotowane w samochodzie, gotowe do natychmiastowego użycia. Jeździłem w pobliże Glen Oaks Village i Floral Park, i w inne miejsca. Tak, Queens miało dla mnie szczególne znaczenie - bardzo szczególne. Nie potrafię tego wyjaśnić. Zastrzelenie kogoś w Queens stało się obsesją. Kiedy coś mi dopiekło, a wiedziałem, że broń jest w zasięgu ręki... szedłem na daleki spacer, żeby się uspokoić i uporządkować myśli. Spacer zawsze traktowałem terapeutycznie". Ujawniony przez Berkowitza zwykły profesjonalizm wyrażał się nie tylko w samym planie, ale również w ostrożności, z jaką go realizował. "Byłem zły, kiedy chybiałem, bo zadawałem sobie tyle trudu i tak bardzo się narażałem. Zapoznawałem się z ulicami i uczyłem możliwych dróg ucieczki. Poznałem wszystkie ulice dzięki częstym powrotom w tamtą okolicę. Zdarzały się noce, kiedy zjeździłem całą dzielnicę i nic. Z czasem miałem już pełny obraz systemu działania policji. Potrafiłem rozpoznawać nie oznakowany wóz patrolowy, choćby nie wiem jak starano się to zamaskować. Czasami widywałem taksówki, innym razem poobijane gruchoty, ale były to wozy policji i bezbłędnie je "trafiałem". Nie oznakowane furgonetki policyjne też się często pojawiały".

Przyznał, że miał pewne wątpliwości natury etycznej co do zabójstw, ale nigdy na tyle silne, by się powstrzymał. Co najwyżej spowodowały, że wcześniejsze wyczyny były robione w nerwach i po amatorsku. "Kiedy zacząłem zabijać, bywało, że moje nagłe napady wprawiały mnie w zakłopotanie - opowiadał Abrahamsenowi. - Chciałem odebrać życie i jednocześnie pragnąłem je ocalić. Czułem, że muszę kogoś zabić... Chciałem i nie chciałem... (ale) byłem zdeterminowany i w pełni świadom, że muszę zabijać kobiety z zemsty, by zapłaciły za cierpienia, jakie mi zadały. Rozumiem, że pan się całkowicie nie zgadza z moim nieetycznym podejściem. Nie winie pana. Bo ja też widzę, że jest to kiepskie wytłumaczenie wszystkiego, co zrobiłem. Ale wtedy gorąco wierzyłem, że jestem usprawiedliwiony. Wierzyłem, że mam moralne prawo zabicia wybranej ofiary. Nawet jeśli brzmi to okropnie i pokrętnie, tak mi się wydawało". Jednak wspomniana ambiwalencja była jedynie wynikiem niepewności lub jak to sam wyraził (przedrzeźniając styl biegłych psychiatrów): "Sądzę, że trzymanie broni w jednej ręce - co robiłem podświadomie - było wynikiem przemawiającej do mnie wewnętrznej podświadomości, która podpowiadała mi, żebym spudłował".

Bardziej niepokojący jest fakt, że narastająca pewność siebie uzyskała dodatkowy bodziec w postaci niebywałej uwagi, z jaką środki masowego przekazu relacjonowały wyczyny Berkowitza. Nie bez przyczyny interpretował te relacje jako formę zachęty. "W tym momencie (mowa o zastrzeleniu Freund) chyba już o nic nie dbałem, bo wreszcie się przekonałem, że to, co robię, było dobre, konieczne i że społeczeństwo chciało, żebym to robił. W to ostatnie wierzę do dzisiaj. Jestem przekonany, że wielu ludzi mnie popierało. To wtedy właśnie gazety zaczęły podchwytywać nastroje, że dzieje się coś na dużą skalę, coś naprawdę dużego!" Później, niczym zaspokojony kochanek, który kontempluje kolejny romans, Berkowitz westchnął i powiedział: "Teraz kiedy na to wszystko patrzę, nie ma to żadnego sensu".

Berkowitz zadał sobie dużo trudu, by podkreślić, że zarzucił wcześniejsze deklaracje religijne i obecnie nienawidził Boga (i wszelką władzę). "Nienawidzę Boga - powiedział Abrahamsenowi - i nie lubię go za wszystko, co zrobił. Winie go za zabranie mi matki. Nienawidzę go za to, że stworzył mnie i moje życie... Myślę, że jest kłamcą. Rozczarował mnie. Lękam się Boga, jego mocy, umiejętności zabijania, piekła, grozy. Władza boska, nade mną i innymi, oparta jest na strachu".

Mimo to Berkowitz próbuje wywrzeć na nas wrażenie, że jego gniew był przede wszystkim skierowany przeciwko kobietom i miał swoje źródło w nieudanych związkach męsko damskich. "Kiedy wróciłem z wojska, próbowałem spotykać się z dziewczętami z Coop City. Nie byłem dla nich atrakcyjny. Znienawidziłem je. Od początku ich nienawidziłem". Kiedy Abrahamsen próbował znaleźć jakąś symbolikę w strzelaniu do kobiet zamkniętych w samochodach, Berkowitz zareagował, próbując się usprawiedliwić skrajnym purytanizmem.

"Próbuję sobie przypomnieć, czy Esau i Suriani odbywali stosunek (fakt, o którym musiałby wiedzieć, biorąc pod uwagę niemal fotograficzną pamięć o każdym zajściu). Wiem, że się obejmowali, ale nie pamiętam, czy mieli na sobie ubranie, czy nie. Gdyby byli rozebrani i uprawiali seks, z pewnością byłbym usprawiedliwiony zabijając ich. Seks pozamałżeński to ohydny grzech".

Abrahamsen próbował znaleźć związek pomiędzy zabójstwami dokonywanymi w zamkniętych samochodach, a faktem, że Berkowitz został poczęty w samochodzie, w nieślubnym związku, i za to się mścił. Jednak ta sugestia jedynie zastanowiła Berkowitza: "Betty (Betty Falco, matka) - napisał - nigdy mi nie mówiła, że siedziała wtedy w samochodzie lub że została w nim zapłodniona. Ale prawdą jest, że wiele nie chcianych dzieci przychodzi na świat w wyniku nieostrożnego seksu w samochodach. Jeśli chodzi o tamte zaparkowane samochody, nie potrafię powiedzieć, co mnie do nich ciągnęło. Może panu uda się to wyjaśnić w sposób naukowy. Mnie jest trudno wyjaśnić ukryte motywy. Może była to kwestia okoliczności - szansa na przyłapanie ich ze zdjętymi majtkami, pełne zaskoczenie". Powrócimy jeszcze do tych "ukrytych motywów".

SPOTKANIE Z PSYCHIATRIĄ.

Tato, proszę, jesteś mi potrzebny.

Zgadzam się z lekarzami, ze nie jestem zdrów.

Na pewno wierzysz, że nie zabijałem z zimną krwią.

Raczej coś jest nie tak z moją głową.

David Berkowitz

W jaki sposób psychiatrzy interpretowali postać Berkowitza? Czy rzeczywiście uległ chorobie umysłowej i nie był wyrachowanym mordercą? Być może. Wersja o rozwijaniu się u niego "choroby psychicznej" jest kontrowersyjna i prowokacyjna. Według Abrahamsena, Berkowitzowi powiedziano, że został adoptowany, kiedy miał trzy lata. Od wczesnego dzieciństwa miał rojenia związane ze śmiercią. Abrahamsen napisał, że Berkowitz z pewnością był kłopotliwym dzieckiem: "nieszczęśliwy, samotny, dorastający w przekonaniu, że jest odrzucony i zaniedbany. Przyjął postawę antyspołeczną i destrukcyjną. Ulegał egocentryzmowi, ale nigdy nie wypracował poczucia własnej godności". Niemniej, na co zwrócił uwagę Klausner, Berkowitz ukończył szkołę podstawową i średnią w sposób nie wymagający interwencji oraz udało mu się prześliznąć przez wojskowe testy psychologiczne, czegokolwiek byśmy o nich nie myśleli. Także żaden z przyszłych pracodawców Berkowitza nie dostrzegł jakichkolwiek nieprawidłowości w jego zachowaniu.

Dopiero kiedy zaczął zabijać, skupił na sobie uwagę całej rzeszy specjalistów, którzy początkowo znali go jedynie jako Syna Sama. Klausner zwrócił uwagę, że ekipa dochodzeniowa o nazwie Omega, powołana przez wydział zabójstw ścigający Berkowitza, na próżno konsultowała się ze specjalistami od biorytmów, egzorcystami, astrologami, grafologami, numerologami, hipnotyzerami, psychologami i psychiatrami w celu znalezienia schematu w zachowaniu mordercy. Zdarzało się, że opinie psychiatrów były nie mniej ekscentryczne od tych, które wydawali egzorcyści, i wcale nie bardziej przewidujące od opinii astrologów. Jeden z psychiatrów przekonywał policjantów, że paranoiczni schizofrenicy, tacy jak Syn Sama, nieświadomie zabijali w miejscach, które na mapie tworzą trójkąt. Teoria ta wzbudziła pewne zainteresowanie, dopóki inny psychiatra nie wykazał niezbicie, że właściwie dowolne trzy punkty tworzą trójkąt. Pewien niemiecki psychiatra wywołał jedynie gromki śmiech, kiedy oznajmił słuchającym go policjantom i psychiatrom: "Panowie, za każdym razem, gdy morderca pociąga za cyngiel, ma wytrysk!"

W maju 1977 roku komisarz policji ujawnił profil osobowościowy mordercy, który określał go in absentia jako , .neurotyka, schizofrenika i paranoika", prawdopodobnie z obsesją opętania przez demony. Koncepcje w samej policji na temat Sama były o wiele bardziej pożyteczne i przekonujące - miał według nich prowadzić podwójne życie i nie zawsze robił wrażenie pomyleńca. "Jest to taki facet - twierdził komisarz Tim Dowd - który prawdopodobnie codziennie chodzi do pracy. Może ma coś wspólnego ze statystyką, jak księgowy lub urzędnik. Niknie na tle miasta. I nie wygląda na wariata". Mimo to ciągle nie było punktu zaczepienia: Berkowitz starannie o to zadbał.

Po aresztowaniu przestępcy, psychiatrów czekało wydanie orzeczenia, czy jest on "poczytalny", czyli ustalenie "czy pan Berkowitz cierpi na jakąś chorobę psychiczną lub defekt, który uniemożliwiłby

wytoczenie mu procesu". Mówiąc językiem prawniczym chodziło o stwierdzenie, czy Berkowitz pojmuje charakter przedstawionego mu oskarżenia oraz czy jest zdolny do współpracy z adwokatami w celu przygotowania obrony. Dwudziestego dziewiątego sierpnia zespół psychiatrów pod przewodnictwem doktora Daniela W. Schwartza, kierującego instytutem psychiatrii sądowej w Downstate Medical Center w Brooklynie, przedstawił raport, który powstał w oparciu o jedenaście godzin spędzonych z Berkowitzem na przestrzeni sześciu dni. "Wszyscy członkowie komisji są zdania - stwierdzał raport - że oskarżony jest osobą upośledzoną. Z powodu choroby psychicznej lub defektu ani nie posiada umiejętności zrozumienia przedstawionych mu zarzutów, ani nie jest w stanie uczestniczyć we własnej obronie". Choroba, na którą ich zdaniem cierpiał, to paranoja, a jedyna przyszłość to izolowanie od społeczeństwa.

W związku z takim biegiem wydarzeń, kiedy oskarżyciel zrozumiał, że jest mu potrzebny własny biegły psychiatra, sąd powołuje doktora Davida Abrahamsena w celu przeprowadzenia dodatkowego badania. Jego raport kwestionuje trafność wniosków przedstawionych przez psychiatrów obrony i uznaje Berkowitza za zdolnego do stanięcia przed sądem i współpracy z adwokatami. "Davidowi wydaje się - dodał Abrahamsen - że jego dziwaczne poglądy są tak istotne, że wszystkie inne zagadnienia powinny być odsunięte na dalszy plan. Tym samym głównym motywem przestępstw są jego przywidzenia... Warto również zaznaczyć, że podlegają one zmianie zależnie od okoliczności i nie są czymś stałym. Mogą być znacznie wyolbrzymiane przez oskarżonego". Abrahamsen trafnie wnioskuje, że "pomimo występowania u oskarżonego tendencji paranoidalnych, nie kolidują one z możliwością postawienia Berkowitza przed sądem".

To oświadczenie stało się źródłem sporu. Oskarżenie wystąpiło z wnioskiem, że Berkowitza należy ponownie przebadać przez wyznaczonych z urzędu psychiatrów. Obrona z kolei poprosiła o nowego, niezależnego psychiatrę, który ustaliłby poczytalność Berkowitza. Po ponownym przebadaniu więźnia Weidenbacher, współpracownik Schwartza, zmienił swoją wcześniejszą opinię i stwierdził, że Berkowitz jest poczytamy. Podstawę do zmiany diagnozy można uznać za szczególnie niepsychiatryczną: Berkowitz ochrzcił się i stał się gorącym orędownikiem baptyzmu (z czego wynika, że nie mógł postradać zmysłów). Jednakże i tym razem doktor Schwartz nie potrafił wyciągnąć ostatecznych wniosków, mając pewnie na względzie naciski, którym poddawany był sąd. Kolejny psychiatra powołany przez obronę, doktor Martin Lubin, uznał Berkowitza za niepoczytalnego. Zdaje się, że Abrahamsen był jedynym specjalistą, który przejrzał grę Berkowitza i jego omamy. "Wysoki sądzie - stwierdził - oskarżony jest równie normalny jak każdy z nas. Może trochę bardziej neurotyczny". W tym momencie obrona zmienia wcześniejsze oświadczenie na "przyznanie się do winy" i Berkowitz zostaje skazany na łączną karę 365 lat więzienia.

Po procesie Abrahamsen był jedynym psychiatrą, który zwrócił uwagę na element wyolbrzymiania i upiększania tak wyraźny w demonologii Berkowitza; o dziwo, właśnie to spowodowało zbliżenie się do siebie tych dwóch ludzi. Po procesie, kiedy Syn Sama wyparł się swojej demonologii, napisał do Abrahamsena i wyraził pragnienie, by cała historia ukazała się w formie książki, "poświęconej nie tylko zbrodniom, ale również odczuciom sprawcy". "Zrozumienie psychologicznego makijażu Berkowitza - napisze później Abrahamsen - to wyzwanie dla każdego psychoanalityka. Nie był bezmyślnym, psychotycznym mordercą, ale skomplikowaną ludzką istotą, nieubłaganie dążącą do unicestwienia siebie i innych".

Jednakże dalsza analiza wstępna przeprowadzona przez Abrahamsena skupiła się na psychiatrycznych stereotypach i dała w wyniku galimatias oderwanych spostrzeżeń. Rozpoczyna się od spojrzenia na rodzinę Berkowitza.

"Okoliczności jego wychowania przypominają nam, do jakiego stopnia jesteśmy ukształtowani przez wczesne lata dzieciństwa. Siedząc odczucia Berkowitza, jego myśli i czyny widać wyraźnie, jak czułość walczy z wściekłością, a miłość z nienawiścią, widać też osobowość, w której rzeczywistość przeplata się z fantazją". Abrahamsen przykładał dużą wagę do "uporczywego poszukiwania przez Berkowitza biologicznej matki" i sugerował, że "w pewnym stopniu popełnione zbrodnie są tragiczną konsekwencją jej odnalezienia". Ta paradoksalna koncepcja Abrahamsena, że gorące i pełne uczucia powitanie Berkowitza przez matkę i siostrę obudziło w nim mordercę, powstała na podstawie poglądu, że mimo wszystko rzeczywistość go przerosła. "Spotkanie biologicznej matki, Betty Falco, okazało się ostatecznym ciosem". Berkowitz wyobrażał sobie "pełną rodzinę, błogie połączenie. Po odnalezieniu Betty okazało się, że tak naprawdę nazywa się Richard Falco. Następnie dowiedział się, że były mąż matki. Tony Falco, odszedł od niej na wiele lat, zanim chłopiec się urodził. Jego prawdziwym ojcem był wieloletni kochanek Betty, człowiek żonaty, Joseph Kleinman, który nie żył od kilku lat. Berkowitz dostał jak obuchem w głowę. Nawet nazwisko na metryce urodzenia było nieprawdziwe. "Byłem nie chciany, wypadek przy pracy - wyznał. - Moje przyjście na świat albo miało zrobić komuś na złość, albo było wpadką". Kiedy Berkowitz poznał prawdę - kończy Abrahamsen - nazbierało się zbyt dużo urazów. Rozpacz i furia zadomowiły się na dobre. Żądza zabijania kobiet, nad którą do tej pory panował, mogła przerodzić się w czyn". Zdaniem Abrahamsena, odkrycie przez Berkowitza prawdziwej genealogii było bodźcem do rozładowania morderczych i sadystycznych instynktów. Nikt nie zaprzeczy, że opisane wydarzenia musiały mieć na niego

negatywny wpływ, ale pomysł, że właśnie one sprowokowały zabicie aż tylu kobiet, wymaga dodatkowych wyjaśnień.

Drugim, nieuniknionym tematem jest nienaturalny seksualizm Berkowitza, który Abrahamsen uważał za główną przyczynę zabójstw. "Odczucia seksualne Berkowitza odgrywały znaczącą rolę w dokonanych morderstwach, chociaż on sam przez długi czas minimalizował, a nawet zaprzeczał, by miały z nimi coś wspólnego". Jednak czy to zaprzeczenie było funkcją rozchwianego seksualizmu Berkowitza (jak twierdził Abrahamsen), czy było rzeczywiście autentyczne? Dostrzeżenie różnicy ma kolosalne znaczenie. Większość psychiatrów będzie oczywiście skłonna do koloryzowania zakładając, że seksualizm jest podstawowym popędem. "W czasie naszej pierwszej rozmowy - ciągnie Abrahamsen - kiedy pytałem go o związki z kobietami, zaczął opowiadać o demonach, które miały wobec niego takie oczekiwania". Spytany, czego chciały, Berkowitz wyjaśnił:

"Demony żądały mojego członka". Ta odpowiedź padła w okresie, kiedy Berkowitz był jeszcze zajęty fabrykowaniem demonologii - usprawiedliwianiem swoich czynów i próbą ratowania skóry przed odpowiedzialnością i więzieniem. Abrahamsen, uczeń szkoły freudowskiej, zignorował wyjaśnienie Berkowitza, ponieważ potwierdzało seksualną (a zatem prawdziwą) wersję wydarzeń. "Wtedy zorientował się, że powiedział za dużo i odmówił kontynuowania tego wątku. Nie był gotowy; wszedł na pole zaminowane odczuciami i pospiesznie się z niego wycofał". A może po prostu wyczerpała się wyobraźnia?

Rok później Abrahamsen jeszcze raz powrócił do tematu:

"Teraz chciałem uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego zabijał. Było kilka tematów, które poruszyliśmy tego pierwszego dnia w Attica, ale jedna uwaga szczególnie utkwiła mi w pamięci: "Poszedłem do wojska - deklarował Berkowitz - ponieważ miałem dosyć bycia prawiczkiem"". Abrahamsen pamiętał przechwałki Berkowitza, jakoby swój pierwszy stosunek miał w wieku lat szesnastu, podczas gdy w rzeczywistości stało się to, jak później przyznał, w Korei, gdy miał lat dziewiętnaście. "Opowiadał mi wtedy w Attica, że "po miłość francuską jechało się do jednego miasta, a normalny seks był w innym. Byłem najbardziej zaspokojony, kiedy sprawiałem im frajdę lizaniem.^' To interesujący materiał, ale z tego zamiłowania do seksu oralnego raczej niż genitalnego Abrahamsen wywnioskował, że Berkowitz jest seksualnie niedojrzały i że właśnie ta niedojrzałość stanowi motyw morderstw. "Fascynacja Berkowitza seksem oralnym przy całkowitym wyeliminowaniu stosunków genitalnych zarówno w marzeniach, jak i rzeczywistości wskazuje na opóźniony rozwój seksualny. Wolał petting i pieszczoty od dojrzałego stosunku genitalnego". Abrahamsen pominął milczeniem możliwość, że tego typu preferencja może być uznana za gust danego osobnika, a nie za patologiczną skazę.

Kolejnym wnioskiem psychiatry było spostrzeżenie, że "inną oznaką opóźnienia była masturbacja pełniąca rolę substytutu normalnego stosunku. Kiedy Berkowitz poszedł do wojska masturbował się nawykowo kilka razy dziennie. Nawet wtedy gdy głośno krzyczał, że seks to grzech, i brał czynny udział we wszystkim, co miało jakiś związek z religią, nie mógł się doczekać, kiedy wróci do swojego pokoju w baraku, by się onanizować. Masturbując się, zawsze wyobrażał sobie, że jest z dziewczyną. "Kiedy to robiłem - mówił - zawsze myślałem o kobiecie i mężczyźnie uprawiających miłość francuską... Moje wyobrażenia zawsze dotyczyły dziewcząt. Teraz nie mogę zasnąć, jeżeli się przedtem nie spuszczę"". Mogłoby mieć to jakieś znaczenie, gdyby nie świadomość, jak powszechnym zjawiskiem musi być masturbacja w obcym środowisku, gdzie częste wizyty w domach publicznych zastępują pełnym wigoru młodym mężczyznom konwencjonalne związki z kobietami. Mimo to Abrahamsen wnioskuje, że "coraz częściej w sferze życia seksualnego fantazja stawała się rzeczywistością". Czyż nie można tego samego smutnego faktu powiedzieć o przeważającej części ludzkości? "Ponieważ neurotyczna nieśmiałość pchała go raczej do masturbacji, niż do nawiązania stosunków seksualnych z dziewczyną, nigdy nie miał szansy dowiedzieć się, o ile większą przyjemność mógłby z nich czerpać. Fantazje seksualne z kobietami w roli głównej były zawsze takie same, ale nigdy ich nie urzeczywistniał. Był samotnikiem. W gruncie rzeczy bał się, że jest impotentem, a za swoją nieśmiałość winił kobiety... "Zacząłem nienawidzić dziewcząt. Zawsze ich nienawidziłem) Powiedział mi kiedyś, że niemal cały czas na jawie snuł rojenia, które sprawiały mu dużo kłopotu. Prawie zawsze dotyczyły seksu lub przemocy. "Naprawdę jestem zboczony" -wyznał".

Abrahamsen twierdził, że nietypowy seksualizm Berkowitza "sięgał korzeniami dzieciństwa. Już jako dziecko wiedział, że został adoptowany; żył w ciągłym strachu, że jego podstawowe potrzeby fizyczne i emocjonalne nie zostaną zaspokojone. Straciwszy jedną matkę, tę biologiczną, bał się, że może też stracić tę drugą, przybraną. Obawy się potwierdziły. Pearl zmarła na raka, kiedy David miał czternaście lat. Śmierć matki była przyczyną takiego niepokoju i żalu, że przytłumiły uczucia miłości, hamując ich naturalną ekspresję". Przecież to niczego nie wyjaśnia. Wielu ludzi cierpi w dzieciństwie z powodu utraty rodzica, nawet przybranego, ale pozostaje to bez wpływu na zdolność kochania w przyszłości. Można wykazać coś wręcz przeciwnego, mianowicie, że tego typu doświadczenia jeszcze bardziej uzależniają człowieka od związków emocjonalnych. Tak czy inaczej bezsensem jest przedstawianie takiej teorii jako wyjaśnienie motywów kolejnych zabójstw.

Trzeci wątek dotyczył autorytetów. Abrahamsen badał go w kontekście kompleksu Edypa i prawa pierwszych połączeń. "Berkowitz kojarzył miłość fizyczną z rywalizacją i antagonizmem (czyż nie robi tego każdy myślący człowiek?). Berkowitz tak mi opowiadał: "(Przybrany ojciec) kazał mi wyjść z pokoju, kiedy chcieli zostać sami. Buntowałem się. Czułem, że mi coś odbierają. Ojciec był osobą, która wyprowadzała mnie z pokoju. Pytałem go: "Co będziecie robić, całować się?" Widzimy tu konfrontację psychologiczną klasyczną dla wieku dzieciństwa -twierdził Abrahamsen - w której chłopiec walczy z ojcem o uczucia matki. Początkiem samookreślenia jest sposób, w jaki dziecko akceptuje tę walkę. Od tego zależy, czy wejdzie bez problemów w wiek dorastania. Ale ego Berkowitza nie czuło się na tyle bezpieczne, by mógł zaakceptować to doświadczenie i przejść nad nim do porządku dziennego. Mógł jedynie oddać się fantazjowaniu i dać upust seksualnym pragnieniom". Ciągnąc dalej ten sam wątek, Abrahamsen połączył wrogość, którą Berkowitz okazywał ojcu, z tym, co chłopak czuł do Boga. "Jeżeli nie rozwiązany kompleks Edypa miał wpływ na seksualizm Berkowitza, podobnie było ze stosunkiem do autorytetów. W pewnym momencie w czasie naszej wstępnej rozmowy w Attica, omówiwszy właśnie sprawy związane z seksem, Berkowitz rozpoczął diatrybę przeciwko Bogu... Jego lęk przed Stwórcą niczym się nie różnił od lęku przed ojcem, który odczuwał okazując mu nieposłuszeństwo. Domagał się atencji matki, ponieważ chciał być jej jedynym ulubieńcem".

Zostawiając na boku zagadnienie, w jaki sposób zazdrość o matkę może doprowadzić do popełniania morderstw, Abrahamsen rozwija teorię pierwszych połączeń, nie posiadając na to żadnych dowodów. "Jest możliwe - rozważał - że jako dziecko Berkowitz zobaczył swoich przybranych rodziców w trakcie aktu miłosnego i od tej pory tłumił w sobie pamięć o tym wydarzeniu. W 1977 roku był świadkiem kolejnej sceny miłosnej, kiedy zaczaił się na Stacy Moskowitz i Roberta Violante. Przyglądając się młodej parze czuł, że uczestniczy w ich akcie, gdyż podglądanie sprawiało mu ogromną radość. W pewnym sensie był zarówno podglądaczem, jak i uczestnikiem. Też chciał uczestniczyć w akcie. Pociągając wielokrotnie za cyngiel był jak w transie, czując się jakby i seksualne złączony ze swoimi ofiarami". Tymczasem antropologia dostarcza wielu dowodów na to, że tak zwane zdarzenie inicjujące jest zjawiskiem kulturowym: istnieje wiele społeczności, w których przyglądanie się rodzicom w czasie stosunku jest na porządku dziennym i jest jedynie przyczynkiem do grubych żartów i chichotów. Najprawdopodobniej tylko w epoce wiktoriańskiej przy pełnym zafascynowaniu, a jednocześnie przerażeniu seksualizmem człowieka, potrafiono stworzyć teorię, która przypisuje zaburzenia psychiczne ujrzeniu takiej sceny.

Kiedy Berkowitz zachęcił Abrahamsena do "wyjaśnienia w sposób naukowy", czy istnieje związek pomiędzy zabijaniem ludzi w zamkniętych samochodach i okolicznościami jego poczęcia (o których Berkowitz nic nie wiedział), psychiatra napisał: "Patrząc na sprawę naukowo, wydaje mi się, że rzeczywiście próbował tych ludzi zaskoczyć, dosłownie ze spuszczonymi majtkami. Spotkanie z Betty Falco wystarczyło, by ruszył zabijać. Stało się dostatecznym przyczynkiem, by pragnął przyłapać jakąś kobietę z opuszczonymi majtkami i ukarać ją - a wszystko dlatego, że spotkanie z biologiczną matką tak go rozczarowało i rozwścieczyło". Ale Berkowitz był rozczarowany złożonością historii o swoim poczęciu i licznych "ojcach", a nie osobą matki, która otoczyła go miłością!

Ale skoro Abrahamsen został mianowany oficjalnym biografem Berkowitza, musimy wysłuchać go do końca. Stał na stanowisku, że ten mężczyzna o ułomnym seksualizmie, podglądacz, ofiara "zdarzenia inicjującego" cierpiąca na kompleks Edypa, odreagowywał na kobietach wściekłość na biologiczną matkę. "W naszych seksualnych rojeniach przemoc odgrywa znaczącą rolę. Jednak w zaburzonym (chociaż nie koniecznie psychotycznym) umyśle, te odczucia stapiają się w jedno i osobnik postąpi zgodnie z nim. Tak się stało z seksualizmem i przemocą w przypadku Davida Berkowitza. Przemoc zapanowała nad podkoloryzowaną seksem agresją. Przyznał, że od dawna miewał rojenia o zabijaniu kobiet. Snuł fantazje o strzelaniu do kobiet i kochaniu się z nimi. Wrogie uczucia do płci przeciwnej wywoływały w nim chęć "uszkodzenia ciała, ale nie w czasie stosunku". Mimo tego zapewnienia, z faktu łączenia ze sobą tych dwóch zagadnień wynika, że rojenia o seksie i mordach były ze sobą ściślej związane niż mu się wydawało".

Czy Berkowitz po prostu nie zdawał sobie z tego sprawy, podobnie jak psychiatrzy z reguły nie mówią swoim pacjentom o ich stanie? Czy raczej Berkowitz próbował powiedzieć Abrahamsenowi coś, czego ten nie zrozumiał? W rzeczywistości Berkowitz wyraźnie zakwestionował wszystko, co Abrahamsen tak starannie zbudował podkreślając, że zabójstwa nie miały podłoża seksualnego. Po zamordowaniu Donny Laurie "wręcz podśpiewywałem w drodze do domu... Napięcie, chęć zabicia kobiety, nagromadziły się we mnie do tego stopnia, że kiedy w końcu nacisnąłem spust, całe napięcie, stres i nienawiść nagle zniknęły, rozpłynęły się, ale nie na długo. Nie miałem odczuć erotycznych. Była tylko wroga agresja. Kiedy to robiłem, wiedziałem, że robię źle. Chciałem ją zniszczyć za wszystko, co sobą reprezentowała. Nie znałem jej wcześniej, ale wiedziałem, co reprezentowała". Czemu służy to zaprzeczenie? Dlaczego Abrahamsen je pominął? Kogo lub co reprezentowały ofiary Berkowitza i co było źródłem "wrogiej agresji"? By na to odpowiedzieć musimy powrócić do społecznej interpretacji jego życia.

Metamorfoza seryjnego mordercy

Nienawidzę buntowników, ale kocham rewolucjonistów.
David Berkowitz

Człowiek, który nazywał się Richard Falco, a następnie David Berkowitz, składał się, jak wszyscy, z wielu elementów i od niego samego zależało, który z nich zyska przewagę nad innymi. W przeciwieństwie do wielu z nas, egocentryzm i płyt-kość myślenia Berkowitza umożliwiły mu swobodne i bezkonfliktowe przechodzenie z jednej osobowości do drugiej. Jeśli mamy go zrozumieć, nie możemy potraktować każdej transformacji równe pobieżnie jak robił to sam zainteresowany. Człowiek, którego dziełem życia miało stać się zabijanie pięknych kobiet w Queens, niczym wąż często zmieniał skórę, aż wreszcie ostatecznie ustalił swoją tożsamość jako Syn Sama.

Łobuziak

Dzieciństwo wielokrotnych morderców często rozmija się z naszymi oczekiwaniami: zaledwie niewielka grupa jest "wykorzystywana" w potocznym rozumieniu tego słowa (czyli dorasta w atmosferze przemocy: fizycznej lub seksualnej). Często pochodzą z nieprawego łoża, są dziećmi adoptowanymi lub cały okres dojrzewania spędzają w zakładach zamkniętych. W przypadku Berkowitza mamy do czynienia ze względnym brakiem klasycznego obrazka dzieciństwa, które upłynęło w nędzy i deprawacji. Nie ma żadnych dowodów na jakikolwiek przejaw brutalnych zachowań w nieciekawej, średniozamożnej rodzinie żydowskiej, w której wychowywał się Berkowitz. Nie wykazywał też żadnych tendencji maniakalnych. Można jedynie powiedzieć, że był "nadpobudliwy", który to eufemizm określa pewien złożony typ zachowań. Miał opinię zepsutego i trudnego do opanowania łobuziaka. Według jednego z sąsiadów "rodzice mieli z nim skaranie boskie. Rówieśnicy skarżyli się, że bił ich bez powodu. (Ale) jego rodzice byli dobrymi ludźmi; dawali mu takie zabawki, o jakich marzyło każde dziecko. Z pewnością miał lepiej niż inne dzieci z sąsiedztwa".

Byli tacy, na których sprawiał wrażenie dziwnego chłopca, ale podobnie byłoby z każdym krnąbrnym i rozpaskudzonym łobuziakiem. Sąsiad, którego wypowiedź brzmi najbardziej wiarygodnie, uważał, że Berkowitz był "niesfornym dzieckiem. Matka chodziła z nim do psychiatrów. Robił bardzo dziwne rzeczy. Popychał ludzi. Zawsze miał bujną fantazję, ale to, co mówił, zawsze odrobinę wykraczało ponad to, co powiedziałoby dziecko w jego wieku. Jego matka zawsze była roześmiana". Nauczyciel muzyki, któremu powierzono zadanie wyjaśnienia chłopcu zasad gry na saksofonie, wspominał, że "(Berkowitz) był okropny i nie chodzi tu tylko o muzykę. Kiedy raz przyszedłem na lekcję miał napad furii:

zrywał zasłony i obrazy ze ścian, wrzeszczał i kopał. Powiedziałem, że przyjdę później. Matka strasznie płakała z powodu tych napadów złości. Arogancja to kolejna sprawa. Był najbardziej niezrównoważonym dzieckiem, jakie znałem". To ciekawa wypowiedź, ale nie wnosi nic ponad opis dziecka, które jest zakałą każdego osiedla. Berkowitz tymczasem odreagowywał przedwczesne poznanie prawdy o adopcji poprzez nie kończący się atak na niczego nie rozumiejącą przybraną matkę.

Patriota

.Berkowitz zbliżył się do swojej prawdziwej tożsamości stosunkowo wcześnie, chociaż będzie ją jeszcze odrzucał przez wiele lat. Przepoczwarzył się w ultrakonserwatywnego patriotę. Wszedł w okres męskości, kiedy wojna w Wietnamie dobiegała końca, a on sam przeżywał śmierć przybranej matki i powtórne małżeństwo ojca. Logicznym wyjściem dla tego pseudo Johna Wayne'a było wstąpienie do wojska. "Chciałem służyć ojczyźnie i dzięki wojsku zdobyć wykształcenie" - wyjaśniał. Dostał napadu wściekłości, kiedy przyrodnia siostra o radykalnych poglądach, należąca do jakiejś komuny w Kalifornii, przysłała mu pacyfistyczny kolaż, by zaprotestować przeciwko jego planom zaciągnięcia się do wojska. "Naprawdę się wściekł - wspominała przyjaciółka z dzieciństwa Iris Gerhardt. - To był taki antywojenny plakat, ze zdjęciami i jej własnymi rysunkami, który mówił, że amerykańscy żołnierze to mordercy - Dave nie powinien zostać mordercą. Miał jej to za złe. Pokazał go nam i spytał: "Czy chcielibyście coś takiego dostać przed pójściem do wojska?""

Wyjaśniając źródło swojego patriotyzmu, wtedy kiedy taka postawa znacznie odbiegała od postawy jego rówieśników, Berkowitz przyznał: "Tak jakbym był nie na czasie. Chciałem, by coś się działo, chciałem czegoś dowieść. To był bunt przeciwko rodzicom, krajowi i tak dalej. Rówieśnicy byli hipisami i ćpali. Sądzę, że wtedy byłem prawdziwym patriotą. Poza mną było niewielu takich ludzi". Po krótkim przeszkoleniu został wysłany nie do Wietnamu, lecz do Korei. Po przybyciu na miejsce ostentacyjnie manifestował swoją postawę. "Przyszedłem do oddziału prosto po szkoleniu, no i wiecie, byłem strasznie napalony". Ale bardzo szybko Berkowitz patriota znika na jakiś czas, gdyż, jak każdy w wojsku w Korei, zmienił się. "Rany, kiedy ujrzeliśmy wszystko na własne oczy, nastąpiła zmiana. Prawie wszyscy wariowali". Osobowość "patrioty" powróci jeszcze w jego życiu (kiedy zatrudni się jako ochroniarz lub znajdzie pracę w policji), ale tymczasem miało nastąpić drugie wielkie przeistoczenie.

Buntownik

Ideologicznie Berkowitz był konserwatystą, ale jak większość omawianych tu wielokrotnych morderców, jego funkcjonowanie w społeczeństwie przyjmowało kształt rebelii. Występowała pod postacią buntu przeciwko establishmentowi lat sześćdziesiątych, który czasami był zabarwiony radykalnym klerykalizmem.

Wkrótce po przybyciu do Korei pisał do przyjaciół w Stanach, zachęcając ich do "kontynuowania działalności, a ja będę robił swoje tutaj". Dwudziestego pierwszego stycznia 1972 roku napisał do swojej przyjaciółki Gerhardt oficjalnie informując o zmianie ideologii, co musiało zostać przyjęte ze zdumieniem. "Nie będę już się bawił w odgrywanie konserwatywnego patrioty. Ocknąłem się. Świat jest cały po-pierdolony (dzięki Nixonowi). Potrzebny nam pokój. Jedyne, co mi teraz chodzi po głowie, to narkotyki, muzyka, ekologia, nędza, pokój i miłość... Gardzę religią, nietolerancją, chciwością itd. Taki jest cały świat. Jak piekło. Wysysa nas. Wszyscy pójdziemy do piachu".

Pogardzając religią, postanowił przejść na ewangelicyzm. Posługując się typowym dla siebie pokrętnym stylem napisał:

"Pewnego dnia ja i Jezus rozmawialiśmy sobie, nie? I zaczęliśmy się zastanawiać. Więc zdecydowałem się zrobić to, co chciałem zrobić w tej konkretnej sytuacji". Zgodnie z tym oświadczeniem zaczął gorliwie nawracać żołnierzy w bazie. Jeden z nich pamiętał, jak Berkowitz "mówił chłopakom, żeby się nie upijali, nie przeklinali, nie latali za kobietami. Nie odniosłem wrażenia, że jest niedobrym człowiekiem. Czasami był trochę dziwny, ale to samo można było powiedzieć o innych facetach".

Nawrócenie się na chrześcijaństwo nie było czymś trwałym, ale za to nie do końca sprecyzowany radykalizm mocno zakorzenił się w jego psychice. Bardzo prędko odmówił noszenia broni w czasie zajęć i postawiono go przed sądem wojskowym. Drugiego lutego napisał do Gerhardt wyjaśniając cały incydent:

"Ostatecznie dowiodłem, że nie mam zamiaru dłużej bawić się ich pukawkami. Złożyłem obietnicę, że nie będę nosił broni, kiedy mój oddział wychodzi w teren. Więc tego dnia, kiedy stałem w kolejce po żarcie, major i kapitan podeszli do mnie i spytali: "Żołnierzu, gdzie wasza broń?", a ja im na to, że nie zabrałem jej ze sobą i nigdy nie będę zabierał. Wtedy rozpętało się piekło. Przecież nie mogą mi kazać nosić broni. Wyjaśniałem, ale nic z tego nie wyszło. Tłumaczyłem kapelanowi. I wiesz co? On mnie popiera. Sam nigdy nie nosił broni. Jest prawdziwym słógą (sic!) bożym. Ja też nim jestem i on o tym wie. Oczywiście stanę przed sądem i wygram. Będę musiał udowodnić, że do odmowy zmusza mnie sumienie i przekonania, co jest prawdą. Będzie zarzarta (sic!) walka, ale jest siła, która będzie mnie podtrzymywała na duchu - Bóg. Jest po mojej stronie. Jedno na pewno mi przyznasz, mianowicie, czy kiedykolwiek słyszałaś, żebym mówił o miłości, pokoju. Bogu? Czy pamiętasz, bym kiedykolwiek o tym mówił tam, u was, w normalnym świecie? Te uczucia miałem głęboko w środku... nie myśl tylko, że wariuję lub coś w tym rodzaju, bo tak nie jest... tak, teraz jestem sobą... czuję pomocną dłoń przyjaciół. Muszę im wszystkim gorąco podziękować za wsparcie. Ponieważ znowu jestem człowiekiem. Niezależnym od świń, które tylko chcą wojny, i od ich złych uczynków".

W ten sposób zostało zasiane ziarno, z którego wyrósł Syn Sama. Tak jak w wypadku wszystkich omawianych tu wielokrotnych morderców istota ich poglądów jest bez znaczenia. To wyjaśnia przyczynę przechodzenia z jednej skrajności w drugą: jedynie przyjęcie buntowniczej postawy ma znaczenie. W tym momencie Berkowitz przedstawia się nam jako hipis-baptysta, który jednego dnia buntuje się przeciwko służbie wojskowej, ale jeszcze poprzedniego dnia był patriotą okazującym nieposłuszeństwo rodzicom i odcinającym się od swojego pokolenia. W tej mieszaninie postaw, Berkowitz zwietrzył okazję do zbudowania nowej tożsamości i zwrócenia uwagi świata na swoją osobę.

W połowie marca, kiedy nowa osobowość nabrała rumieńców, tak opisał swoją postawę w liście do Gerhardt: "Od chwili kiedy się tu znalazłem, nie robię nic innego, jak tylko walczę z establishmentem. Trudno walczyć cały czas, ale ja i kilku innych wiemy, że mamy rację. Po prostu jestem zbyt niecierpliwy, by zobaczyć jak powstaje wspaniały, nowy świat. Ale przytomnieję, kiedy zdaję sobie sprawę, że umrę zanim ta zmiana nastąpi. Nie chce mi się walczyć. Kiedy używam słowa "walczyć", nie mam na myśli przemocy. Jak sądzisz, kiedy ludziom coś się rozjaśni w głowach? Najgorzej jest, kiedy odnoszę wrażenie, że nikt mnie nie popiera i że walczę o przegraną sprawę. Często nachodzą mnie takie myśli i wtedy mam chęć dokądś uciec na jakiś czas. Innymi słowy, próbuję zapomnieć o tym "wyścigu szczurów" i oddaję się głębokiej medytacji. Wtedy mam szansę pomyśleć i zaplanować następny krok". Można tylko pokiwać głową nad płytkością motywacji -bunt wygasł po kilku tygodniach. Trzeba też zwrócić uwagę na fakt, do jakiego stopnia brak poparcia (czytaj: aplauzu) osłabił oddanie sprawie. Mimo to Berkowitz uważał, że trzyma się twardo. W maju 1972 roku oficjalnie odmówił "uczenia się, jak zabijać bliźniego... Nikt nie będzie się bogacił na mojej śmierci. Nikt nie wyśle mnie na wojnę, by mogli zarobić pieniądze poprzez zmuszanie mnie do używania ich broni, kuł, bomb itd". W czerwcu pojął, że "wojsko to tylko narzędzie, którym posługuje się jeden naród przeciwko drugiemu. To tylko gra polityczna. Nie mogę zrozumieć, jak człowiek może rozpętać wojnę przeciwko innemu człowiekowi. Przecież mamy się wszyscy kochać, a tak nie jest... Chcę być orędownikiem miłości i braterstwa, ale na ziemi nie ma miłości... Z wojny jeszcze nigdy nie wyszło nic dobrego... Chcę być wolny i wkrótce będę. Ale jest coś, co muszę najpierw zrobić. Dajcie mi około pięćdziesięciu dni na zastanowienie. Chciałbym, żeby ludzkość była wolna. Miłości, powiedz, jak być wolnym, powiedz, jak odnaleźć spokój. Nie mam odpowiedzi na te pytania". Czym miał być ten następny krok, który wymagał aż pięćdziesięciu dni przygotowań i miał mu przynieść spokój?

Wkrótce znajdzie swój wymarzony spokój, zabijając przedstawicielki warstwy społecznej, przez którą, jego zdaniem, czuł się uciśniony. Chwilowo mógł tylko zasygnalizować swoje dalekosiężne plany. "Nauczyli mnie, jak walczyć, mówili o różnych rodzajach broni, burzeniu, likwidowaniu zamieszek i samoobronie. Całe to szkolenie kiedyś się przyda. Mam zamiar je wykorzystać, ale nie tak, jak chcieli. Wykorzystam całą tę wiedzę, by ich zgładzić, tak samo jak oni zgładzili miliony ludzi w czasie wojen, które rozpętali. Nadejdzie dzień, w którym świat będzie lepszy, ale najpierw potoczy się parę głów obecnych przywódców... Biedak nie jest tak leniwy jak bogacz... Napawa mnie to wszystko odrazą i spróbuję to zmienić. Podjąłem stanowczą decyzję; dowiem się, co siedzi w głowach naszych nieustraszonych przywódców. Dowiem się, co siedzi w ich głowach, nawet gdybym miał im rozłupać czaszki... Nienawidzę buntowników, ale kocham rewolucjonistów". Wkrótce "rozłupie" wiele głów przeprowadzając swoją rebelię, ale nie miał ani środków, ani sposobności, by rzucić wyzwanie elicie władzy, przez którą czul się uciśniony; za pośrednictwem czczego buntu pozbawi życia tylko tych, do których miał dostęp.

Demony

Ciągle czegoś brakowało, jakiejś ideologii, która pomogłaby mu pozbyć się strachu i rozwiązała ambiwalentny stosunek do zabijania. Po zakończeniu służby i powrocie do Stanów wielokrotnie zmieniał pracę (wszystko przypadkowe posady), a dwa istotne wydarzenia w tym okresie to uraz spowodowany wyprowadzeniem się ojca na Florydę i odkrycie złożonej prawdy o swoich rodzicach. Zostawiony sam sobie w mieszkaniu i we własnym świecie, znajduje brakujący element w demonach, które zaczynają go nawiedzać. Świadomie lub nie stworzył całą hierarchię sił nieczystych, które kazały mu robić to, co chciał robić. O demonologii Berkowitza można przeczytać w wielu książkach, ale ponieważ stanowi klucz do kariery mordercy, należy jej poświęcić chwilę uwagi.

Pierwsza publiczna wzmianka o demonach pojawiła się w liście, który napisał do kapitana policji Josepha Borrelliego, jednego z wyższych rangą detektywów ścigających Syna Sama. "Jestem głęboko dotknięty faktem, że nazwał mnie pan mizoginistą - czytamy w czterostronicowym liście, pozostawionym przy ciałach Suriani i Esau. - To nieprawda. Ale jestem potworem. Jestem "Synem Sama". Jestem małym nicponiem. Kiedy ojciec Sam upija się, robi się niedobry. Bije rodzinę. Czasami wiąże mnie i zostawia na tyłach domu. Czasami zamyka mnie w garażu. Sam przepada za piciem krwi. "Idź i zabijaj" - nakazuje ojciec. Niektórzy spoczywają w ogródku za domem. Przeważnie młodzi ludzie, zgwałceni i zarżnięci, a ich krew wysączona - teraz to już same kości... Czuję się jak ktoś obcy. Nadaję na innych falach - jestem zaprogramowany do zabijania". Ten list spełniał dwie funkcje: informował o istnieniu demonów i naigrawał się z policji. "Uwaga, wszystkie siły policyjne: najpierw do mnie strzelajcie - tak aby zabić, albo zejdźcie mi z drogi, bo wszyscy zginiecie! (...) Policjo: niech te słowa dźwięczą wam w uszach: wrócę! wrócę! I usłyszycie tylko bang bang bang - uch!!! Wasz szczerze oddany morderstwu Pan Potwór".

Kilka miesięcy później napisał do "The New York Daiły News", kontynuując temat o wpływie Sama, tym samym odżegnując się od wszelkiej odpowiedzialności za morderstwa. "Szanowny Panie Breslin - zaczął list do jednego z redaktorów. - To, że nie miał pan (ode mnie) żadnych wiadomości, nie znaczy, że zapadłem w sen. O nie, ciągle tu jestem. Jak duch błąkający się nocą. Spragniony, głodny, niestrudzony - gotowy do zaspokojenia Sama. Kocham to, co robię. A teraz pustka się zapełniła". By dodać słowom wagi, podpisał się "Dzieło Sama kaliber .44".

Kiedy popełniał kolejne morderstwa, do demonologii doszły nowe postacie. Jedną z nich był sąsiad, Craig Glassman, który zdaniem Berkowitza był duchem mogącym "wniknąć do umysłu". "Ktoś nieustannie wrzeszczał i wył w moim mieszkaniu. Hałas był ogłuszający. Cały dom, mieszkanie, wszystko się trzęsło". Berkowitz zaczął pokrywać ściany mieszkania napisami, dając wyraz opętaniu. "Dopóki Craig Glassman chodzi po świecie, nie będzie spokoju, ale za to będzie mnóstwo trupów... Craig Glassman jest wyznawcą diabła i ma nade mną władzę... Nazywam się Craig Glassman i żadna dusza nie zazna przy mnie spokoju". W połowie czerwca Berkowitz wysłał anonimowy Ust z pogróżkami do Glassmana, pisząc w nim o demonach, szatanie i "ulicach, po których w dniu sądu popłyną strumienie krwi". Berkowitz mówił o sobie jako o "niewolniku", podczas gdy Glassman był "panem", który "wyganiał mnie w nocy, bym słuchał (jego) rozkazów". Później, w dzienniku pisanym w więzieniu, demonologia zaczyna się rozrastać. Jaką rolę odgrywała cała ta twórczość? Jaką rolę odgrywały demony w działalności Berkowitza?

Synteza

Kochem moje dzieło. Próżnia się, wypełniła.

David Berkowitz

Czym był próżnia, która powstała w życiu Davida Berkowitza? Cóż było takiego w akcie wielokrotnego morderstwa, że potrafiło tę próżnię wypełnić po brzegi, oraz dać Berkowitzowi godne pozazdroszczenia poczucie euforii i spełnienia? By zrozumieć tego człowieka, musimy skupić się na kategorii społecznej, do której należały ofiary, gdyż dopiero wtedy odcyfrujemy zakodowany przekaz zawarty w jego czynach i publicznych oświadczeniach.

Informacja o tym, kiedy zaczął zabijać, jest bardzo cenna. Nie stało się to w późnym okresie dojrzewania w Nowym Jorku, kiedy wyobraźnię zaczął rozpalać płomień agresji. Myśli o zabijaniu nie naszły go również

w czasie służby wojskowej w Korei, kiedy zadawał sobie dużo trudu, by wygłaszać przed kolegami płytkie poglądy o wyrzeknięciu się przemocy. Nie zaczął zabijać bezpośrednio po powrocie do kraju, kiedy to jak na ironię zatrudnił się jako strażnik w Fort Knox, pilnując zgromadzonego tam złota bogaczy. Nie stało się to też, kiedy jak rękawiczki zmieniał miejsca pracy według własnego widzimisię. Został mordercą, kiedy zamieszkał we własnym mieszkaniu i dostał solidną posadę na poczcie. Tego kroku nie podjął ktoś, kto został bez środków do życia.

Abrahamsen miał absolutną rację, wskazując na odkrycie prawdy o nieprawym położeniu jako główną przyczynę kryzysu. "Berkowitz był nieszczęśliwy, samotny, opętany myślą o tym, że został odrzucony i pominięty - pisał psychiatra. - Poznanie swojej biologicznej matki, Betty Falco, okazało się ostatnią kroplą, która przelała czarę frustracji". W efekcie, poznanie prawdy o tym, że "moje (Berkowitza) przyjście na świat albo miało zrobić komuś na złość, albo było wpadką", nie stało się źródłem choroby psychicznej, ale zakwestionowało jego wiarygodność jako prawowitego obywatela i podważyło fundamenty jego osobowości. Podobnie jak Ted Bundy, który stanął wobec tego samego problemu, Berkowitz załamał się. Odbudowanie tożsamości wymagałoby ponownego i całkowitego zdefiniowania świata. By dokonać czegoś takiego i zacząć działać, a tym samym odzyskać prawo do człowieczeństwa, zamknął się w sobie na miesiąc przed pierwszą próbą morderstwa. W tym okresie napisał list do ojca, w którym ujawnił niektóre z ogarniających go czarnych myśli. "Tato, świat zaczyna ogarniać mrok. Czuję to coraz bardziej. A ludzie chyba zaczynają mnie nienawidzić. Nie uwierzyłbyś, jak bardzo mnie nienawidzą... Większość z nich jest młoda. Idę ulicą, a oni na mnie plują i mnie kopią. Dziewczyny wyzywają mnie od brzydali i to one mnie najbardziej denerwują. Chłopaki tylko się śmieją". Zaczyna się krystalizować idea, na kim Berkowitz wyładuje swój gniew.

Problem, który spędzał mu jeszcze sen z powiek to pokonanie niechęci do zabijania. "Chciałem odebrać komuś życie, a jednocześnie chciałem je oszczędzić. Czułem, że muszę kogoś zabić... Chciałem i nie chciałem". Rozwiązaniem stały się demony. W stwierdzeniu, że to demony uczyniły z niego żołnierza, jest nawet trochę prawdy. Zamykając się w ciasnym mieszkaniu na dwadzieścia osiem dni, na gorąco zaczął tworzyć (w celu samookłamania, co nie jest niczym nowym) swoją demonologię. Korzystając z informacji zgromadzonych gdzieś w zakamarkach mózgu bazgrał flamastrami napisy na ścianach: "W tej dziurze mieszka Zły Król", "Zabij dla mojego Pana" i "Zamieniam dzieci w Morderców". W ciągu następnych kilku miesięcy urealni wizję świata złych mocy, które trzymały go na uwięzi jak niewolnika. Znalazł prosty sposób na poradzenie sobie z ambiwalentnym stosunkiem do zabijania; przy trzecim zabójstwie nie zostanie po nim nawet wspomnienie. Ci, co analizowali przypadek Berkowitza, zwrócili uwagę na pewien fakt, ale go nie wyjaśnili: wszystkie popełnione przez niego morderstwa łączy jedno - "umysł Berkowitza stwarzał przeszkody, które miały przeszkodzić w zabijaniu". Kiedy przeanalizował swoje dotychczasowe życie i stwierdził, że dalej tak być nie może, demony stworzyły siłę, która kierowała jego furią. "Wierzyłem, że mam pełne prawo moralne do zabicia wybranej ofiary" - twierdził Berkowitz i patrząc na to z jego punktu widzenia miał rację - zabijanie wypełniło próżnię w jego życiu.

Kobiety z Queens

Kobitki z Queens są najpiękniejsze.
Pewnie z powodu wody, którą piją...
Niech żyją mieszkania Queens - kocham was.
David Berkowitz

Zbaczał zabijać, by nadać swemu życiu znaczenie i treść. Ale kogo zabijał? Zabijał atrakcyjne młode kobiety, mieszkanki tylko jednej dzielnicy Nowego Jorku, Queens. "Queens było dla mnie czymś specjalnym, bardzo specjalnym... Zastrzelenie kogoś w Queens stało się obsesją". Dlaczego właśnie Queens? Co było takiego wyjątkowego w tej dzielnicy, że wyróżniało ją spośród innych dzielnic? Dlaczego polował na ulicach Queens, szukając ujścia dla tego, co nazywał "wrogą agresją", i próbując "zniszczyć ją (kobietę) za to, co sobą reprezentowała"? Queens to dzielnica zamieszkana przez rodziny z niższej warstwy klasy średniej. Dla kogoś, kto balansował na granicy klasy średniej i kto czuł się całkowicie odstawiony na boczny tor z powodu złożoności swojego pochodzenia, Queens musiało być symbolem wszystkiego, co trwałe i upragnione, wszystkiego, co zostało przed nim zamknięte. Było zatem całkowicie naturalne, że mieszkając w robotniczej części Yonkers, szukał ofiary (co jest charakterystyczne dla prawie wszystkich morderców seryjnych) stojący o jeden szczebel wyżej w hierarchii społecznej. Kiedy między jednym a drugim morderstwem napisał Ust do społeczeństwa, pomniejszał swój status społeczny twierdząc, że pisze "ze szpar w chodniku miasta Nowy Jork, z miejsca, gdzie mieszkają mrówki, które żywią się zaschłą krwią martwych ciał... piszę z rynsztoków miasta Nowy Jork, pełnych psiego gówna, rzygowin, sfermentowanego wina, moczu i krwi". Berkowitz wychodzi z tego rynsztoka pełnego rzygowin, aby wstąpić na ścieżkę wojenną i niszczyć to, co najdelikatniejsze i najpiękniejsze w życiu tych, którzy go odepchnęli.

Kiedy Berkowitz miał już na swoim koncie kilka ofiar, próbował, jak Starkweather, podwyższyć poprzeczkę i zabić kogoś o jeszcze lepszym statusie społecznym. W poszukiwaniu ofiary, przemierzał przedmieścia zamożniejszego Huntington, ale było tam zbyt porządnie i jakoś "nie tak". Miał nawet w

planach przeprowadzenie ogromnej "akcji odwetowej" w statecznej dzielnicy Southampton. Wybierał się tam uzbrojony po zęby w celu dokonania "ostatniego aktu", podczas którego musiałby "zabić, ile się da, w jak najkrótszym czasie. Demonom na długo starczyłoby mięsa". Plan zarzucił, tłumacząc się potem wykrętnie, że zaczęło padać. "Chciały, bym zabił, ale do tego potrzebowałem słonecznego dnia. Ponieważ pogoda była brzydka, demony wszystko odwołały". Czy powodem rzeczywiście był deszcz, czy raczej mamy do czynienia z identyczną przyczyną, która powstrzymała DeSalvo od grasowania w domach zamożnych ludzi? Onieśmielony tymi samymi przejawami zamożności, przeciwko którym się buntował, mógł jedynie funkcjonować w obrębie własnej niszy społecznej. Klausner trafnie przedstawił ten fenomen, opisując zabójstwo Virginii Voskerichian: "Domy, do których zaglądał David, robiły na nim wrażenie uprzywilejowanych i bezpiecznych. Żałował, że w nich nie dorastał... Wtedy zobaczył szczupłą, atrakcyjną młodą kobietę idącą w jego stronę..."

Tak jak tego oczekiwał, pierwsza zbrodnia zostawiła po sobie głębokie poczucie spełnienia. "Ma się wtedy dobre samopoczucie. Ma się satysfakcję, że znalazło się źródło krwi. Czułem, że "Samowi" ulżyło, a ja wyszedłem z tego cało". Sam pozwolił Berkowitzowi pokonać ambiwalentny stosunek do zabijania i mścić się na społeczeństwie, które sprawiło, że czuł się jak zero. Jedyną troską było poczucie braku empatii. "Ciągle nie odczuwam współczucia. Dziwne. Właśnie to najbardziej mnie martwiło. Myślałem sobie "Dopiero co zabiłem jakąś dziewczynę i nic nie czuję"". Ale misja była zbyt ważna, by pozwolić sobie na takie rozterki. "Demony zrobiły ze mnie żołnierza. Żołnierz nie może płakać za każdym razem, jak kogoś kładzie trupem. Po prostu strzela do wroga. To byli ludzie, których musiałem zabić. Nie mogę stanąć i nad nimi płakać. Trzeba być silnym i... mieć wolę przetrwania". Tak oto buntownik rusza na wojnę. "Tak czy owak jest się żołnierzem - wyjaśniał. -W armii amerykańskiej nie ma miejsca na żal. Trzeba się odwrażliwić".

Homo sapiens to dziwny gatunek, gdyż często to, czego nienawidzimy tkwi w nas samych. Ted Bundy, pochodzący z nieprawego łoża morderca seksualny, który często działał w przebraniu, wyzywał FBI od "Fomicators (cudzołożników), Bastards (bękartów) i Imposters (farbowanych lisów)". Tak było z Berkowitzem, płytkim buntownikiem, który szalał wołając:

"nienawidzę buntowników". Wkładając kolejne maski, próbował zmieniać społeczną tożsamość, często ustawiając się na przeciwległych biegunach: był ultrapatriotą i wzorowym żołnierzem, hipisem występującym przeciwko przemocy i miłującym pokój chrześcijaninem. Jednak żadna z tych osobowości nie potrafiła wypełnić luki w życiu Berkowitza. Jego dusza zaznała spokoju, a osobowość nabrała spójności dopiero wtedy, gdy demony pomogły siać grozę wśród ludzi, by "walczył z dobrem i odbierał ludziom życie". Celem ataku stanie się ciepło i bezpieczeństwo, za którymi tęsknił i "chęć odegrania się na wszystkich za doznane cierpienia".

W trakcie misji wściekłość Berkowitza zwracała się w stronę rodziców - domniemanych i prawdziwych: własnych ("syn Złego, Sama"), pogrążonej w żalu matki Stacy Moskowitz ("kurwa ladacznica"), matki przerażonego sąsiada Glassmana ("Przeklinam grób twojej matki, Craig, sikam na nią, leję szczyny na jej głowę"). Ale to nie wściekłość na wszystko, co matczyne, pchała go do wielokrotnych morderstw, matki były raczej symbolem i elementem łączącym go z porządkiem społecznym. Wypowiadając wojnę przeciwko nim i ich córkom, próbował jedynie odwrócić role, zmienić to, co dostrzegał jako ich odwieczny przywilej. "Niektóre piękne dziewczęta w wieku osiemnastu lat, przeżyły już swoje życie ze trzy razy, jeśli chodzi o uwagę, jaką im się poświęca. Jeśli umiera piękna dziewczyna, cóż, miała już swoje od życia".

Nic więc dziwnego, że Berkowitz miał głupi uśmiech na twarzy, kiedy po ogłoszeniu wyroku wyprowadzono go z sali sądowej. Reporterom udało się go uwiecznić i pokazać całemu światu (oskarżony był osobą powszechnie znaną). Głupawy uśmiech nie pojawił się na twarzy osoby, która gardziła swoją widownią (jak twierdziło wielu dziennikarzy). Był to raczej uśmiech osoby zadowolonej z siebie, reakcja kogoś, kto jest bardzo nieśmiały, a kogo nakryto na robieniu czegoś na prawdę wspaniałego lub przy kim znaleziono coś unikalnego. Mimo własnych oświadczeń o chorobie psychicznej, nie różnił się niczym od innych wielokrotnych morderców: zabijał z takich samych powodów co inni. Piętno nie chcianego bękarta odcisnęło się na jego osobowości w momencie, w którym dokonywał zemsty. "To była tylko wroga agresja" - podkreślał. Patrząc na to w kategoriach świata, w jakim żył, sięgnięcie po sławę i szacunek poprzez akty przemocy miało sens. Teraz był dożywotnio opromieniony sławą; dzięki swoim czynom wyrwał się z dusznego świata anonimowości, świata, w którym funkcjonował jako bękart bez przyjaciół i urzędnik pocztowy z ciasnego mieszkania w robotniczej dzielnicy. "Miałem coś do zrobienia i swoją pracę wykonałem" - powiedział z dumą. Za cenę uwięzienia, bagatelną dla kogoś, kogo nic nie łączy ze społeczeństwem, stał się mężczyzną i osiągnął coś w rodzaju nieśmiertelności. Takie osiągnięcie z pewnością podtrzymuje go na duchu, gdyż dni mijają mu w więzieniu na spotkaniach z licznymi biografami.

CZĘŚĆ 2
Masowy morderca naszych czasów

Nienawidzę białych bestii chodzących po tej ziemi
MARK JAMES ROBERT ESSEX
Poszukiwanie wolności jest śmiercią, ale poprzez, śmierć odzyskam wolność.
Mark Essex

Życie umysłowe masowych morderców nie jest trudne do rozszyfrowania pod warunkiem, że zrozumiemy społeczny przekaz ich czynów, gdyż w nim tkwi klucz do szyfru. Wielu morderców należących do tej kategorii wymyśla różne sposoby, żeby zostawić po sobie jakąś tajemnicę ponieważ moment zakończenia ich "działalności" zbiega się z chwilą, w której giną od policyjnych kuł (tak było z Charlesem Whitmanem, który strzelał z wieży Uniwersytetu Teksańskiego w 1966 roku). Poważnym błędem byłoby sądzić, że martwi są niemi, a przypadek Essexa najlepiej przeczy tej tezie. Równie kolosalny błąd popełnią ci, którzy przyszyją Essexowi łatkę obłąkanego "snajpera"; taki błąd popełniło wielu ludzi, którzy szukali prostych rozwiązań. Essex to coś znacznie poważniejszego.

Ogólnie mówiąc, masowi mordercy są podobni do morderców seryjnych, gdyż popełniane przez nich czyny są formą osobistego protestu, o charakterze społecznym; nie rozpoczynają żadnej rewolucji, nie padli ofiarami obłędu. A jednak są inni. W przeciwieństwie do seryjnych morderców, ci masowi przeważnie wywodzą się z niższej warstwy klasy średniej. Ich rodziny mają charakter trwały; bardzo rzadko są dziećmi adoptowanymi, nieślubnymi lub wychowywanymi przez zakłady opiekuńcze. Zabójstwa nie służą też zdobyciu światowej sławy. Wprost przeciwnie, zabójcy pragną dokonać zemsty w sposób jednorazowy, a następnie umrzeć. W okresie dorastania w taki lub inny sposób zaczynają rozumieć, że ich sytuacja nigdy się nie poprawi. Starkweather doświadczył ubóstwa i napiętnowania w ciągu swojego krótkiego życia;

Essex nie zetknął się z niczym podobnym do momentu opuszczenia przytulnego domu rodzinnego, kiedy to doświadczył przejawów rasizmu w czasie służby w marynarce. Tak czy owak, stojąc nad brzegiem przepaści społecznej, masowi mordercy zdają sobie sprawę z bezsensu życia. Jak jeden mąż wybierają śmierć, którą poniosą w czasie pojedynczego aktu przemocy. Będzie on wymierzony przeciwko tej grupie społecznej, przez którą czuli się odepchnięci, zagrożeni i uciskani. Tak więc w czasie masakry w McDonaldzie Huberty strzelał do Latynosów, którzy jego zdaniem rościli sobie pretensje do bycia członkami jego klasy społecznej, Starkweather mordował przedstawicieli klasy średniej, którzy w jego odczuciu traktowali go jak "śmieć", Essex z kolei mścił się na białych, przez których czuł się prześladowany.

Ponieważ Essex był Murzynem, który znalazł się w rasistowskim i zdominowanym przez białych środowisku, dotknął czułej struny w amerykańskiej psychice i został czymś w rodzaju bohatera. Pamiętajmy jednak, że jego protest miał tło rasowe, wypływał z osobistej potrzeby i nie był podparty ideologią. Kiedy strzelił do młodej kobiety, która klęczała u jego stóp trzymając w ramionach ciało męża, nie pomagał swoim czarnym braciom bardziej niż Huberty, który nie pomagał białym strzelając do Latynosów. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że Essex podjął ostateczną decyzję o dokonaniu masakry nie dla jakichś ulotnych idei, ale ponieważ nie mógł się pogodzić z niskim statusem jedynego zawodu, jakie społeczeństwo miało mu do zaoferowania: montera automatów z papierosami i napojami.

To, czy masowi mordercy ostatecznie stają się "bohaterami", zależy nie od ich wewnętrznej motywacji lub spójności działania, ale od tego, czy ich protest jest zgodny z tym, co aktualnie modne w naszej kulturze. W dwóch przypadkach, które przestudiujemy, atak Essexa na białych był zgodny z głównym nurtem liberalnego myślenia i dlatego powitano go z aplauzem, przynajmniej w radykalnych kręgach. Z kolei atak Starkweathera na klasę średnią nie pokrywał się z żadną modą, był wręcz ostrzeżeniem dla białych liberałów - z tego też powodu został uznany za obłąkany wyczyn nastolatka.

Faktem jest, że w czasie swojego wybuchu agresji Essex na swój sposób wypowiedział się na kilka podstawowych tematów nurtujących Amerykę. Zostanie "snajperem" stanowiło integralną część spójnej i przemyślanej kampanii. Próbował wszystko wcześniej wyjaśnić w czasie rozmów z przyjaciółmi i rodziną, poprzez napisy na ścianach i suficie swojego mieszkania i to, co wykrzyczał strzelając do ludzi. Sama istota buntu Essexa, pomimo tak tragicznej, rasistowskiej formy, jaką ostatecznie przybrał, jest interesująca. Był bezpośrednio wymierzony przeciwko temu, co uznawał za białą, rasistowsko nastawioną klasę posiadającą Ameryki. Zgodnie z jego założeniami próbował pozbawić żyda tych przedstawicieli określonej wyżej klasy, którzy najbardziej rzucali się w oczy i najwyraźniej posiadali władzę lub sprawowali jakąś formę kontroli: ubranych w mundury białych policjantów (chociaż nie zawahał się przed strzelaniem do przechodniów, jeśli tylko byli biali. Całą akcję, a można ją nazwać gwałtownie ujawnionym przejawem radykalnej twórczości, Essex przeprowadził z klasą i finezją: rzucił wyzwanie wszystkim siłom policyjnym i pomocniczym oddziałom wojskowym Nowego Orleanu. W wyniku strzelaniny, która się wywiązała, cały blok o mało nie runął w gruzach. Essex, poprzez swoją śmierć, odnalazł upragnioną wolność, na chodniku zostało dziesięć trupów i dwudziestu dwóch rannych, a straty materialne oszacowano na wiele milionów dolarów. Co ważniejsze, czyn ów przysporzył im wielu wielbicieli w środowisku radykałów i zostawił za sobą przeświadczenie o nieuchronności konfrontacji. Ani opinia publiczna, ani władze nie miały wątpliwości, że sprawa na tym się nie skończy. Jeśli chodzi o samego Essexa, to odszedł z rozmachem po dokonaniu czegoś, o czym nawet się nie śni wielu młodym ludziom.

Zabić diabelską, świnią

Pierwszy trup padł w sylwestra roku 1974. Essex schował się na przeciwko centralnego aresztu policji nowoorleańskiej i otworzył ogień z półautomatycznego Rugera .44 magnum. Pierwsze cztery strzały padły bardzo szybko, jeden po drugim, i przeleciały tuż koło głowy kadeta Weatherforda, który właśnie obtłukiwał tynk ze ściany. Po chwili przerwy, w czasie której kadet Weatherford zdążył się schować, inny kadet, Al Harrell, jeden z niewielu czarnoskórych policjantów w Nowym Orleanie, znalazł się na linii strzału. Essex puszcza w jego stronę całą serię. Trzeci pocisk trafia Harrella w klatkę piersiową, przechodząc przez nią i powodując "poważne uszkodzenie mięśnia sercowego", jak czytamy w raporcie sekcji zwłok. Pocisk z magnum kalibru .44 nie zakończył jeszcze swojego lotu i po przejściu przez ciało Harrella, trafia porucznika Horacego Pereza w kostkę u nogi. Perez traci przytomność. Inspektor policji, który jest świadkiem strzelaniny, wzywa karetkę pogotowia i wszystkie jednostki policyjne, które odpowiedzą na apel. W ciągu kilku sekund cały teren roi się od policji z karabinami i rewolwerami gotowymi do strzału. Przeczesanie miejsca, z którego prawdopodobnie padły strzały nic nie daje. Zamachowiec zniknął.

Kilka minut później policjanci Edwin Hosli i Harold Blappert próbowali ustalić, dlaczego rozdzwonił się alarm w jednym z biur w pobliżu aresztu. Nieświadomi tego, co działo się kilka ulic dalej, rozpoczęli przeszukiwanie pomieszczenia, oświetlając sobie drogę latarkami. Essex przyczaił się. Pierwszy strzał trafił Hosliego w brzuch, strzaskał nerkę, spowodował zapadnięcie płuca i rozerwał jelita powodując zapalenie otrzewnej. Policjant umierał dwa miesiące. Drugi strzał strzaskał przednią szybę radiowozu, trzeci odbił się rykoszetem od maski i też trafił w szybę, a czwarty utknął w ścianie budynku.

W ciągu kilku minut ponad trzydziestu policjantów otoczyło budynek: sześciu strzeliło z większego kalibru w kierunku drzwi, które rozleciały się na kawałki. Następnie do budynku wpuszczono psa. W wyniku przeszukania pomieszczenia ustalono, że napastnik dostał się do środka po przestrzeleniu zamka. Ślady krwi na rozbitym oknie, przez które Essex wydostał się na zewnątrz, wskazywały na postrzał, a krwawe odciski dłoni na parapecie sugerowały, że próbował zatamować krwotok.

Uciekając zostawił brązową skórzaną torbę z wizerunkiem czarnej sowy; w środku pięćdziesiąt sztuk amunicji kalibru .38.

Najwidoczniej chcąc wciągnąć policjantów w zasadzkę, Essex zostawiał na drodze ucieczki kolejne pociski - po dwa, w równych odstępach, wskazujące ten sam kierunek: wejście do kościoła św. Marka Baptysty. Tam czekał. Ale czasami zdarzają się rzeczy nieprzewidywalne. Kiedy policjanci dotarli na miejsce i znaleźli ostatnią strzałkę, komendant policji wydał rozkaz wycofania się z powodu napięcia wśród zamieszkującej okolicę czarnej ludności. W czasie "stygnięcia nastrojów" zamachowiec wymknął się z kościoła.

Chociaż w ciągu następnego tygodnia nie padły nowe strzały, Essex nie próżnował. Przypuszcza się, że po południu pierwszego stycznia 1975 roku podłożył ogień pod dwa magazyny w samym centrum miasta: pożar szalał się przez pięć dni i w jego gaszeniu uczestniczyło dwustu strażaków. Prawdopodobnie jeszcze kilka razy wracał do kościoła św. Marka. Wieczorem trzeciego stycznia policja otrzymała doniesienie, że w kościele ukrywa się jakiś mężczyzna. Jeden z policjantów opowiadał, że kiedy przeszukano budynek, "aż trudno było uwierzyć, ile znaleźliśmy dowodów na to, że nasz człowiek tam się ukrywał. W damskiej toalecie znaleźliśmy worek z amunicją do trzydziestkiósemki. Na drzwiach i parapetach było mnóstwo śladów krwi".

Rankiem siódmego stycznia Essex wszedł do sklepu spożywczego, należącego do Josepha Pemiciaro, tego samego, który złożył doniesienie o człowieku ukrywającym się w kościele (nigdy nie ustalono, w jaki sposób Essex się o tym dowiedział). Wszedł do sklepu trzymając w jednej ręce strzelbę i zawołał do właściciela: "Hej, ty, o ciebie mi chodzi", i strzelił mężczyźnie w klatkę piersiową. Essex przebiegł kilkadziesiąt metrów, po czym wsadził lufę przez opuszczoną szybę samochodu, który stał z włączonym silnikiem przy krawężniku. Polecił kierowcy, żeby wysiadł. Mężczyzna, który był Murzynem, zapamiętał słowa Essexa: "Nie chcę tego zrobić, ale też cię zabiję". Essex odjechał w stronę centrum miasta, które stanie się miejscem jego ostatecznej rozgrywki z władzą.

Zaparkował samochód i wszedł po zewnętrznych schodach ewakuacyjnych do hotelu Howarda Johnsona. Dotarł na ósme piętro, gdzie personel uniemożliwił mu wejście do środka. Na dziewiątym piętrze zapukał do drzwi od zewnątrz i zawołał do sprzątaczki: "Wpuść mnie siostrzyczko, mam coś do zrobienia". Kiedy odmówiła, Essex wspinał się dalej i dopiero na osiemnastym piętrze udało mu się wejść do środka. Trzymając w ręku karabin, przeszedł koło trzech czarnych pracowników hotelowych, których poinformował: "Nie przejmujcie się, nie skrzywdzę żadnego czarnego, chcę tylko białych". Dwudziestosiedmioletni lekarz Robert Steagall, biały, akurat wychodził na korytarz, kiedy Essex mijał jego pokój. Zaczęli się szarpać - Essex postrzelił go w ramię i klatkę piersiową. Kiedy żona Steagalla wybiegła z krzykiem na korytarz i uklękła przy mężu, Essex przestrzelił jej głowę. Następnie wpadł do ich pokoju, podpalił firanki i z powrotem pobiegł korytarzem w stronę schodów. Ogień i dym zaczęły się szybko rozprzestrzeniać.

Frank Schneider, kierownik recepcji, i Donald Roberts, szef obsługi, udali się na górę, by sprawdzić, skąd dochodzi hałas i dym. Kiedy drzwi windy otworzyły się na jedenastym piętrze, zobaczyli Essexa w

odległości zaledwie kilku metrów. Schneider i Roberts rzucili się do najbliższego wyjścia. "Usłyszeliśmy jeden strzał i kula przeleciała nad moją głową, gdyż pochyliłem się - wspominał Roberts. - Potem drugi strzał najwidoczniej trafił Franka, który biegł za mną, ale nie stanąłem". Schneider został trafiony w głowę i zginął na miejscu.

Walter Collins, dyrektor hotelu, i Luciano Llovett, pracownik techniczny, udali się na górę, żeby sprawdzić doniesienia o mężczyźnie z karabinem, który dostał się do środka hotelu. Na dziesiątym piętrze Collins zobaczył młodzieńca z karabinem i rzucił się do ucieczki. Pocisk trafił go w plecy. Collins upadł. Kiedy usłyszał, że Essex opuścił korytarz, na łokciach i kolanach doczołgał się do klatki schodowej.

Michael Buri i Robert Childress byli pierwszymi policjantami, którzy dotarli do hotelu. Kiedy wchodzili do windy, pierwsze sekcje straży pożarnej właśnie podjeżdżały pod budynek. Porucznik Tim Ursin ze straży pożarnej wchodził po drabinie, kiedy Essex ukazał się na jednym z balkoników i oddał w jego stronę strzał: kula trafiła strażaka w lewe ramię. Rana była tak rozległa, że przedramię wymagało amputacji. Essex strzelał, kiedy tylko któryś z policjantów lub strażaków wychylił głowę.

Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli (chociaż ten chaos był niczym w porównaniu z tym, co dopiero miało nastąpić): słychać było strzały z czterdziestkiczwórki Essexa na przemian ze sporadycznym ogniem policji, goście hotelowi uwięzieni w swoich pokojach krzyczeli z przerażenia, a z palących się podłóg buchał dym. Zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy policjanci zaczęli strzelać na oślep po górnych piętrach hotelu wbrew wszelkim przepisom o użyciu broni palnej. Jeśli chodzi o Essexa, to dalej strzelał do każdego, kto nosił mundur; kiedy w polu rażenia pojawił się detektyw w cywilnym ubraniu, Essex pozwolił mu przejść. Zanim wybiła jedenasta, około stu policjantów otoczyło budynek hotelu. Liczba ta wkrótce wzrośnie do sześciuset; byli to policjanci z Luizjany, Teksasu i Missisipi, FBI i inni agenci federalni (w sumie reprezentowanych było dwadzieścia sześć różnych agencji i organizacji - miejskich, stanowych i federalnych).

Policjant Charles Arnold dotarł na dziesiąte piętro biurowca po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy uchylił okno, Essex oddał strzał - pocisk rozbił karabin Arnolda, a następnie utkwił w szczęce policjanta, powalając go na podłogę. Arnold opowiadał później biografowi Essexa Peterowi Hemonowi, że kiedy wypluł fragmenty kości, zęby i krew ktoś popatrzył na niego i powiedział: ‚3oże! Odstrzelił ci całą twarz". Strzelanina trwała dalej. Robert Beamish, czterdziestotrzyletni szef jednej ze stacji radiowych, próbował wymknąć się z hotelu przejściem koło basenu. Kiedy Essex go dostrzegł, wycelował w brzuch i odstrzelił pępek. Beamish wskoczył lub wpadł do basenu, gdzie pozostał przez następne dwie godziny. Trudno wyjaśnić, dlaczego Essex ignorował niektóre "cele strzeleckie", pozwalając przypadkowym ludziom ujść z życiem.

Następnie Essex biega po wyższych piętrach hotelu i podkłada ogień, gdzie się da. Strażacy, którzy próbują zapanować nad żywiołem, są jednocześnie wystawieni na chaotyczny ogień policji. Brak organizacji policyjnej kanonady znacznie zwiększył niebezpieczeństwo grożące rosnącej liczbie ciekawskich turystów zebranych przed hotelem, niektórzy z nich, najprawdopodobniej radykalnie nastawieni Murzyni po każdym strzale snajpera-zamachowca krzyczeli: "Dobrze jest!"

Policjant Kenneth Solis wydawał przez megafon polecenia turystom, gdzie mają się schować, kiedy Essex trafił go pod prawą łopatkę. Kula strzaskała kość, fragmenty jej były widoczne w otwartej ranie. Kiedy sierżant Emanuel Palmisano biegł na pomoc Solisowi, trafił go kolejny pocisk - przeszedł przez lewe ramię, przebił tułów pod pachą i otarł się o kręgosłup. Inny policjant, Philip Coleman, zareagował na krzyki rannych kolegów i skulony przy kierownicy wjechał na plac samochodem patrolowym. Policjant Pauł Persigo poniósł śmierć na miejscu - kula trafiła go w usta, kiedy wpatrywał się w górne piętra hotelu. Nie zidentyfikowany mężczyzna w hełmie obrony cywilnej dostał postrzał w prawe ramię; kiedy kierowca karetki Chris Caton ruszył mu na pomoc, dosięgła go kolejna kula; strzaskała mu łopatkę, spowodowała zapadnięcie się płuca i wyszła pod pachą. Różni cywile uzbrojeni w karabiny, niektórzy ubrani w źle dopasowane mundury wojskowe, zaczęli gromadzić się wokół hotelu i wspomagać policjantów ogniem. Całość zaczynała przypominać farsę.

Na ulicy zgromadziło się kilkuset młodych Murzynów, którzy robili Essexowi klakę; po każdym oddanym przez niego strzale tłum przybliżał się o kilka kroków skandując: "Zabić świnie, zabić świnie!"

Według opisu Hemona: "W miarę jak strzały padały gęściej, skandowanie stawało się głośniejsze i groźniejsze. Ktoś rzucił kilka pustych butelek... Wielu czarnych popijało wino z butelek zawiniętych w papierowe torby. "Trzymaj się, bracie - krzyknął jeden z nich. - Pomożemy ci, kiedy zrobi się ciemno".

Zastępca nadinspektora nowoorleańskiej policji, Louis Sirgo, poprowadził grupę szturmową na szczytowe piętra hotelu. Na schodach nad szesnastym piętrem dosięgną! go strzał z karabinu Essexa. Kula uszkodziła rdzeń kręgowy, przebiła lewe płuco, wątrobę i lewą nerkę. Po kilku minutach policjant już nie żył.

Essex przemieszczał się z piętra na piętro, strzelał i wzniecał kolejne pożary (najczęściej podpalając książkę telefoniczną w pokoju i podkładając ją pod zasłonę w oknach lub materac), podczas gdy zdenerwowani policjanci działający bez żadnej koordynacji, o mało sami się nie wystrzelali.

Kiedy oficer Lany Arthur z oddziału taktycznego wyważył drzwi prowadzące na dach, Essex strzelił mu w brzuch i krzyknął: "Oswobodzić Afrykę! Chodźcie na górę, świnie!" Essex nie zejdzie już z dachu żywy. Przez resztę oblężenia będzie się chował za betonowymi przepierzeniami, w których znajdowały się kolejne wejścia na dach. Wyskakiwał zza nich, strzelał w różnych kierunkach i ponownie się chował, a policjanci na chybił trafił oddawali w jego stronę dziesiątki strzałów. Kiedy strzały na chwilę milkły, Essex wykrzykiwał: "Szczęśliwego Nowego Roku, świnie! Zabiłem was już czterech, skurwiele. Podejdźcie i zabiję jeszcze czterech". Około drugiej po południu policjanci wystrzelili około tuzina pojemników z gazem łzawiącym. Gaz opadł na dach i rozproszył się bez widocznego efektu. "Ciągle tu jestem, świnie!" - krzyknął Essex wyzywająco. Tymczasem przedstawiciele władzy zaczęli wpadać w panikę. Sądzili, że to, co robił napastnik, może nie być aktem jednostkowym. "Najbardziej martwiło nas pytanie - przyznał jeden z radnych - co będzie, jeżeli jest to początek czegoś większego? Zastanawialiśmy się, czy zbliża się rewolucja, czy inni czarni pospieszą snajperowi z pomocą". Essex byłby zadowolony, gdyby wiedział o tych dylematach.

Kiedy niewielki, nie uzbrojony helikopter policyjny zatoczył kółko nad hotelem, karabin Essexa skutecznie go przegonił. Wkrótce potem, pomimo deszczu i mgły, nadleciał CH-46 -helikopter szturmowy Rezerwy Powietrznej Marynarki Wojennej USA, silnie opancerzona maszyna wykorzystywana w wojnie wietnamskiej - na którego pokładzie znajdowali się dwaj strzelcy wyborowi piechoty morskiej uzbrojeni w M-14 kalibru .308 oraz trzej policjanci z AR-15 kalibru .223. Przez resztę dnia helikopter przeleciał łącznie czterdzieści osiem razy nad dachem wśród kuł wystrzelonych w sposób zupełnie nie skoordynowany przez policjantów i cywilów. Przy kolejnym przelocie policjanci w helikopterze przez pomyłkę zaczęli strzelać w stronę drzwi, za którymi stali ich koledzy. "Kule spadały jak krople deszczu - wspominał jeden z nich. - Przebiły drzwi, wszystko. Tynk z betonem odpryskiwał od ścian, a my turlaliśmy się w dół po schodach. To cud, że nikt nie zginął".

Podczas gdy strzelcy w helikopterze opróżniali magazynek po magazynku, strzelając do betonowych przegród na dachu, spiker jednej ze stacji radiowych nadał "apel policji" do wszystkich obywateli posiadających broń większego kalibru, by przyszli z pomocą. Puszczenie w eter tego nieprawdziwego komunikatu dało w wyniku pojawienie się pod hotelem "szerokiej rzeszy przygłupów i podejrzanych typków uzbrojonych po zęby", z których wszyscy wyrazili chęć "dorwania snajpera". Policja usunęła krewkich obywateli, ale następnego ranka wykryto kolejną grupę, która przekradała się w stronę hotelu. Trudno w to uwierzyć, ale podobno znalazła się kobieta, która zadzwoniła na policję proponując przyniesienie koców dla snajpera. "Musi tam strasznie marznąć na dachu" - twierdziła. Nie odnotowano, co na to odpowiedzieli policjanci. W czasie trwania całej akcji nie znalazł się nikt, kto wpadłby na oczywisty sposób zakończenia sprawy (dzięki czemu można było uniknąć ofiar wśród policji i cywilów): ewakuować wszystkich z zagrożonego rejonu i poczekać, aż napastnik sam wyjdzie z budynku.

Tymczasem Essex nie przestawał strzelać i obrzucać policjantów wyzwiskami. "Chodźcie, świnie!" - krzyczał. - Boicie się walczyć jak czarny?" Policjanci odpowiadali w podobnym stylu: "Pierdol się, pierdol się, pierdol się!" Jeszcze raz strzelcy w helikopterze namierzyli nie te drzwi i otworzyli ogień do przycupniętych kolegów. Jeden czarnoskóry policjant próbował namówić Essexa do poddania się, ale napastnik odkrzyknął:

"Pierdol się. Wadzą dla ludzi!"

Kiedy na Marka Essexa przyszła kryska, dochodziła dziewiąta wieczór. W chwili gdy śmigłowiec zataczał nad nim kolejne kółko, Essex wybiegł zza przepierzenia, strzelił i ponownie się schował. Odniesiono wrażenie, że został trafiony. Pilot śmigłowca tak zapamiętał te ostatnie chwile: "Facet chyba zrozumiał, że to koniec. Ołów po prostu się lał, a on wtedy wyskoczył i strzelał. Powitał go ogień ciągły ze śmigłowca i z setek luf na okolicznych dachach, wśród których wiele było karabinów "na słonie" kalibru .375 i .458. Jeden ze strzelców ze śmigłowca widział, jak Essex "zaczął biec w stronę maszyny, nie przestając strzelać. Patrzył prosto na nas, karabin trzymał przy biodrze i strzelał. Zdążył podejść jakieś dwa, trzy kroki zanim otworzyliśmy ogień. Pociski siekły go od nóg po szyję. Biegł na oślep i z impetu przeszedł jeszcze ze dwa do trzech metrów. Zatrzymały go kule i trzymały w tej pozycji, tak jak się strzela w górę do metalowego talerza, żeby nie spadł". Inny policjant, który z dachu Banku Nowoorleańskiego mierzył do Essexa z szybkostrzelnego karabinku typu Weatherby, powiedział: "Facet pokazał się i odwrócił, by strzelić... wtedy nacisnąłem na spust. Trafiłem w pośladek, a on upadł do przodu i upuścił broń. Potem ci, którzy mieli wielki kaliber też zaczęli strzelać. Jeden pocisk trafił go w nogę i wyglądało to tak, jakby mu ją oderwało". Jeden z oficerów, który chyba najwierniej oddał to, co zaszło, opowiadał: "Może trafił go jeden ze świetlnych pocisków, nie wiem. Tak czy owak wybiegł zza przegrody z podniesioną pięścią i krzyczał. Zachowywał się tak, jakby biegł po rozżarzonych węglach. Padało tyle strzałów, że widać było wokół niego jakby czerwoną aureolę. Pociski przez chwilę trzymały go w pozycji stojącej i obracały. Potem upadł na plecy około dwudziestu metrów od przegrody. Wszyscy strzelali dalej.

Ciężkie pociski wystrzelone z helikoptera i okolicznych budynków strzaskały rurę kanalizacyjną na dachu, co spowodowało, że ponadmetrowej wysokości fala wody zaczęła gwałtownie spływać po schodach, zmywając zaczajonych policjantów, broń i amunicję. Policjantom wydawało się ponadto, że na dachu jest

drugi snajper i dalej wpatrywali się, nasłuchiwali i strzelali. Hemon tak opisuje te wypadki: .Jeszcze późno w nocy policjanci wykrzykiwali różne rzeczy z dachu Rault Center i innych budynków, żeby ukryci strzelcy ujawnili swoje pozycje. "Hej, Leroy, gdzie cię boli? - krzyczeli w ciemności - Boli, co nie?" Ale nikt nie odpowiadał. "Władza dla ludzi, czarnuchu"". W tym momencie nadszedł meldunek, że z całą pewnością wypatrzono jeszcze jednego strzelca na dachu. Ponownie otwarto ogień. Obserwatorzy widząc iskry od rykoszetujących na betonie pocisków, zinterpretowali je jako błyski z karabinu drugiego snajpera. Hałas był taki, że nie można było stwierdzić, skąd te strzały padają i tym samym wykluczyć błędną informację. W coraz głośniejszym crescendo policyjnych karabinów słychać było charakterystyczny stukot Thompsona .45, prowadzącego ogień ciągły, przerywany dudniącym hukiem wystrzałów wielkokalibrowego sztucera marki Holland & Holland.

Jakby tego wszystkiego było mało, późno w nocy wezwano specjalny oddział K-9 z psami. Kiedy zwierzęta dotarły na dach, jeden z psów poczuł się tak źle od gazu łzawiącego, że skulił się i leżał nieruchomo. Opiekun drugiego odmówił wypuszczenia zwierzęcia na zewnątrz twierdząc, że "zabiją mu psa". Opiekun trzeciego zgodził się puścić psa, ale z kolei zwierzę odmówiło współpracy. O piątej nad ranem, kiedy zaczynało trochę świtać, śmigłowiec zrobił jeszcze jedną rundę, plując ogniem wokół wszystkich przegród, ale jedyny skutek, jaki odniósł, to wyrwanie ze snu pięciu policjantów, którzy zdrzemnęli się na schodach przy wyjściu na dach. Potem doszło do sytuacji, do której wcześniej lub później musiało dojść - policjanci zaczęli strzelać do siebie nawzajem. Jeden z nich ostrożnie podniósł swój hełm na kiju i powoli pokazał się na dachu. Policjanci, pozbawieni łączności radiowej, otworzyli do niego ogień, biorąc go za snajpera. Kiedy około drugiej po południu kilku z nich przypuściło szturm na dach, inny oddział zaczął do nich strzelać. Wkrótce do oddziału szturmowego dołączyło trzydziestu innych gotowych do walki policjantów; wszyscy stali stłoczeni wokół pomieszczenia kotłowni. Kiedy otworzyli jednocześnie ogień, pociski odbijały się rykoszetem od ścian raniąc dziewięciu ludzi, w tym trzech ciężko. Essex przyglądałby się temu z prawdziwą rozkoszą.

Tymczasem jego poskręcane ciało ciągle leżało na dachu. Jedna noga była właściwie oderwana od tułowia, z którego praktycznie została miazga. Twarz przestała istnieć, ale lewa ręka w dalszym ciągu była zaciśnięta w pięść. W kostnicy doliczono się co najmniej dwustu otworów po kulach i stwierdzono, że woreczek żółciowy był jedynym organem, który nie został uszkodzony. Dwa pociski i raca to wszystko, co znaleziono w kieszeniach Essexa. W śledztwie ustalono, że w czasie oblężenia hotelu wystrzelił łącznie od stu do stu pięćdziesięciu magazynków, zabił dziewięć osób i poważnie zranił kolejnych dziesięć. Kradziony samochód, którym się posługiwał, stał zaparkowany w odległości kilkudziesięciu metrów od centralnego aresztu. W schowku znaleziono broszurę wydaną przez Wydział Zatrudnienia na temat dyskryminacji w polityce zatrudnienia. W bagażniku leżała torba, na której czarnym atramentem ktoś napisał słowo "WOJOWNIK".

Podejrzanie szczęśliwe dzieciństwo

W świadomości człowieka funkcjonuje przekonanie, że okres dzieciństwa warunkuje jego późniejsze życie. Właśnie dlatego wysuwamy przypuszczenie, że w rodzinie Essexa lub w jego środowisku znajdziemy coś na tyle odbiegającego od normy, czym dałoby się wytłumaczyć postępowanie mordercy. Wystarczy wykazać, że jeżeli w rodzinie stosowano brutalną przemoc lub środowisko dotykały prześladowania na tle rasowym, to właśnie te doświadczenia z dzieciństwa zakodowały się w podświadomości. Jednak w przypadku Essexa na próżno będziemy szukać podobnych uwarunkowań. Wszystko, co o nim wiemy, wskazuje na coś wręcz przeciwnego.

Essex to młody Murzyn, który wychował się w myślącej, postępowej i poczciwej rodzinie, a środowisko nie było narażone na przejawy rasizmu jakże jaskrawo występujące w dużych miastach lub na południu Stanów. Nie wiemy dokładnie, jakie przekonania wpajano młodemu Essexowi, ale z pewnością nie były zabarwione przemocą. Tolerancyjna atmosfera domu i społeczności, w jakiej się wychowywał, nie przygotowała go na obojętną i pełną pokory postawę wobec wszystkich przejawów rasizmu, z jakimi spotkał się później w marynarce. Nie był również gotów do przeciwstawienia się ograniczeniom, jakie postawi mu świat z racji koloru skóry. Jaki to proces przemienił skądinąd łagodnego młodzieńca bez uprzedzeń rasowych w zdecydowanego na wszystko rasistę, który tak silnie nienawidzi, że zabije nie tylko białych przedstawicieli władzy w mundurach, ale również strzeli do zrozpaczonej kobiety klęczącej przy zwłokach męża? By zrozumieć tę przemianę, musimy prześledzić krótkie, nie pozbawione zgryzot życie Essexa. W tym celu musimy spojrzeć na fakty z jego życia przez pryzmat systemu społecznego i stosunków rasowych w Ameryce. Niczego nie rozstrzygniemy, jeśli poprzestaniemy na powierzchownych elementach, na których skupiła się uwaga komentatorów (jak na przykład na fakcie, że Essex był drobnej budowy ciała, lub twierdzeniu, że jego czyny wynikały z wad wrodzonych). Trzeba czegoś więcej niż niewielki wzrost albo ostry języczek matki, by stworzyć grunt pod wybuch przemocy na taką skalę.

Kiedy zaczniemy się bacznie przyglądać dzieciństwu Essexa, będziemy zaskoczeni tym, jakie było szczęśliwe. Należał do zuchów i większość tych, którzy go znali, jeżeli nie wszyscy, miała o nim dobre zdanie. Spędzał wiele godzin za miastem łowiąc ryby, a nauczyciel mówił o nim, że "strzela bez pudła do

królików i wiewiórek". Uczęszczał do rejonowej szkoły podstawowej, a do średniej jeździł do centrum miasta. W szkole był jednym z dwudziestu dziewięciu kolorowych uczniów na tysiąc białych i fakt, że należał do mniejszości, w niczym nie zagrażał ustalonemu przez białych porządkowi w mieście Emporia w Kansas. Dogadywał się z białymi rówieśnikami, zarówno z kolegami z podwórka, jak i późniejszymi przyjaciółmi ze szkoły. Dom rodzinny w niczym nie przypominał slumsów z czarnego getta - był to parterowy domek jednorodzinny na przedmieściach. Po drugiej stronie ulicy znajdował się ogromny plac zabaw.

Najistotniejsza dla naszych rozważań jest przynależność klasowa rodziny Essexa. Ojciec wcale nie był bezrobotnym obibokiem ze slumsów, którego życie nauczyło akceptować swój los. Pracował jako brygadzista w niewielkiej firmie z tradycjami w Emporii i z łatwością utrzymywał dom na poziomie porównywalnym do poziomu niższej warstwy klasy średniej. Jak na ironię młody Essex dorastał w błędnym mniemaniu, że rasa nie odgrywa większej roli, wręcz żadnej, jeżeli ogarnie się całościowo otaczającą go rzeczywistość. W domu mówiło się o tkwiących w społeczeństwie uprzedzeniach rasowych i o całym złu, które z tego wynika, ale Essex żadnych szykan z tego powodu nie doznał. Kiedy jego bracia i siostry wyjechali z Emporii, zamieszkali w takich miejscach, gdzie rasizm był mocno przytłumiony: brat znalazł spokojną przystań w Cedar Rapids, a siostry w Los Angeles i w Waterloo w stanie Iowa. Co istotne, Essexowi, synowi majstra - właściciela szacownego domu - musiało się wydawać, że nie będzie żadnej przeszkody, by jako mężczyzna odnalazł się w tym społeczeństwie. Takie przekonanie mogło być wręcz źródłem mocno wygórowanych ambicji. Żaden czarny mieszkaniec miejskich slumsów nie miałby podobnych złudzeń dłużej niż do momentu wejścia w wiek dojrzewania. Kryzys, którego ofiarą padało wielu młodocianych Murzynów, dosięgnie dorosłego Essexa dopiero w czasie służby w marynarce - zbyt późno, by do człowieka dojrzałego, a zwłaszcza kogoś wychowanego w wierze we własne siły, dotarło, że nic sobą nie reprezentuje. Jeżeli jakaś klasa społeczna lub rasa ma być komuś podporządkowana, jej poczucie własnej godności musi być systematycznie wykorzenianie w dzieciństwie; z tego punktu widzenia system nie zdał egzaminu.

W najbliższym otoczeniu Essex nie zetknął się z dyskryminacją rasową. Wprawdzie tylko jeden Murzyn prowadził własny interes, ale fabryki i rzeźnie w Emporii nie odmawiały czarnym mieszkańcom zatrudnienia. Społeczność miała swoją tradycję historyczną w ruchu na rzecz zniesienia niewolnictwa. W czasie wojny secesyjnej miasto zmobilizowało do walki z Konfederatami oddział liczący 144 żołnierzy, a ruiny drewnianej chatki Johna Browna, zaledwie kilka kilometrów na wschód za miastem, pozostawiono jako pomnik. Większość mieszkańców tej małej społeczności wywodzi swój rodowód z Anglii i Walii, co wpłynęło na atmosferę zamożności oraz na jej głęboko religijny, wręcz purytański charakter (Emporia była pierwszym "trzeźwym" miastem w okresie prohibicji na całym środkowym zachodzie). W tym dwudziestoośmiotysięcznym miasteczku Murzyni stanowili mniej niż dwa procent ludności i nawet jeżeli czarna i meksykańska społeczność zajmowała uboższy, wschodni skraj miasta, to działo się to w sposób naturalny, bez przymusu. Dodatkowy zawór bezpieczeństwa stwarzała sama kolorowa społeczność, wysyłając z miasta najbardziej agresywnych i ambitnych czarnoskórych mieszkańców, żeby gdzie indziej realizowali swoje dążenia. To, co widzieliśmy w Emporii, nijak się nie ma do opisów mszczenia duszy i ciała zawartych w książce Elliota Liebowa Tally's Comer, klasycznym studium murzyńskich slumsów Waszyngtonu.

Essex był średnio zdolnym uczniem - i właśnie ta przeciętność, w połączeniu z wygórowaną ambicją, przypieczętowały jego los. Na zajęciach technicznych przejawiał duże zdolności, a nauczyciele i koledzy zapamiętali go jako "pogodnego, przyjaznego chłopca, który zawsze śmiał się i żartował", umawiał się na randki z białymi i czarnymi dziewczętami, i którego ambicją było zostanie pastorem. "Jeżeli chodzi o przyszłość, nie mówił o niczym innym - wspominała dawna przyjaciółka. - Wiem, że jego matka byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby został pastorem". Po ukończeniu szkoły średniej z trudem zaliczył jeden semestr w Kansas State College i w 1969 roku zgłosił się do marynarki wojennej, częściowo, żeby uniknąć poboru i nieuniknionego wyjazdu do Wietnamu. W czasie egzaminów wstępnych do marynarki, gdzie kładziono nacisk na zagadnienia techniczne, znalazł się wśród najlepszych. Będąc pod wrażeniem wszystkiego, co proponowała służba na morzu, zgłosił się na cztery lata. Hemon twierdził, że Essex był "w siódmym niebie", kiedy dowiedział się, że wyjeżdża do San Diego. Uczucie podniecenia bardzo szybko zniknie, gdyż to, czego wkrótce doświadczy, można porównać z huraganem.

Źródło rozpaczy

Marynarka wojenna to świat białych i nie ma w niej miejsca dla czarnego, który ma poczucie własnej godności.

Mark Essex

Przemiana Essexa z pogodnego młodzieńca ze środkowego zachodu w zgorzkniałego pseudorewolucjonistę dokonała się w ciągu kilku miesięcy służby w Marynarce Wojennej Stanów

Zjednoczonych. Został wciągnięty do służby trzynastego stycznia 1969 roku i dotarł do San Diego w pierwszych dniach lutego w celu odbycia trzymiesięcznego szkolenia w Centrum Szkoleniowym Marynarki Wojennej. Pod koniec kwietnia Essex, zdaniem Hemona, "ukończył z doskonałym wynikiem okres rekrucki i został skierowany na dalsze, specjalistyczne szkolenie". Przełożeni wzięli pod uwagę typowe dla klasy średniej aspiracje Essexa i doradzili, by zgłosił się do Centrum Stomatologicznego Marynarki Wojennej. Ukończył z notą celującą trzymiesięczny kurs z zakresu prześwietleń rentgenowskich i chirurgii szczękowej i w lipcu został oddelegowany do pracy w przychodni dentystycznej w Bazie Powietrznodesantowej w Imperiał Beach. Na miejscu został przydzielony do pomocy pewnemu młodemu dentyście, z którym znalazł pełną płaszczyznę porozumienia. W taki sposób lekarz opisze później Essexa: "Wysportowany facet... Dobrze się z nim pracowało, taki typowy amerykański równiacha. Powiedziałbym wtedy o nim, że jest najmilszym facetem na świecie. Przejmował się ludzkimi sprawami, chciał się nauczyć zawodu... Dobrze się czułem w jego towarzystwie, zawsze wesoły i pogodny, naprawdę trudno go było wyprowadzić z równowagi. Jeśli o mnie chodzi, to w sprawach zawodowych jestem bardzo wymagający. Przydzielałem mu odpowiedzialne zadania, a on im zawsze sprostał. Jego staruszkowie przylecieli w odwiedziny jeszcze na samym początku. Byli w porządku. Naprawdę ich polubiłem. Tacy mili ludzie z prowincji, którzy cieszyli się życiem i kochali syna". Inny pracownik przychodni opisał Essexa podobnymi słowami: "Był łatwy w pożyciu. Zawsze coś nucił pod nosem i do wszystkich był przyjaźnie nastawiony. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz przyszedłem do przychodni, wziął wolne i mnie oprowadził. Pokazał mi, jak pracować z lekarzami".

Pomimo pozytywnego stosunku do świata i pogodnej osobowości, zmora prześladowań na de rasowym w Imperiał Beach zaczynała go martwić. W liście do rodziców uskarżał się, że marynarka wojenna "nie jest taka, jak mi się wydawało. Jest inaczej niż w Emporii. Czarni mają tu ciężkie życie". Kiedy Essex podzielił się swoim problemem z innymi czarnoskórymi kolegami w bazie, doradzili mu, żeby spojrzał realnie na świat, ciężko pracował, by dostać awans, i tym samym odsunął się od najgorszych rasistów. Essex wziął sobie tę radę do serca i przed upływem roku został mianowany na marynarza. Jednak szykany trwały nadal i zdaniem Hemona "stawało się coraz bardziej oczywiste, że w marynarce wojennej czarni to obywatele gorszej kategorii, a Essexowi było coraz trudniej zrozumieć, dlaczego nikt nie próbował zmienić takiego stanu rzeczy".

Łagodny klimat społeczny Emporii spowodował, że wyobrażenia Essexa o sobie jako o pełnoprawnym obywatelu i człowieku były nieustannie wystawiane na próbę. Nie wiedział, jak się przed tym bronić. Kiedy podjął dodatkową pracę barmana w klubie oficerskim, odkrył, że o ile biali barmani mieli wolny wstęp do wszystkich pomieszczeń klubowych, on nie mógł wejść do niektórych z nich bez poproszenia białego o pozwolenie. Kiedy na dwudzieste pierwsze urodziny kupił samochód, wartownicy zatrzymywali go za każdym razem przy wjeździe do bazy lub wyjeździe z niej. Zachowywali się tak, jakby widzieli go po raz pierwszy w życiu - zawsze musiał okazać prawo jazdy, dowód rejestracyjny i wykupioną polisę ubezpieczeniową. Nie raz zdarzało się, że wartownicy kazali mu wysiąść z samochodu, a sami niezwykle skrupulatnie przeszukiwali pojazd, z namaszczeniem odkręcając tapicerkę na drzwiach, żeby dać mu odczuć ich rasistowski stosunek do Murzyna, który prowadzi samochód. Kiedy zaczął spotykać się z Meksykanką i zabrał ją pewnego dnia do klubu, w którym pracował, "rozmowy ucichły, głowy zwróciły się w jego stronę i po krótkiej chwili tu i ówdzie dało się słyszeć wypowiedziane półszeptem (rasistowskie przytyki i) komentarze".

Bunt zrodził się po raz pierwszy, kiedy Essexa i jego trzech czarnoskórych współlokatorów postawiono do raportu za "nadmierny hałas w barakach". Postawiono im zarzut, że zbyt głośno i zbyt późno puszczali muzykę i w związku z tym musieli stanąć przed komisją dyscyplinarną. Czterej oskarżeni byli przekonani, że są dyskryminowani, gdyż ich biali koledzy puszczali muzykę równie głośno i uchodziło im to bezkarnie. Zdecydowali się na podjęcie wyzwania i zażądali zwołania w trybie doraźnym sądu wojskowego, gdzie jak sądzili, będą mogli się bronić. Przełożony Essexa, wspomniany wyżej dentysta, przeprowadził śledztwo na własną rękę i był przekonany, że cała sprawa to ewidentny przykład dyskryminacji na tle rasowym. Tak wypowiedział się o marynarzu, którego skarga zapoczątkowała całą sprawę: "Był to facet z uprzedzeniami na tle rasowym. Po prostu nie lubił czarnych... Powiedział mi, że wszedł do pokoju Essexa i w środku było tylko "czarne, śmierdzące gówno"". Dentysta opowiedział przewodniczącemu sądu o swoich spostrzeżeniach i dochodzenie wstrzymano. Essex nie był usatysfakcjonowany takim obrotem sprawy, gdyż cała czwórka została rozdzielona i umieszczona w różnych barakach. Oczekiwał oczyszczenia z zarzutów, a nie kompromisu.

W swoim przekonaniu on i jego przyjaciele zostali "sprzedani". Domyślał się, że wraz z przekwaterowaniem do różnych baraków "zrobi się prawdziwy smród". Hemon tak to skomentował: "Przewidywania Essexa okazały się trafne. Szykany nie ustawały. Został pariasem, którego otaczała cisza. Nikt otwarcie nie nazwał go "czarnuchem", bo nie było takiej potrzeby: nie przepuszczono żadnej, nawet najmniejszej okazji do szykanowania chłopca: nieustanne kontrole pryczy, dodatkowe służby wartownicze, ciągłe upominania o ściszenia radia, nawet wtedy gdy grało tak cicho, że prawie nic nie było słychać.

Śmiano się nawet wtedy, kiedy z obawy, że zostanie wezwany do raportu za postępowanie niezgodne z regulaminem mundurowym, przy-czesywał bardzo krótko przystrzyżonego jeżyka". Wszystko, co do tej pory w klubie mówiono po cichu, przybrało formę głośnych, złośliwych wypowiedzi na tle rasowym. Wyzwiska towarzyszyły mu w kantynie i sali gimnastycznej. W końcu zaczęło się to odbijać na pracy w gabinecie dentystycznym i Essex zaczął brać środki uspokajające.

Dwóch przyjaciół Essexa z tego okresu. Murzynów, opowiedziało później reporterowi z gazety "The New York Times", że "wszyscy młodzi Murzyni w bazie byli szykanowani. W odczuciu Essexa był on poddany szczególnie "twardej obróbce" i nie miał zamiaru jej się poddać ze zgiętym karkiem. Biali marynarze z klubu byli na niego wyjątkowo cięci, uważając Essexa za "hardego czarnucha"... Tym, co naprawdę bolało Essexa, był sposób, w jaki traktowali go podoficerowie i inni członkowie kadry. Stawał do raportu za najmniejsze uchybienia, podczas gdy białym wszystko uchodziło na sucho. Każdy z nas tego doświadczył". Inny przyjaciel dodał, że "Essex przyszedł do marynarki w przekonaniu, że będzie traktowany równie przyzwoicie, jak w rodzinnej Emporii. Zrozumiał, jak bardzo się pomylił".

To zaskakujące, ile czasu musiało minąć, zanim Essex po raz pierwszy okazał agresję. W sierpniu 1970 roku przytyk dyskryminujący Murzyna wywołał bójkę na pięści. Odtworzono przebieg zajścia: biały podoficer naigrywał się z Essexa, mówiąc coś o "głupkowato uśmiechających się czarnych nierobach". Drwiny trwały do momentu, w którym Essex nie wytrzymał, skoczył na prześladowcę i zaczął go okładać pięściami. Przechodzący oficer przerwał bójkę, ale nie powstrzymał przemyśleń Essexa, które ten incydent wywołał. Oto jak Hemon komentuje odejście Essexa od mentalności mającej swoje korzenie w czasach niewolnictwa: "Po raz pierwszy w życiu uderzył białego - zdarzenie tak niebywałe, że z trudem docierała do niego wymowa tego czynu. Podniesienie ręki wydawało się równie naturalne, jak burza w lecie, i im dłużej o tym myślał, odtwarzając w myślach przebieg zajścia - wręcz się nim delektując - tym bardziej rozumiał, że to, co zrobił, było nie tylko uzasadnione - było heroiczne". Za ciosy zadane białemu człowiekowi Essex musiał zapłacić wysoką cenę: w całej bazie był człowiekiem napiętnowanym - czarnym, który uderzył białego podoficera. Przyjaciel zapamiętał słowa Essexa podsumowujące cały incydent: "Jeśli czarnemu marynarzowi nie można przyznać racji, nawet gdy jest po jego stronie, do diabła z całą Marynarką Wojenną Stanów Zjednoczonych".

Rankiem dziewiętnastego października 1970 roku, zaledwie miesiąc po tym, jak komendant umorzył dochodzenie w jego sprawie, Essex opuścił bazę bez przepustki. Powodem była narastająca depresja. Nawet po zażyciu tabletek nasennych Essex godzinami przewracał się w łóżku nie mogąc zasnąć, opanowany myślami o kolejnym dniu szykan i nieustannym chowaniu dumy do kieszeni. Kiedy siedział na dworcu, czekając na autobus do Emporii, zdecydował, że jeżeli ma siebie uratować, musi opuścić marynarkę. Zadzwonił do rodziców. "Wracam do domu - powiedział. - Potrzebuję czasu na zastanowienie się". Dni w Emporii minęły na rozmyślaniach nad tym, "co musi zrobić czarny, żeby przeżyć". Według Hemona, "zgryzota, którą odczuwał Essex, była tak intensywna, że początkowo zaskoczyła, a potem poważnie zmartwiła rodziców. Kiedy delikatnie próbowali mu uświadomić, do czego prowadzi nienawiść, (Essex) poderwał się tak gwałtownie, jakby ktoś pociągnął za sznurek. "A co pozostaje? - krzyknął. - Wszystko ci odbierają, wszystko. Godność, dumę... Pozostaje tylko nienawiść do nich". Przysięgał, że nie ma zamiaru dłużej czekać na to, żeby zaczęli traktować go "jak człowieka"".

"Syn opowiadał nam - wspominała matka Essexa - że nie widzi dla siebie możliwości powrotu do wojska i przeżywania wszystkiego od nowa". Matka doradzała umiar, chłopak odpowiadał, że jego nie traktowano "Ł umiarem", ale jak czarnucha". Zrozpaczeni rodzice poprosili pastora o interwencję. "Opowiedział mi - wspomina pastor - jak źle obchodzono się z nim w marynarce i że miał tego dosyć. Dużo opowiadał o dyskryminacji i pamiętam, jak mówił, że w marynarce "widać wszystko jak na dłoni". Był bardzo, bardzo rozgoryczony. Wierzcie, po naszej rozmowie zacząłem się martwić o tego chłopca. Podobnie reagowali rodzice". Ostatecznie ich argumenty przeważyły i Mark dobrowolnie powrócił do bazy po miesięcznej dezercji. Tak komentuje to Hemon: "(Essex) miał czas na przemyślenia. Miał też sposobność, jak to później przyznał

w czasie rozprawy przed sądem wojskowym, "do rozmowy z innymi czarnymi"". Essex oddał się w ręce służby wewnętrznej i czekał na rozprawę.

Proces

Zostały mi dwa lata, a kiedy stąd wyjdą, chcę wstać dentystą.

Mark Essex

Przed procesem Essex, jeszcze nie całkowicie wyobcowany ze środowiska białych, wyjaśnił swój dylemat Hatcherowi, dentyście, z którym pracował. "Nie mogłem już tego dłużej znosić. Miałem wrażenie, że wszyscy się na mnie uwzięli. Naprawdę musiałem pojechać do domu, żeby wszystko sobie poukładać w głowie. Mama i tata powiedzieli, że mam postąpić właśnie tak (wrócić do bazy), więc oto jestem. Trzeba zrobić swoje i tyle. Potem spadam stąd". Kiedy Hatcher próbował go przekonać, że nie należy uciekać przed

problemem, Essex odpowiedział z głębokim przekonaniem: "Panie doktorze, nic się nie zmieni. Dalej będą te same szykany, a wszyscy czarni wylądują na samym dnie". Najwyraźniej Essex podjął już w tym momencie decyzję o odejściu z marynarki i doszedł do ostatecznego wniosku, że niczego nie da się zmienić - przynajmniej konwencjonalnymi metodami.

Jak było do przewidzenia, proces był jakby żywcem wyjęty ze stron Kafki. Prawnik Essexa oparł linię obrony na problemie uprzedzeń rasowych i powołał Hatchera jako głównego świadka obrony. Hatcher, bezpośredni przełożony Essexa na terenie bazy, zeznał: "Essex był zdecydowanie najlepszym pomocnikiem dentystycznym, z jakim pracowałem. Wywiązywał się wzorowo z wszystkich obowiązków... Stwierdzam, że dał się poznać jako osoba niezwykle ciepła i miła w obyciu. Jego troska o innych, o ich potrzeby i problemy, jest autentyczna... zawsze zgłaszał się do niesienia pomocy innym i wynikało to z naturalnej potrzeby". Ponadto Hatcher zeznał, że powodem, dla którego Essex opuścił bazę bez zezwolenia, jest wniesiona skarga o nadmierny hałas w baraku. "Ci ludzie czuli, że są niesłusznie oskarżani z powodu koloru skóry. (...) Przeprowadzone przeze mnie śledztwo wykazało, że poglądy mężczyzny, który złożył zażalenie, są tendencyjne i że on sam jest uprzedzony rasowo. Jest bardzo prawdopodobne, tak przynajmniej rozumuję, że wpłynął na innych świadków... zatem to, co przedstawiono w czasie rozprawy, było z pewnością tendencyjne. Kapitan rozmawiał później z mężczyzną, który wniósł skargę... i stwierdził, że oskarżeni zostali pokrzywdzeni".

"(Kapitan) wydał polecenie wstrzymania rozprawy - zeznawał dalej Hatcher - wezwał do siebie całą czwórkę i podjął uczciwą w swoim odczuciu próbę rozwiązania konfliktu, (ale)... mam wrażenie, że (zainteresowani) odebrali to jako jeszcze jeden przejaw chowania głowy w piasek i że w rzeczywistości kapitan ma związane ręce... Wydaje mi się, że Essex, najwrażliwszy i najbardziej odpowiedzialny z całej czwórki, czuł, że ich sprawę pogrzebano i bardzo go to przygnębiło. Natychmiast po złożeniu skargi przyjaciele zostali rozdzieleni... Essexa dokwaterowano do marynarzy, z którymi kompletnie nie mógł się dogadać, i szykany zaczęły się od momentu przekroczenia progu pokoju. W ten sposób jeszcze przed rozprawą nieustannie mu dokuczano i zaczepiano, a działo się to w jedynym miejscu, w którym mógł odpocząć i zrelaksować się. Szykanowano go w kolejce w kantynie, sali telewizyjnej, wszędzie. Nic dziwnego, że w tym okresie był bardzo znerwicowany..." Hatcher, człowiek godny najwyższego podziwu, opisał szczegółowo, na co Essex był narażony i w jaki sposób on sam próbował ratować sytuację.

Zeznania Essexa zasadniczo pokrywały się z tym, co powiedział Hatcher. .Jestem oskarżony - powiedział chłodno. -Sądzę, że doktor Hatcher ujawnił większość powodów, dla których poszedłem na samowolkę. Prosząc o sąd wojskowy, czterech Murzynów uważało, że na wokandzie stanie sprawa o dyskryminację. Zanim odbyła się rozprawa, spotykały nas różne rzeczy... Poszedłem na samowolkę, bo potrzebowałem czasu do namysłu. Musiałem porozmawiać z innymi czarnymi, ponieważ zaczynałem nienawidzić białych. Zaczynało mnie męczyć chodzenie od białego do białego, opowiadanie o problemach, które wszyscy ignorowali. Mam dwadzieścia jeden lat. Za każdym razem, kiedy poruszałem się samochodem po terenie bazy, byłem poddawany rewizji. Wdałem się w bójkę przed jadalnią. Przyjaciele wracali do baraków i poprosili mnie o przyniesienie kawałka kurczaka, więc spytałem ich, jakiego koloru ma być kurczak, a oni powiedzieli, że czarnego. Wtedy ktoś powiedział: "A dlaczego ma być czarny, czy z białym jest coś nie w porządku?", to skoczyłem na niego... Zostały mi dwa lata, a kiedy stąd wyjdę chcę zostać dentystą".

Za przestępstwo polegające na próbie uwolnienia się od prześladowania Essex został skazany na grzywnę w wysokości dziewięćdziesięciu dolarów odpisywaną przez dwa miesiące od żołdu, który został zredukowany do stawki E-2, oraz przez trzydzieści dni nie wolno mu było opuszczać bazy. Sędzia powiedział jedynie, że "zagadnienia uprzedzeń rasowych, które zostały poruszone przez obronę, co prawda nie usprawiedliwiają czynu popełnionego przez oskarżonego, ale w dużym stopniu go wyjaśniają". Essex opuścił salę rozpraw z kamienną twarzą i wewnętrznym przekonaniem, że system go zawiódł i odepchnął. Kilka tygodni później poproszono go o podpisanie dokumentu stwierdzającego, że w jego sprawie toczy się "postępowanie w trybie administracyjnym, dotyczące zwolnienia z wojska z powodu nieprzystosowania będącego wynikiem zaburzeń emocjonalnych". Wkrótce komendant bazy wydał polecenie, żeby Essex został "wydalony z marynarki wojennej... (gdyż jego) dalsza służba nie leży w interesie sił zbrojnych. Essex nieustannie w jawny sposób lekceważy władze wojskowe, pomimo częstego upominania ze strony bezpośrednich przełożonych i komendantury. Jego impulsywne zachowanie i nieumiejętność zaakceptowania regulaminu służby powodują, że jest zbędnym ciężarem dla dowództwa". Ten niezwykły dokument jest dowodem na to, w jaki sposób system postawił na swoim i "wyjaśnił" reakcję Essexa na nieustanne upokorzenia na tle rasowym jego "zaburzeniami emocjonalnymi". Mamy do czynienia z afrontem, z którym trudno się pogodzić. Odpowiedzią Essexa będzie starannie zaplanowane działanie, które udowodni, że potrafi on udźwignąć obowiązki wynikające z nieco odmiennej formy "służby wojskowej".

Tworzenie ideologii

To rewolucja!
Mark Essex

Dzięki głębokim sprzecznościom zakorzenionym w obecnym układzie społecznym zostały stworzone emocjonalne uwarunkowania, by rozczarowanie Essexa zaowocowało konkretnym działaniem. W tym momencie już tylko od niego zależało upewnienie się, jakie istnieją ideologiczne możliwości naprawy uszkodzonego poczucia ego. Zdawało się, że znalazł to, czego szukał w zalążkach radykalizmu mniejszości murzyńskiej. Ale podobnie jak większość opisanych w tej książce wielokrotnych morderców, będąc prawdziwym konserwatystą, nie mógł przyłączyć się do żadnego z ruchów rewolucyjnych. Chłonął jedynie ich styl i retorykę w celu przeprowadzenia własnej wendety -prywatnego protestu Murzyna (wywodzącego się z marginesu klasy średniej) przeciwko odarciu go z ambicji. Nie powinno więc dziwić, że jego bunt przyjął tak skrajnie rasistowską postać; wynikało to z ducha czasów. Zagadnienia ideologiczne musiały mieć zniewalający wpływ na dojrzewającego męczennika i buntownika.

Nie wiadomo dokładnie, co działo się z Essexem, gdy opuścił marynarkę. Zdaniem Tobiasa, dziennikarza, istnieją przesłanki, że Essex nawiązał kontakt z radykalnymi organizacjami murzyńskimi", ale przyznał, że "nie ma co do tego pewności". Tobias doszedł jednak do wniosku, że obfitość literatury propagandowej znalezionej w jego mieszkaniu "nie pozostawia wątpliwości co do bliskich związków Essexa z frakcjami czarnych ekstremistów". Nie ma dostatecznych dowodów na to, że ten wniosek jest trafny. Tobias pisze, że pomiędzy wydaleniem z marynarki w lutym 1970 roku, a kwietniem roku 1972 Essex spędził "większość czasu" z rodzicami w Emporii, ale dodał, że "odbywał on tajemnicze podróże do Nowego Jorku i Nowego Orleanu, by, jak twierdził, "odwiedzić kumpli z wojska"".

Niezależnie od tego, jaki charakter miały jego kontakty z radykalnymi ugrupowaniami, "Essex niespodziewanie wyjechał z Emporii do Nowego Orleanu, gdzie zamieszkał u przyjaciela z marynarki, bojownika z Black Muslims". W jednym z raportów policyjnych znajdujemy uwagę, że "w czasie śledztwa, które miało na celu zbadanie przeszłości Essexa, nie znaleziono żadnego namacalnego dowodu, wskazującego na jego związek ze znanymi, wojowniczo nastawionymi organizacjami wywrotowymi, chociaż sugerowano, że nie należy wykluczyć takiej możliwości. Nie ma wątpliwości, że Essex był dobrze wyszkolony w obchodzeniu się z bronią palną i sposobie prowadzenia działań zaczepnych w mieście. Chociaż dochodzenie nie ujawniło ani źródeł, ani zakresu takiego szkolenia, istnieją dowody na to, że Essex odbył takie szkolenie wkrótce po wyjściu z marynarki". Pomimo ubóstwa materiału dowodowego, w umysłach oficerów śledczych nie było cienia wątpliwości, że zachowanie Essexa jest wynikiem zorganizowanej i dobrze przemyślanej kampanii, częścią strategii jakiejś grupy terrorystycznej. Zdaniem jednego z detektywów: "Była to robota eksperta - dobrze zaplanowana i przeprowadzona - która zademonstrowała sposoby walki partyzanckiej w obszarze miejskim".

Nigdy nie dowiemy się, czy Essex był osobiście zaangażowany w działalność grup rewolucyjnych, ale praktycznie nie ma to żadnego znaczenia. Ważne są dwa elementy: po pierwsze, miał dostęp do zapisków i przemyśleń czarnych intelektualistów, kiedy dojrzewała jego świadomość, a po drugie, jego stan umysłu wskazywał na to, że był skłonny zabić i umrzeć dla tych idei. Ponieważ po śmierci Essexa nikt nie podjął działań odwetowych, jest mało prawdopodobne, by przeprowadzona przez niego akcja terrorystyczna była czymś więcej niż tylko przesłaniem jednostki. Tym, co umożliwiło wygłoszenie takiego oświadczenia, było zetknięcie się z rasizmem. Dziecko, które jest brzydkie lub chrome, może się z czasem przyzwyczaić, że jest z tego powodu napiętnowane, ale kiedy nagle traci się urodę lub kiedy zostaje się kaleką w wyniku wypadku, wtedy cierpi się najbardziej. Odczuwa się wstyd, który czasem wymaga tragicznego zadośćuczynienia.

Niemożliwe, by Essex miał styczność z radykalizmem w okresie dorastania w rodzinnej Emporii, a nawet gdyby tak było, nie wywarł on na nim żadnego wrażenia. Mógł co najwyżej dotkliwie odczuwać niesprawiedliwość, o czym tak często mówiła matka, kobieta rozsądna i konkretna. Zdaniem Hemona, dopiero w marynarce "Essex zaczął czytać o ruchach murzyńskich, czego prawie nigdy nie robił w Emporii. Z zainteresowaniem śledził w prasie relacje z procesów Hueya Newtona i Bobby Seale'a, którzy w 1967 roku założyli ugrupowanie Czarnych Panter... (i doniesienia o) pięciogodzinnej strzelaninie w Los Angeles pomiędzy policją a jedenastoma Panterami, wśród których były trzy kobiety". W tym czasie nawiązał nowe znajomości.

Wpływowym przyjacielem Essexa, kimś, kogo w socjologii nazywa się "tą ważną drugą osobą", został Rodney Frank, Murzyn z Nowego Orleanu, w przeszłości wielokrotnie aresztowany. Poznali się w Imperiał Beach. To właśnie Frank posłuży jako wykładnia problemu Essexa. Według raportu policyjnego: "Koledzy (Essexa) i przełożeni zaobserwowali u niego zmianę poglądów, od kiedy zaprzyjaźnił się z Frankiem. Sposób myślenia Franka, członka Black Muslims, człowieka o buntowniczym i antagonistycznym charakterze, mógł wpłynąć na stosunek Marka Essexa do białych". W raporcie FBI zwrócono uwagę na fakt, że w czasie pobytu w marynarce Essex "nawiązał znajomość z członkiem Czarnych Panter, który dostarczał mu radykalną literaturę". Hemon z kolei twierdził, że Essex "spotykał się poza bazą z czarnymi z San Diego, którzy swoich radykalnych poglądów wcale nie kryli. Ci osobnicy musieli wyczuć, że w swoich kontaktach z Essexem pełnią rolę nauczyciela: oto trzeba wyjaśnić naiwnemu Murzynowi z głębokiej prowincji, jak to jest, kiedy system daje w kość. Trudno powiedzieć, jaki wpływ mieli na Essexa, ale doktor

Hatcher i inni nie mieli wątpliwości, że w młodym marynarzu zaszła zmiana".

Hatcher potrafił nawet wskazać konkretną datę, kiedy zmiana się dokonała - dwunastego sierpnia 1970 roku, w dwudzieste pierwsze urodziny Essexa. "Zmiana była raptowna - wspominał. - Miałem wrażenie, że stało się to w ciągu kilku tygodni... Dogadał z kilkoma Murzynami, którzy czuli się represjonowani... Kilka razy mówił, że musi iść do miasta i spotkać się z jakimiś facetami, którzy założyli nielegalną gazetkę... Kiedy zaczęły się szykany po bójce, kiedy wpadł w prawdziwe tarapaty, moje rozmowy z nim stały się bardzo lakoniczne. Niemal uległ defetyzmowi. I tak jak powiedziałem, to nadeszło z dnia na dzień, bardzo szybko, wręcz nie mogłem tego pojąć... W ciągu pierwszego roku nasze rozmowy były bardzo pogodne, potem sprowadziły się do krótkiej wymiany zdań. Był jakby w defensywie, ale czasami atakował". Essex bardzo cierpiał; zdaniem jego siostry tkwił po uszy "w piekle, które stworzyła mu marynarka".

Hemon słusznie zwrócił uwagę, że Essex "stał się ofiarą historii", i przypomina nam o narastającej w tym czasie atmosferze buntu w siłach zbrojnych, w którym aktywny udział mieli czarnoskórzy marynarze. "Przez amerykańskie bazy wojskowe przetoczyła się fala bójek. W Wietnamie czarnoskórzy szeregowcy wysłani na wojnę, w którą nie wierzyli, byli oskarżani o napadanie na białych oficerów. Morale legło w gruzach... Sprzeciw był coraz silniejszy, powstawały różne ugrupowania, jak na przykład "Front Wyzwolenia Murzynów w Siłach Zbrojnych^ Nasiliły się przypadki sabotażu. Przykładowo w maju 1970 roku, kiedy statek wojenny "Anderson" cumował w San Diego, do głównej przekładni w maszynowni wrzucono śruby, mutry i łańcuchy. Inne statki doznały podobnych uszkodzeń. Bunt marynarza Marka Essexa był buntem każdego Murzyna w mundurze".

Według komórki wywiadowczej nowojorskiej policji, Essex przybył do miasta w lutym, czyli wkrótce po zwolnieniu z marynarki, i nawiązał kontakt z bojówką Czarnych Panter. "Ta frakcja Panter nazywała się Eldridge Cleaver - wspominał jeden z tajniaków. Murzyn. - Chłopak pożerał ich retorykę całymi garściami". Essex spędził trzy miesiące u Panter. Organizacja miała w tym okresie tak poważne trudności finansowe wynikające z drastycznego spadku liczby członków, że Stokely Carmichael, jeden z jej filarów, powiedział, że "z Panterami właściwie koniec". Spory ideologiczne, których nie sposób było uniknąć, podzieliły organizację Panter. Wyłoniły się dwie rywalizujące ze sobą frakcje. Różnice były tak duże, że wkrótce po przybyciu Essexa do Nowego Jorku wybuchła między nimi prawdziwa wojna, w której zginęło kilkunastu członków organizacji.

W tym okresie nie było wyraźnej potrzeby zostania członkiem jakiejś organizacji rewolucyjnej, gdyż wydawany przez frakcję Cleaver miesięcznik "Right on" pisał o wszystkim, co jest potrzebne młodemu bojownikowi do walki w mieście -zarówno pod względem ideologu, jak i instruktażu. "Na kartach miesięcznika znajdujemy na przykład przegląd taktyk rewolucyjnych, różne techniki zabijania "świń" (najlepiej strzelać w głowę), rady dotyczące wyboru broni, metody dywersji, przepisy na domowy wyrób bomb i środków zapalających, pierwszą pomoc i propagandę". W modzie byli następujący autorzy i teksty: Czerwona książeczka przewodniczącego Mao, Wojna partyzancka Che Gueyary i Kieszonkowy podręcznik działań zaczepnych na terenie zabudowanym Carlosa Marighelliego. Marighelli podkreśla, że "uzyskanie doskonałości w sztuce strzeleckiej czyni z bojownika strzelca wyborowego - snajpera". Często rozpisywano się "o Straży Przedniej, zdolnej do wyprowadzenia czarnych mas na ulice, o pełnej przemocy rewolcie mającej na celu obalenie "rasistowskiej, kapitalistycznej budowli" i o "czarnoskórym Mesjaszu", który poniesie nie krzyż, ale karabin". W tym ideologicznym chaosie kształtowała się tożsamość dorosłego Essexa, który właściwie nie miał już odwrotu. Jak zauważył jeden z tajniaków: "Essex prawdopodobnie kolportował gazetkę i byłbym bardzo zdziwiony, gdyby dużo nie podchwycił z samego czytania. To wszystko jest częścią indoktrynacji. Czyta się o rewolucji i zabijaniu świń, mówi się o tym tak często i długo, że temat staje się narkotykiem".

Hemon wysuwa całkiem rozsądne przypuszczenie, że Essex musiał się rozczarować swoim pobytem w Nowym Jorku. "Pantery były słabe, beznadziejnie podzielone - zamiast strzelać do "świń", strzelały do siebie. Dla młodego, coraz bardziej zbuntowanego Murzyna, którego ukierunkowywała pełna przemocy retoryka i zainteresowanie zbrojną rewolucją, ujrzenie przywódców w takim bezwładzie musiało rozczarowywać". Kiedy bojówka Murzynów zaatakowała czterech policjantów, zabijając dwóch z nich, Essexa nie było już w Nowym Jorku. W domu dwukrotnie przeczytał Black Rage. "Tak jak przygięta do ziemi gałąź ze świstem wróci na poprzednie miejsce, tak czarni przygięci do ziemi przez wyzysk nagromadzili dość energii, by wybuchnąć ze zdwojoną siłą". Wkrótce tysiąc żołnierzy kawalerii otworzy ogień do więźniów, którzy opanowali więzienie w Attica, zabijając dwudziestu ośmiu z nich (w większości Murzynów). To właśnie wtedy Essex kupił zalecany karabin marki Ruger kalibru .44 magnum i zaczął ćwiczenia strzeleckie. Pod koniec lata zdecydował się na wyjazd do Nowego Orleanu. Opuścił Emporię po cichu, bez informowania rodziców, gdyż był przekonany, że nie zaaprobują jego decyzji. W podróży towarzyszył mu Ruger i rewolwer typu Colt kalibru .38.

W Nowym Orleanie nawiązał kontakt ze starym znajomym Rodneyem Frankiem. Frank przyłączył się do Black Musiims i sprzedawał ich gazetę "Muhommed Speaks", a Essex podjął ostatnią próbę odnalezienia się

w społeczeństwie i tym samym odsunięcia w czasie zbliżającego się samobójstwa. Zapisał się na sponsorowany przez rząd kurs dla ludzi, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji - uczył się, jak naprawiać uliczne automaty wrzutowe do sprzedaży napoi i papierosów, za co otrzymywał wynagrodzenie. Na pewno istniały lepsze sposoby zarabiania na życie, ale instruktorzy Essexa twierdzili, że był pełen zapału i pilnie się uczył. Jednakże fakt, że Essex całymi godzinami bezmyślnie oglądał telewizję, świadczy o wewnętrznym niepokoju i stanie ducha. Zaangażował się również w badanie swoich korzeni: czytał książki o Afryce, uczył się słówek z języka Zulusów i Suahili, które wtrącał w czasie rozmowy, nawet przybrał przezwisko będące suahilskim odpowiednikiem słowa "łuk". Pod koniec października przyjechał na krótko do Emporii i wydawało się, że jest w dobrym nastroju.

Kiedy wrócił do Nowego Orleanu, wewnętrzne rozterki dały o sobie dotkliwie znać pod postacią bólów głowy i nocnych koszmarów. "Zepchnięty na krawędź przepaści, nie widział sposobu przejścia na drugą stronę. Coraz bardziej zamykał się w sobie, chował w mieszkaniu, żeby oglądać telewizję i czytać". Bardzo szybko zrozumie, że próba odzyskania tożsamości, dzięki pracy montera ulicznych automatów, jest niewypałem. Zdarzeniem, które ostatecznie pchnęło Essexa w stronę radykalizmu, była strzelanina w czasie demonstracji na terenie kampusu w Baton Rouge. Był szesnasty listopada - od policyjnych kuł padło dwóch czarnoskórych studentów. W tym momencie Essex podjął decyzję o zostaniu Bogiem. Pod koniec grudnia jedna ze stacji telewizyjnych otrzymała jego deklarację programową: "Pozdrawia was Afryka... Trzydziestego pierwszego grudnia 1974 roku około jedenastej rozpocznie się atak na komisariat policji nowoorleańskiej... Wiele powodów. Śmierć dwóch niewinnych braci będzie pomszczona. I wielu innych... PS - Powiedzcie tej świni Gurusso (komendant policji), że brygada do walki z przestępczością to nie jakieś gówno". List był podpisany suahilskim przezwiskiem Essexa, "Mata". Poszedł na ostatnie zajęcia kursu dla monterów i napisał list do rodziców, w którym wypowiada białym totalną wojnę. "Afryka, mamusiu, to coś większego niż ty i ja, nawet większego od Boga. Zrozumiałem, że biały człowiek jest moim wrogiem. Będę walczył, żeby zostać mężczyzną, albo umrę podczas próby". Wziąwszy los w swoje ręce, na wzór żołnierzy kamikadze rozdał wśród przyjaciół co cenniejsze rzeczy osobiste, chociaż nie poinformował ich o swoim zamiarze.

To chyba w tym okresie wypisał na ścianach i suficie mieszkania hasła, które wyrażały jego bunt i nienawiść. "Na całej powierzchni największej ściany widniało słowo "Afryka", wymalowane ozdobnymi literami w czarnych obwódkach. Litery miały co najmniej metr wysokości. Pod spodem, czerwoną farbą napisał: "Moim przeznaczeniem jest zadać śmierć rasistowskim świniom i przelać ich krew". Słowa "przeznaczenie" i "śmierć" były podkreślone. W niektórych miejscach widać było zastygłe strużki ściekającej farby. Obok innego hasła - "Sprawiedliwość rewolucji to sprawiedliwość czarnych" napisał słowo "krew", nad nim - "KKK". Inny napis, również czerwoną farbą, głosił: "Włosy blond, niebieskie oczy". Słowa "nienawiść" i "zabić" były wymalowane na niemal każdym skrawku ściany. "Nienawidzę białych bestii chodzących po tej ziemi" -było nagryzmolone przy "Afryce". W środku litery "C" (ang. Africa) Essex starannie wpisał ołówkiem: "Poszukiwanie wolności jest śmiercią, ale poprzez śmierć odzyskam wolność". Przy suficie odczytano: "Trzeci Świecie - zabij świnię Nixona i jego służalcze pieski". Nie został centymetr ściany, na którym nie byłoby napisu". Znaleziono również mnóstwo pojedynczych słów w języku Suahili, wiele z nich z błędami. W ten sposób Essex spisał swoją ostatnią wolę i sporządził testament, a zrobił to z nietypowym dla siebie poczuciem humoru: kiedy jeden z detektywów oglądał napisy na suficie, odczytał obraźliwą uwagę pod swoim adresem: "Tylko świnia czyta gówno na suficie".

Reakcja władz

Essex zawisł pomiędzy dwoma światami, co opóźniło proces ukształtowania się jego tożsamości.
Ronald Tobias

A o opisanych wcześniej wypadkach nastąpił łatwy do przewidzenia zalew wypowiedzi ze strony intelektualistów i przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Lewicujący politycy upatrywali źródła tragedii Essexa w takim, a nie innym ustroju społecznym, jednocześnie w charakterystyczny sposób prześlizgując się nad cierpieniem ofiar. Prawica z kolei, zgodnie z przewidywaniami skoncentrowała wszystkie wysiłki na zdjęciu ze społeczeństwa wszelkiej winy i przerzuceniu odpowiedzialności za zbrodnię na jakąś skazę lub defekt w osobie samego Essexa (jak na przykład opóźnienie procesu kształtowania tożsamości). "Przytłoczyło go zagadnienie, jak Murzyn ma przeżyć w nieprzyjaznym środowisku, które jest kontrolowane przez mniej liberalnych białych niż ci z Emporii" - twierdził Tobias. Ten niczym nie uzasadniony upór, że czarni muszą przeżyć, oraz nieliberalny stosunek marynarki do Murzynów, to, zdaniem rzecznika prawicy, główne przyczyny opóźnienia dojrzałości Essexa.

Jednak nie tylko dziennikarze wyciągali takie płytkie wnioski. Kiedy Essex został po raz pierwszy poddany badaniom psychiatrycznym na początku lutego 1971 roku, co było wynikiem problemów w marynarce, psychiatra wojskowy stwierdził, że "nie ma żadnych klinicznych dowodów na istnienie urojeń, halucynacji, niewłaściwych reakcji emocjonalnych, ograniczonego odbioru rzeczywistości, zaburzeń procesów myślowych czy choroby mózgu". Jeśli chodzi o umiejętność wyrażania oceny, uznał, że jest

"niedostateczna, impulsywna i niedojrzała". W swoim ostatecznym wniosku lekarz stwierdził, że Essex ma "niedojrzałą osobowość i stanowi zagrożenie dla siebie i Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych". Następnie, niczym przepowiednię, napisał: "Z wywiadu nie wynika, żeby pacjent podejmował jakieś próby samobójcze, aby manipulować otaczającymi go ludźmi. Obecnie zaprzecza, żeby chciał odebrać sobie życie. Nadmienia jednak, że "mógłby coś zrobić", gdyby nie dostał tego, czego chce".

Po całym incydencie prokurator stanowy powiedział dziennikarzom, że jest przekonany o istnieniu podziemnej ogólnokrajowej grupy samobójców, która ma za zadanie sianie terroru w Ameryce. Ich celem jest wywołanie nastroju zniechęcenia, doprowadzenie do konfrontacji rasowej, czyli podburzenie czarnych przeciwko białym, młodych przeciwko starym, i doprowadzenie do całkowitego zamętu w kraju". Podobną opinię wyraził Prokurator Generalny Stanów Zjednoczonych obiecując, że "Departament Sprawiedliwości pomoże w dochodzeniu prowadzonym na obszarze całego kraju, by rozszyfrować spisek". Edwin Edwards, gubernator stanu Luizjana, tak powiedział dziennikarzom: "Przeanalizuję prawa tego stanu, żeby móc przywrócić karę śmierci za popełnienie niektórych "okropnych zbrodni"". Dodał, że nie dysponuje żadnymi dowodami na istnienie ogólnokrajowego spisku, który ma na celu mordowanie policjantów.

Pewien doradca burmistrza. Murzyn, widział sprawę w sposób bardziej analityczny.

"Spojrzenie na całe wydarzenie zależy od jego interpretacji. Należy wyciągnąć szereg wniosków. Do policji należą wnioski taktyczne. Mam nadzieję, że na tej samej zasadzie społeczeństwo w całym kraju wyciągnie swoje... Musimy się uporać z bardzo poważnymi problemami. (Wielu młodych Murzynów) łączyło postać człowieka na dachu z innymi Murzynami, którzy dochodzili słusznych praw". W podobnym duchu wypowiedział się pewien czarnoskóry aktywista: "Wielu białych - cytuję za Hemonem - przylepiło Markowi Essexowi etykietę szalonego czarnucha ekstremisty. Zapominają, co Malcolm miał do powiedzenia o ekstremistach. Mówił: "Jeżeli pokażcie mi czarnego, który nie jest ekstremistą, pokażę wam, kto wymaga leczenia psychiatrycznego^ Essex był niezwykle sfrustrowanym człowiekiem, który zdecydował się podjąć walkę. Większość czarnych radzi sobie z frustracją w inny sposób. Nawet jeżeli do głosu dochodzi przemoc, nasze mózgi zostały wyprane w taki sposób, żebyśmy ją skierowali przeciwko sobie. Z Essexem było inaczej. Kiedy byłem świadkiem strzelaniny w hotelu tamtej pamiętnej niedzieli, zastanawiałem się, dlaczego takie przypadki nie zdarzają się częściej? Nie sądzę, żeby zamiarem Essexa było rozpoczęcie rewolucji, jak to sugerowano. Myślę, że chciał czegoś dokonać. Nie dbał o żadne następstwa swojego czynu... System rozpieprzył mu mózg. Jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić temu systemowi, to podjąć próbę jego zniszczenia, a jeżeli przyszłoby mu podczas tej próby zginąć, to trudno".

Doktor William Bloom, psychiatra z Luizjany spojrzał na zagadnienie w sposób tradycyjny: bunt odpolitycznił, a rolę samego Essexa pomniejszył z racji jego niewielkiego wzrostu i poczucia bezradności. "Był bardzo niski - wyjaśniał dziennikarzom - ale za to karabin miał duży... Nie ma wielkiej różnicy pomiędzy wyciągnięciem miecza, a zadawaniem śmierci z karabinu magnum .44. Najwyraźniej karabin pomógł Essexowi zrekompensować poczucie bezsilności. Jeśli zdecydował się zostać krzyżowcem, który zadaje ciosy mieczem, mógł w ten sposób poczuć się wolny. Bardzo istotny jest sposób, w jaki Essex postrzegał własną godność. Wczuwając się w ducha czarnego rewolucjonisty, zdecydował się na pomszczenie krzywdy, którą, jego zdaniem, mu wyrządzono. Hasła ze ścian jego obskurnego mieszkania jednoznacznie wskazują na nienawiść do policji, która symbolizowała w jego oczach strukturę władzy stworzoną przez białego człowieka. Poprzez zabicie policjantów zostanie mężczyzną i zyska podziw części murzyńskiej społeczności. Zdobycie szacunku stanie się kluczem do obrony swojej kruchej tożsamości, co prawdopodobnie przyszło mu najtrudniej... Po obejrzeniu mieszkania Essexa i przeczytaniu wszystkich rasistowskich haseł, które wypisał na ścianach, stwierdzam, że nie ma w nich jedności myśli, bo pochodzą od różnych rewolucjonistów. (...) Nie można postawić diagnozy -przyznał dalej Bloom - że Essex był zaburzony lub był psychotykiem. O ile wiem, w jego rodzinie nie odnotowano śladów choroby psychicznej. (...) Były zdaje się wzmianki o jego tendencjach samobójczych".

Autorem najważniejszego dokumentu w tej sprawie jest bez wątpienia nadkomisarz Giarrusso, który w przedłożonym raporcie podejmuje próbę zrzucenia całej winy na Essexa. "Za swoje czyny zapłacił życiem - czytamy w raporcie. - Na swoją rodzinę ściągnął ból i cierpienie". Zwracając uwagę na fakt, że wśród ofiar był Murzyn, kobieta i osoba młodsza od zabójcy, Giarrusso wywnioskował: "Wszystkie ofiary reprezentowały całe społeczeństwo, społeczeństwo, które Mark Essex odrzucił, ponieważ, nie wyszło naprzeciw jego oczekiwaniom". Giarrusso przestrzegał, że "może zostać podjęta próba zinterpretowania dokonanych przez Essexa aktów przemocy. Zebrane zostaną dowody na poparcie teorii, że to społeczeństwo było siłą motoryczną wspomnianych czynów, przez co ponosi za nie odpowiedzialność lub winę". Giarrusso z łatwością obala wiarygodność tej teorii. "Nie przyjmuję jej do wiadomości i odrzucam wybiórczy materiał dowodowy przedstawiany na jej poparcie. Gdybyśmy uczynili inaczej, całą winę za wszystkie akty przestępcze zrzucilibyśmy na społeczeństwo, zamiast na jednostkę". Dlaczego nie przyszło mu do głowy, że wina może leżeć po obu stronach albo że obwinianie jednej ze stron nie oznacza automatycznego oczyszczenia z zarzutów tej drugiej? To bez znaczenia, gdyż zadanie Giarrusso nie polegało na zrozumieniu zjawiska, lecz na zrzuceniu winy na głównego aktora. "W informacji o wkładzie, jaki Mark Essex wniósł do

historii, powinno się wyraźnie podkreślić, że mordował i dokonywał egzekucji bez usprawiedliwiającego te czyny powodu lub celu, że społeczeństwo go nie zawiodło, ale że to on zawiódł społeczeństwo - nawet jeśli wyrządzono mu krzywdę, była ona śmieszna w porównaniu z tym, co zrobił".

W ostatecznym rozrachunku najważniejsze pytania padły ze strony dwóch socjologów. William Swanson, specjalista nauk społecznych, powiedział, że samobójcze zachowanie Essexa należy powiązać z innymi zjawiskami. "Jestem głęboko przekonany, że Essex miał tendencje samobójcze. Nie można inaczej określić przeświadczenia, że może zacząć coś dużego, może rewolucję? Myślę, że kiedy wchodził na dach hotelu wiedział, że nie zejdzie z niego żywy. Tendencje samobójcze przejawiały się w tym, że był gotów poświęcić życie dla sprawy. Trudno to nazwać podejściem realistycznym, ale nie łudził się, że jest Czarnoskórym Mesjaszem, osobą wybraną. Podobnych samobójców jest wielu w historii. Nazywa się to altruistycznym samobójstwem, a za najlepszy przykład mogą posłużyć piloci kamikadze z okresu drugiej wojny światowej. Inny socjolog, Daniel Thompson, trafił w samo sedno sprawy mówiąc: "Przed społeczeństwem postawiono problem o fundamentalnym znaczeniu - jak ma sobie radzić z tak skrajną formą alienacji? To bez znaczenia, czy jednostka jest białym, czy Murzynem, chociaż w przypadku Essexa jest oczywiste, że kolor skóry był powodem całej tragedii. Pozostaje pytanie: co należy zrobić z człowiekiem, który jest osamotniony, czuje się odcięty od życia i chce ponieść śmierć?"

Postscriptum

Wydaje się, ze człowiek bierze sprawiedliwość
we własne ręce, kiedy zawiedzie Bóg lub władze świeckie.
To tak, jakby w dążeniu do zemsty
uzurpował sobie role. Boga lub jego aniołów.
Erich Fromm

Próba wyjaśnienia w sposób tradycyjny tego typu nienormatywnych, pełnych agresji zachowań musiałaby nas nieuchronnie wprawić w zakłopotanie. Nikt w domu nie znęcał się nad Essexem, więc nie był to przypadek, w którym nienawiść do ojca przerzuca się na niewinnych ludzi. Nie był też Essex zwyrodniałym osobnikiem, który cierpi na jakąś chorobę psychiczną, co przyznali wszyscy zajmujący się jego osobą. A jednak ten pogodny młody człowiek, wychowany w cieple domowego ogniska, zabił lub zranił kilkunastu bliźnich, w tym jednego Murzyna, i był bliski unicestwienia całego budynku w centrum miasta. Sposobem, w jaki zginął, Essex obnażył całą niekompetencję sił bezpieczeństwa (jak zresztą obiecał w swoim "oświadczeniu" dla środków masowego przekazu).

Dostrzegamy tę samą naiwność i łatwowierność jakże charakterystyczną dla wszystkich wielokrotnych morderców, ale jest jedynym, którego protest zdaje się być czymś więcej niż załatwieniem własnej, prywatnej sprawy. Nie znajdziemy w tej kronice zbrodni innego mordercy, którego czyny też miałyby znamiona politycznej decyzji, czyli przemawiałyby nie tylko w imieniu jednostki. To prawda, że jego czyn zdobył mu uznanie w niektórych kręgach, gdyż Essex pozornie odzwierciedlał potrzeby i aspiracje zepchniętych na margines rzeszy amerykańskich Murzynów. Jednak jedyna prawdziwa różnica pomiędzy buntem Essexa i buntem innych omawianych tu wielokrotnych morderców leży w ilości ludzi, którzy się z nim identyfikowali i wręcz aprobowali jego pełną przemocy reakcję na fakt zepchnięcia na margines społeczeństwa. Tło samego buntu jest identyczne u wszystkich omawianych tu "bohaterów". Poza typowo rasistowską nienawiścią nie kierował się żadną rewolucyjną teorią społeczną, niczym konstruktywnym... z wyjątkiem magnum .44.

Nieuchronnie dochodzimy do wniosku, że gdyby pozostał w Emporii i na przykład dostał zatrudnienie jako młodszy brygadzista w zakładzie przetwórstwa mięsnego (zamiast wpaść w rasistowską pułapkę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych) do końca życia pozostałby łagodnym i delikatnym człowiekiem, tym samym, który w młodości po raz pierwszy przekroczył bramę bazy w San Diego. Można wysnuć przypuszczenie, że gdyby spełnił swoje wcześniejsze marzenie o zostaniu dentystą lub pogodził się z wykonywaniem zawodu montera automatów ulicznych, zarówno on sam, jak i jego ofiary zostaliby przy życiu. Zatem zabijanie ludzi miało swoje źródło wyłącznie w osobistym kryzysie, jaki przeżywał - nie mógł się pogodzić ani z karierą, jaką chciało mu zaproponować społeczeństwo, ani z brakiem zdolności.

Ostatnie godziny życia Essexa były wręcz tragikomiczne i w zupełności odzwierciedlały trendy kultury, w której wyrósł. John Wayne zrozumiałby, że wybuch Essexa musi mieć kolor krwi. W rozumieniu Marka Essexa tylko wyczyn na wielką skalę pozwolił mu odczuć, że wypowiada się w sprawie, zwanej przez badaczy zbrodni, Petera i Faweta "rządami kłamstwa i obrzydliwej machiny, na której skinienie jego bracia, wydziedziczeni synowie tej ziemi, nie przestają być tłamszeni w każdej godzinie i minucie". Ale czyn Essexa, który miał być formą dialogu, ciężko doświadczył zarówno samego sprawcę, jak i jego ofiary i ich rodziny. Żadne odszkodowanie, pomimo wielu milionów dolarów wypłaconych przez władze miejskie w wyniku procesów sądowych, nie przywróci tego, co utracono. Ofiary chowano przez kilka dni w czasie nie kończących się pogrzebów - jednym z pierwszych był trzydziestotrzyletni policjant Pauł Persigo. Ani on, ani inni, których trumny niesiono za trumną Persigo, nie zasługiwali na śmierć.

Essex był zbyt dumny, by kontynuować życie, które jego zdaniem było "pozbawione jakiejkolwiek przyszłości i odarte z jakichkolwiek perspektyw". W związku z tym nie było sensu znosić "koszmaru dnia codziennego". W Emporii jego rodzice zaledwie rzucili światło na wysoki wydźwięk moralny decyzji syna. Wskazali również na mechanizm, który z człowieka opisywanego od dziecka przez przyjaciela jako "delikatnego mięczaka" uczynił bezlitosnego mordercę. "Młodzi Murzyni nigdy nie pogodzą się z rasistowskim społeczeństwem białych - zanotował dziennikarz słowa matki Essexa. - To wyraźny sygnał, wyraźny sygnał dla białej Ameryki, by podnieść się z krzesła i coś wreszcie zrobić. Nie chcę, by mój syn zginął na próżno. Jeśli to straszne wydarzenie spowoduje, że biała Ameryka dostrzeże krzywdy wyrządzane czarnym, jego śmierć nie pójdzie na mamę". Siostra Essexa dodała, że "kiedy Jimmy poszedł do marynarki, zobaczył prawdziwe życie i prawdziwy świat. Zrozumiał, że rządzą nim biali, a czarni są tylko przez nich uciskani. Nie podobało mu się takie społeczeństwo. Chciał coś zmienić. Marynarka dla Jimmiego była jego własnym, prywatnym piekłem". Bez wątpienia to trafna ocena, ale Essex niczego nie zmienił. Cały protest był w sumie bez znaczenia, gdyż jego celem było danie upustu gotującej się w nim złości, przeprowadzenie własnej rebelii.

Wojownik, w którego ciele naliczono dwieście otworów po kulach, spoczął w nie oznakowanym grobie w Emporii. Kilka dni po pogrzebach ofiar, jeden z policjantów, którzy stanowili załogę śmigłowca piechoty morskiej biorącego udział w akcji, zastrzelił Murzyna ze slumsów, gdy ten próbował go zabić. Kiedy sanitariusze wkładali ciało ofiary do karetki, w ciemnościach ogarniających nowoorleańskie slumsy rozległ się głos kobiety: "Snajper wróci, snajper wróci i załatwi was wszystkich". Jakby na potwierdzenie tych słów i zaprzeczenie prawdzie, że umiera się nadaremnie, młodzi Murzyni często szukają grobu Essexa, a znajdując go, stoją przy mogile w milczeniu.

Tylko martwi są sobie równi

CHARLES STARKWEATHER Czas zabijania

Myślę, że strzelanie do ludy było emocjonujące. Coś wyzwalało w człowieku.

Charles Starkweather

Dzieciństwo spędził w ubóstwie, co przeżył boleśnie, świadomy niskiego statusu społecznego swojej rodziny. Charles Starkweather był szczególnie wrażliwy na każdy realny lub wyimaginowany przejaw złego traktowania z racji swojej pozycji socjalnej. Kiedy wszedł w wiek dojrzewania, był rozgoryczony i wściekły - odczucia, które ulegały jedynie pogłębieniu z powodu wykonywania poniżającego zawodu śmieciarza. Wywożenie śmieci wyrzuconych przez bogaczy traktował jak karę, od której nie ma ucieczki. Błyskawiczna i spektakularna wendeta dała mu więcej niż dokonanie żywota w wiecznym upodleniu.

Pierwszy trup z ręki Starkweathera padł podczas napadu. Wkrótce potem przestępca wkroczył na ścieżkę zbrodni: w czasie trwającego siedem dni wybuchu przemocy zabił jeszcze dziesięć innych osób. Miał dziewiętnaście lat. Jego osobowość, niezwykle trafnie odzwierciedlała postawę nastoletnich buntowników epoki, a zwłaszcza kultową postać Jamesa Deana, który zagrał w filmie Buntownik bez powodu. Podobieństwo postaw było tak uderzające, że popełnionym przez Starkweathera zbrodniom dodało złowieszczego powiewu nadchodzącej rewolty. Aby zneutralizować potencjalne zagrożenie, środki masowego przekazu dołożyły wszelkich starań, by ukazać Starkweathera jako człowieka niedojrzałego, o "pokręconej" osobowości, którego nie przemyślany czyn był wynikiem mrzonki. Z tego powodu prawdziwe znaczenie tej serii zabójstw pozostaje do dziś nie zbadane, gdyż władze nie podjęły próby rozszyfrowania i wysłuchania tego, co swoim czynem miał im do powiedzenia Starkweather.

Pierwszy śmiertelny strzał padł podczas zwykłego napadu na stację benzynową i sprawiał wrażenie czynu całkowicie pragmatycznego. Miał tylko uciszyć niewygodnego świadka. Starkweather znał większość pracowników stacji i wiedział, jakie mają zwyczaje. Przyszło mu do głowy, że nowy pracownik go nie rozpozna, jeśli owinie chustę wokół twarzy. O trzeciej nad ranem pierwszego grudnia 1957 roku w mieście Lincoln w stanie Nebraska, Charles Starkweather, dzierżąc dwunastostrzałową strzelbą, zmusił dwudziestojednoletniego Roberta Colverta do otwarcia kasy i opróżnienia jej ze stu ośmiu dolarów. Następnie wepchnął Colverta do samochodu i wywiózł daleko za miasto. Kiedy wysiedli z samochodu, Colvert złapał za lufę strzelby. "Zaczęliśmy się bić - wspominał później Starkweather. - Pierwszy strzał był samobójczy. Złapał za lufę, szarpał się, szarpał, aż wypaliło". Kiedy ranny Colvert próbował się podnieść, Starkweather przyłożył koniec lufy do potylicy ofiary i nacisnął spust. "Już nie wstał". Po zabiciu człowieka Starkweathera opanował spokój, jakiego nie pamiętał od dzieciństwa; poczuł się też dostatecznie silny, by pogwałcić prawa ustanowione przez człowieka.

Kolejna ofiara Starkweathera miała przed sobą jeszcze kilka tygodni życia. Zabójca spędził ten okres ze swoją czternastoletnią przyjaciółką Carii Fugate, ćwicząc rzucanie nożem i strzelanie. W tym okresie w jego głowie krystalizowała się wizja tego, co ma nastąpić. Rankiem dwudziestego pierwszego stycznia 1958 roku z tanią, jednostrzałową strzelbą kalibru .22 na ramieniu odwiedził zaniedbany dom Caril. Wywiązała się sprzeczka, w trakcie której matka Caril, Velda Bartlett, powiedziała mu, że nie chce, by nadal spotykał się z jej córką. Jak później zeznał Starkweather, w kulminacyjnym punkcie awantury "nic nie powiedziała. Wstała

i trzasnęła mnie w mordę, i to fest". Wyszedł na chwilę przed dom, ale po kilku minutach wszedł do środka, gdzie Marion Bartlett, ojczym Caril czekał na niego w kuchni. "Stary zaczął się do mnie przypieprzać. Powiedziałem, do diabła z nim, i miałem zamiar wyjść przez frontowe drzwi, a on mi w tym pomógł. Kopnął mnie prosto w dupę. Ogon bolał mnie przez trzy dni". Tego popołudnia Starkweather ponownie odwiedził dom Bardettów i trafił na moment, w którym Caril i jej matka "wydzierały się na siebie". Kobieta zwróciła się do chłopaka i zarzuciła mu, że to przez niego Caril zaszła w ciążę. Następnie, jak twierdzi Starkweather, "wstała i znowu mi przywaliła... w głowę... z lewej i z prawej. Uchyliłem się i oddałem jej raz... też w głowę, na odlew. Poleciała kilka kroków do tyłu. Wydała z siebie okrzyk, taki wojenny czy coś w tym rodzaju, i na to wpadł stary. Podniósł mnie do góry, za szyję i zaczął prowadzić w stronę drzwi. Kopnąłem go i mnie puścił. Zaczęliśmy się szamotać we frontowym pokoju... Nagle ruszył do drugiego pomieszczenia. Wiedziałem, po co poszedł (broń), więc pomyślałem, że zrobię to samo".

Podczas gdy Starkweather pospiesznie wsuwał nabój w dwudziestkę dwójkę, Marion Bartlett ruszył z podniesionym młotkiem: kula trafiła go w głowę i mężczyzna upadł. Velda Bartlett wpadła do pokoju z dużym nożem kuchennym. Starkweather tak zapamiętał przebieg wydarzeń: "Stara Bartlettowa powiedziała, że oderżnie mi głowę, więc ponownie załadowałem pukawkę. Zrobiła kilka kroków w moją stronę... wtedy Caril wyrwała mi strzelbę i powiedziała, że pośle starą prosto do piekła. Stara się wściekła i przywaliła córce... wyrwałem Caril strzelbę, odwróciłem się i strzeliłem starej w twarz. Przeszła kilka kroków w stronę dziewczynki (dwuipółrocznej Bet-ty Jean Bartlett, przyrodniej siostry Caril) i się zatrzymała, myślałem, że chce podnieść dziewczynkę z podłogi, ale nie, tylko się odwróciła i znowu na mnie spojrzała... wtedy uderzyłem ją kolbą... osunęła się, ale nie do końca, więc poprawiłem... i już tak leżała. Po tym jak załatwiłem starą, kolba znowu mi się podniosła i uderzyłem dziewczynkę... upadła koło jakiegoś stołu i krzyczała. Caril wrzeszczała na nią, żeby się zamknęła".

Według Starkweathera był to moment, w którym Caril poinformowała go, że ojczym, który tymczasem znalazł się w sypialni, daje znaki życia. "Podniosłem nóż, który stara ciągle trzymała i zacząłem iść w stronę sypialni... a dziewczynka ciągle się darła, więc powiedziałem jej, żeby się zamknęła i zrobiłem kilka kroków, ale się odwróciłem i rzuciłem w nią nożem... mówili, że trafiłem w gardło, ale mnie się wydawało, że w klatkę piersiową. Wszedłem do sypialni. Pan Bartlett ruszał się jeszcze całkiem żwawo, więc próbowałem dziabnąć go w gardło, ale nóż nie chciał wejść, (więc) uderzyłem w rękojeść i wszedł". Starkweather zadał Bartlettowi jeszcze kilka ciosów w gardło i czekał, by się upewnić, że mężczyzna na pewno jest martwy. Załadował strzelbę i usiadł przed telewizorem. "Nawet nie pamiętam, co pokazywali, chciałem, żeby coś buczało koło ucha - opowiadał później policji. - Było zbyt cicho". Razem z Caril owinął później ciała w dywany i pościel - matkę Caril przepchnęli przez otwór w wygódce za domem, ciało dziewczynki posadzili na desce, a ojczyma przeciągnęli do kurnika.

Młodzi pobieżnie posprzątali, co się dało, usuwając ślady krwi. Nie wychodzili z domu, a właściwie z łóżka, przez następnych sześć dni. "Przed Charlesem - napisał jego biograf William AUen - stał otworem najlepszy tydzień w jego życiu". Kryminolog James Reinhardt przytacza słowa Starkweathera, który twierdził, że żył jak król, nigdy przedtem lepiej się nie bawił i nikt mu nie rozkazywał. Nie czuł się winny. "Przez sześć dni zbywali wszystkich, którzy pukali do drzwi. Zaniepokojeni krewni wydzwaniali na policję, ale przedstawiciele prawa nie weszli do domu - wszelkie obawy rozproszyło serdeczne powitanie, nie mówiąc o wywieszce na drzwiach, na której przeczytali "Nie podchodzić, wszyscy mają grypę". Kiedy młodzi zorientowali się, że prawda wyjdzie na jaw, opuścili Lincoln samochodem Starkweathera; ciała odnaleziono kilka godzin później i policja rozesłała za uciekinierami listy gończe.

Charles Starkweather i Caril Fugate udali się na farmę siedemdziesięcioletniego Augusta Meyera, przyjaciela rodziny Starkweatherów. Charles często zasiadał ze starym przy jednym stole i polował na jego działce, zostawiając w podzięce połowę tego, co ustrzelił. Z powodu topniejącego śniegu dróżka, która wiodła do domu Meyera, zamieniła się w grząskie bagno i samochód się zarył. Starkweather twierdził później, że był to główny powód, dla którego zabił Meyera; "Kiedy utknęliśmy w błocie, Carii się wściekła. Powiedziała, że trzeba iść i go (Meyera) rozwalić za to, że nie odgarnął wcześniej śniegu. Powiedziałem to samo". Po kilku nieudanych próbach wypchnięcia samochodu z błota podeszli pod dom. Podczas próby rekonstrukcji zdarzeń Starkweather twierdził - co zresztą mówił o każdej ofierze - że zabił "w samoobronie". Według swojej wersji, poprosił Meyera o konia, który wyciągnąłby samochód. Z niewiadomych powodów "wdałem się z nim w cholerną sprzeczkę. Nie mógł zrozumieć, dlaczego się zaryliśmy i to tak daleko od domu".

Po zażartej dyskusji Meyer podobno powiedział, że idzie do środka po palto, ale zamiast palta pojawił się ze strzelbą i wypalił do Starkweathera. "Niemal czułem, jak kula przeszła koło głowy". Ponieważ strzelba Meyera zacięła się po pierwszym strzale, "wbiegł do domu i wtedy go trafiłem... z bardzo bliska z obrzynka .410". Zaciągnęli ciało do pralni i przykryli kocem. Kiedy przybiegł pies, też dostał kulkę. Następnie Starkweather przetrząsnął dom, wyjadł galaretkę z ciasteczkami i zabrał, co się dało: trochę mniej niż sto dolarów, skarpetki, rękawiczki, koszulę, słomkowy kapelusz i karabin typu pump-action kalibru .22. Zdrzemnęli się oboje przed podjęciem kolejnej próby wyciągnięcia samochodu. Bardzo szybko zdali sobie

sprawę, że choćby nie wiadomo jak machali łopatą, nic z tego nie będzie. Ostatecznie jakiś farmer, który przejeżdżał tamtędy, przyczepił hol i wyciągnął samochód z błota. Starkweather nie tylko puścił mężczyznę wolno, ale wręcz uparł się, żeby ten przyjął dwa dolary za fatygę. Po przejechaniu kilku metrów samochód ponownie utknął.

Uzbrojeni w karabin Meyera i obrzynek Bartletta, porzucili samochód i w dalszą drogę udali się pieszo. W tym czasie siedemnastoletni Robert Jensen wraz z narzeczoną Carol King minęli ich samochodem. Jensen, uczeń miejscowej szkoły średniej, zatrzymał się, by podwieźć wędrowców. Starkweather twierdził później, że rozważał myśl o zadzwonieniu do znajomego policjanta i oddaniu się w ręce sprawiedliwości, ale nie podobała mu się myśl, że to właśnie młodego, rumianego Jensena uznano by za "bohatera", który przyczynił się do jego pojmania. Kiedy przestał się bić z myślami, zagroził Jensenowi bronią, zabrał pieniądze i kazał podjechać pod opuszczoną szkołę, która znajdowała się w pobliżu. Kiedy Jensen zszedł kilka stopni w dół do piwnicy, Starkweather strzelił do odwróconego chłopaka. Twierdził później, że Jensen próbował wyrwać mu broń, ale faktem jest, że do Jensena oddano sześć strzałów w okolicę lewego ucha. Jeśli chodzi o zabicie King, to Starkweather wielokrotnie gubił się w zeznaniach i sam sobie przeczył. Wiadomo, że był z nią sam na sam w piwnicy około piętnastu minut. Początkowo zeznał, że zastrzelił ją, kiedy zaczęła krzyczeć, później, że strzelała Caril.

Ciała zamordowanych znaleziono dopiero następnego dnia. Jensen był ubrany i leżał na brzuchu w kałuży krwi u stóp schodów. Ciało King było częściowo obnażone i leżało na zwłokach Jensena - płaszcz zarzucony na głowę, dżinsy i majtki opuszczone do kostek. Ciało od pasa w dół było pokryte krwią i błotem. Zadano kilka ciosów jakimś ostrym narzędziem w okolicę pachwiny; jeden z nich przebił szyjkę macicy i odbytnicę. Podczas sekcji zwłok stwierdzono uszkodzenie pochwy, szyjki macicy i odbytu, ale nie znaleziono śladów odbytego stosunku ani obecności spermy. Starkweather zeznał później, że odczuwał "pokusę" zgwałcenia King i że "ściągnął jej dżinsy", ale nie chciał się przyznać, by miał jakiś udział w jej okaleczeniu. Twierdził, że zrobiła to Caril powodowana zazdrością.

Podobno po wyjściu z piwnicy chciał na tym poprzestać i oddać się w ręce policji. "Cały czas mnie od tego odwodziła - upierał się. - Mieliśmy jechać na autostradę i strzelać dalej. Mówiłem jej, że się zgłoszę (na policję), a ona, że nie, ja, że tak, a ona, że nie". Zapewne prawda jest taka, że dawał w ten sposób upust obawom i złym przeczuciom, gdyż gdyby chciał przestać, nikt nie mógłby mu w tym przeszkodzić. Oszołomieni własnymi wyczynami, kłócili się, czy mają pojechać do stanu Waszyngton i zamieszkać u brata Starkweathera. Po trzech godzinach jazdy na zachód nastąpiło coś, co uznano później za rzecz "niebywałą": para przestępców zawróciła do Lincoln. Allen napisał, że Starkweather próbował wyjaśnić tę decyzję jakimiś błahostkami, "że był zbyt zmęczony, by jechać dalej, że musiał odpocząć, że samochód kiepsko ciągnął i wydawało mu się, że łatwiej będzie zwędzić następny właśnie w Lincoln", ale te wyjaśnienia nie trzymają się kupy: zarówno sprawę odpoczynku, jak i nowego samochodu można było załatwić w innym, bezpieczniejszym miejscu. Można przypuszczać, że chcieli nacieszyć oczy widokiem tego, czego dokonali, i dokończyć dzieła w obrębie własnej społeczności. Przejechali w pobliżu domu Carii, by zorientować się, czy odkryto zwłoki i pospiesznie odjechali, kiedy zobaczyli wozy policyjne. Stamtąd ruszyli w stronę Country Club - zamożnej dzielnicy Lincoln, która miała specjalne znaczenie dla Starkweathera i odegra istotną rolę w uwieńczeniu jego dzieła. Słońce jeszcze nie wzeszło. Zasnęli w zaparkowanym samochodzie.

Ostateczny plan przewidywał spędzenie nocy w jednej z willi, kradzież samochodu i opuszczenie miasta po zmierzchu. Starkweather nie czuł się obco na tym terenie, gdyż z tej właśnie dzielnicy wywoził śmieci. Chociaż dom, który w końcu wybrali, nie leżał na trasie jego śmieciarki, znał nazwiska i zawody wielu okolicznych mieszkańców - wykonywał dla nich drobne usługi. Kiedy mijali ulicę po ulicy, wskazywał Carii szereg możliwości;

ostatecznie wybór padł na dom należący do czterdziestosiedmioletniego przemysłowca C. Lauera Warda, prezesa zakładów metalurgicznych i przedsiębiorstwa budowy mostów, postać powszechnie znaną i szanowaną. Czterdziestosześcioletnia żona Warda, Ciara, była absolwentką Uniwersytetu Stanu Nebraska i podobnie jak mąż czynnie uczestniczyła w życiu publicznym. Pięćdziesięcioletnia Lillian Fenci służyła u Wardów od dwudziestu sześciu lat.

W chwili gdy Charles i Caril zmusili sterroryzowaną służącą do wpuszczenia ich do środka, pan Ward był w pracy, a pani Ward w pokoju na piętrze. Kiedy zeszła na dół, polecono jej usiąść przy stole. Po jakimś czasie kobiety spytały, czy mogą zająć się domem. Starkweather, znudzony czekaniem na Warda i obserwowaniem kobiet, oglądał poszczególne pokoje zafascynowany przepychem. Przed dwunastą polecił pani Ward, a nie służącej, podanie mu naleśników do biblioteki, ale później poirytowany zmienił zamówienie na gofry. "Zachowywały się bardzo uprzejmie - opowiadał Reinhardtowi. - Kupowałem to, bo wiedziałem, że długo to nie potrwa". Wczesnym popołudniem pani Ward chciała pójść na górę i kiedy chwilę później Starkweather poszedł sprawdzić, co robi, oto co się wydarzyło:

"Strzeliła do mnie... wyszła z pokoju chłopaka i strzeliła do mnie z dwudziestkidwójki... zaczęła biec w górę po schodach... miałem nóż, rzuciłem... wbił się w plecy... zaczęła jęczeć i zawodzić... zaciągnąłem ją do sypialni, położyłem na łóżku i zostawiłem". Kiedy pies Wardów nie chciał się od niego odczepić, przetrącił

mu grzbiet ciosem kolby. Następnie dopilnował, żeby pani Ward już więcej nie przeszkadzała. "Przewiązałem ją sznurem, oderwałem kawałek prześcieradła i wsadziłem jej do ust, innymi kawałkami prześcieradła związałem ręce, stopy, na koniec i ją przykryłem".

Tego popołudnia zadzwonił do ojca. Nie powiedział gdzie jest, ale prosił go o przekazanie wiadomości byłemu koledze Robertowi von Buschowi, że on (Starkweather) ma zamiar go zabić za to, że próbował mu odbić Carii. Napisał również list niby w imieniu obojga adresowany wyłącznie "do przedstawicieli prawa", w którym podał cały szereg wyjaśnień: "...wtedy ja i moja panienka zamieszkaliśmy razem i w poniedziałek, kiedy znaleziono ciała mieliśmy się zabić, ale BOB VON BRUCK i wszyscy inni nie chcieli zostawić nas w spokoju i nienawidzę mojej starszej siostry i Boba za to, jacy są; oni nigdy nie chcieli, żebym spotykał się z Carii (...) mnie i Carii jest przykro za to, co się stało, bo bardzo wszystkich skrzywdziliśmy..."

Kiedy pan Ward wrócił do domu koło szóstej, Starkweather stanął w drzwiach - Ward chwycił za lufę i próbował wyrwać napastnikowi broń, ale Starkweatherowi udało się zepchnąć mężczyznę w dół, do piwnicy. Zbiegł za nim, żeby podnieść dwudziestkędwójkę, która też wpadła do środka. Kiedy Starkweather podnosił broń z podłogi, Ward spróbował wbiec po schodach na górę. W tym momencie został trafiony w plecy. Pomimo rany Ward przebiegł przez kuchnię i salon. Zdążył otworzyć drzwi frontowe, i wtedy padł drugi strzał. "Chyba trafiłem go w głowę. Stałem nie dalej jak półtora metra... spytałem go, czy nic mu nie jest, ale nie odpowiadał". Następnie Starkweather zmusił służącą do wejścia na górę, związał, wyjął jej z kieszeni dziesięć dolarów, a siedem zabrał pani Ward. Zaprzeczał, by miał coś wspólnego z zabiciem służącej, ale Carii twierdziła, że to właśnie on przywiązał nogi i ręce kobiety do łóżka, a następnie "dźgał nożem, a ona wrzeszczała i wyła... zakrył jej twarz poduszką... jęczała przy każdym ciosie... mówił, że ona chyba nigdy nie skona... w końcu przeciął więzy i nakrył ją kocem, który leżał na łóżku".

Ciała znaleziono następnego ranka, kiedy zaniepokojony współpracownik Warda podjechał pod dom, żeby dowiedzieć się o powód nieobecności szefa w biurze. Ward leżał za frontowymi drzwiami trafiony w skroń i plecy. Na szyi widniały ślady po uderzeniu nożem. Ciara Ward, w koszuli nocnej, leżała na podłodze jednej z sypialni; na szyi, klatce piersiowej i plecach znaleziono liczne ślady po ciosach nożem. Ciało Lillian Fenci, praktycznie całe podziurawione nożem, znaleziono w innej sypialni, ciągle przywiązane do łóżka.

W tym momencie liczba zabitych wzrosła do dziewięciu. Miejscową społeczność ogarnęła panika, gubernator wezwał Gwardię Narodową, której przedstawiciele, uzbrojeni w karabiny maszynowe, wsiedli do jeepów i rozpoczęli patrolowanie ulic. "Nastrój podsycały fałszywe doniesienia i udziwnione, niesamowite pogłoski - odnotował AUen. - Ludzie dostali amoku. Zamknięto szkoły. Szerzył się zamęt".

Jadąc czarnym Packardem Warda Starkweather i Carii Fuga-te ponownie udali się na zachód w kieruku stanu Waszyngton. Starkweather twierdził później, że po drodze wyrzucali karteczki z samochodu, na których informowali świat o swoich dokonaniach. Jechali całą noc, aż dojechali do miasteczka w pobliżu granicy z Wyoming. Uzupełnili paliwo, a sami najedli się słodyczy, popijając je dziewięcioma butelkami pepsi. Zdając sobie sprawę, że charakterystyczny Packard zdradza ich trasę ucieczki, Starkweather zaczął się rozglądać za innym samochodem. Wybór padł na Buicka zaparkowanego w pobliżu autostrady.

W środku czterdziestosiedmioletni akwizytor Merle Collinson drzemał na przednim siedzeniu. Starkweather obudził mężczyznę i zażądał Buicka w zamian za Packarda. Kiedy Collinson odmówił, przestępca otworzył ogień z dwudziestkidwójki. Przeprowadzona później sekcja zwłok wykazała, że akwizytor dostał postrzał w nos, policzek, szyję, klatkę piersiową, lewe ramię, prawy nadgarstek i lewą nogę. Relacja Starkweathera o tym, co zaszło przy autostradzie, jest pełna sprzeczności. Zdaniem Reinhardta, bandyta czuł się nieswojo z powodu tego właśnie zabójstwa, gdyż dokonany z zimną krwią mord nie dawał podstaw do usprawiedliwienia działaniem w samoobronie. "Myślał, że zostanie uznany za tchórza - konkluduje Reinhardt - ze względu na sposób, w jaki zabił akwizytora". W swojej ostatecznej wersji zdarzeń Starkweather zdecydował się na obciążanie zbrodnią Carii.

Tymczasem zwłoki Collinsona osunęły się na podłogę, tarasując drzwi od strony kierowcy. Podczas gdy Starkweather próbował wyciągnąć ciało ze środka, miejsce zajścia minął inny samochód. "Myślałem, że mieli wypadek - zeznał później kierowca, geolog z zawodu - więc zawróciłem. "Czy mogę w czymś pomóc?" -spytałem. Mężczyzna wyprostował się, pokazał strzelbę, którą trzymał za plecami i powiedział: "Podnieś ręce. Pomóż mi zwolnić ręczny hamulec, bo inaczej cię zabiję". Dopiero wtedy zobaczyłem trupa za kierownicą. Kiedy podszedłem bliżej, złapałem za lufę i zaczęliśmy się szarpać na środku autostrady. Wiedziałem, że jeśli wygra, będę martwy, więc broń znalazła się w moich rękach". Kiedy dwaj mężczyźni szamotali się na środku drogi, podjechał wóz patrolowy z zastępcą szeryfa z Wyoming. Carii bez chwili namysłu podbiegła do niego i wskoczyła do środka ze słowami "On zabił człowieka". W tym momencie Starkweather oderwał się od geologa i widząc, co się święci, wskoczył do Packarda i odjechał w stronę miasteczka Douglas w Wyoming. Szeryf zarządził ustawienie blokady na szosie i ruszył w pościg. Wkrótce dołączyły inne wozy patrolowe, zbliżając się do Douglas z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Cała kawalkada sparaliżowała ruch uliczny w mieście. Dopiero gdy policjanci zaczęli strzelać w opony Packarda na ulicach zrobiło się luźniej. Samochody wyjechały z miasta szybkością dochodzącą do stu dziewięćdziesięciu kilometrów. Wreszcie udało się trafić w tylną szybę Packarda. W kilka sekund po tym,

jak szyba rozprysła się na kawałki, Starkweather zatrzymał się nagle pośrodku drogi. Najprawdopodobniej sądził, że został trafiony, gdyż z jednego ucha lała się krew. W rzeczywistości drasnął go odłamek szkła. Wysiadł z samochodu i mimo że policjanci strzelali mu pod nogi, z namaszczeniem upychał koszulę w spodnie. Następnie położył się na szosie twarzą do ziemi i oddał się w ręce policji. Funkcjonariusz, który dokonał aresztowania, powiedział dziennikarzom, że Starkweather zachowywał się nad wyraz spokojnie: "Myślał, że wykrwawi się na śmierć. Dlatego się zatrzymał. Takiego skurwiel miał cykora". Ale nie wspomniał o przedstawieniu z koszulą.

Mordercza działalność Starkweathera dobiegła kresu, ale misja, którą spełniał była zaledwie w zalążku. Allen opisał, jak wyglądało przewiezienie zabójcy do więzienia stanowego w Nebrasce. Na powitanie samochodów policyjnych wyległ "tłum dziennikarzy, fotografów i ekip telewizyjnych. Carii, z głową nakrytą chustką, uśmiechała się z zaciśniętymi ustami do obiektywów. Charlie udawał, że zainteresowanie jego osobą jest mu obojętne, ale z pewnością był ciekawszym obiektem od Caril. Zakrwawiony, rozczochrany, w kajdankach, z papierosem zwisającym z ust, w czarnej skórzanej kurtce motocyklowej, obcisłych czarnych spodniach, biało-niebieskich butach kowbojskich - był idealnym wzorem młodego zabójcy buntownika".

Morderca jako autor własnej biografii

Dlaczego musiało trafić właśnie na mnie? To nie fair... to nie w porządku... dlaczego cały świat sprzysiągł się, przeciwko mnie?

Charles Starkweather

Jest zupełnie oczywiste, że ten rozgoryczony i ubogi śmieciarz uważał dokonaną przez siebie serię morderstw za zorganizowaną akcję odwetową, którą rządzą takie same prawa jak wojną. Wyraził skruchę za zabicie śpiącego akwizytora: "...ale musiałem strzelić. Przypuszczam, że to był koniec. Ludzie zapamiętają ten ostatni strzał. Mam nadzieję, że przeczytają moją opowieść. Wtedy zrozumieją dlaczego. Zrozumieją, że akwizytor znalazł się tam zrządzeniem losu. To nie ja kazałem mu się tam znaleźć, a on nie wiedział, że będę tamtędy jechał... Kiedy żołnierze mają zająć pozycje lub wykonać zadanie, nie pytają, czy będą tam dzieci, starcy i kobiety lub czy ci ludzie będą spali". Starkweather niczym żołnierz podporządkował się "racji stanu". Z tego punktu widzenia jest oczywiste, że to, co zrobił "...nie było przyczyną troski... Dlaczego miałbym się rozklejać z powodu ludzi, których musiałem zabić?" Co ten człowiek ma na myśli mówiąc, że "musiał" zabić?

Zdumiewa nas fakt, że w miarę upływu czasu zmieniał wersje wydarzeń i to często w sposób zasadniczy. Różnice były tak duże, że według dziennikarki N. Beaver i jej współpracowników, "zanim rozpoczął się proces, Starkweather złożył siedem oficjalnych zeznań, z których żadne się nie pokrywały". W kolejnych wersjach, bardziej szczegółowych od poprzednich, udział Caril w wydarzeniach rysował się coraz wyraźniej. Rodzi się pytanie, czy tym, co motywowało Starkweathera do zmiany zeznań, była skrupulatność czy zemsta?

Obszerna autobiografia Starkweathera uzmysławia nam, że tylko dwie rzeczy mogły go poruszyć: nienawiść do gatunku ludzkiego i umiłowania przyrody. Nawet dom, w którym się wychował, był skażony jego stosunkiem do ludzkości "...był to biały, odrapany parterowiec". Ale kiedy przestaje się zajmować sprawami ludzi i zwraca się ku naturze, rozpisuje się w tak poetycki sposób, na jaki stać tylko kogoś bez żadnego wykształcenia. "Prawie całe dzieciństwo upłynęło mi w tym domu. Był dla mnie niczym zaczarowany las, w którym rosły wielkie drzewa, a kiedy wieczorami z całym dostojeństwem zachodziło słońce, malując piękne barwy na zachodnim niebie, a ptaszki sfruwały z drzew wyśpiewując swoje trele - wtedy wszystko było miłe i piękne, pełne niezmąconego spokoju - tak jakby czas stanął w miejscu. Pokochałem tę krainę przygody z lat dzieciństwa i głęboko w moim sercu ciągle żarzy się miłość do tego zaczarowanego lasu".

Moja reputacja rozrabiaki

.Nawet jeśli nienawiść wycisnęła piętno na całym życiu Starkweathera i we wszystkich wspomnieniach dominują okropne zniewagi, które były źródłem nienawiści, kiedy przyjrzeć im się z bliska, wydają się wręcz śmieszne. Zniewagi i upokorzenia, które sobie zapamiętał, z pewnością dotknęły większą część ludzkości. Zawsze zostawał na końcu, kiedy w czasie lekcji wf wybierano chłopców do drużyn, ale czy znajdzie się artysta lub intelektualista, który nie miał podobnych doświadczeń? Rude włosy i krzywe nogi Starkweathera były zawsze przedmiotem drwin, ale przecież tylko nielicznym udaje się przejść przez okres dzieciństwa i nie zaznać wytykania palcem różnych ułomności. To z pewnością przykre momenty, gdyż dzieci potrafią być dla siebie równie okrutne jak dorośli, ale nie wystarczą do wyjaśnienia lub usprawiedliwienia masowego morderstwa.

Nie ma jednak wątpliwości, że bardzo cierpiał z ich powodu i reagował z ponurą wściekłością. "Mój bunt wobec świata zaczął się od pierwszego dnia szkoły - napisał - i od pierwszego dnia zostałem buntownikiem. Taka postawa nie opuściła mnie do dzisiaj. Dlaczego buntowałem się przeciwko światu i gatunkowi ludzkiemu? Gdyż od początku szkoły naśmiewano się ze mnie, wytykano palcami i drwiono. Dlaczego padło

na mnie? Moja wymowa to jedno, drugie to nogi, jakby na beczce prostowane. W tamtych latach nabudowała (sic!) się we mnie olbrzymia nienawiść, a kiedy ludzie drwią, przedrzeźniają i naśmiewają się we wczesnym dzieciństwie z małolata, on tego nie zapomni. Nie przeczę, że byłem jak pies, który szuka zwady -kłóciłem się, wyprawiałem cuda i wszyscy byli moimi wrogami. Z powodu dzieciaków, które się mnie czepiały za niewinność, wpadałem w czarną rozpacz. Tak to przynajmniej nazywam, bo większość czasu siedziałem bez ruchu ze zwieszoną głową i było widać, że nikt się ze mną nie dogada, kiedy mam swoją czarną rozpacz, a znajomi chłopacy (sic!) i dziewczyny zostawiali mnie w spokoju, kiedy tak ponuro siedziałem bez ruchu. Nawet do dzisiaj mam te melancholie".

Cale życie Starkweathera jest odbiciem pierwszego dnia w szkole, a zapamiętał go tak: "Nie robiliśmy dużo tego pierwszego dnia. Pani Mott pozwoliła każdemu bawić się i robić, co się chce. Tego dnia nie najlepiej dogadałem się z kolegami, byłem na nich lekko wkurzony, ale bardziej to chyba było mi przykro - oni nie chcieli mieć ze mną nic wspulnego (sic!), nie chcieli się ze mną bawić ani nic. Cały dzień bawiłem się sam w piaskownicy, bo kiedy podeszłem (sic!) do piaskownicy, to wszyscy sobie poszli, a dziewczyny i chłopaki o mnie rozmawiali - kącikiem oka widziałem, zerkałem - dziewczyny chichotały, a chłopaki też się podśmiewali, a potem odszedł! (sic!) i czymś się zajęli". Czy mamy tu do czynienia z jakąś paranoją? Czy Starkweather naprawdę przypuszczał, że damy wiarę oświadczeniu, jakoby smutny incydent w piaskownicy stworzył podstawy do dokonania wielokrotnego morderstwa? Twierdzi, że tak. Czy dziecko w tak młodym wieku może być świadome klasowo? "Pewnego dnia powiedziałem sobie, że wszystkim im odpłacę, narastała we mnie złość, rodziła mi się w głowie myśl o zemście, chciałem zemścić się na świecie i na gatunku ludzkim - mój umysł i serce były czarne od nienawiści, która się we mnie nabudowała (sic!). Jak woalka, która niczym mgła powoli opada na twarz. (...) Nie potrafiłem ani przeanazylować (sic!) ani umiejscowić moich odczuć, kiedy wybuhałem (sic!) płaczem... Miałem całą piaskownicę dla siebie". Czy jest to żałosne rozczulanie się nad sobą, czy przejaw wyjątkowej wrażliwości?

Nawet jeżeli pierwszy dzień w szkole nie był aż tak ważny, jak mu się wydawało, nie ma wątpliwości, że trafnie opisał narastające przeczucie krwawej rozprawy, która rozpocznie się, kiedy skończy dziewiętnaście lat. "Nienawiść tak mocno we mnie siedzącą wywołali ci, którzy się ze mnie naśmiewali i mnie drażnili. To przez nich zacząłem się bić i im pierwszym spuszczałem lanie. Jeśli było mało, lałem jeszcze raz, aż zrozumieli, że nie popuszczę. Przeważnie były to sporadyczne napady agresji, ale czasami, jak to teraz widzę, było to hroniczne (sic!). Kiedy biłem się z tymi, którzy się mnie czepiali, waliłem szybko i z furią, jak jakiś mamiak (sic!), z wściekłością i w szale. Kiedy się biłem, wściekłość, która się we mnie gotowała, kazała mi przewracać, krzywdzić i przede wszystkim pobić tych, co się ze mnie naigrawali. Wszystkie dzieciaki w szkole uważały, że miałem kiepską reputację, tak, REPUTACJĘ. Każdy dzieciak wie, jak trudno to wytrzymać, kiedy mówią, że z niego zabijaka. I zyskujesz taką reputację, że poza biciem się to już nic nie robisz. Zawsze wtedy znajdzie się kilku chłopaków takich jak ty, którzy będą chcieli odebrać ci twoją reputację".

"Moja reprutacja (sic!) zabijaki nie opuszczała mnie i nawet kiedy przestałem chodzić do szkoły ta repatacja (sic!) się za mną ciągnęła, ale mój bunt przeciwko światu i gatunkowi ludzkiemu zaczął się, kiedy robiono sobie ze mnie zbyty (sic!), dlatego się biłem, kiedy byłem małolatem, ale zapewniam was, że później ta nienawiść, która się we mnie nabudowała (sic!), ciągle we mnie tkwiła i dlatego poza moją rodziną nienawidziłem wszystkich bez wyjątku, bo jak tylko ktoś spojrzał na mnie krzywym okiem, od razu była bójka na pięści. Moja wymowa i nogi na beczce prostowane to główne powody, dla których robiono sobie ze mnie zbyty. Kiedy dorosłem wada wymowy jakoś przeszła i teraz potrafię wyarkutyłować (sic!) słowa poprawnie jak każdy, a jeśli chodzi o nogi, są tak kszywe (sic!) jak zawsze, nigdy mi się nie wyprostowały i sam przyznaję, świnia przebiegłaby między nimi i nie dotknęła łydek".

W podobnym duchu opisywał okres dzieciństwa jako pasmo okrutnych upokorzeń. Pewnego razu banda chłopaków zabrała jego obrazek malowany farbami. "Wszyscy stanęli wokół chłopaka, który trzymał mój malunek i z mety zaczęli się przychrzaniać... Ten z malunkiem powiedział "to bohomaz, nie dość, że rudy, ma krzywe nogi i dzięcioł, to jeszcze nie umie malować" i przedarł obrazek na pół, a kiedy wszyscy się śmiali i chichotali, podarł połówki na jeszcze mniejsze kawałeczki... Wtedy jedna z dziewczyn krzyknęła smarkastycznie (sic!): "0n się zaraz rozbeczy, to beksa" i znowu wszyscy zaczęli, że rudy, co ma nogi na beczce prostowane jest beksą".

Należy zwrócić uwagę na następujący fakt: o ile Starkweather tak dobrze zapamiętał uczucie wściekłości oraz bijatyki z dzieciństwa, o tyle ci, co go znali, mieli o nim zupełnie inne wyobrażenie. Jeden z sąsiadów opowiedział Reinhardtowi, że "Charles zawsze zachowywał się tak spokojnie", jego rodzice uważali go za "normalnego chłopca", a sam Reinhardt "w szkolnych dokumentach nie znalazł żadnych dowodów na to, żeby Charles ze "sprawowania" otrzymał od któregokolwiek z nauczycieli złą ocenę. W rzeczywistości jego stopień ze "sprawowania" był zawsze powyżej przeciętnej. Wszyscy dawni nauczyciele Starkweathera zgodnie twierdzili, że nie było żadnych problemów, jeśli chodzi o zachowanie". Reinhardt nie znalazł również nikogo, kto uważałby, że manifestowana przez Starkweathera kłótliwość i gotowość do bijatyki, oraz jego porywczość i introwertyzm były przejawami głęboko zakorzenionych zaburzeń". Psycholog

szkolny uważał, że "wielu uczniom brakuje wrażliwości (Starkweathera). Jego największy problem polegał na nieumiejętności radzenia sobie ze światem, który go otaczał. Pod tym względem był niedojrzały". W podobnym duchu wypowiedział się pedagog szkolny: "Na pewno nie bił się tak często, jak twierdził".

"Był nieśmiały, miał trudności w nawiązywaniu znajomości, ale dogadywał się z kolegami - wspominał jeden z nauczycieli. - Gorzej mu szło z dziewczętami. Niechętnie brał udział w grach zespołowych zarówno na boisku, jak i w sali". W opinii innego nauczyciela Starkweather był "bardzo zżyty ze swoimi braćmi i uwielbiał matkę... Często mówił o uwadze, jaką mu poświęcała, i o jej opiece".

Jakie znaczenie ma tak niezwykła rozbieżność pomiędzy autobiografią Starkweathera, a wspomnieniami tych, co go znali? Sądzę, że wniosek, iż któraś ze stron kłamała lub została wprowadzona w błąd, byłby niewłaściwy - najprawdopodobniej w udręczonej wyobraźni Starkweathera bójki wyglądały o wiele groźniej. Co ważniejsze, jak mamy interpretować ciepło i dumę, które towarzyszyły opowieściom o stosunku do rodziny, a zwłaszcza do matki? Czy mordercy, o których piszemy, nie powinni pochodzić z rodzin patologicznych, i w ten sposób potwierdzać nasze przeświadczenia na ich temat?

Coś, za co warto zabić poczucie wyobcowania pogłębiało się, kiedy próbował nawiązać kontakt z kobietami, które mu się podobały. "Tak, umawiałem się z dziewczynami - opowiadał o okresie przed poznaniem Caril. - Czasami były to randki ze spokojnymi, religijnymi dziewczynami, ale przeważnie umawiałem się z lafiryndami, które kładły na twarz za dużo tapety i ubierały się w drogie ciuchy, albo były to zwykłe zdziry gotowe na skinienie palcem i łatwo się było z nimi dogadać. Jak każdy człowiek marzyłem o różnych rzeczach, ale ani marzenia, ani bójki, ani żadna z kobiet mi nie przypasowały. Myślę, że o to mi chodziło, kiedy powiedziałem: "Nie znam życia ani nie wiem, co się z nim robi" i powiedziałem tak dlatego, że nigdy nie chciało mi się znaleźć odpowiedzi. Kiedy byłem młodszy, zawsze sobie mówiłem, że muszę poznać prawdę o tym, co dobrego wynika z życia, ale kiedy dorosłem, to przestało mi zależeć i dlatego nie znalazłem na to czasu".

Kiedy Reinhardt pokazał Starkweatherowi zdjęcie elegancko ubranej kobiety, bez wątpienia przedstawicielki klasy średniej, stojącej na werandzie w ogrodzie, dowiedzieliśmy się, że tak właśnie wyglądał jego ideał kobiety z okresu dojrzewania:

"Taką dziewczynę zawsze chciałem mieć... (ale) taka panienka wyglądałaby głupio w moim środowisku... do tego trzeba mieć właściwą chatę" - opowiadał Reinhardtowi. Prawda była taka, że zanim poznał Caril... "Nikt mnie nie pytał, jak mi się układa z dziewczynami. Dopóki nie poznałem Caril, nigdy nie miałem panienki, z którą bym się dogadał. Kiedyś poznałem miłą dziewczynę, ale zaczęła tak mącić w moim kontrakcie ze śmiercią, że musiałem ją rzucić... Nikogo nie obchodziły moje problemy z dziewczynami..." Zatem wszystkie kobiety, które znał przed Caril były albo niedopasowane pod względem społecznym, albo kolidowały z szybko krystalizującym się "kontraktem ze śmiercią".

Kiedy poznał Caril, wszystko trafiło na swoje miejsce. Związek z dziewczyną nie zrodził wizji o małżeństwie i rodzinie - miał spełnić zupełnie inną rolę: stał się romantycznym i seksualnym dodatkiem do "zadania". Caril stała się jego obsesją: Charles rzucił pracę, by móc bez przeszkód czekać na dziewczynę, kiedy wychodziła ze szkoły - być może bał się, że znajdzie sobie innego. Był to moment, w którym tożsamość Starkweathera była w pełni ukształtowana, a koncepcja "zadania" nabierała rumieńców. "Z Caril robiliśmy rzeczy, o jakich mi się nie śniło. Wydawało się to takie nieprawdziwe". Wiedział, że nie ma dla niego "przyszłości z Caril", ale "wszystko, co robiliśmy, służyło nam obojgu". Z Caril u boku, wyznaczony cel nabrał sensu. "Kiedyś bałem się umierać, chciałem bez powodu rozstrzelać cały świat, chciałem komuś rzucić w twarz śmieciami, byłem wściekły na cały świat. Dzięki Caril wszystko stało się jasne, wszystko miało swoją przyczynę. Wiedziałem, że niedługo koniec, ale on też miał swoją przyczynę". Jego związek z Caril pomógł mu zrozumieć, dlaczego "nienawidził świata". "Byłem dla niej kimś. Nie obchodziło jej, jak wyglądałem. Dla niej byłem w porządku i lubiła mnie, bo mieszkałem w szopie; uważała, że cokolwiek robię, robię dobrze, nawet jeśli nie potrafiłem rysować ani nie prowadziłem szybkich aut, to też było w porządku. (...) Nikt do tej pory nie miał dla mnie takiego znaczenia jak ona... Wiedziałem, że życie bez niej oznacza powrót do świata, którego nienawidziłem i który próbowałem zostawić za sobą... Od kiedy ją poznałem, zacząłem inaczej myśleć i w ten sposób wylądowałem tutaj. Było po co żyć i z kim. Przez jak długo? To bez znaczenia. Musieliśmy być razem - opowiadał Reinhardtowi. - Tak to wtedy wyglądało... żyć z Caril i umrzeć z Caril. Tak czy owak chciałem, żeby zobaczyła, jak będę strzelał, i żeby wiedziała, że to dla niej, dla nas, za to, jakimi nas stworzył ten znienawidzony świat".

Jednak ta wielka miłość nie przetrwała próby, jaką okazał się proces i uwięzienie. Nawet jeśli w pierwszych słowach, które wystękał do aresztującego go policjanta, tłumaczył, że jego ukochana nie miała nic wspólnego z morderstwami, bardzo szybko zaczął się z tego wycofywać. Ostatecznie wszystko odwrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedy został osadzony w więzieniu, zaczął ją coraz bardziej obciążać, a uczucia, jakimi ją darzył, zmieniły się diametralnie, przechodząc z miłości w nienawiść. "Czuje wielki żal, że kiedykolwiek poznałem Caril - napisał Starkweather siedząc przy stole w swojej celi w więzieniu stanowym w Nebrasce. - Początkowo nasza miłość była bardzo żarliwa i namiętna, ale w miarę upływu czasu uczucie ustąpiło miejsca żądzy, a potem całkiem wygasło. Dzisiaj moja miłość do Carii jest martwa". Kilka godzin

po aresztowaniu napisał do rodziców twierdząc, że Carii nie uczestniczyła w morderstwach: "...ale tatusiu nie jest mi bardzo przykro z powodu tego, co zrobiłem, bo po raz pierwszy w życiu ja i Carii mieliśmy ubaw, bardzo mi pomogła, ale jeśli wróci do domu, nie nienawidźcie jej, bo nie miała nic wspólnego z zabójstwami, chcieliśmy jedynie wyjechać z miasta". Już kilka dni później upierał się, że Carii zabiła dwie z kobiet. Związek z dziewczyną spełnił swoją rolę w utwierdzeniu Starkweathera co do słuszności podjętej decyzji o "zadaniu" i dostarczył podniety seksualnej. Carii Fugate przestała odgrywać znaczącą rolę w jego życiu i już jako wróg mogła, z powodzeniem dołączyć do znienawidzonej reszty ludzkości. Kilka miesięcy później wyraził gotowość zeznawania przeciwko niej przed sądem i to właśnie jego oświadczenie przyczyniło się do wydania wyroku skazującego dziewczynę.

Pościg za śmiercią

Ze świata i tak uszło życie, jak z ludzi, których zabiłem.

Charles Starkweather

Patrzył na świat jakby martwymi oczami - nic dziwnego, że wszystko dookoła wyglądało tak, jakby "uszło z niego życie". Starkweather już jako kilkunastoletni chłopiec był zafascynowany śmiercią. Reinhardt zwrócił uwagę na fakt, że zanim Starkweather ukończył siedemnaście lat, czyli dwa lata przed zabójstwami, "nabrał obsesyjnego przeświadczenia, że jest "naznaczony" przez Śmierć", a sama myśl o tym wywoływała w nim "dziwną błogość". Właśnie w wieku siedemnastu lat to przeświadczenie przybrało niemal cielesną postać. "Zobaczyłem ją we śnie - opowiadał o Śmierci i jej pierwszym nawiedzeniu. -Powiedziała: "Nie spiesz się... nie pozwolę ci zapomnieć". Innym razem Śmierć przyniosła ze sobą trumnę i kazała mi wejść do środka... płynąłem w tej trumnie, aż ogarnęły ją płomienie... wtedy chyba się stopiła, a ja leżałem na ulicy. Po obu jej stronach buchały płomienie, ale wbrew moim wcześniejszym wyobrażeniom o piekle nie było gorąco... to były piękne płomienie, jakby ze złota... po czym się obudziłem".

Reinhardt odnotował też, że "Charles miewał inne sny o Śmierci, w których nie padało żadne słowo. Jego zdaniem te sny zostały na niego zesłane, by mu przypomnieć, że jego "czas ziemski" dobiega końca". Oto jak Starkweather wyjaśniał swoje ostatnie spotkania ze Śmiercią. "Zawsze po jednym z takich snów przydarzało mi się coś podobnego, tylko nie tak złego... Ale to (odwiedziny Śmierci) nie miało miejsca tylko w snach. Na jawie też do mnie przychodziła". Najczęściej tuż przed świtem, kiedy Starkweather jeszcze spał, Śmierć podchodziła pod okno sypialni. "Nie pamiętam dokładnie, jak to było -wspominał - ale zawsze się budziłem i widziałem, jak stała w oknie... zawsze widziałem ją od pasa w górę... była jakby pół-człowiekiem, pół-niedźwiedziem, tylko bez szyi. Mała, spiczasto zakończona główka wyrastała bezpośrednio z masywnego tułowia... nie widziałem ani ramion, ani uszu". Czasami tajemniczym odwiedzinom towarzyszyły żałobne zawodzenia. "Początkowo były blisko, ale potem się oddalały i stawały coraz bardziej żałobne i smutne, aż całkiem ucichły... Przez minutę lub dwie nie mogłem ruszyć ani ręką, ani nogą". Sama Śmierć nie wzbudzała w nim obawy. "Ten drugi świat nie mógł być tak zły jak ten... Poza tym nikt nie musi mi mówić, jaki parszywy jest ten świat... Wiedziałem, że Śmierć nadchodzi, ale nie wiedziałem, że przybierze taką formę - opowiadał Reinhardtowi. - Jedenastu niczego nie przeczuwających ludzi czekało spotkanie ze mną i Śmiercią". Pogarda, a jednocześnie fascynacja Śmiercią tłumaczą miłość Starkweathera do szybkiej i niebezpiecznej jazdy samochodami; dawały mu poczucie, że "śmierć jest blisko". Zastanawiał się, czy nie pomóc Śmierci i nie zginąć w wypadku, "ale pomyślałem, że gdyby potrzebowała pomocy w tym zakresie, sama by mi o tym powiedziała".

Śmierć stała się czymś, za czym się uganiał, ale i on sam padł jej ofiarą. Mając Carii u boku, będzie gonił Śmierć w wielkim stylu i zapisywał swoją kartę w historii, tak jak tego do tej pory nie uczynił żaden śmieciarz - zostawił po sobie przesłanie, którego "nie da się wymazać jak śladów wyżłobionych w skale". Wraz z Carii "nadeszło coś, za co warto zabić. Myśl o umieraniu nie była mi obca. Nowością było stwierdzenie, że zanim się umrze, warto pożyć... Po co uciekać od Carii, po co uciekać od śmierci, po co wracać do nienawiści, wstydu i ukrywania się, kiedy wszystko, czego chciałem, wszystko, co mi pozostało, należało do mnie, dopóki nie skończy się czas". Zrozumiał, że jego przeznaczeniem było "żyć z Carii i umrzeć z Carii. Tak czy owak chciałem, żeby zobaczyła, jak będę strzelał i żeby wiedziała, że to dla niej, dla nas, za to, jakimi nas stworzył ten znienawidzony świat... Czasami myślałem o wymordowaniu całej ludzkości. Nie zastanawiałem się zbytnio nad zabijaniem poszczególnych ludzi".

Kiedy pewnej nocy czekał na śmierć w swojej celi więziennej, "we śnie" przyszły do niego wszystkie ofiary. Popatrzyły na niego przez kraty w taki sam sposób, w jaki Śmierć patrzyła na niego przez okno sypialni. Przemówił do niego duch Augusta Meyera: "W ten sposób się nie wyzwolisz - przytoczył Stark-weather jego słowa w rozmowie z Reinhardtem - musisz wybrać inną drogę". Po opisaniu całego snu morderca stwierdził:

"Teraz jestem kwita, wszystkie rachunki są wyrównane... Ci ludzie stanęli na mojej drodze". Starkweather ostatecznie oddał swój los w ręce Boga, kiedy zapytano go, czy uważał z możliwe zamianę wyroku śmierci na dożywocie. "Nie, jeśli ten starzec na górze akceptuje mnie takiego, jakim jestem. Co mam na myśli? Cóż,

powiem wam... jeśli On uważa, że się dość nacierpiałem, pozwoli mi pójść na krzesło, (jeśli nie) cóż, stary nie będzie miał większego wyboru, jak dać mi dożywocie. Stary nie będzie igrał ze Śmiercią".

Starkweather opuści ten świat bez żalu, świat, który przed jego oczami bez wyrazu jawił się jako pozbawiona życia pustynia. "Ze świata i tak uszło życie, jak z ludzi, których zabiłem. Ten świat i tak jest wielkim gównem. Nie warto do niego wracać. (Kiedy) pójdę na krzesło, będę równie martwy jak ludzie, których zabiłem. Pochowano ich i zostali opłakani przez krewnych. Za mną zapłacze tylko matka. Ale myślę, że przeczytają o mnie miliony i będą o mnie mówili, no nie?" Wystarczyła satysfakcja, że po tym, co zrobił, został ślad.

Świadomość klasowa

Spisali mnie na straty.
Charles Starkweather

Komantyczny i przebarwiony sentymentalizmem sposób, w jaki Starkweather odbierał przyrodę, był równie silny jak jego nienawiść do społeczeństwa i jego hierarchiczności. Napisał:

"Wielokrotnie odkrywałem piękno wiejskiego pejzażu, widziałem je w lasach, kiedy spałem pod namiotem lub polowałem. Często zamiast polować, siadywałem pod ogromnym drzewem i cieszyłem oczy widokiem, który sprawiał mi niewysłowioną przyjemność (...) odchylałem głowę i patrzyłem do góry, na powykręcane konary, na gałęzie uginające się od zielonego listowia, które czasami było w brązach i żółciach... patrzyłem na bezkres nieba, jego dotąd nie zbadaną przestrzeń, a im bardziej spoździerałem (sic!) na niebo, tym bardziej ogarniało mnie takie uczucie, jakbym odbierał bezpośredniość i otwartość wspaniałego świata, który znajduje się daleko od naszej obojętnej na wszystko cywilizacji". Lecz nawet jeśli tak bardzo ukochał przyrodę, jest oczywiste, że stanowiła ona przede wszystkim istotny dodatek do cywilizacji i ludzkości. Przeważnie ludzie raptownie przerywali sielankę. "Czasami te wizje... znikały, jakby nożem uciął, kiedy ktoś nadepnął na gałązkę, albo usłyszałem ludzki głos", wtedy czar pryskał i Jakieś nieprzeparte, spontaniczne uczucie wypełniało moją duszę".

Innymi razy okropny sen powodował, że Starkweather nagle się budził w środku nocy i jedynie poświata księżyca mogła ukoić skołataną duszę. "Bywało, że odrywałem się w ten sposób od rzeczy, których nienawidziłem - opowiadał Reinhardtowi. -Dzięki temu światłu mogłem zapomnieć". Blask księżyca pomagał mu na jakiś czas zapomnieć o ubóstwie, przetartych firankach i połamanych meblach, przynosił chwilową ulgę. "Wiedziałem, że to na niby, ale chciałem sobie wyobrazić, że jest inaczej".

Żaden z opisywanych w tej książce wielokrotnych morderców nie był tak boleśnie świadomy zajmowanej przez siebie najniższej pozycji na drabinie społecznej, jedynie Mark Essex odczuwał podobną bezsilną wściekłość. Mimo to Starkweather z pełnym zrozumieniem podchodził do trudnej sytuacji materialnej swojej rodziny, która mieszkała jak w slumsach. "Tatuś nie jest temu winien... Miałem po dziurki w nosie nędzy i bycia nikim. Od nędzy nie dostaniesz niczego w prezencie. Biedacy muszą sobie radzić sami". Małżeństwo i kariera nie wchodziły w grę, ponieważ "wszystko i tak kręciłoby się w kółko". Ogromnym plusem, jaki posiadała w jego oczach Carii, było to, że "nigdy ją nie obchodziło, jak wyglądam... Kiedy szliśmy dokądś razem, nigdy nie było przy nas aroganckich synalków lekarzy lub właścicieli banków, którzy mieszkali w ogromnych domach. Zadawaliśmy się tylko z takimi ludźmi, z jakimi chcieliśmy się zadawać". Boleśnie zdawał sobie sprawę z wszystkich krzywd, które wynikają z systemu klasowego. "Świat nie był mi przyjazny - nikogo nie obchodziło, kim jestem ani co robię. Ludzie nienawidzili mnie z powodu wyglądu, biedy i dlatego że mieszkałem w cholernej ruderze. Nie miało znaczenia, że cała rodzina się bardzo kochała, że matka ciężko tyrała gdzieś u ludzi, by na nas zarobić, że prała, gotowała i wyprawiała nas do szkoły. A naszych pieprzonych kolegów obchodziło jedynie:

"Czym zajmuje się twój stary? Jak wygląda twój dom? Czy masz proste nogi? Czy jesteś wyższy od wszystkich dziewcząt w szkole?""

Starkweathera przechodziły ciarki na myśl o ubraniu, które miał na sobie, gdyż niezmiennie pochodziło ze sklepów z używaną odzieżą. Musiał "okrywać nagość ubraniami ludzi, których nienawidził - słusznie zauważa Reinhardt - ubraniami, które ktoś przed nim nosił i wyrzucił". Starkweather czuł się tak, jakby "miał na sobie skórę zmarłych, tylko że ci ludzie, których ubrania nosił, nie byli wcale martwi". Będzie musiał "zająć się tą sprawą". Często zastanawiał się, jak to jest, "kiedy się śpi w ogromnym hotelu, jada we wspaniałej restauracji lub jeździ w wagonie sypialnym w pierwszej klasie. Często stałem przed Comhusker (wytworna restauracja) i przyglądałem się jedzącym tam ludziom. Przepełniała mnie nienawiść, ale nie do tych w środku, ale do świata, za to, że uczynił mnie takim, jakim byłem. (...) Mówią, że świat jest wspaniały, ale nie wydaje mi się, żeby taki właśnie był ten, w jakim żyłem. Nigdy nie jadłem w ekskluzywnej restauracji, nigdy nie było mi dane zobaczyć, jak nowojorscy Yankees rozgrywają mecz, nigdy nie byłem w tym mieście ani w Los Angeles, ani w innych miastach, o których piszą w książkach i pismach ilustrowanych, że są takie wspaniałe... mnie nigdy nie dano ani takiej szansy, ani przywileju dostępu do wspaniałych rzeczy, które ludziom proponuje świat". Znał ludowe przysłowie, że "człowiek jest kowalem

własnego losu" i musi zapłacić za błędy; wiedział również, że .Judzie, którzy tak mówią, noszą eleganckie ubrania, jedzą w drogich restauracjach i wiedzą, jak zwracać się do kobiet". Byli to ludzie, którzy brali to, co im się należało. "Mnie nic się nie należało, zawsze obarczano mnie winą, jeśli komuś coś się nie podobało". Jak wielu ludzi przed nim, Starkweather podjął następującą decyzję. "Stworzę mój własny świat i zacznę od dzisiaj. Carii i ja znajdziemy się w takim świecie, jakiego pragniemy".

Poszukując zajęcia podjął pierwszą pracę w Związku Gazeciarzy, ale czuł, że cały czas go obserwują. "Spisali mnie na straty... Starałem się, jak najlepiej pracować, czasami robiłem rzeczy przeznaczone dla dwóch... Myślałem tak: koniec z nienawiścią, koniec z bójkami... podjąłem słuszną decyzję, a potem coś powodowało, że wszystko ze mnie na powrót wyłaziło.

Zastanawiałem się, dlaczego niektórych drani, których znałem, chwalono za to, co robią. Chyba dlatego, że mieli ode mnie lepsze gadane, a w nocy kładli się do lepszych łóżek". To właśnie tu, na samym dole drabiny społecznej, narodził się sfrustrowany buntownik. "Zmusili mnie do nienawiści. Nie mogli mnie zmusić do tego, bym ich polubił takich, jakimi są, a zmienić się i tak nie mieli zamiaru". Zwrócił się o pomoc do rodziny, ale jej członkowie nie mogli pojąć jego odmowy pogodzenia się z sytuacją. "Nie mam pretensji do mojego starego... to nie on mnie w to wpuścił. Nie było w domu takiej rzeczy, która byłaby lepsza od tego, z czym się stykałem na zewnątrz. Rzecz w tym, że stary nie czuł sprawy, nie rozumiał, o co chodzi dzieciakowi, któremu nic się w życiu nie układa".

Starkweather zdecydował się na porzucenie pracy w Związku Gazeciarzy, a zrobił to z dwóch powodów: po pierwsze, żeby móc codziennie odprowadzać Carii ze szkoły do domu, po drugie, żeby uciec od wyczuwalnej i co za tym idzie karzącej hierarchii w miejscu pracy. Nowa posada była odzwierciedleniem zajmowanej przez Starkweathera pozycji społecznej, którą tak gardził - przyłączył się do brata, do ekipy śmieciarzy. Wywożenie śmieci było zajęciem, którego szczerze nienawidził i boleśnie odbierał negatywny stosunek społeczeństwa do tego zawodu. Świadomość niemożności wyrwania się z zaklętego kręgu pogarszała jego stan psychiczny. "Każda dziewczyna zasługuje na coś więcej niż zadawanie się ze śmieciarzem... każdy przygłup mógłby robić to, co ja... tylko że, jak się nie ma szmalu, jest się niczym". Kiedy o świcie głos brata budził go do pracy, miał ochotę "rzucić komuś tymi śmieciami w twarz". W chwili gdy jego ambicje zostały zredukowane do zajmowania się odpadkami wyprodukowanymi przez lepszych od siebie, nasiliła się wściekłość Starkweathera. "Nikt nawet gęby do mnie nie otworzył, kiedy targałem te cholerne śmieci". Zaczynał powoli rozumieć, że "tylko martwi są równi".

Powstrzymywały go dwie rzeczy: świadomość tego, czego chciał dokonać i rychłej śmierci. "Wiedziałem, że koniec jest blisko, ale nie bez powodu". Cena, którą musiałby zapłacić za przeżycie, była zbyt wysoka, jak na jego skromne możliwości emocjonalne. "Nędza, strach, nienawiść... myślę, że byłem sfrustrowany... miałem dosyć bycia nikim... dość bycia statystą. No i co, odegrałem rolę, nie? Czyż nie każdy staje się mężczyzną, jeśli musi za coś zapłacić? Zapłaciłem wysoką cenę za to, że byłem nikim... Tak, lubiłem strzelać do wiewiórek, królików i bażantów, ale one nie są ważne. One nie ustanawiają reguł, jak to nazywacie. Nie miałem nic do królików - nigdy nie zrobiły mi krzywdy, nie darzyły mnie nienawiścią. Więc powiedziałem sobie tak: myślę, że pora odegrać jakąś rolę, czas się do czegoś zabrać".

"Misja" nabrała kształtów niemal z dnia na dzień, a potrzeba jej przeprowadzenia stała się wręcz paląca. Pewnego ranka obudził się Jak nowo narodzony" z dziwnym poczuciem celu. "Poczułem coś, czego nigdy przedtem nie odczuwałem. Doszedłem do wniosku, że nadeszła pora zapłaty i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że został oszukany". W noc poprzedzającą pierwsze morderstwo pomyślał: "Te wszystkie pyszałki, co się śmieją z głupiego śmieciarza... kiedy jutro zajdzie słońce, będą mieli nielichy temat do rozmowy... nie mam zamiaru zdychać jak królik... muszę zrobić coś takiego, żeby było za to warto umierać... i z całą pewnością nie będę pierwszy, który umrze". Uważał, że przed nim byli tacy, którzy zabijali z o wiele błahszych powodów. "Mordowano ludzi, którzy nie skrzywdzili nawet muchy. Ludzie, których ja zamordowałem, mordowali mnie. Zadawali mi powolną śmierć. Ja okazałem im więcej zrozumienia - zabijałem bardzo pospiesznie".

W przeszłości "czasami nienawiść była tak silna, że czułem, jak budzi się do życia jak jakiś zombie, albo budzi się ze snu i zaczyna wiercić. Zawsze wtedy miałem ochotę coś zrobić... gdzieś pójść i obrabować bank, albo jakiejś starej suce rzucić śmieciami w mordę". W momencie gdy tygrys wydostał się z klatki, nie odczuwał już tak dotkliwie olbrzymiej nienawiści. "Nie odczuwałem jej, kiedy zabijałem tych ludzi. Zabiłem rodziców Carii, ponieważ próbowali nas rozdzielić. Dzieciak płakał i nie było wiadomo, co z nim zrobić. Ci inni, cóż, z każdym było podobnie. Martwi ludzie nie mają głosu. Poza tym, niczego się nie domagają". Co zatem było jego celem?

"Muszę ją (Caril) stąd wyrwać. Pokażę jej, że mogę dla niej zabić". Byłby to gest na wielką skalę. "Wkrótce pogrzebią mnie wraz z przeszłością. Lepiej zgnić na jakimś pagórku za skałą i zostać w ludzkiej pamięci, niż być pogrzebanym żywcem w jakiejś śmierdzącej norze i kłaść się codziennie do łóżka, śmierdząc jak pojemnik na śmieci". Gest Starkweathera nie będzie pusty - stanie się nie tylko romantyczną deklaracją miłości i nienawiści, będzie również sposobem, dzięki któremu opuści "śmierdzącą norę". "Jaką

miałem przyszłość wywożąc śmieci i zadając się z kurwami... jak długo można tak żyć? Czterdzieści lat?... za długo... dziesięć lat?... za długo... lepiej tydzień z kimś, kto kochał mnie takiego, jaki jestem".

Był niezwykle niebezpiecznym człowiekiem, człowiekiem, który nie miał nic do stracenia. "Ze świata i tak uszło życie, jak z ludzi, których zabiłem. Ten świat i tak jest wielkim gównem. Nie warto do niego wracać". Nie miał zamiaru wracać do świata napiętnowanego obecnością "dzieci bogaczy, wulgarnych kurewek i zwariowanych szefów. Im bardziej przyglądałem się ludziom, tym bardziej ich nienawidziłem, bo wiedziałem, że wśród nich nie ma dla mnie miejsca. Zwykle zastanawiałem się, komu są potrzebni. Banda przeklętych skurwysynów, zawsze gotowa pośmiać się z jakiegoś frajera... biedaka, który nic nikomu nie zrobił i tylko karmi kury". Nadszedł czas na wykonanie ruchu. "Wszystko nabrało gwałtownego przyspieszenia, jak klapa pułapki, która zamyka się tym szybciej, im głębiej zwierzę wejdzie do środka. Jedyna droga ucieczki wiodła przez tą klapę: im szybciej się ruszaliśmy, tym szybciej opadała".

Kiedy "misja" dobiegała końca, istniała jeszcze możliwość ucieczki, gdyby zgodnie z wcześniejszym planem udali się prosto w stronę stanu Waszyngton. Zamiast tego Starkweather zawraca samochód i jedzie w stronę zamożnej dzielnicy miasta Lincoln. Od tego momentu spędzi resztę swojego "ziemskiego życia" wśród lepszych od siebie". Czas minie nie tylko na zabijaniu - kiedy Reinhardt spyta go, co robił w domu Wardów, usłyszy: "Chyba nie sądzisz, że cały czas siedziałem na dupie?" Oglądał meble, kładł się na wszystkich łóżkach i sofach, chłonął atmosferę dobrobytu poprzez dotyk jedwabnej pościeli na drogich materacach. Być może momentem najsłodszej zemsty była chwila, w której śmieciarz nakazał pani Ward, właścicielce salonów, by go obsłużyła i podała naleśniki w bibliotece. "Ale potem - opowiadał - zmieniłem zdanie i zażądałem gofrów". Pani Ward przyniosła gofry i tym samym zamieniła się w służącą. "Ach tak - wspominał Starkweather - były dla nas takie miłe". Jakiś czas później, w ciszy celi więziennej, nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, żeby przeczytały o nim miliony. "Wtedy mógłbym odejść z przekonaniem, że spełniły się moje marzenia... Opowieść o mnie przeżyje". Kiedy osadzono go w celi śmierci, znikł ból głowy i Starkweather zasnął snem sprawiedliwego.

Ideologia

Wariatów się, nie pomiata.
Charles Starkweather

Najważniejszą rzeczą dla Starkweathera było, żeby nie został uznany za chorego umysłowo (pragnienie typowe dla większości opisywanych tu wielokrotnych morderców), gdyż taka diagnoza zdyskwalifikowałaby zarówno jego samego, jak i podważyła słuszność "misji". Prawdą jest, że społeczeństwu w równym stopniu zależało na usłyszeniu orzeczenia o niepoczytalności Starkweathera. Wiele zrobiono w tym kierunku, ale władze nie ustąpiły. Prasa podjęła ostrożną próbę pomniejszenia jego osoby, uwypuklając (jak to zwykle robiono od niepamiętnych czasów) wszystkie problemy, jakie niosło ze sobą jego pokolenie. "Gdyby Charles Starkweather był odosobnionym przypadkiem - czytamy w artykule redakcyjnym "World-Herald" z Omaha - jakimś koszmarnym wybrykiem natury, wtedy wszyscy Amerykanie mogliby odetchnąć z ulgą i dziękować Bogu, że położono kres działalności mordercy. Chociaż popełnione przez niego czyny cechowała wyjątkowa brutalność, cała ta historia ma pewien szczególny posmak i przywodzi na myśl tysiące jej podobnych, którymi na przestrzeni ostatnich lat karmiono przecierającą oczy ze zdumienia Amerykę. Baczki, niebieskie obcisłe dżinsy, czarne skórzane kurtki - oto typowy strój nastoletnich bandziorów. Pogarda dla dyscypliny i zażarta nienawiść do wszelkich ograniczeń jest głośno manifestowana w komisariatach i sądach dla nieletnich w całym kraju. W coraz większym stopniu złe przykłady odciągają młodzież od ogniska domowego, szkoły i kościoła i rzucają w gąszcz asfaltowej dżungli. W tym tkwi problem". Autor artykułu ma całkowitą rację, zwracając uwagę na napawającą przerażeniem "typowość" Starkweathera, a nie jego "odmienność". Władze i opinia publiczna były poruszone: trafnie dostrzeżono, jak przebiega linia podziału, która powoduje rozłam tradycyjnych wartości. Jednocześnie zwrócono uwagę na rolę, jaką odegrał w tym wszystkim Starkweather - postać znacząca i symboliczna, której rolę koniecznie trzeba pomniejszyć. Było już na to za późno, oczekiwano jedynie, że zbliżająca się egzekucja stanie się ostrzeżeniem dla wszystkich zbuntowanych młodzieńców. Żeby uniknąć nieporozumień, rozprowadzano w poczytnych pismach jego artykuł "Bunt", który robił wrażenie żałosnej kapitulacji. Autobiografia została okrojona, aby uwypuklić element żalu i skruchy.

Badania medyczne i psychiatryczne Starkweathera nie rozmijały się z potrzebami tej ze stron (oskarżenia lub obrony), która powołała biegłego psychiatrę. Przykładem tego zjawiska może być stosunkowo "obiektywny" test badający iloraz inteligencji. Oskarżenie, które koniecznie chciało, żeby Starkweather dostał wyrok skazujący (co wymagało uznania jego poczytalności), wykazało, że jego iloraz był o trzynaście punktów wyższy od wyniku pomiarów dokonanych przez obronę. Obrona optowała za niepoczytalnością oskarżonego, co automatycznie zwalniałoby go od odpowiedzialności karnej. AUan sugerował, że rozbieżność nie musi wynikać z subiektywizmu, lecz może być skutkiem nadgorliwości samego Starkweathera: "Po prostu nie wysilał się dla obrony". Sądzę, że jest w tym dużo racji, a swoją drogą

obrońcy oskarżonego mocno rozminęli się z prawdą twierdząc, że jego iloraz inteligencji "jest tylko o jeden lub dwa punkty wyższy od poziomu idioty". Ta uwaga z pewnością głęboko dotknęła Starkweathera.

Różnice w opiniach uwidoczniły się nawet przy analizowaniu stanu zdrowia oskarżonego. Allen, obrońca, "wysunął niczym nie udokumentowane twierdzenie, że (Starkweather) może mieć raka mózgu lub inny "ucisk"". Próby "znalezienia" jakiegoś użytecznego dla sądu zaburzenia utrudniał sam Starkweather, który rzucał wszelkie możliwe kłody pod nogi obrony. Nie wyraził zgody na badanie elektroencefalograficzne, które mogło wykazać uszkodzenie mózgu, a którego przeprowadzenia domagała się obrona. Podobnie wyglądała sprawa z badaniem przebitej błony bębenkowej, co zdaniem pełnej zapału obrony mogło wskazywać na stan zapalny w pobliżu mózgu i stwarzało możliwość dyskusji o organicznym uszkodzeniu mózgu. Summa summarum zespół medyczny powołany przez obronę mógł jedynie wykazać, że Starkweather był "niskim, dobrze zbudowanym młodzieńcem, z niewielkim przerostem mięśni klatki piersiowej. Stwierdza się tkliwość uciskową w okolicy, w której zazwyczaj diagnozuje się wrzód trawienny. Perforacja lewej błony bębenkowej. Osłabiony odruch ścięgnisty". Te rewelacje nie wzbudziły niczyjego zachwytu. Biegli psychiatrzy powołani przez oskarżenie twierdzili, że przeprowadzone badania nie ujawniły występowania jakiegokolwiek uszkodzenia mózgu lub innej choroby.

Biegli, którzy zostali powołani przez oskarżenie - dwóch psychiatrów i psycholog - zeznali, że przebadali Starkweathera i uznali go za człowieka w pełni poczytalnego i przytomnego na umyśle, bez żadnych oznak psychozy. Doszli do wniosku, że cierpi na niewielkie zaburzenie osobowości, ale ich zdaniem nie mogło ono stanowić podstawy do wysłania oskarżonego do zakładu zamkniętego. Zwrócili uwagę sądu na fakt, że gdyby tak się stało, w krótkim czasie Starkweather zostałby uznany za normalnego i wypuszczony na wolność. W postawionej przez nich diagnozie czytamy: "Charles cierpiał na zaburzenia osobowościowe, które charakteryzowała emocjonalna huśtawka, brak poczucia bezpieczeństwa i impulsywność zachowań. W sumie można je zaklasyfikować jako zaburzenie przystosowania do życia w społeczności". Jeden z psychiatrów był przekonany, że Starkweather zdawał sobie sprawę "zarówno z ogromu popełnionych przez siebie przewinień, jak i z konsekwencji, które za sobą pociągają". Psychiatrzy zgodnie ustalili, że Starkweather miał "dostateczną" lub wręcz "dobrą" zdolność pojmowania rzeczywistości, "bardzo dobrą pamięć" i "ani z medycznego, ani prawnego punktu widzenia nie można go uznać za niepoczytalnego".

Psychiatrzy powołani przez obronę nie mieli wątpliwości, że Starkweather cierpi na jakąś chorobę umysłową. Jeden z nich stwierdził: "Na podstawie moich spostrzeżeń doszedłem do wniosku, że Charles Starkweather cierpi na zaawansowaną chorobę umysłową lub inną podobną chorobę, która ma wpływ na jego czyny i w chwili ich popełniania uniemożliwia mu odróżnienie dobra od zła. Pojawia się szereg istotnych faktów. Po pierwsze ustaliłem, że (pacjent) cierpi na dotkliwe zaburzenia emocjonalne, z czego wynika, że nie jest w stanie doświadczać uczuć tak jak inni ludzie. (Starkweather) ma ludzi za nic. Ten chłopak traktuje ich jak patyczki albo kawałki drewna". Psychiatra twierdził, że gdyby przebadano Starkweathera, zanim zaczął zabijać, jego zaburzenia z pewnością wyszłyby na jaw. Ostateczny wniosek brzmiał: "Starkweather to człowiek bardzo chory i niebezpieczny, a co za tym idzie, musi być pod ciągłym nadzorem. (...) Ma zaburzoną percepcję. (...) Będzie się skupiał na błahostkach, gdyż ma dość szczególny sposób odbierania rzeczywistości. Zabicie człowieka tyle dla niego znaczy, co rozdeptanie karalucha. Człowiek potrafi pochwycić dzikie zwierzę, oswoić je i wtedy wydaje mu się, że to zwierzę zostało udomowione. Wystarczy jednak, by takie zwierzę poczuło zapach krwi... a wyrwie się na wolność i prymitywne instynkty na powrót pchną je do zwyczajów dżungli". Po postawieniu tej wymyślnej diagnozy psychiatra odmówił podania nazwy tajemniczej choroby Starkweathera twierdząc, że nie wierzy w konwencjonalne nazewnictwo.

Drugi psychiatra powołany przez obronę opowiadał, jak łatwo Starkweathera zbić z tropu. Jego zdaniem oskarżony miał ograniczoną zdolność działania w sytuacji stresowej, z czego miało wynikać, że .jeżeli zadania następowały jedno po drugim, powoli, jak w pracy o ustalonym trybie, mógł sobie z nimi radzić. Gdyby jednak wszystko zwaliło się naraz, na przykład pękłaby rura i jednocześnie ktoś zaczął na niego krzyczeć, nie sądzę, by mógł funkcjonować... zachowywałby się jak przerażone zwierzę". W takim właśnie stanie umysłu funkcjonował oskarżony, kiedy pociągał za spust, twierdził psychiatra. Jego zdaniem Starkweather nigdy nie dojrzał. "Tak, fizycznie funkcjonuje jak ukształtowana jednostka, ale w jego ciele nie ma myśli i odczuć dorosłego człowieka, który uczy się od innych, ma do nich jakiś stosunek i pozostaje z nimi w związkach uczuciowych. W ten sposób uczymy się bycia człowiekiem. Nie wydaje mi się, żeby (Starkweather) kiedykolwiek posiadł tę wiedzę".

Trzeci biegły powołany przez obronę zeznał, że oskarżony ma stępione reakcje emocjonalne. "Ma bardzo ograniczony zakres odczuć emocjonalnych, moim zdaniem zaledwie do dwóch: gniewu i lęku, lub obawy. Inne odczucia występują w zalążkach: żal, współczucie, przywiązanie do bliźniego (całej osoby, a nie tylko posiadanej przez nią jednej cechy). Próbuje te odczucia w sobie wykształcić, ale w rzeczywistości ma o nich zaledwie mgliste pojęcie... Kiedy prosiłem go, żeby opisał mi przebieg wypadków i swoje odczucia z nimi związane, zawsze słyszałem to samo "samoobrona"". Psychiatra uważał, że pogoda ducha Starkweathera w czasie popełnienia zbrodni i bezpośrednio po dokonaniu zabójstwa "wskazuje na chorobę psychiczną.

Człowiek, który zabija trzy osoby pod rząd, w tym dziecko, a następnie wraca do przyjaciół i rodziny i wszyscy odnoszą wrażenie, że jest pogodny i zachowuje się normalnie, nie może mieć takich samych odczuć jak inni ludzie". Mimo wszystko cały zespół lekarzy powołany przez obronę stwierdził, że z punktu widzenia prawa nie można zakwalifikować stanu psychicznego oskarżonego jako obłędu. Nie podano jednak żadnego terminu, który określałby jego stan.

Ze swojej strony ani Starkweather, ani jego rodzina nie życzyli sobie, by postawiono diagnozę o niepoczytalności, chociaż motywy, które nimi powodowały były zupełnie inne. Rodzina nie chciała, by jakakolwiek sugestia o obłędzie splamiła jej zacne imię. Starkweather udawał, że dlatego sprzeciwia się takiej kategoryzacji, gdyż chce oszczędzić wstydu rodzinie. "Zawsze kochałem matkę, żałuję, że sprawiłem jej tyle kłopotu... kiedy płakała w sądzie... płakała za czymś, co już było martwe. Skąd mogła wiedzieć, że na krzesło (elektryczne) idę za nią i za moją siostrę, za każdego członka mojej rodziny... Żeby ocalić własną skórę, mogłem przecież dopuścić do przypięcia im wszystkim łatki wariatów. I tak nikomu by to nie pomogło, ponieważ byłem już martwy albo prawie martwy. Czy nie jest dla mnie lepiej, żebym nie żył i nie nakładał na rodzinę piętna obłędu?" Należy jednak wyraźnie powiedzieć, że przyjął tę pseudoheroiczną pozę w celu usztywnienia, a nie wyjaśniania swojego stanowiska co do poczytalności umysłowej. Obawa, że mogą "wykazać istnienie obłędu", nie wynikała z altruizmu Starkweathera w stosunku do rodziny, ale z faktu, że "wariatów się nie pamięta". Stawiał zatem opór przy wszelkiej próbie bagatelizowania jego roli i "misji", otwarcie współpracował z oskarżeniem i ignorował obrońców. Kiedy dobierano skład ławy przysięgłych, "miał pogardliwy lub znudzony wyraz twarzy," na której malował się "głupawy uśmieszek", ale "złapał za krawędź stołu i mało nie zabił wzrokiem", kiedy jego obrońca przyrównał jego iloraz inteligencji do poziomu idioty. Ława przysięgłych po dwudziestoczterogodzinnej debacie uznała go za winnego morderstwa pierwszego stopnia. Został skazany na śmierć na krześle elektrycznym.

Pogrzebany żywcem

Lepiej zgnić na jakimś pagórku za skalą i zostać w ludzkiej pamięci, niż być pogrzebanym żywcem w jakiejś śmierdzącej norze.

Charles Starkweather

Starkweather spędził ostatnie miesiące życia na wyjaśnianiu i usprawiedliwianiu stworzonego przez siebie wizerunku buntownika. Na zdjęciach zrobionych w chwili, gdy uzbrojeni po zęby strażnicy prowadzili skutego skazańca, na jego twarzy maluje się wyraz zadowolenia z dokonanej zemsty. Na zdjęciach z celi widać pewną powściągliwość i rezerwę, jak u żołnierza, który bohatersko zakończył swoją misję. Starkweather tak niezłomnie trwał w manifestowaniu takiej pozy, że Reinhardt "w ciągu około trzydziestu godzin rozmów nie dostrzegł u tego mordercy najmniejszej oznaki skruchy". Jak mogło być inaczej, skoro okazanie skruchy oznaczałoby całkowitą kapitulację, pozbawienie całego przedsięwzięcia sensu i wymowy?

Zabójstwa

Jakie było źródło i znaczenie tej pozornie bezsensownej rzezi? Skłaniamy się ku przypuszczeniu - i z pewnością sam Starkweather nas w nim utwierdzał - że była to przypadkowa seria zabójstw dokonanych w samoobronie, a ofiarami padały przypadkowe osoby. Twierdzenie o przypadkowości jest błędem: wybierał konkretne miejsca i określony typ potencjalnej ofiary (jak zresztą wszyscy z opisywanych tu wielokrotnych morderców). Ludzie, którzy zginęli, pozostawali w faktycznym lub symbolicznym związku z "siłami", które odmawiały mu prawa do tego, czego chciał od życia.

Pierwszą ofiarą był pracownik stacji benzynowej, ostrzyżony, schludny i bez wątpienia przyzwoity młody człowiek, który jak można sądzić ze zdjęcia, miał w sobie coś konserwatywnego, jak ktoś, kto właśnie zakończył służbę wojskową. AUan twierdził, że "zabicie Colverta zależało od tego, czy rozpozna Charliego pomimo przebrania". Mam duże wątpliwości, czy istotnie tak było. Dzień wcześniej Colvert rozzłościł Starkweathera, odmawiając sprzedania na kredyt zabawki, wypchanego pieska, który miał być prezentem pod choinkę. Co więcej, gdyby pomysł o zabiciu w ogóle nie przyszedł Starkweatherowi do głowy, nie byłoby potrzeby wywiezienia ofiary za miasto:

Colvert ani nie rozpoznał napastnika, ani nie stawiał oporu do momentu wysadzenia z samochodu na bocznej drodze.

Kara wymierzona niewinnemu to motyw przewodni wszystkich aktów przemocy popełnianych przez wielokrotnych morderców. Z punktu widzenia Starkweathera to, że Colvert "obnosił się" ze swoją przyzwoitością i miał coś wspólnego z ludźmi, którzy skupiali w swoim ręku bogactwo, wystarczyło do wydania na niego wyroku. W krótkim czasie Starkweather zacznie przywiązywać jeszcze większą wagę do tego, kogo uważa za swoich prawdziwych wrogów.

Druga seria zabójstw, w której ponieśli śmierć trzej członkowie rodziny Bartlettów, miała kluczowe znaczenie dla całości "misji". Mieli szansę przeżycia (chociaż niezbyt dużą), gdyby z takim zapałem nie próbowali pozbawić Starkweathera towarzystwa jego wybranki i co za tym idzie świadka, którego

potrzebował dla właściwego wypełnienia zadania. Rodzina Carii pozostawała w zbyt bliskim związku z obiektem jego pragnień, które nigdy nie miały zostać urzeczywistnione. Ich słowna i fizyczna napaść na Starkweathera nie wymagała, jak twierdził, tak ostatecznych rozstrzygnięć: mógł po prostu zabrać Carii i wyjechać. Wybrał inny wariant, a powody, dla których to zrobił, nabierają sensu, jeśli się spojrzy na nie z punktu widzenia "misji". Jej celem było zadanie ciosu wszystkim, "Ł których uszło życie", a którzy odmawiali mu prawa do własnego życia. Któż nadawał się lepiej do unicestwienia niż Bartlettowie? Czyż istniał lepszy sposób na wyrażenie pogardy dla swych ofiar, jak zamieszkanie w ich własnym domu w bliskości ich rozkładających się ciał, współżycie z ich córką i zjadanie ich zapasów?

Zabicie starego przyjaciela rodziny, farmera Augusta Meyera, jest równie brutalne, co i niewytłumaczalne - czyż nie siadali wielokrotnie do wspólnego posiłku? Skoro dzielił się z Meyerem tym, co upolował, musiał wiedzieć, że napaść na farmera przyniesie najwyżej kilka dolarów i strzelbę. "Wyjaśnienie", że zabił farmera, ponieważ ten nie odgarnął śniegu z drogi dojazdowej, nie ma żadnego sensu. To samo dotyczy twierdzenia, że Meyer znienacka zaatakował Starkweathera. Trudno wyjaśnić to morderstwo, dopóki nie porówna się go z innym zdarzeniem, które okazało się całkowitym przeciwieństwem tego pierwszego: pozostawienie przy życiu przejeżdżającego rolnika, który pomógł wyciągnąć samochód z błota. Zamiast go zabić, Starkweather chciał koniecznie zapłacić za przysługę. Odpowiedzi należy szukać w stosunku Starkweathera do własności. Meyer, choć niezamożny, posiadał ziemię. Starkweather był zmuszony do składania "daniny" w postaci upolowanej zwierzyny. Przejeżdżający rolnik sprawiał na Starkweatherze wrażenie zwykłego proletariusza, za jakiego sam się uważał, który nie oczekiwał żadnej "dziesięciny" za bezinteresownie zaoferowaną pomoc. Z tego punktu widzenia ofiary Starkweathera plasowały się coraz wyżej na drabinie społecznej.

Ale czyż Jensen i King, młoda para, która znalazła się następna na liście, również nie zaproponowała pomocy - bezinteresownego podwiezienia samochodem - za co zapłatą była brutalna egzekucja? Nawet jeśli nigdy byśmy nie wskazali na tę parę jako na potencjalne ofiary, Starkweather i Carii Fugate dostrzegli w nich wręcz wymarzonych kandydatów do egzekucji. Nawet jeśli Jensen i King nie byli zamożni, posiadali wszystkie cechy, które charakteryzują szczęśliwych i typowych przedstawicieli klasy średniej w Ameryce. Innymi słowy, uosabiali tę kategorię ludzi, przeciwko którym wymierzona była "misja Małego Rudzielca". Mamy więc do czynienia z dwojgiem niczym nie wyróżniających się młodych ludzi, którym, jak twierdzi Allen, "świat się podobał, nie było przeciwko czemu się buntować". Każda cząsteczka ich ciała wysyłała sygnał, że "są na wszystko otwarci, od niczego się nie odcinają". Nic więc dziwnego, że zgodnie z koncepcją Starkweathera, trzeba było unicestwić tych tchnących zdrowiem przedstawicieli ładu społecznego. Nie jest do końca jasne, kto okaleczył King (Starkweather twierdził później, że zrobiła to Carii w przypływie zazdrości), ale mógł to równie dobrze zrobić on sam.

Młoda para reprezentowała klasę średnią. Każde następne zabójstwo przybliżało go do wierzchołka drabiny społecznej: zaczynając od pracownika stacji benzynowej, poprzez robotniczą rodzinę, właściciela ziemskiego i przedstawicieli klasy średniej. Nadszedł czas dotarcia do źródeł. To był powód, dla którego w czasie ucieczki do stanu Waszyngton Starkweather podjął tę nie dającą się niczym innym wyjaśnić decyzję o powrocie do zamożnej dzielnicy Lincoln. W świetle przedstawionego wywodu była to decyzja całkowicie racjonalna. Trudno byłoby mówić o powodzeniu misji bez przypuszczenia bezpośredniego ataku na sam wierzchołek społecznej piramidy. Któż lepiej się do tego nadawał od rodziny mieszkającej w zamożnej dzielnicy, w której codziennie się upokarzał wywożąc śmieci i odpadki oraz wykonując różne prace fizyczne? Zachowanie Starkweathera w domu Wardów jest niezwykle odkrywcze:

widzimy go, jak rozkoszuje się kulturą materialną ludzi bogatych i upiera się, żeby to pani domu, a nie służąca, go obsługiwała. Służąca nie należała do arystokracji, ale z pewnością stanowiła nieodłączną część domu i ustalonego porządku -dostateczny powód, by też ją zabić. Starkweather twierdził, że to Carii ją zgładziła, lecz w sumie nie ma to wielkiego znaczenia, gdyż cel "misji" był i tak wyraźnie sprecyzowany i skrupulatnie wyegzekwowany.

Jedynym zabójstwem, z którym Starkweather miał kłopoty, było ostatnie - akwizytora Collisona, który swoją pozycją społeczną wyłamał się z ustalonej hierarchii i zginął z powodów czysto "technicznych". Reinhardt sądził, że skrupuły Starkweathera co do tego zabójstwa wynikały z niemożności "racjonalnego uzasadnienia samoobrony... wydawało mu się, że ludzie posądzą go o tchórzostwo, z powodu okoliczności śmierci akwizytora". Patrząc na sprawę z mojego punktu widzenia, żadne racjonalne uzasadnienia nie są potrzebne: Collison został zabity, ponieważ stanął na drodze, koniec kropka. Znajdował się na marginesie klasy gnębicieli. Zabijając go Starkweather czuł się równie niezręcznie jak Edmund Kemper, kiedy pozbawiał życia Aido Koo - jej wiarygodność klasowa była wątpliwa.

Znaczenie

Ci, co uważają się za ludzi, którym wszystko odebrano -a dotyczy to takich morderców jak Starkweather, Panzram i Essex - zgodnie podzielają pogląd, że najniższy szczebel drabiny społecznej stanowi dla nich jedyną możliwą niszę. Ich życie staje się beznadziejne - są zbyt ambitni i zapatrzeni w siebie, by pogodzić

się ze swoim losem, zbyt cyniczni, by żywić jakąkolwiek nadzieję na ucieczkę z tej enklawy, zbyt boleśnie odbierają swoją sytuację, by znaleźć ukojenie w mrzonkach. Tylko spektakularne widowisko, jak fala morderstw, może nadać sens tragicznemu rozdarciu -jest to jedyny sposób, w jaki mogą odcisnąć piętno na społeczeństwie. Istnieje zatem pełna zgodność pomiędzy sposobem, w jaki postrzegają swoją sytuację, a zaplanowaniem serii morderstw. Idzie to w parze z wręcz niebywałym poczuciem świadomości klasowej. Starkweather odżegnywał się od wszystkich zbrodniarzy, którzy "mordowali ludzi, chociaż ci nigdy nie zrobili im krzywdy". W jego odczuciu czyny, które sam popełnił, były całkowicie usprawiedliwione, chociaż nie znał połowy swoich ofiar; z racji zajmowanej pozycji społecznej byli to , Judzie, którzy zamordowali mnie... i to powolną śmiercią".

Wyraźnie rozwarstwione społeczeństwo nie zachowuje swojego układu za pomocą siły, lecz dzięki utrzymywaniu niższych warstw społeczeństwa w nieświadomości co do ich losu. Zwrócili na to uwagę francuscy badacze Peter i Favret: "borykając się z trudnościami, dzień po dniu" przedstawiciele nizin społecznych kroczą przez życie "bez żadnej nadziei na przyszłość, pozbawieni jakichkolwiek perspektyw". Zaczynają sprawiać kłopot, dopiero kiedy zdadzą sobie sprawę z tego, że coś jest nie tak i stracą wszelką nadzieję. "Wystarczy, żeby taka myśl zaświtała w głowie, a wtedy cały świat rozlatuje się jak domek z kart". Starkweather idealnie potwierdza tę teorię: znał swoją przyszłość i w całości ją odrzucił jako bezwartościową. Ludzie jego pokroju są niebezpieczni, gdyż bez namysłu ruszą zapisać swoją kartę w historii i dokonać zemsty, a wszystko bez jakichkolwiek skrupułów i wyrzutów sumienia. Reinhardt, biograf Starkweathera, z uporem twierdził, że "odpowiedzi należy szukać w przeinaczonych wartościach, które chłopiec wpisał w swoje życie. Jego własne ego było puste i pokonane, w jego przekonaniu został odrzucony przez społeczeństwo, które utożsamiał z władzą i zajmowaniem wysokiej pozycji w hierarchii. Uczciwą pracą nigdy nie mógłby osiągnąć i utrzymać ani władzy, ani pozycji. Bez nich, a do takiego wniosku doszedł, jego życie było bez wartości". Ale Reinhardt był kryminologiem, którego "nie przeinaczone" wartości ukształtowała własna kariera. Nie było nic "nie przeinaczonego" w sposobie, w jaki Starkweather oceniał swoje szansę, ale z całą pewnością był "odrzucony". Trwałby w tym przeczuciu, gdyby pogodził się ze wszystkim, co życie miało mu do zaproponowania. Jako strażnik ustalonego ładu społecznego Reinhardt był wyrazicielem ogólnie przyjętego poglądu, że Starkweather powinien się dostosować i bez sprzeciwu wywozić śmieci.

Starkweather wyraźnie dostrzegł, że "chłopak bez forsy się nie liczy", że tylko "przygłupy" wywożą śmieci i potrafią pogodzić się z pogardą, którą społeczeństwo obdarza ten zawód. Rozgoryczenie z powodu ubóstwa bardzo wcześnie ustąpiło miejsca pseudoradykalnemu protestowi, który z kolei przyjął postać buntu. "Wściekłość, która się we mnie gotowała, kazała mi przewracać, krzywdzić i przede wszystkim pobić tych, którzy się ze mnie naigrawali". Nienawiść obróciła się przeciwko "wszystkim z wyjątkiem rodziny" - dzieliła jego los i czasami opatrywała rany zadane psychice. Zabijanie tych, którzy mieli to, czego pragnął, a którzy stali nad nim w postaci feudalnego pana (symbolicznie i w rzeczywistości), "wyrównuje wszystkie rachunki". Ponieważ nie miał nadziei na zmianę losu, śmierć nie była taka straszna, gdyż "ten drugi świat nie może być tak fatalny jak ten". Przyszłość, jaką widział przed sobą - "wywożenie śmieci i podrywanie kurewek" - nie stwarzała dostatecznej rekompensaty za doznawane upokorzenia. Związek z Carii pomógł mu zrozumieć, dlaczego tak bardzo nienawidził świata: nie mógłby jej przy sobie zatrzymać, gdyż "nędza daje figę z makiem". Na krótką chwilę stworzył własny świat, świat, który dał mu wszystko czego pragnął. Potem, opromieniony blaskiem reflektorów, mógł odejść w chwale. "Kiedy poznałem Carii, zacząłem myśleć inaczej. Znalazłem coś, za co warto było zabić. (...) Myślę, że zrozumiałem, jak z tego wyjść, taki ostatni zryw przed końcem. Chyba lepiej zamigotać na pożegnanie, niż odejść jak zdmuchnięta zapałka".

Kapitulacja

Nawet jeśli Starkweather nie okazał skruchy w obecności Reinhardta, w jego dwustustronicowej autobiografii znalazło się kilka stron pseudowyrzutów sumienia, które dla celów moralizatorskich opublikowano pod tytułem ,3unt" w jednym z poczytnych czasopism. Bardzo szybko uczepiono się tych kilku stron w celu zatuszowania prawdziwej motywacji Starkweathera. Nie dowiemy się, czy to, co mówił Starkweather, miało przynajmniej posmak "szczerości". Gdyby tak było, potwierdziłby się fakt, że po kapitulacji większość wielokrotnych morderców skłania się w stronę zaakceptowania moralności klasy dominującej. Ostatecznie nigdy nie byli rewolucjonistami, lecz buntownikami, których rozgniewała niska pozycja społeczna. Kiedy w sposób radykalny dali już wyraz swojemu niezadowoleniu, gniew zelżał, a bezsenne noce odeszły w niepamięć. To moment na zawarcie pokoju. Nie powinny nikogo zaskoczyć fotografie Starkweathera zrobione na kilka tygodni przed śmiercią: z fajką w ustach wygląda na nich jak intelektualista, typowy student z lat pięćdziesiątych.

Oto co Starkweather napisał o posmaku kapitulacji w szeroko kolportowanej autobiografii. "Około jedenastej w nocy, w dniu, w którym zostałem ujęty wraz z Carii Fugate, było bardzo cicho w więzieniu w Douglas w Wyoming. Leżałem na górnej pryczy i czułem się podle i beznadziejnie. Nagle cała prawda stanęła mi przed oczami, prawda o przerażających zbrodniach, których się dopuściłem, i myślałem, że

zwymiotuję. Wszystko wydawało się jakby snem, ale to nie był sen i dobrze o tym wiedziałem. Byłem bardzo zmęczony, ale nie mogłem zasnąć. Leżałem i patrzyłem na jakieś nazwiska wydrapane na ścianie, i zatopiłem się w myślach. Zadałem sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego, dlaczego to wszystko musiało mi się przydarzyć? Wtedy postanowiłem, że muszę zapisać te myśli i wspomnienia. Chciałem coś zrobić dla rodziców. Dość mieli ze mną kłopotu. Chciałem też uprzedzić innych chłopaków, żeby nie poszli moim śladem".

"Dzisiaj - ciągnął dalej tworząc najmniej przekonujący dokument, jaki można znaleźć w archiwach wielokrotnych morderców - odczuwam wielką skruchę i żal mi ludzi, których zabiłem. Myślę też o bólu i tragedii tych, którzy stracili swoich ukochanych. Modlę się, by Bóg przebaczył... dzisiaj wiem, że źle postępowałem... Dzisiaj, po roku spędzonym w więzieniu, zostały mi już tylko godziny. Miałem bardzo dużo czasu na przemyślenia i zastanowienia się nad całym życiem. Nie boję się krzesła elektrycznego, to cena, jaką zapłacę za odebranie życia innym. Nie buntuję się już przed nikim ani niczym, pragnę jedynie miłości i spokoju. Taką miłość i spokój dała mi Biblia. I gdybym mógł dziś przemówić do młodych ludzi, powiedziałbym im, żeby poszli do szkoły, do szkółki niedzielnej, żeby poszli do kościoła i przyjęli Pana Naszego Jezusa Chrystusa jako ich osobistego Zbawiciela. Nasz Bóg jest miłosierny... Powiedziałbym im jeszcze, żeby byli posłuszni swoim rodzicom i opiekunom, trzymali się z dala od złych wpływów i nigdy nie brali się za nic, czego nie rozumieją, a jeśli mają wątpliwości, tym bardziej. Przede wszystkim nie pozwólcie, by zamiary i uczucia wami zawładnęły. Gdybym postępował zgodnie z tymi wszystkimi zasadami, jak mi to zresztą wiele razy mówiono, nie byłoby mnie tutaj". Cokolwiek motywowało Starkweathera do skomponowania tego hymnu pochwalnego - a powodów możemy się jedynie domyślać - nie był ani pierwszym, ani ostatnim buntownikiem, którego umysł nabrał cudownej jasności w obliczu zbliżającej się egzekucji i czekającej go wkrótce po tym przeprawy w niebie.

W dniu, w którym został stracony, (25 czerwca 1959 roku -przyp. tłum.) na powrót przybrał osobowość zawadiaki. Świadkowie egzekucji i przygotowań, które ją poprzedziły, byli niemile zaskoczeni "sztywnością", z jaką po raz ostatni objął matkę, szybkim i pozbawionym wyrazu uściskiem dłoni ojca. Nie wyszedł z roli postaci "kultowej", kiedy wsadził ręce do kieszeni i szedł śmiało na śmierć, o krok wyprzedzając strażników. Reinhardt i inni świadkowie byli wręcz rozzłoszczeni, że Starkweather nie okazał ani skruchy, ani lęku przed śmiercią, gdyż w ten sposób odebrał im satysfakcję z wymierzanej kary. Na nikim nie zrobił wrażenia fakt, że grał swoją rolę do końca: dziarsko wkroczył do pomieszczenia, w którym dokonywano egzekucji, i instruował pracowników, jak mają zacisnąć rzemienie unieruchamiające ramiona i klatkę piersiową. Kiedy zapytano go, czy chce skorzystać z prawa do ostatniego słowa "zacisnął wargi i zdecydowanie powiedział "nie". Trzy razy przełożono dźwignię: przez ciało skazańca popłynął prąd o napięciu 2200 woltów, pierwszy wstrząs go oszołomił, po drugim stracił przytomność, a trzeci zatrzymał akcję serca.[19]

CZĘŚĆ 3
Spojrzenie ogólne

Analiza historyczno-socjologiczna wielokrotnego mordercy

Zwykle grzechy ledwie szepczą, Morderstwo pełną piersią krzyczy.
Księżna d'Amalfi

W tej książce analizowano wypowiedzi sześciu wielokrotnych morderców naszych czasów. Nie dlatego zostali jej bohaterami, że ich myśli i czyny miały wyjątkową wagę; dzięki skrupulatnej analizie ich "karier" możemy zrozumieć źródło i znaczenie tego, co zrobili. Za punkt wyjścia przyjąłem spostrzeżenie Roberta Damtona, że dopiero "napotkanie czegoś, czego nie potrafimy pojąć, daje nam szansę na znalezienie furtki do zrozumienia mentalności drugiego człowieka". Następnym krokiem będzie spojrzenie na zagadnienie morderstw wielokrotnych z historycznego punktu widzenia. W ten sposób spróbujemy wyjaśnić coś, czego pozornie nie daje się wytłumaczyć. Jak dotąd próbowałem ukazać bezpośredni motyw, który przyświecał mordercom - teraz należy sięgnąć głębiej. Mordercami nie powodował ani obłęd, ani przypadek; motywy ich działania są głęboko zakorzenione w porządku społecznym i nierozerwalnie związane z systemem, który ciągle ulega przeobrażeniom.

Morderca obcych, przypadkowych ludzi zawsze żył wśród nas. Chociaż bardzo chciałoby się go potraktować jako wybryk natury, jego gusta i pragnienia nie odbiegają od wszystkiego, co ludzkie. Błędem byłoby uznanie jego osoby i zachowania za pozbawione treści, gdyż ludzkość ma charakter stadny i wszystko, co robią jej przedstawiciele, ma znaczenie społeczne. Ale gdzie leży źródło odmienności? Jaki splot wydarzeń doprowadza do takiej deformacji człowieka, że zaczyna patrzeć na siebie jak na "robota"

---

[19] Carii Fugate, która niezmiennie zapewniała sąd o swojej niewinności, dostała wyrok dożywotniego więzienia. Została zwolniona w roku 1977 (przyp. tłum.).

przechodzącego przez życie bez cienia nadziei na to, że coś w jego życiu może się zmienić i uczynić je znośniejszym? Mordercy zazwyczaj tłumaczą się korzystając z utartych pojęć zapożyczonych z kultury masowej. Tak właśnie było w przypadku Josepha Kallingera, wielokrotnego mordercy i kata, co widać w autobiograficznym wierszu .Jednorożec w ogrodzie".

Kiedy byłem małym chłopcem
Przybrani rodzice
Anna i Stefan
Zabili jednorożca w moim ogrodzie
Przepędzony z ulicy
Pozbawiony towarzystwa innych dzieci
Żyłem wśród butów, noży i młotków.
Nie znany, nie chciany, nie kochany
Nauczyłem się profilować podeszwy
Wymieniać fleki, wbijać gwoździe.
Nie mogłem wniknąć w swoją duszę:
Przesłaniał ją martwy świat warsztatu.
Chłopiec na posługi...
Umarłem wraz z jednorożcem w moim ogrodzie.

A jednak ta pełna użalania się nad sobą interpretacja stawia wiele pytań, na które nie ma odpowiedzi. Jeśli przybrani rodzice byli tak niewrażliwi na potrzeby chłopca, dlaczego Kallinger o wiele okrutniej postąpił z własnym synem, którego torturował i zamordował. Nawet jeśli dzieciństwo okazało się tak trudne, czy w okresie dorosłości (miał znośną pracę, w której go bardzo ceniono, kochającą żonę i oddaną rodzinę) zdarzyło się coś równie przerażającego jak czyny, których się dopuścił? Nie sądzę. Ciąży na nas zatem obowiązek zagłębienia się w proces historyczny i zbadanie jego wpływu na życie poszczególnych ludzi, jeśli mamy choć trochę przybliżyć się do zrozumienia duszy wielokrotnych morderców.

Zanim zaczniemy, należy ten specyficzny gatunek przestępcy porównać z resztą kryminalistów. W niczym nie przypomina większości z nich, dla których kradzież własności prywatnej przynosi korzyść majątkową i "obezwładniającą przyjemności płynącą z tego typu działania". Przewinienia przeciwko mieniu przyciągają włamywaczy, przywódców politycznych i biznesmenów, a nie wielokrotnych morderców (którzy ze swoich czynów nie czerpią ani korzyści majątkowej, ani nie mają poczucia bezkarności).

Wielokrotny morderca nie jest też przestępcą, który popełnia zbrodnię przeciwko drugiemu człowiekowi (niezależnie od tego, czy jest to gwałt, napaść czy morderstwo), gdyż te przewinienia są zaledwie demonstracją siły danej jednostki i swoistym samo-oczyszczeniem poprzez danie upustu agresji. Wielokrotni mordercy idą dalej - poza samooczyszczenie i chwilową satysfakcję: przyświeca im ambitniejszy cel - rodzaj kampanii politycznej w skali mikro, wymierzonej przeciwko "ponadczasowemu uciskowi i władzy". Rzecz w tym, że nie protestują w imieniu innych - mówią wyłącznie za siebie, ich cierpienie jest wręcz trywialne i płytkie, a karę wymierzają niewinnym, domniemanym sprawcom ich tragedii. Mamy tu do czynienia z ekstremalną wersją zbrodni na de nihilistycznym - morderca w charakterystyczny sposób wywraca wszystkie wartości społeczne, przeprowadzając swoistą "demonstrację przed władzą". Robi to tak dobitnie, że władza nie może zostać na nią obojętna. Wielokrotny morderca protestuje przeciwko utraceniu lub wręcz nie posiadaniu sprecyzowanej tożsamości i odmawia pogodzenia się z rolą, którą przypisuje mu społeczeństwo. Stąd jego protest nie ma w pełni tragicznego wymiaru - ma wręcz posmak ironii lub groteski. Patrząc na taką osobę poprzez pryzmat "prymitywnej psychiatrii", jak ją nazywają Peter i Favret, można by taką jednostkę uznać za niepoczytalną:

"...wypowiadane przez nich słowa nie mają żadnego ciężaru gatunkowego, nie odzwierciedlają nawet potworności ich czynów - ci przestępcy są jak zaburzone dzieci, które bawią się trupami równie lekko jak słowem. Uraza, którą podobno żywią, nie ma prawa istnieć; jest zaledwie wytworem wyobraźni".

Istnieje jeden problem, którego jeszcze nie omówiłem, a który jest kluczowy przy pisaniu dowolnej biografii: jeśli można patrzeć na ludzkość w kategoriach socjologicznych, czy możemy zrobić to samo z dowolną jednostką? Według nieżyjącego już socjologa Philipa Abramsa "problem patrzenia na konkretną jednostkę z socjologicznego punktu widzenia jest zaledwie uściśleniem ogólnego problemu patrzenia na jednostkę". Z historycznego punktu widzenia "Lenin i Luter, Król Słońce i Szekspir w równym stopniu wymykają się socjologicznej kategoryzacji, co rosyjscy proletariusze z 1900 roku". Abrams uważa, a wszystko, co wiemy na ten temat, skłania nas do przyznania mu racji, że "stanie się dewiantem nie jest kwestią patologii społecznej, dezorganizacji życia społecznego, rozbitych rodzin, złego towarzystwa lub przypadku. Jest to wypracowany sposób zdobycia tożsamości. (Jednostka) w twórczy sposób chwyta się różnych sposobności w celu samookreślenia". Tak właśnie się dzieje w przypadku wielokrotnych morderców.

Jednostki stają się swoimi biografami. I zakładając, że taka biografia jest pełna i uczciwie napisana, to, co nam ujawnia, jest historycznie umiejscowioną samorekonstrukcją - czymś w rodzaju moralnej kariery.

Biografia, o której mowa, jest historycznie uwarunkowana i powstaje w wyniku splotu przypadków i zdarzeń losowych. Dąży do realizacji specyficznych celów życiowych w obrębie danego systemu, przy jednoczesnym odrzuceniu innych celów.

Rzecz w tym, że aby pojąć jednostkę odbiegającą od normy musimy wziąć pod uwagę "splot uwarunkowań historycznych i społecznych, które wywarły swój wpływ na danego człowieka". Innymi słowy, musimy się przyjrzeć systemowi kar i nagród, szansom życiowym stworzonym danemu człowiekowi, zakresowi dokonywanych wyborów, gdyż one kształtują obierany przez człowieka model własnej przyszłości. W tym rozdziale dojdziemy do wniosku, że współczesna Ameryka jest wymarzonym krajem do budowania tożsamości wielokrotnego mordercy.

Stajemy jednak ciągle wobec następującego problemu: wielu ludzi ma trudne dzieciństwo i nie spełnione ambicje lecz zaledwie garstka z nich zostaje mordercami. Dlaczego większość nie decyduje się na obranie tak nietypowej drogi? Nie dysponujemy danymi, które umożliwiłyby rozstrzygnięcie tego problemu w sposób naukowy. Nie powołano żadnego zespołu badawczego do prześledzenia życiorysów ludzi, którzy w pewnym momencie życia wybrali tę dość niekonwencjonalną karierę. Wydaje się prawdopodobne, że ta większość musiała się zetknąć, choćby nawet pobieżnie, z jakąś osobą lub instytucją, która uczyniła ich życie znośniejszym, oferując spokojne życie w "cichej desperacji" w zamian za totalne odrzucenie siebie i swojego życia, co charakteryzuje wielokrotnych zabójców. Możemy tylko założyć, że po dzieciństwie spędzonym w zakładach opiekuńczych lub takim, które upłynęło w cieniu pochodzenia z nieprawego łoża, wydarzy się w życiu tych ludzi coś - ciekawa praca, wpływowy członek rodziny, kochanka, przynależność do jakiejś grupy lub nawet nadzieja na którykolwiek z wymienionych elementów -co da poczucie spełnienia i przerwie poszukiwania nowej tożsamości w skórze wielokrotnego mordercy.

LITERATURA FACHOWA

Jeśli chody o zbrodnie wymierzone przeciwko drugiemu człowiekowi (morderstwo, gwałt, napaść), to nie mamy żadnej teorii co do wartości tych przewinień i co za tym idzie żadnej teorii co do korzyści, jakie przynoszą.

Raiph Andreano i John Siegfried

Zabójstwo

Powyższe stwierdzenie zostało wypowiedziane przez ekonomistów, których zdumiewa fakt popełniania zbrodni bez osiągnięcia korzyści majątkowej. Inne nauki społeczne lepiej sobie poradziły z zagadnieniem zabójstw, przynajmniej tych "tradycyjnych". Wykazaliśmy już, że przynajmniej w teorii, pojedyncze lub wielokrotne morderstwa to zupełnie różne zjawiska. Lunde, psychiatra, stwierdził, że "podstawowa różnica pomiędzy masowym mordercą, a mordercą jednorazowym polega na ich stosunku do ofiar" - ten pierwszy zabija obcych, drugi osoby bliskie. Przedziwne zjawisko zabijania obcych ludzi niemal nie występuje w tak zwanych "prymitywnych" kulturach. Stuart Palmer, socjolog, potwierdza ten fakt na gruncie danych antropologicznych: "w większości przebadanych prymitywnych kultur, czyli w 41 na 44, zabójcy i ich ofiary prawie nigdy nie są sobie obcy". Tylko we współczesnych, uprzemysłowionych krajach pomysł zamordowania obcego człowieka nie należy do rzadkości. Marvin Wolfgang, kryminolog, w swojej doskonałej pracy badawczej analizuje 550 zabójstw popełnionych w 1958 roku w Filadelfii: w 12,2% przypadków, ofiara i morderca byli sobie obcy. Według raportu FBI, na 22 516 morderstw popełnionych w Stanach Zjednoczonych w 1981 roku morderca nie znał ofiary w 15,5% przypadków.

Przestępcy, o których tu mowa, to zupełnie inna kategoria zbrodniarzy. Praktycznie wszyscy znawcy tematu są zgodni, że pojedyncze zabójstwo jest domeną ludzi, których wszystkiego pozbawiono. "Tacy ludzie mają naturę zabójcy - napisał Palmer. - Biedni, bez wykształcenia, pozbawieni legalnych możliwości zarobkowania reagują na system, który ich dusi, wybuchem agresji". Zagadnienie, kim tak naprawdę są ci "uciśnieni", pozostaje sprawą dyskusyjną, jak również, czy przyczyną zbrodni jest absolutne ubóstwo, czy poczucie nierówności społecznej (wątek subkulturowy). Jak na razie obowiązuje "roboczy" wniosek Williamsa publikowany w pismach socjologicznych, zgodnie z którym "nierówności ekonomiczne na de rasowym pozostają głównym źródłem czynów przestępczych w Stanach Zjednoczonych". Również "ubóstwo w połączeniu z dyskryminacją rasową stwarza "doskonałą podstawę do rozwoju przestępczości". Bez wątpienia nasi wielokrotni mordercy wywodzą się z innych nisz społecznych i rzadko reprezentują "prawdziwie uciśnionych". Są to prawie wyłącznie mężczyźni, przeważnie biali. Z reguły mają stałe posady i czasami mogą nawet liczyć na zrobienie "błyskotliwych" karier. To nie są ci sami ludzie, którzy zabijają kogoś bliskiego w chwili szału lub napadzie agresji. Trudno też uznać spontaniczność ich czynów za część zorganizowanej, przemyślanej kampanii. Lunde słusznie krytykuje naukowców zajmujących się zagadnieniem morderstw wielokrotnych za "tendencję do zakładania, że pojedyncze morderstwo jest dostateczną podstawą do identyfikacji pewnej klasy ludzi, w tym wypadku morderców", którzy praktycznie nie różnią się od siebie. Trudno o bardziej fałszywy pogląd.

Na zabójstwo można też spojrzeć z innej perspektywy, niekoniecznie socjologicznej, ale grozi to zejściem na błędny tor lub korzystaniem z narzędzi badawczych, które nie mają tu zastosowania. Żeby nie być

gołosłownym można sięgnąć po przykład "szkoły pseudobiologicznej", która miała wzięcie, od kiedy dziewiętnastowieczny kryminolog Lombroso zaczął mierzyć czoła włoskim kryminalistom. Z kolei dwudziestowieczni kryminolodzy, Glueckowie, badali jądra amerykańskich przestępców. Powyższe badania prowadzono w celu znalezienia "fizycznego typu przestępcy". Zgodnie z tą samą metodą badawczą, którą od dawna uznaje się za rojenia szarlatanów, skupiano się na tak ulotnych zagadnieniach jak prawdopodobnie podwyższona temperatura mózgów morderców. "Odkrycie" chromosomów XYY jest kolejnym nonsensem z tej samej kategorii. Twierdzono bez żadnych podstaw naukowych, że posiadacz takich chromosomów ma tendencje do manifestowania przemocy (błędnie zakładano, że takim człowiekiem jest Richard Speck, morderca pielęgniarek z Chicago). Takie poglądy pokutują w społeczeństwie mimo doniesień naukowych, że tylko niewielki odsetek niebezpiecznych przestępców istotnie posiada chromosomy typu XYY. Co więcej, więźniowie z chromosomami XYY w rzeczywistości wykazywali mniejszą skłonność do agresji niż ci z "normalnymi" chromosomami. Jedynym rozsądnym wnioskiem, którym zaowocowała "teoria biologiczna", jest stwierdzenie Edwarda O. Wilsona, że nie ma żadnego dowodu na istnienie instynktu agresji (co postulowali tacy etologowie jak Lorenz i Ardrey). "Wzory zachowań ludzkich - dodał Wilson - nie podlegają żadnym wrodzonym ograniczeniom". Niestety ze stratą dla nauki większość "socjobiologów" - nawet tak światłych jak Melvin Konner - nie uznaje faktu, że ewolucja kory mózgowej (część mózgu odpowiedzialna za procesy myślowe) doprowadziła do jej nadrzędności w stosunku do instynktownie lub genetycznie zakodowanych form zachowań. Na tej samej zasadzie naukowcy, o których mowa, nie przyjmują do wiadomości, że gdyby ludzkie zachowanie było determinowane genetycznie, wszędzie miałoby takie same przejawy. A przecież mamy do czynienia zarówno z łagodnością "prymitywnych" plemion Fore na Nowej Gwinei, jak i agresją przejawianą przez południowoamerykańskich Indian Yanomamo.

Również szkoła "psychologiczna" szuka w osobnikach przyczyn agresji i umiejscawia ją w psychice, a nie chromosomach. Powszechnie zakłada się, że ktoś, kto popełnia morderstwo, musi być ofiarą jakiejś formy psychopatologii - bardzo wątpliwa teoria, biorąc pod uwagę szacunek, jakim klasa robotnicza darzy wszelkie przejawy agresji, uznając ją jako nieodłączną formę manifestowania męskości. Psychologowie i psychiatrzy wciąż poszukują przyczyn agresji. Abrahamsen, psychiatra, wskazuje na "nieustanny konflikt wewnętrzny (morderców), który występuje pomiędzy środowiskiem, a ich własnym światem - światem infantylnego seksualizmu i instynktu przeżycia". Ten konflikt może być wywołany przez uraz we wczesnym dzieciństwie (przed ukończeniem drugiego roku życia!). Psycholog E.I. Megargee przedstawił hipotezę, jakoby agresywni przestępcy niemal zawsze "mieli" jeden z następujących dwóch typów osobowości: niedostatecznie kontrolowany lub nadmiernie kontrolowany. Dwóch wybitnych psychiatrów amerykańskich przedstawia inny punkt widzenia. Lunde pisze, że "psychoza nie występuje częściej wśród morderców niż ma to miejsce w całym społeczeństwie". Willard Gaylin przyznaje, że psychiatria "została daleko w tyle", jeśli chodzi o "przyczynę tej choroby". Osobiście nie twierdzę, że psychologia i psychiatria nie mają nic do dodania do badań fenomenu wielokrotnego morderstwa, ale że podobnie jak pseudobiologia nie wyjaśnią przyczyn wzrostu statystyk ani różnic w poszczególnych społeczeństwach. Te nauki mogą odegrać rolę nie w poszukiwaniu przyczyn, gdyż te wynikają z napięć wywołanych przez układ społeczny, ale w analizie procesu, który umożliwia psychice danego osobnika dostosować się do środowiska.

Wielokrotne morderstwo w literaturze fachowej

O ile literatura na temat zabójstwa jest stosunkowo bogata, dziwi nas fakt, że tak mało napisano o interesującym nas zjawisku. Wielokrotne morderstwo nie przyciągało uwagi specjalistów i właściwie można wskazać na zaledwie cztery pozycje, które poświęcono temu zagadnieniu. Nawet te cztery mają charakter opisowy, a nie analityczny.

Pierwszą z nich, Murder For Profit (Morderstwo dla zysku) kryminologa Williama Bolitho, niezmiennie uważam za najlepszą, chociaż skupia się wyłącznie na ekonomicznej interpretacji zagadnienia, a tę uznajemy za fałszywą. Jednakże spostrzeżenia Bolitho, mimo że napisał je ponad pół wieku temu, warte są przeczytania. Zwrócił uwagę na fakt, który pominęli wszyscy późniejsi badacze, że mordercy nie są "obłąkanymi robotami", ale "najgorszymi wśród ludzi, nie szaleńców".

"Często się zdarza, że budują swoją własną mitologię (jej rozszyfrowanie jest kluczem do zrozumienia ich życia), w której odgrywają rolę pokrzywdzonego bohatera. W kojących marzeniach na jawie wielu uczciwych ludzi, którzy stracili wszelką nadzieję, szuka zapomnienia".

Zdaniem Bolitho, wielu z tych ludzi wydawało się, że "prowadzą jakąś wojnę przeciwko społeczeństwu, co jest rzeczą słuszną", ale zrozumiał, że tak rozumuje "wielu ludzi wystawionych na nieprzychylne wiatry gospodarki rynkowej". W podsumowaniu, Bolitho dopatrzył się roli, jaką odgrywają współczesne państwa w wykreowaniu wielokrotnych morderców. Mówiąc o sprawie Fritza Haarmanna - okres międzywojenny w Niemczech - stwierdza, że "Państwo dało mu to, co miało najlepszego: kościół, więzienie, wojsko, szkołę, rodzinę, zakład dla obłąkanych - nie sposób wyprzeć się odpowiedzialności za ostateczny rezultat".

Praca Bolitho, która mogła zapoczątkować ciekawy kierunek badawczy, poszła na mamę. W roku 1928, dwa lata po ukazaniu się Murder For Profit, kryminolog Guy Logan napisał Masters of Crime (Mistrzów

zbrodni), która z założenia miała być studium wielokrotnego morderstwa. W rzeczywistości, nie znajdujemy w niej nic ponad pozbawiony komentarza opis przypadków. Przez następnych trzydzieści lat nie zajmowano się tym tematem. W roku 1958 pojawiły się dwie kolejne pozycje. Murder By Numbers (Mordowanie dla ilości) kryminologa Griersona Dicksona dotyczyło zjawiska, które dziś nazywamy morderstwem seryjnym. Autor twierdził, że motywami morderców był albo zysk, albo perwersja. Niestety jego praca jest wyłącznie opisowa i nie dostarcza żadnych wyjaśnień zjawiska, poza przelotnym stwierdzeniem o "prawdziwym pechu", jeśli chodzi o dzieciństwo morderców, i że "brak było ręki rodzicielskiej, a jeżeli rodzice darzyli dziecko jakimś uczuciem, to była to wyłącznie jawna wrogość". Dickson dostrzegł jednak pewną zaskakującą wspólną cechę: "brak bezpieczeństwa materialnego nie powinien być brany pod uwagę, gdyż zaledwie garstka morderców wywodzi się z całkowitej nędzy". Jest jeszcze jeden wniosek: "żaden z opisanych zboczeńców nie miał poczucia, jakże upragnionego przez młodzież, że jest normalnym chłopcem wśród innych normalnych chłopców... (gdyż) wszyscy mieli wrażenie, że są wykluczeni z grona rówieśników z powodu wstydu lub kompleksu niższości". Nie znajdujemy jednak odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak jest.

W tym samym roku Philip Lindsay, autor powieści kryminalnych napisał The Mainspring of Murder (Sprężynę morderstwa), w której przedstawiał stare sprawy w nowej szacie, ale bez próby interpretacji. A jednak w kilku akapitach, w których Lindsay podejmuje próbę znalezienia odpowiedzi, trafiamy na niezwykle celne stwierdzenie:

"Wielokrotne morderstwo jest zjawiskiem stosunkowo nowym. Rozpoczęło swoją karierę w osiemnastym wieku, narastało w dziewiętnastym, aby wreszcie wybuchnąć krwawą czerwienią w naszym stuleciu. Dlaczego? Jednym z elementów, którego nie można pominąć, jest industrializacja. Wraz z odejściem w przeszłość sielankowej Anglii i rozwojem przemysłu - co spowodowało skupienie ubóstwa w miastach - duch nienawiści zamienił się w furię. Ci, którzy się w tym wszystkim nie potrafili odnaleźć i stracili zaufanie do napawającego lękiem świata, zaczęli zadawać mu mordercze ciosy".

Chociaż sukces był tak blisko, Lindsay skupia się dalej na rozwoju socjalizmu i utracie indywidualności we współczesnym świecie. Zwrócił jednak uwagę na dziwny paradoks, że to nie brak bezpieczeństwa materialnego, ale brak osobistego i duchowego bezpieczeństwa stwarza w naszych czasach podatny grunt do ujawnienia się wielokrotnego mordercy.

Praca Donalda Lunde'ego, niekwestionowanego autorytetu w tej dziedzinie, Murder and Madness (Morderstwo i Szaleństwo), dotyczy głównie wielokrotnych morderców, którzy, jego zdaniem, w przeciwieństwie do pojedynczych morderców "są prawie zawsze obłąkani". Dla Lunde'ego, mordercy są albo ofiarami paranoidalnej schizofrenii - "psychozy charakteryzującej się halucynacjami (najczęściej słyszenie "głosów"), manią wielkości, ucieczką przed domniemanym prześladowaniem, udziwnionymi wierzeniami religijnymi (w których często jednostka odgrywa centralną rolę), podejrzliwością, wrogością i agresją". Mogą być również ofiarami sadyzmu na tle seksualnym, "zboczenia charakteryzującego się torturowaniem, zabijaniem i okaleczaniem innego człowieka w celu osiągnięcia zaspokojenia seksualnego". Żaden z omawianych w tej książce wielokrotnych morderców nie został oficjalnie uznany za cierpiącego na jakąkolwiek chorobę psychiczną, co nie wystawia dobrego świadectwa przedstawionej powyżej teorii.

Drugim wnioskiem Lunde'ego, przeciwko któremu również przemawiają wszystkie posiadane przez nas dane, jest twierdzenie, że podczas gdy "nie znamy faktycznych przyczyn zaburzeń psychotycznych", wiemy, że "nie są wyłącznie produktem naszych czasów. W innych krajach i w innych epokach również napotykamy na morderców seksualnych podobnych do tych, których opisałem w oparciu o współczesną historię Stanów Zjednoczonych". Lunde zadaje sobie dużo trudu, by umiejscowić przyczynę nienormatywnych zachowań w psychice mordercy, twierdząc, że "dla garstki osobników, z powodów nie do końca zrozumiałych, seksualne i agresywne odruchy wcześnie splatają się ze sobą w psychice dziecka, dając w efekcie pełne przemocy napaści na tle seksualnym". Trzymając się wiernie szkoły freudowskiej, Lunde rozwodzi się nad przyjemnością seksualną, którą morderca czerpie z zabijania i okaleczania swoich ofiar, i skupia się na ich bogatym świecie fantazji, w którym "wyobrażają sobie sadystyczne sceny i czerpią z nich ogromną satysfakcję". Zasługi Lunde'ego są znaczne, ale niewolnicze uzależnienie od tradycyjnej psychiatrii uniemożliwia mu wyjście poza pewne bariery. Żeby znaleźć wyjaśnienie musimy poznać mechanizmy, które tworzą, kształtują i deformują jednostki we współczesnym rozwarstwionym klasowo społeczeństwie.

Metamorfoza historyczna

Coraz, częściej mamy do czynienia z tymi, którzy postawili instynkt życia na głowie:
jedyny sens mają dla nich akty destrukcji.
Roger Kramer i Ira Weiner

Wielokrotny morderca nie jest obłąkany - jest taki, jakim stworzyła go rzeczywistość. Nie jest sporadycznym wybrykiem natury, który pojawia się w nieprzewidywalny sposób. Jego nadejście jest wynikiem konkretnych napięć i zmian w społeczeństwie. Wielokrotny morderca to w pewnym sensie

uosobienie kluczowych problemów cywilizacji, która go wydała, gdyż wszystkie jej konflikty odbijają się w nim jak w zwierciadle - jest wytworem swoich czasów. Jeśli to założenie jest prawdziwe, można by oczekiwać, że w miarę upływu czasu osobowość wielokrotnego mordercy ulegnie ewolucji. Potwierdzają to wszystkie zebrane materiały. W tym rozdziale spróbuję wykazać, że do dziewiętnastego wieku wielokrotny morderca był arystokratą, którego ofiarami padali chłopi. Rewolucja przemysłowa z kolei stworzyła nowy gatunek mordercy - najczęściej był to nuworysz, który mordował prostytutki, bezdomnych chłopców i służące. Czasy współczesne, czyli okres zaawansowanej industrializacji, wykreowały upadłego burżuja, który zaczaja się na wykształcone kobiety i przedstawicieli klasy średniej. Dla każdej epoki historycznej bardzo łatwo przewidzieć pochodzenie społeczne zabójców i ich ofiar - są typowymi reprezentantami swoich czasów.

Wielokrotny morderca okresu preindustrialnego

Nie jesteśmy rozpieszczeni przez ilość materiału z tego okresu, ale skorzystamy z wszystkiego, czym dysponujemy. Okazuje się, że wielokrotny morderca, który zabijał dla samej sztuki zabijania, jest rzadkim zjawiskiem w tych odległych czasach. Najsłynniejsi mordercy zabijali dla zysku - tak było w przypadku Sawneya Beana w piętnastowiecznej Szkocji, który ograbiał podróżnych, zabijał, a następnie żywił się ich trupami. Podobnie było z Madame de Brinvilliers, która żyła w XVII wieku we Francji: wymordowała rodzinę, by położyć rękę na całym majątku. W tym samym okresie działała Catherine Montvoisin, która (za godziwą zapłatą) podjęła się likwidacji setek niemowląt. Z tych odległych czasów wyłania się jednak postać, która bez wątpienia powinna stać się przedmiotem naszych badań - był nim pewien arystokrata, zamożny i znamienity.

Baron Gilles de Rais urodził się w 1404 roku jako dziedzic jednej w największych fortun we Francji. W ciągu ostatnich lat życia zamordował w swoich włościach od stu czterdziestu jeden do ośmiuset dzieci, przeważnie chłopców. Zabierał ofiary do swojego zamku i po zgwałceniu torturował je i zabijał. Wspólniczka o nazwisku Griart opowiadała sądowi w 1440 roku, że "rzeczony Gilles, oskarżony, na dzieciach dawał upust żądzy z raz lub dwa. To uczyniwszy, Gilles osobiście pozbawiał je życia lub wydawał takie polecenie". Jeśli chodzi o metodę uśmiercania, Griart twierdziła, że "czasami obcinano im głowy i rozczłonkowywano, czasami (Gilles) podcinał im gardła, zostawiając głowę przymocowaną do tułowia, czasami łamał kark pałką, czasami przecinał tętnicę szyjną, tak aby krew mogła ujść do ostatniej kropli". "Kiedy dzieci konały - napisał biograf Gillesa - on sam, mistrz grozy, wybitny łacinnik, który rozczytywał się w świętym Augustynie, wiemy towarzysz Joanny d'Arc, kucał na ich brzuchach, wpatrywał się w gasnące oczy i wdychał ich ostatnie tchnienie".

Kiedy przesłuchiwano barona i spytano, kto go namawiał do zbrodni lub nauczył zabijać, odpowiedział: "Za wszystkim stałem ja, a robiłem tak, jak podpowiadała mi wyobraźnia, zgodnie z moim osądem i wyłącznie dla własnej przyjemności i rozkoszy fizycznej. Nie przyświecał mi żaden inny cel ani nikt mi nie doradzał". Pod groźbą tortur Gilles wyznał: "Dla własnej przyjemności i rozkoszy zmysłów pojmałem lub poleciłem pojmanie znacznej liczby dzieci - nie potrafię powiedzieć dokładnie ilu - które zabiłem lub poleciłem zabić. Z tymi dziećmi dopuściłem się grzechu sodomii[20]... moje nasienie pokrywało ich brzuchy zarówno przed śmiercią, jak i po niej, także wtedy, kiedy konały. Samodzielnie lub przy pomocy Gillesa de Sille'a, Rogera de Bricqueville'a, Henriet (Griart), Etienne Corrilaut (Poitou), Rossignol i Petit Robina poddawałem te dzieci wszelakim torturom. Czasami obcinałem im głowy sztyletem, czasami nożem, kiedy indziej silnie uderzałem je w głowę pałką lub innym narzędziem... czasami przywiązywałem je do drąga w mojej komnacie, albo wieszałem na haku i dusiłem... Kiedy konały, popełniałem grzech sodomii... Przytulałem je potem do siebie, a jeżeli dziecko miało piękną główkę i prześlicznego członka, wtedy to ciało trzeba było brutalnie otworzyć... Czerpałem rozkosz z przyglądania się wewnętrznym organom. Często, kiedy dzieci umierały, siadałem na ich brzuchach i rozkoszowałem się ich śmiercią... śmiałem się z tego, a Corrilaut i Henriet wtórowali. Potem nakazywałem, by (ciała) palono i obracano w proch".

Tych, którzy przeczytali poprzednie rozdziały tej książki, nie zdziwi fakt, że baron przerywał opisywanie zbrodni i zwracał się do pogrążonych w bólu rodziców pouczając ich, jak mają wychowywać dzieci. Zanim jednak to nastąpiło, w czasie odczytywania listy zbrodni, których się dopuścił, Gilles de Rais, otoczony przez rodziny ofiar (sami chłopi), pozwolił sobie na wyrażenie ostrego sprzeciwu wobec zbyt niskiego pochodzenia ławy sędziowskiej. Podczas gdy biskup i proboszcz, którzy reprezentowali oskarżenie, odczytywali zgromadzonym chłopom przewinienia barona, oskarżony zakrzyknął: "Świętokradcy, bezwstydnicy, wolałbym zawisnąć na stryczku, aniżeli odpowiadać na pytania takich klechów i sędziów. Nie godzi się stawać przed takimi jak wy". Zwracając się do biskupa Malestroit warknął: "Niech biskup Nantes na mnie nie liczy".

Ostatecznie baron skapitulował wobec groźby tortur i ekskomuniki. "Od czasów młodości dopuściłem się wielu zbrodni przeciwko Bogu i dziesięciu przykazaniom - wyznał sędziom - zbrodni o wiele gorszych niż

[20] Przestarzałe określenie pederastii. Dzisiaj oznacza stosunki płciowe ze zwierzętami

te, za które mnie dzisiaj sądzicie. Obraziłem naszego Zbawcę, gdyż w dzieciństwie źle mnie wychowano i mogłem robić co dusza zapragnie, (a zwłaszcza) czerpać przyjemność z wszystkiego, co zabronione". Zwrócił się do sędziów o opublikowanie jego wyznań, czym ponownie przypomina zachowanie wielokrotnych morderców naszych czasów. Prosił o posłużenie się .językiem pospólstwa", tak aby chłopi zrozumieli, co czynił. Co baron chciał właściwie przekazać swoim słuchaczom i czytelnikom? "W dzieciństwie byłem wątły i robiłem, co mi się podobało, czyniłem wszelkie zło, jakie mi przyszło do głowy. Zwracam się z gorącym apelem do wszystkich ojców i matek, przyjaciół i krewnych młodych ludzi i dzieci: wychowujcie ich w moralności, uczcie ich, by korzystali z dobrych przykładów i doktryn - uczcie i karzcie, żeby nie wpadli w taką samą pułapkę jak ja". Baron został powieszony i spalony dwudziestego szóstego października roku 1440.

Dlaczego majętny i potężny arystokrata stał się klasycznym przykładem wielokrotnego mordercy okresu preindustrialnego? Dlaczego przedstawiciele tej klasy społecznej przestali pojawiać się w spisach wielokrotnych morderców naszych czasów? Co zaszło w pierwszej połowie XV wieku, żeby wywrzeć taki wpływ na przedstawiciela osiadłej arystokracji? Świat, w którym przyszło żyć Gillesowi de Rais'mu, istniał od stuleci: dwuklasowy, składający się z rzeszy chłopów i garstki "szlachetnie urodzonych" panów, którzy odbierali tym pierwszym wszelką nadwyżkę produkcji rolnej. Nie były to łatwe czasy dla ludzkości, a zwłaszcza dla chłopów: zarazy, głód i wojny, które dziesiątkowały ludność, były na porządku dziennym. Mimo to chłop mógł oczekiwać pewnej rekompensaty. W zamian za przekazanie nadwyżki produkcji rolnej swemu panu, mógł liczyć na minimum ochrony osobistej, która przysługiwała mu jako producentowi, oraz na prawo do dożywotniej dzierżawy. Humanizacja związków międzyludzkich pełniła rolę społecznej podstawy tego względnego bezpieczeństwa ekonomicznego. Według Petera Lasietta, historyka, mimo że wyzysk był częścią systemu, "każdy człowiek był członkiem grupy, którą stanowiła rodzina... każdy miał swój krąg więzi uczuciowej: każdy związek był postrzegany w kategoriach miłości". Nie znaczy to, że "miłość" była regułą lub nawet normą w stosunkach międzyludzkich, ale niezależnie od tego, czy były one ciepłe, czy antagonistyczne, pozostawały związkami pomiędzy ludźmi. Instytucjonalizacja życia i stosunków międzyludzkich była praktycznie nie znana. Jeżeli mężczyźni i kobiety na wsi współpracowali w codziennym życiu, robili to, bo przyświecał im wspólny cel. Skonstruowana w ten sposób wspólnota chłopska nie sprzyjała rozkwitowi wielokrotnych morderców.

Jaka była sytuacja osiadłej arystokracji? Przeżywała swój kryzys atakowana ze wszystkich stron przez chłopstwo i kupiectwo. Według historyka Immanuela Wallersteina, kryzys feudalizmu zaczął się pomiędzy XIII i XV wiekiem. U źródeł kryzysu legło "przekroczenie optimum produktywności", której granice wyznaczał archaiczny system feudalny, a "przykręcenie ekonomicznej śruby doprowadziło do wojny klasowej między panami lennymi a chłopstwem, jak również między samymi możnowładcami". Co więcej, chłopstwo zaczęło się buntować i pomiędzy XIII i XV wiekiem wieści o rewoltach "dochodzą z wszystkich stron Europy Zachodniej". W XII i XIII wieku we Fryzji na północy Holandii ogłoszono powstanie chłopskich republik, podobnie było w Szwajcarii w XIII wieku. W roku 1358 zbuntowali się francuscy chłopi; pod koniec XIV wieku fala protestu przeszła przez Włochy i Flandrię.

Interesujący nas XV wiek, czasy barona Gillesa de Rais'go, to okres, w którym próbowano potwierdzić funkcjonowanie ustalonego porządku społecznego, często poprzez okrutne dławienie chłopskich buntów. ,było to stulecie, w którym następujący władcy próbują zaprowadzić wewnętrzny ład w Europie Zachodniej: Ludwik XI we Francji, Henryk VII w Anglii, Ferdynand Katolicki i Izabela, królowa Kastylii. W przeciwieństwie do swoich mniej przedsiębiorczych poprzedników, mieli do dyspozycji zaplecze finansowe - pisze Wallerstein. -W żmudny sposób stworzono administrację (cywilną i wojskową), dostatecznie silną do egzekwowania podatków i finansowania biurokracji".

Nie jest przypadkiem, że jedyny wielokrotny morderca okresu preindustrialnego, o którym wiemy, że zabijał dla samej przyjemności zabijania, należał do zagrożonego układu społecznego. Nie trzeba mieć bogatej fantazji, by zrozumieć, że sposób, w jaki baron (przyzwyczajony do dawania upustu żądzom) torturował i zabijał chłopskie dzieci, był typowym przejawem represji. Seksualizm stał się polem doświadczalnym, na którym baron w okrutny sposób testował i egzekwował władzę. Dawanie upustu fantazjom seksualnym stało się odbiciem głównego nurtu politycznego jego epoki: podporządkowanie zbuntowanego chłopstwa i przywrócenie władzy absolutnej dawnym możnowładcom. Czy można wymyśleć lepszy sposób na poradzenie sobie z zagrożoną dominacją, niż torturowanie i mordowanie przedstawicieli tej klasy społecznej, która śmiała zażądać prawa do równości? Trzysta lat później, wraz z rozkwitem burżuazji, inny szlachcic, markiz de Sade będzie musiał ograniczyć się do nieszkodliwego fantazjowania i pisarstwa; jego klasa społeczna odchodziła w zapomnienie - de Rais i jego confratres przegrali bitwę.

Okres uprzemysłowienia

Pod koniec osiemnastego wieku zaczynają zachodzić głębokie przemiany społeczno-ekonomiczne, które znamy pod hasłem rewolucji przemysłowej. Powstały nowe klasy społeczne, które jednych wyniosły do władzy, a innych odsunęły w cień.

"Kluczowymi postaciami tego okresu - napisał wybitny historyk Robert Darnton, byli właściciele środków produkcji, wyznawcy myśli ekonomicznej, którzy mieli swój styl życia i własną ideologię". Tą nową klasą była burżuazja, której przedstawiciele "mieli świadomość klasową i buntując się (przeciwko starej arystokracji) prowadzili za sobą chłopów i rzemieślników". Kultura polityczna konieczna do zjednoczenia tej "siły" została stworzona po to, by burżuazja mogła "natchnąć pospólstwo swoją koncepcją wolności (a zwłaszcza wolnego handlu) i równości (a zwłaszcza położeniu kresu arystokratycznym przywilejom)". W dziewiętnastym wieku liczne wynalazki umożliwiły stworzenie nowego ładu ekonomicznego opartego na produkcji. Wyłoniona klasa społeczna, która była właścicielem środków produkcji, zdobyła kontrolę nad tworzącymi się państwami uprzemysłowionymi, spychając starą arystokrację na margines historii (lub łącząc się z nią poprzez zawieranie związków małżeńskich). Ale ci, którzy stali na czele rewolucji mordowania ludzi nie wywodzili się ani spośród dawnej arystokracji, ani triumfującej nowej klasy społecznej - burżuazji. Wśród wielokrotnych morderców tego okresu nie znajdziemy żadnych Wedgwoodów ani Rockefellerów. Nie powinno nas to dziwić, gdyż warstwy społeczne, które nie czują się zagrożone, nie wydają na świat wielokrotnych morderców.

W całym uprzemysłowionym świecie tradycyjne życie we wspólnocie zostało wywrócone do góry nogami. Lasiett pisał:

"...zdjęcie z rodziny typu patriarchalnego obowiązków ekonomicznych w okresie industrializacji stworzyło społeczeństwo masowe. Ludzie pracy przekształcili się w rzeszę równych, nie różniących się od siebie jednostek, zatrudnionych w fabrykach lub poza nimi, w kopalniach i biurach, na zawsze pozbawionych świadomości, że praca jest sprawą rodzinną, wykonywaną we własnym domostwie".

Nowy ład społeczny, pisał Wolf, "przebił się przez powłokę ustalonych wartości, odciął ludzi od podłoża społecznego w celu przemienienia ich w ekonomicznych aktorów, wolnych od zobowiązań społecznych w stosunku do rodziny i sąsiadów".

"Uwolnienie się od tradycyjnych więzów społecznych złożyło się na historyczne zjawisko, które Karol Marks opisywał jako "alienację". Wyobcowanie ludzi... wobec siebie samych, stało się tak olbrzymie, że musieli spojrzeć na swoje umiejętności jak na towar będący przedmiotem sprzedaży; wyobcowanie wobec innych ludzi dotyczyło tych, którzy stali się faktycznymi lub potencjalnymi konkurentami na rynku".

Kapitalizm z końca osiemnastego i w dziewiętnastym wieku był zatem niezwykle radykalną siłą, która spowodowała, że robotnik poczuł się nagi i pozbawiony ochrony. W tamtym czasie Europa i Ameryka przeobraziły system zabudowy mieszkaniowej, aby powstającym fabrykom dostarczyć robotników: stworzono ogromne, anonimowe miasta. Za Wolfem przytoczmy dane dotyczące Wielkiej Brytanii, które ilustrują zagęszczenie ludności w obszarach miejskich. W roku 1600 zaledwie 1,6 procenta ludności Anglii i Walii mieszkało w miastach, których liczebność przekraczała sto tysięcy, ale w XIX wieku liczby pokazują odpływ ludności ze wsi do miast. Do 1801 roku, jedna dziesiąta ludności kraju mieszkała w miastach; do 1840 ta proporcja podwoiła się. Do końca stulecia prawie połowa ludności mieszkała w miastach i tym samym Wielka Brytania stała się krajem zurbanizowanym. W tym odartym z charakteru nowym świecie robotnik został pozbawiony jedynej ochrony, jaką stanowiła dla niego rodzina i wspólnota; zamiast tego harował w fabrykach i mieszkał w anonimowych czynszówkach. Nowa ideologia burżuazyjna karała przegranych - bezrobotnych i tych, dla których nie starczało pracy - gdyż nowy system przemienił "różnicę między klasami w różnicę między cnotą i zasługą".

Za ubóstwo i upokorzenie, brak poczucia bezpieczeństwa i krzywdę społeczną trzeba było zapłacić wysoką cenę. Między innymi pojawił się nowy typ mordercy. Wilson z żalem konstatuje, że morderstwo w okresie preindustrialnym nie wyróżniało się niczym szczególnym i wynikało przeważnie "z nędzy i ludzkiej biedy, a nie wyboru pomiędzy dobrem i złem". Wiek XIX i początek wieku XX spełnią nasze oczekiwania, gdyż "poza kilkoma interesującymi wyjątkami wszystkie spektakularne dziewiętnastowieczne morderstwa związane na przykład z osobami Lizzie Borden, Florence Bravo, doktora Pritcharda i profesora Webstera dotyczyły ludzi o ustalonej pozycji. Nie byli ani przesadnie bogaci, ani nie należeli do arystokracji - ot, zwykła klasa średnia". Rzeczywiście aż trudno nie zwrócić uwagi na tytuły, zwłaszcza medyczne, poprzedzające większość nazwisk: doktor William Palmer, doktor Thomas Cream, doktor Marvel Petiot i wielu, wielu innych.

Wśród tych wielokrotnych morderców, którzy zabijali dla samego zabijania, wyróżniają się dwie tendencje. Pierwsza, wiodąca, to ta, w której przedstawiciele klasy średniej - lekarze, nauczyciele, profesorowie, pracownicy administracji państwowej, czyli ludzie należący do klasy, która miała służyć nowej, triumfującej burżuazji, z wielką lubością żerowali na przedstawicielach niższego stanu, a zwłaszcza prostytutkach i służących. (...) Zabijając tych, którym się nie powiodło, jak również niepokorne wyrzutki społeczeństwa, działali jako stróże nowego ładu moralnego. Nigdy nie poznamy tożsamości "Kuby Rozpruwacza", który w 1888 roku terroryzował prostytutki z dzielnicy Whitechapel w Londynie, pięciu z nich rozcinając brzuchy z precyzją godną chirurga. Poznaliśmy natomiast doktora Thomasa Creama, który w roku 1891 podtruwał londyńskie prostytutki, nakłaniając je do popijania z butelki z trucizną. Człowiek ten wysyłał również prowokacyjne listy do policjantów prowadzących śledztwo.

Mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych poprzedniego stulecia wielokrotni mordercy zaczynają nagminnie pojawiać się w krajach zachodnich, a zwłaszcza w takich wysoko uprzemysłowionych mocarstwach jak Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Stany Zjednoczone. Na początku dwudziestego wieku ten typ przestępstwa jest wręcz uprawiany jako forma sztuki. Dysponujemy zaledwie garścią przypadków, które możemy poddać wnikliwszej analizie; po większości zostały drastyczne opisy i zwięzłe wyznania morderców. Pomiędzy rokiem 1920 i 1925, Grossman, Denke, Haarmann i Kurten siali postrach w Niemczech. W roku 1931 na Węgrzech Sylwester Matuschka wysadził w powietrze pociąg, zabijając dwudziestu pięciu pasażerów, a stu dwudziestu raniąc. Początkowo tłumaczył się tak: "Uszkadzałem pociągi, bo lubię patrzeć, jak ludzie umierają. Lubię słyszeć ich krzyki. Lubię przyglądać się ich agonii". Później posłużył się znajomo brzmiącym wyjaśnieniem, że za wszystko winę ponosi zły duch, niejaki Leo.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku we Francji Jo-seph Philippe dusił prostytutki i podrzynał im gardła. Miał wielu naśladowców. W latach dwudziestych naszego stulecia Eari Nelson zgwałcił i udusił co najmniej dwadzieścia gospodyń domowych działając od San Francisco po Winnipeg. W Chicago Herman Mudgett (lepiej znany jako doktor H.H. Holmes), student medycyny, który rzucił studia z powodu braku funduszy, zabił kilkanaście młodych kobiet w swoim "zamku". Przed zawiśnięciem na stryczku w roku 1896 wypowiedział między innymi pamiętne słowa: "Przybrałem postać i cechy Złego". Albert Fish, syn kapitana stateczku, który kursował po rzece Potomac, człowiek niezwykle religijny, marzący o karierze pastora, działał przez całe lata jako seryjny morderca. Torturował i zabił co najmniej piętnaścioro dzieci, które wywodziły się głównie ze środowiska robotniczego. Ostatnią znaną ofiarą była dziesięcioletnia Grace Budd. (Sześć lat po zabiciu dziewczynki) Fish napisał list do matki ofiary: "W niedzielę trzeciego czerwca 1928 odwiedziłem państwa dom pod numerem 406 na Piętnastej Ulicy. Przyniosłem ser i truskawki. Jedliśmy obiad. Grace usiadła mi na kolanach i pocałowała mnie. Podjąłem wtedy decyzję o zjedzeniu jej. Wymyśliłem pretekst zabrania jej na zabawę. Powiedzieli państwo, że może iść. Zabrałem ją do pustego domu w Westchester, który miałem już wcześniej upatrzony... Ależ mała się broniła - kopała, gryzła i drapała. Udusiłem ją, a potem pokroiłem na kawałki, żeby przetransportować mięso do swego domu. Ugotowałem i zjadłem. Jak słodziutka i delikatna była jej pupcia upieczona w piekarniku. Zjedzenie całego ciała zabrało mi dziewięć dni. Nie wsadziłem jej, chociaż mogłem, więc zmarła będąc dziewicą".[21]

Wątek przewodni: Drobnoburżuazyjna wrażliwość

W tym stuleciu zabójcami byli głównie ludzie, którzy dopiero co uzyskali status przedstawiciela klasy średniej i czuli się niepewnie w nowej roli. Pouczali i trzymali w ryzach przedstawicieli niższych warstw społecznych, o których sądzili, że zagrażają ich delikatnej pozycji społecznej bądź nie zachowują się "stosownie" do wymagań nowej epoki. Najlepszą ilustracją tej tezy jest "Sprawa Wagnera" z roku 1913. Wagner był jednym z dziesięciorga dzieci chłopa, prymitywnego bufona i alkoholika, który zmarł, kiedy chłopiec miał dwa lata.

Ojciec zostawił po sobie tak straszne długi, że trzeba było sprzedać gospodarstwo, by je spłacić. Matka ponownie wyszła za mąż, lecz rozwiodła się, kiedy chłopak miał siedem lat. Podobno przyczyną rozwodu była jej rozwiązłość. Jeszcze będąc dzieckiem Wagner "znany był w wiosce jako "syn wdowy" -zanotowała Hilda Bruch, psychiatra. - Cierpiał na depresję, miał samobójcze myśli i koszmarne sny". Jakimś cudem Wagner zdobył wykształcenie i został nauczycielem, ale nigdy nie uwolnił się od pewnego przeczulenia, które zostawia po sobie taki gwałtowny skok na drabinie społecznej.

"W nocy czwartego września 1913 roku kilka groźnych pożarów wyrwało ze snu mieszkańców Muehihausen. (...) Kiedy wybiegli na ulicę czekał tam na nich mężczyzna z twarzą zakrytą czarną woalką. Był uzbrojony w dwa pistolety, z których oddał kilka wyjątkowo celnych strzałów. Zastrzelił ośmiu mężczyzn i jedną dziewczynkę, a dwanaście osób dotkliwie ranił. Zanim zdążył przeładować broń, został obezwładniony i tak dotkliwie pobity, że uznano go za martwego. W rzeczywistości był jedynie nieprzytomny. Znaleziono przy nim 198 pocisków. Właściciel gospody rozpoznał w zabójcy swojego trzydziestodziewięcioletniego szwagra, który przed dziesięciu laty uczył w miejscowej szkółce.

Wagner oświadczył, że poprzedniej nocy po cichu zabił żonę i czworo dzieci. (...) Przyznał, że przyjechał do Muehihausen w celu zemszczenia się na mężczyznach mieszkających w wiosce za lekceważący stosunek i pogardę, którą mu okazywali. Ze zdumieniem stwierdził, że kiedy stał się przedmiotem napaści rozwścieczonych ludzi i został skatowany, nikt nie wspomniał o jego przewinieniach na tle seksualnym, które jego zdaniem leżały u podłoża prześladowania, drwin i potępienia.

Oskarżonemu darowano życie, gdyż w czasie badań przed procesem uznano, że jest psychicznie chory. Resztę życia, dwadzieścia pięć lat, spędził w zakładzie psychiatrycznym.

---

[21] List przyczynił się do aresztowania sześćdziesięcioczteroletniego Fisha. Przypuszcza się, że sam Fish chciał, by w ten sposób policja wpadła na jego trop. Pomimo ewidentnej niepoczytalności oskarżonego, uznano go za winnego śmierci Grace. Wyrok wykonano (przyp. tłum.).

Przez cały poprzedni tydzień (przed strzelaniną) pisał listy, które wysłał dopiero czwartego września. Przyznał się w nich do wszystkich popełnionych przez siebie zbrodni. Adresatem była najpoczytniejsza gazeta w Stuttgarcie. Tej nocy Wagner chciał pojechać do Muehihausen, zabić szwagra i resztę rodziny, a następnie spalić ich dom i ten, w którym się urodził. Potem miał się udać do zamku królewskiego w Ludwigsburgu, obezwładnić strażników, podpalić budynek i samemu ponieść śmierć w płomieniach. Była też wersja, według której miał zginąć skacząc z murów.

W obraźliwy sposób wyrażał nienawiść do profesora Gauppa, któremu zwierzył się z motywów działania. Profesor uznał Wagnera za niepoczytalnego... "Jeśli jestem wariatem, zatem uznajcie, że wariat był przez tyle lat nauczycielem".

(Dawni współpracownicy) uważali Wagnera za godnego podziwu obywatela, dystyngowanego, może trochę zbyt spokojnego... Zaledwie kilku zwróciło uwagę na powściągliwość i sztuczność zachowania. Wszystkim jednak rzuciło się w oczy, że podczas gdy w tym rejonie Niemiec niezależnie od wykształcenia mówiono z wyraźnym akcentem, Wagner nawet w życiu prywatnym posługiwał się czystą niemczyzną.

Opisane wydarzenia miały swój początek (jeśli wierzyć wyznaniom Wagnera) latem 1901 roku, kiedy miał dwadzieścia siedem lat. Dopuścił się wtedy pederastii, być może nawet kilka razy. Kapitalne znaczenie dla całej sprawy miał fakt, że popęd seksualny Wagnera i popełnione czyny stały w sprzeczności z wysoką moralnością i poglądami etycznymi. Odczuwał głębokie poczucie winy, które go nigdy nie opuszczało... Bardzo szybko zaczął zwracać uwagę na pewne "fakty" i "dochodziły go" różne obraźliwe uwagi, które doprowadziły do wewnętrznego przekonania, że jego "zbrodnia" stała się tajemnicą publiczną. Odnosił wrażenie, że jest nieustannie obserwowany, wyśmiewany i wytykany palcami. Żył w ciągłym lęku przed aresztowaniem. Nie chcąc dopuścić do sytuacji, w której zostałby publicznie upokorzony, nie rozstawał się z naładowanym pistoletem... Miał romans z córką oberżysty... Kiedy latem 1903 roku przyszła na świat córeczka, ożenił się z jej matką w grudniu tego roku (pomimo wielu obaw i wątpliwości). Wiedział, że już jej nie kocha i zdawał sobie sprawę, jak bardzo ją przewyższa intelektualnie; traktował ją bardziej jak służącą niż żonę. Miała mu za złe wydawanie pieniędzy na książki i wypominała czas poświęcony zainteresowaniom literackim. W sumie urodziło się pięcioro dzieci. Przyjście na świat każdego kolejnego potomka witał z rozpaczą i był przygnębiony sytuacją materialną rodziny - skromna pensja nauczyciela nie starczała na jej utrzymanie.

Wkrótce zaczął mieć swoje "spostrzeżenia" również w Radelstetten (wiosce, w której podjął dodatkową pracę) i był przekonany, że to mieszkańcy Muehihausen przekazali swoją "wiedzę" jej mieszkańcom. Doszedł do tego wniosku z powodu pewnych insynuacji i arogancji, którą podobno mu okazywano. Wrócił stary dylemat: nikt niczego nie powiedział prosto w oczy, ale "dolatywały" go uwagi i niedomówienia. Wiedział, że jeżeli zareaguje, zostanie publicznie upokorzony... Stopniowo dochodził do przekonania, że jest tylko jedno wyjście. Z litości musi zabić siebie i swoje dzieci, aby w przyszłości oszczędzić im pogardy i pomówień. Musi zemścić się na mieszkańcach Muehihausen, którzy zmusili go do popełnienia tego strasznego czynu... Ponieważ to właśnie mieszkańcy Muehihausen rozpoczęli kampanię oszczerstw, muszą umrzeć. Życie Wagnera było źródłem frustracji i rozczarowań; w sumie był wdzięczny, że istniała możliwość pomszczenia się za doświadczone cierpienia. Z rozczarowaniem przyjął wiadomość, że zabił tylko dziewięcioro ludzi (plus rodzinę).

Nawet jeszcze w roku 1938, kiedy zdawał sobie sprawę, że wkrótce umrze na gruźlicę, był przekonany o słuszności swoich działań. Nawet gdyby zabił wszystkich mieszkańców wioski, nie odpłaciłoby to wyrządzonych mu krzywd... Mieszkańcy Muehihausen uniemożliwili mu prowadzenie normalnego życia, wypełnionego pracą, i udaremnili jego wysiłki mające na celu zrobienie kariery literata i dramatopisarza. Od czasów studenckich literatura była powołaniem i wielką miłością Wagnera. Pragnął odnieść sukces jako pisarz, nie tylko w czasach niedostatku... Zawód nauczyciela nie przynosił dostatecznej satysfakcji. Z całą powagą uważał się za jednego z największych dramatopisarzy swoich czasów i z pobłażaniem wyrażał się o tych, których dzieła wystawiano.

Zacytowałem obszerny fragment z pracy Hildy Bruch (Mass Murder: the Wagner Case), ponieważ pod wieloma względami sprawę Wagnera może bardzo ułatwić zrozumienie przyczyn pojawienia się tylu wielokrotnych morderców pod koniec dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku. Przyjrzyjmy się głównym wątkom w tym wspomnieniu o Wagnerze, człowieku zgnębionym i udręczonym.

Czy urojenia o prześladowaniu były wynikiem zmian w psychice, czy odzwierciedlały zasadnicze rysy na układzie społecznym tego okresu? Przeanalizujmy życie Wagnera i jego wypowiedzi. Jako synowi wiecznie pijanego chłopa i "rozwiązłej" matki dzieciństwo musiało mu upłynąć wśród nieustannych upadlających szykan rówieśników. Udaje mu się jednak wyrwać z nędzy i poniżenia: obejmując posadę wiejskiego nauczyciela, plasuje się na marginesie klasy średniej. Okazuje się jednak, że ambicjami wybiegał znacznie dalej, gdyż uważał się za literackiego geniusza i był spragniony uznania. Jako młody człowiek współżył z córką oberżysty. Zaszła w ciążę. Zgodnie z wymaganiami epoki i zajmowaną pozycją musiał się z nią ożenić. To postawiło pod znakiem zapytania z takim trudem zdobyty status, gdyż córka oberżysty stała niżej niż Wagner na drabinie społecznej. Co więcej, nie rozumiała, co pociąga za sobą fakt należenia do klasy

średniej; w tym wypadku były to literackie zadęcia Wagnera i ich cena. Bardzo szybko przestał ją "kochać" i traktował "bardziej jak służącą niż żonę".

Dzięki rewolucji przemysłowej powstał cały szereg "zawodów", które od biedy można uznać za domenę klasy średniej, a które mogły być wykonywane przez co zdolniejszych wieśniaków. Okazuje się jednak, że nic tak nie gubi człowieka jak szybka zmiana statusu społecznego: zaczyna poruszać się po świecie, którego nie zna, nie wie, jak się zachować ani na jaką swobodę działania pozwoli mu opinia publiczna. Wie, że karą za niepowodzenie jest hańba i bezceremonialny powrót do pozycji społecznej, od której udało się uciec. To jest powodem częstego występowania defensywnej histerii, która objawia się pod postacią skrajnego braku poczucia bezpieczeństwa. Niezmiennie towarzyszy ona wszystkim, którzy wspięli się po drabinie społecznej, a następnie z niej spadli.

W przypadku Wagnera, pełna lęku histeria skupia się wokół możliwości wykrycia przelotnego związku homoseksualnego, który miał miejsce, zanim poznał córkę oberżysty. Ale to nie "zasady moralne" nie pozwalają zapomnieć o tym incydencie, lecz wysokie ambicje społeczne, które ległyby w gruzach, gdyby wyszło na jaw, że był pederastą. Z każdym rokiem lęk Wagnera daje o sobie znać w coraz dziwniejszych szczegółach: dziwna maniera wypowiadania się, przesadnie formalny i niestosowny strój (niestosowny, ale dla kogo? Dla tych, którzy dokładnie zdają sobie sprawę z wymagań stawianych klasie średniej). Czy sąsiedzi wiedzą, jak bardzo się wstydzi? Musi bacznie obserwować ich każdy gest i ruch, musi się wsłuchiwać w każde wypowiedziane przez nich słowo, żeby się zorientować, czy są bliscy zdemaskowania go. Opisywana tu chorobliwa wrażliwość zagościła na stałe w umyśle Wagnera i stała się obsesją: zachowanie mieszkańców wioski było interpretowane w kategoriach lęku przed zdemaskowaniem. Wszyscy musieli o nim wiedzieć. Prawdziwe lub wyimaginowane zniewagi i obelżywe uwagi były natychmiast interpretowane jako "wiedza" o tym, co zrobił. Nie mógł na to zareagować, nie mógł oskarżyć ich o prześladowanie - gdyby tak uczynił "zostałby publicznie poniżony". Tu dochodzimy do źródła popełnionej zbrodni: jedynym sposobem na to, żeby ani on, ani jego rodzina nie zostali poniżeni, a jednocześnie, żeby zemście stało się zadość, było zabicie wszystkich bez wyjątku.

Dlaczego nie spalić zarówno własnego domu, jak i siedziby rodziny królewskiej? Trudno byłoby wymyślić coś stosowniejszego. Pożoga zniszczyłaby wszelkie dowody skromnego pochodzenia Wagnera i wymazała niechlubną przeszłość; jednocześnie zamieniłaby w ruinę zamek królewski - siedzibę i symbol całego systemu społecznego - który był przyczyną wewnętrznego rozdarcia. Nie mamy tu do czynienia z przejawem obłędu, lecz z reakcją wrażliwej jednostki, którą nieustanny strach pcha do działania. Wiedział, że u podstaw jego obaw leży system społeczny; czuł, że jedynie popełnienie zbrodni nada jego życiu wymiar i na zawsze pogrzebie wstyd. Nic więc dziwnego, że Wagner był niezadowolony, kiedy psychiatrzy i sąd uznali go za niepoczytalnego. "Jeśli jestem wariatem, zatem uznajcie, że wariat był przez tyle lat nauczycielem" -wykrzyknął. Wiedział, że położył kres mękom i zemścił się na prześladowcach. Domagając się publikacji swoich listów w najpoczytniejszym dzienniku w Stuttgarcie zrobił wszystko, żeby zrozumiano cel jego misji. Nie ma przypadku, który lepiej niż sprawa Wagnera zilustrowałby bojaźliwą naturę przedstawiciela drobnej burżuazji: przywołał do porządku tych, co stali niżej od niego na drabinie społecznej, a którzy stanowili zagrożenie dla jego pozycji.

Wątek podrzędny: bunt proletariusza

W okresie industrializacji uwidocznił się też drugi, istotny motyw działalności wielokrotnych morderców. Ci, którzy pochodzą z niższych warstw społecznych, zamanifestują swoje niezadowolenie z faktu znalezienia się na marginesie. W swoim buncie, który ma często charakter polityczny, posłużą się przemocą. Trudno odtworzyć pełny obraz zagadnienia, gdyż mało o sobie mówili, ale mimo to dysponujemy ciekawym materiałem do przemyśleń. Podczas gdy morderca o nazwisku Panzram zapisze swój rozdział w naszej historii i okrasi go odrobiną poezji, to istnieje wiele wątpliwości co do osoby współczesnego mu Petera Kiirtena działającego w Niemczech w latach dwudziestych.[22] Już jako dziewięciolatek Kiirten zabił dwóch chłopców; jako dorosły mężczyzna miał na sumieniu wiele mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt, których zabił za pomocą noża, młotka lub udusił gołymi rękami. Kiedy został ujęty w wieku czterdziestu siedmiu lat, Kiirten, robotnik, (którego ojciec siedział w więzieniu za molestowanie syna i gwałt na córce) twierdził: "Z tego, co robiłem, nie czerpałem żadnej satysfakcji seksualnej. Zależało mi głównie na wzbudzeniu zainteresowania i oburzenia w społeczeństwie. Kiedy podpalałem ciała, chciałem jedynie podsycić nienawiść". Dlaczego tak pragnął skłócić współobywateli? Pogrzebano w przeszłości Kiirtena i stwierdzono między innymi, że w dzieciństwie często zachodził do Gabinetu Grozy (gabinet figur woskowych przy Kółnstrasse). Przyjaciel z tego okresu przypomniał sobie, że Kiirtena zawsze ciągnęło do postaci morderców. Podobno tak się wyraził: "Pewnego dnia będę tak znany jak ci ludzie". Po aresztowaniu tak mówił o okresie spędzonym w więzieniu za zabójstwo chłopców: ‚3ędąc za kratkami zacząłem myśleć o sposobie zemszczenia się na społeczeństwie. Chyba zaszkodziłem sobie kilkakrotnym czytaniem różnych

[22] Tak zwany Wampir z Diisseldorfu (przyp. tłum.).

okropności w stylu "Historii Kuby Rozpruwacza". Kiedy teraz przypominam sobie, co czytałem w więzieniu, pamiętam, jaką przyjemność dałoby mi wyjście na wolność i zrobienie tego samego". Dlaczego Kiirten pragnął tak strasznej zemsty i dlaczego cenę mieli zapłacić niewinni ludzie?

Musimy przywołać postać Amerykanina Carla Panzrama, żeby w pełni wyjaśnić zagadnienie. Panzram jako jeden z niewielu opisanych tu wielokrotnych morderców doświadczył w swoim życiu prawdziwego upodlenia. Po raz pierwszy został pozbawiony wolności w wieku jedenastu lat. Był to rok 1903 i Panzram został skazany za włamanie się do domu sąsiada. W domu poprawczym doświadczył fizycznej i seksualnej przemocy ze strony personelu. Panzram przez szereg lat doznawał nieprawdopodobnych cierpień, które opisał i udokumentował w swoim dzienniku. Kariera tego wielokrotnego mordercy trwała dwadzieścia jeden lat. Gwałcił i mordował marynarzy, Indian, małych chłopców, każdego, kto stanął na jego drodze. Kiedy tylko nadarzała się sposobność, niszczył i palił mienie. Snuł ambitne plany, które spełzły na niczym: chciał wytruć ludność całego miasta, wysadzić w powietrze pociąg, a nawet sprowokować zajścia, które w konsekwencji mogłoby doprowadzić do wojny między Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią. "W ciągu całego życia - napisał Panzram w celi więziennej, z niecierpliwością oczekując na egzekucję - zabiłem dwudziestu jeden ludzi, tysiące razy włamywałem się do mieszkań, rabowałem, kradłem, podpalałem, oraz dopuściłem się sodomii z ponad tysiącem chłopców i mężczyzn. Nie żałuję ani jednego z popełnionych czynów. Nie mam sumienia, więc nie mam się czym przejmować. Nie wierzę w człowieka. Boga ani diabła. Nienawidzę całej ludzkiej rasy z sobą włącznie". "Robimy to, co robią z nami - wywnioskował. - Robiłem to, czego mnie nauczono. Wcale nie różnię się od innych. To wy nauczyliście mnie, jak mam przeżyć życie i postąpiłem zgodnie z waszymi naukami. Nie mam najmniejszego zamiaru się zmieniać. Jedynym moim życzeniem jest zmienienie tych, którzy chcą to uczynić ze mną. Wierzę, że jedynym sposobem prowadzącym do przemiany ludzi jest ich zabijanie". Po to napisał swój dziennik-odezwę, żeby wyjaśnić swój punkt widzenia, "chociaż zwykle takie rzeczy czytuje jedna osoba. Ale jeden czytelnik czy milion, nie ma to dla mnie większego znaczenia. Kiedy jestem skończony, jestem skończony i to sprawę załatwia... Gdybyście jednak podjęli ten trud i mieli dość rozumu i cierpliwości, żeby prześledzić i przeanalizować każdą kolejną zbrodnię, okazałoby się, że całe życie postępowałem konsekwentnie i zgodnie z jedną zasadą. Polowałem na słabych, nieszkodliwych i niczego nie podejrzewających. Lekcja, której mnie nauczono brzmi: silny ma zawsze rację".

Panzram dopatruje się źródeł swoje krucjaty przeciwko ludzkości w torturach, którym był poddawany w poprawczaku. "W tym okresie dopiero zaczynałem się uczyć myśleć za siebie. Wydawało się, że wszystko, co robiłem, było nie tak. Początkowo myślałem, że spotyka mnie jakaś niesprawiedliwość. Potem zacząłem nienawidzić moich prześladowców. Jeszcze później wiedziałem już, że jak najszybciej zacznę się mścić i jak najczęściej będę się starał wyrządzić komuś krzywdę. Komukolwiek. Skoro nie mogłem odegrać się na tych, którzy mnie krzywdzili, niech zapłacą za to inni... Kiedy mnie stamtąd wypuścili, wiedziałem wszystko o Jezusie i Biblii, wiedziałem tyle, żeby zdać sobie sprawę, że to wszystko dęta gadka. Wiedziałem więcej. Chrześcijanie nauczyli mnie hipokryzji i nauczyłem się kraść, kłamać, nienawidzić, podpalać i zabijać. Dowiedziałem się, że chłopięcy penis służy nie tylko do siusiania, a poza wypróżnianiem odbyt można wykorzystać w innym celu. Tak... Dowiedziałem się mnóstwa rzeczy od moich wybitnych instruktorów, których do pracy ze mną skierowało społeczeństwo, a w szczególności stan Minnesota. Ze sposobu, w jaki ze mną postępowano i na podstawie darmowych lekcji, które otrzymałem, wiedziałem, jak spędzę resztę życia. Zdecydowałem, że do końca swoich dni będę rabował, palił, niszczył i zabijał wszystkich i wszędzie. W taki sposób zreformowano mnie w Szkole Poprawczej Stanu Minnesota. Oto powód".

Chociaż Panzram temu zaprzecza, postanowienie, o którym mówił, zamieniło się w czyn dopiero, kiedy upodlono go ponad wszelką miarę w różnych zakładach karnych - nie był dość pokorny wobec władzy. Kiedy jednak stworzył swoją filozofię życia, klamka zapadła i nie było odwrotu. Wreszcie, po wielu latach morderczej działalności, pełny nienawiści do życia, uległ władzy i zażądał, by go stracono. W więzieniu obchodzono się z nim dobrze. "Gdyby na początku traktowano mnie tak jak teraz, nie byłoby tylu ludzi na świecie, którzy zostali ograbieni, zgwałceni i nie byłoby tylu trupów. Możliwe, że nie siedziałbym teraz za kratkami... Dlaczego jestem, kim jestem? Powiem wam dlaczego. Ja do tego ręki nie przyłożyłem. Inni mnie takim stworzyli". Mimo to odrzucał wszelką możliwość "resocjalizacji". "Nie mógłbym się zmienić, nawet gdybym chciał. Do tego stanu umysłu dochodziłem całe życie, trzydzieści osiem lat... Mam taką filozofię życiową, jaką niewielu ludziom udało się wypracować. Jest jakby wypalona w moim ciele i nie sądzę, bym kiedykolwiek mógł zmienić poglądy. Nie zapomnę ani nie wybaczę rzeczy, które mi zrobiono, tak samo jak inni nie wybaczą mnie. Ja sam nie zapomnę i nie wybaczę. Nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Tak samo jest z prawem... Jeśli zgodnie z prawem nie zostanę zabity, zabiję się sam. W pełni zdaję sobie sprawę, że nie nadaję się do życia w cywilizowanym społeczeństwie. Nie mam też takiego pragnienia".

Kiedy przedstawiciele lobby przeciwnego karze śmierci próbowali odwlec egzekucję, Panzram dogadał się z władzami federalnymi, żeby wyrok wykonano. Dumając samotnie w celi napisał: "Dokądkolwiek bym się udał, ktoś miałby pecha, a czasami bardzo wielu ludzi. Ja sam jestem starym pechowcem... Mnóstwo ludzi wielokrotnie zadawało mi pytanie, kim jestem i co ze mnie za ziółko. Moje odpowiedzi były zawsze

takie same: "Jestem facetem, który kręci się po świecie i robi ludziom dobrze". Kiedy pytają mnie, co dobrego uczyniłem dla tych ludzi, zawsze odpowiadam tak samo: "Uwolniłem ich od kłopotów". Nie wiedzą, że mówię prawdę. Mnóstwo ludzi dzięki mnie pozbyło się kłopotów, a teraz sam szukam kogoś, kto uwolni mnie od moich. Za duży ze mnie nędznik, żeby żyć... Mam zamiar odejść z tego świata w taki sam sposób, w jaki na nim żyłem. Do ostatniej minuty będę zbuntowany. Ostatnim tchnieniem przeklnę ten świat i całą ludzkość. Plunę w oczy strażnikowi albo innemu, który założy mi stryczek na szyję, kiedy będę stał na zapadni... Tylko w ten sposób im za wszystko podziękuję".

Dzień przed egzekucją obiecał dziennikarzom, że "pokona tych trzynaście schodków jak ogier pełnej krwi". Prosił też strażnika, by upewnił się, że rusztowanie "wytrzyma". Robert Stroud, który później został słynnym "Ptasznikiem z Alcatraz", w noc poprzedzającą egzekucję Panzrama siedział w sąsiedniej celi. "(Panzram) przez całą noc spacerował po celi i podśpiewywał - wspominał Stroud. - Była to jakaś sprośna piosenka, którą sam ułożył..." Tuż przed szóstą rano otworzyły się drzwi celi i Panzram ujrzał dwóch księży. "Czy moje oczy widzą tu jakichś dręczychujków z Bibliami pod pachą? Wynocha mi stąd. Nie mam nic przeciwko wieszaniu, ale nie potrzebuję tu żadnych hipokrytów z Bibliami. Strażnik, za drzwi z nimi". Kiedy Panzram wyszedł wreszcie z celi, Gaddis i Long, jego biografowie odnotowali, że "prawie biegł, niemal ciągnąc za sobą górujących nad nim strażników". Panzram zerknął na sznur i zatrzymał się u stóp rusztowania, by popatrzeć na świadków egzekucji. Splunął i jeszcze raz spojrzał na sznur. "W powietrzu czuło się zapach świeżo heblowanego dębu i konopi. (Panzram) wbiegł po schodkach, jakby spieszył się do jakiejś furtki".[23]

Okres współczesny

To jest właśnie "amerykańskie marzenie"... W Ameryce wszystko jest możliwe, jeśli się na to zapracuje.
kandydat na urząd wiceprezydenta, 1984 rok

Sto drugiej wojnie światowej dla gospodarek wielu krajów, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie, zaczął się okres niespotykanego dotychczas rozwoju i koniunktury. Wzrostowi uprzemysłowienia towarzyszył równoległy rozwój instytucji związanych z opiekuńczą funkcją państwa, obejmując swoim zasięgiem edukację, lecznictwo i opiekę socjalną. Ten zdumiewający rozkwit w obydwu sferach życia wpłynął na kształt dwóch powojennych dekad; w tym okresie każdy, kto posiadał minimum kwalifikacji lub umiejętności, mógł podjąć pracę, która dawała poczucie godności i wynagrodzenie. Społeczeństwo próbowało stanąć na własnych nogach i zgodnie z przypuszczeniami dla wielokrotnych morderców był to okres ciszy przed burzą. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych zaczynają się pojawiać w zastraszającym tempie. Taki stan utrzymuje się aż do dzisiaj. Zjawisko to zbiegło się w czasie z recesją ekonomiczną i niewątpliwie zawdzięcza jej swój impet. Wszystkie miejsca pracy, które powstały po wojnie dla przedstawicieli klasy średniej, zostały zapełnione, a ich liczba wręcz zaczęła się zmniejszać. W sposób nieuchronny coraz więcej młodych ludzi o ambicjach klasowych (często niezdolnych lub pozbawionych koneksji) nie potrafiło zrobić zaplanowanej kariery. W umysłach niektórych - nigdy nie dowiemy się, ilu ich było - zrodził się pomysł o zemście. Wśród nich z kolei znaleźli się i tacy (a z każdym rokiem było ich coraz więcej), którzy od pomysłu przeszli do czynu. Była to reakcja na frustrację wywołaną zablokowaniem możliwości wspinaczki po drabinie społecznej.

Tłem dla tego zjawiska była kultura, w której od ponad półtora wieku gloryfikowano przemoc jako właściwą i w dodatku typowo męską reakcją na frustracje. W książce zatytułowanej The History of Violence in America (Historia przemocy w Ameryce) znajdujemy opis reakcji społeczeństwa na napad rabunkowy, podczas którego postrzelono w nogę młodą dziewczynę: gazeta "Times" z Kansas City nazwała incydent "tak bezczelnie śmiałym i tak dokładnie gardzącym strachem, że jesteśmy zmuszeni do wyrażenia podziwu i pochylenia czoła przed sprawcami". Kilka dni później, ta sama gazeta napisała:

"To zupełnie tak, jakby ci trzej bandyci nadjechali z jakiejś legendarnej krainy, okryci nimbem średniowiecznej rycerskości i pokazali wszystkim, jak się robi rzeczy, o których śpiewają poeci. W żadnym innym miejscu w Ameryce, może nawet nigdzie indziej na świecie, nie mogłoby się wydarzyć coś podobnego".

Poza przemocą nie ma takiej drugiej wartości, która uzyskałaby w kulturze amerykańskiej wyraźniejszą i trwalszą nobilitację. Mitologia przemocy jest popularyzowana z dreszczem emocji i prawdziwym rzemiosłem we wszelkich przejawach życia kulturalnego, włączając film, telewizję, książki i prasę. Temu upodobaniu musiało stać się zadość podczas relacjonowania wojny wietnamskiej: do każdego amerykańskiego saloniku wkradł się autentyczny rozlew krwi, a śmierć przestała być czymś świętym.

[23] Panzram został skazany na śmierć za zabicie nadzorcy pralni więziennej 20 czerwca 1929 roku podczas odsiadywania wyroku za włamanie i morderstwo. W liście do prezydenta Herberta Hoovera domagał się niezwłocznego przeprowadzenia egzekucji. Został stracony 5 września 1930 w Fort Leavenworth (przyp. tłum.).

Interesujący nas mordercy zostali w ten sposób zachęceni do urzeczywistnienia swoich fantazji, dzięki czemu mogli się uwiarygodnić i zrzucić z siebie balast krzywd.

Zarówno mordercy, jak i ich ofiary uległy przemianie. Obniża się pochodzenie społeczne zabójców - to już nie czasy piętnastowiecznych arystokratów i dziewiętnastowiecznych lekarzy i nauczycieli. Obecnie zabójcy rekrutują się spośród klasy pracującej i niższej warstwy klasy średniej: mamy tu strażników, urzędników pocztowych, robotników budowlanych, nawet ludzi obsługujących komputery. Z kolei pochodzenie społeczne ofiar zmierza w przeciwnym kierunku: miejsce piętnastowiecznych chłopów, służących i prostytutek z dziewiętnastego wieku zajęli przedstawiciele lub raczej przedstawicielki środowisk związanych z klasą średnią. Giną studentki, modelki i przypadkowi ludzie robiący zakupy w drogich centrach handlowych. Zarówno zabójca, jak i ofiara ulegli przeobrażeniu, ponieważ radykalnie zmienił się charakter protestu. Do historii należy przegrany arystokrata, który weryfikuje granice posiadanej władzy. Zniknął również bezbronny przedstawiciel burżuazji walczący z wszystkim, co zagraża z takim trudem zdobytej pozycji społecznej. Tym razem mamy do czynienia z osobnikiem, który czuje się odtrącony społecznie i który z tego powodu mści się na symbolu i źródle swojej alienacji. Ten typ zabójcy prawie nigdy nie wywodzi się spośród faktycznie uciśnionych i jest wśród nich niewiele kobiet. Murzynów lub Indian. Ci, co naprawdę mogliby się zbuntować, nie mają nawet nadziei, których mogłaby ich pozbawić gorzka rzeczywistość.

Przedstawione poniżej zestawienie pokazuje dramatyczny wzrost liczby wielokrotnych morderców w tym stuleciu. Fakt, że przytoczone dane liczbowe nie są dokładne - co zawsze jest zmorą wszystkich zajmujących się wielokrotnymi mordercami - nie umniejsza wagi tego zestawienia. Prawdopodobnie liczba wielokrotnych morderców w danym okresie była znacznie większa, ale daje nam pogląd co do częstotliwości pojawiania się zjawiska. Niezależnie od wszelkich mankamentów tendencja jest wyraźna: od lat dwudziestych po lata pięćdziesiąte liczba wielokrotnych morderców utrzymuje się na stałym poziomie od jednego do trzech. W latach sześćdziesiątych obserwujemy wzrost liczby do sześciu, co oznacza pojawienie się kolejnego mordercy co dwadzieścia miesięcy. W latach siedemdziesiątych odnotowano siedemnaście przypadków, co statystycznie oznacza nowego mordercę co siedem miesięcy. Między rokiem 1980 a 1984 (do 30 września 1984) dochodzimy do dwudziestu pięciu nazwisk; średnio kolejny morderca rusza na polowanie co 1,8 miesiąca.

Ustawienie l

^Wielokrotni mordercy w Stanach Zjednoczonych pomiędzy 1920 a 1984. Liczby w nawiasach oznaczają ilość ofiar przypisywanych danemu zbrodniarzowi.

Lata dwudzieste - Eari Nelson (18-26); Cari Panzram (21)

Lata trzydzieste - Albert Fish (8-15)

Lata czterdzieste - Jarvis Catoe (7); Howard Unruh (13);

William Heirens (3)

Lata pięćdziesiąte - Charles Starkweather (11)

Lata sześćdziesiąte - Melvin Rees (9); Albert DeSalvo (13);

Richard Speck (8); Charles Whitman (16);

Jerone Brudos (4+); Antone Costa (około 20)

Lata siedemdziesiąte - John Freeman (7); Dean Corll (27+);

Edmund Kemper ffl (10); Herbert Mullin (13);

Harvey Carignan (5+); Pauł Knowles (18+);

Calvin Jackson (9); James Ruppert (11); Vaughn Greenwood (9-11); Edward AUaway (7); John Wayne Gacy (30+); Mark Essex (10); David Berkowitz (6); Theodore Bundy (22+); Kenneth Bianchi i Angelo Buono (10); Juan Corona (25+) 1980-1984 - Henry Lee Lucas (15+); James Huberty (21);

Arthur Bishop (5+); Randall Woodfieid (4+);

Gerald Stano (41+); Alton Coleman (7); Christopher Wilder (8);

Robert Hanse (17); Michael Silka (9); Louis Hasdngs (6);

Charles Meach (4); Robert Diaz (12);

Wayne Williams (28+); Douglas Daniel Ciark (6);

Coral Eugene Watts (22); Randy Steven Kraft (14);

Frederick Wyman Hodge (12); Larry Eyler (19);

William Bonin (10+); Joseph G. Christopher (7);

Donald Miller (4); Stephen Morin (4+); Michael Ross (6+)

Obserwujemy również proporcjonalny wzrost liczby ofiar. W latach dwudziestych zamordowano trzydzieści dziewięć osób. Jeżeli za wyznacznik przyjmiemy jeden miesiąc, w tym okresie przypadnie nań średnio 0,325 ofiary. W latach

trzydziestych, przy zaledwie ośmiu zabójstwach, średnia spada do 0,06. W latach czterdziestych zginęło co najmniej dwadzieścia osób, co nieznacznie podnosi średnią do 0,16. Podobnie jest w latach pięćdziesiątych: jedenaście zabójstw daje 0,09 ofiary w miesiącu. W następnej dekadzie liczba ofiar gwałtownie wzrasta: siedemdziesiąt ofiar oznacza, że co dwa miesiące ginął człowiek. Dwieście dziewiętnaście osób, które zginęły w latach siedemdziesiątych, potraja dotychczasową średnią do 1,83 przypadków zabójstw w miesiącu. Wreszcie między rokiem 1980 a 1984 ginie czterystu czterdziestu czterech ludzi - daje to statystycznie ponad dziewięć ofiar w miesiącu, jednocześnie stukrotnie zwiększając średnią z lat pięćdziesiątych.

Czy przyczyny należy szukać w drapieżnym charakterze kapitalizmu? Dane, którymi dysponujemy, nie upoważniają do wyciągnięcia takiego wniosku. Upokorzenie i brak środków do życia towarzyszą dowolnemu systemowi - kapitalistycznemu lub komunistycznemu - pod warunkiem że mamy do czynienia z państwem uprzemysłowionym o zróżnicowanej strukturze społecznej. Żaden system nie ma monopolu na alienację i spychanie do niższych warstw społeczeństwa, dehumanizację i utratę osobowości przez obywateli. Możemy zatem przypuszczać, że wielokrotni mordercy pojawią się również w państwach bloku komunistycznego; ich liczba będzie zależała od tego, do jakiego stopnia dana kultura gloryfikuje i sankcjonuje przemoc. Trudno uzyskać potwierdzenie naszych przypuszczeń, ponieważ kraje bloku wschodniego ograniczają przepływ informacji. Niemniej wybitny pisarz emigracyjny Yalery Chalidze sporządził niedawno raport dotyczący przestępczości w Związku Radzieckim. Wynika z niego niezbicie, że postać wielokrotnego mordercy jest znana w tym kraju. Zdaniem Chalidzego, na początku lat sześćdziesiątych pojawił się pewien mężczyzna, który mordował dzieci w ich mieszkaniach. "Wiedziała o nim cała Moskwa". Według oficjalnej wersji, "popełnione przez niego przestępstwa to czyny maniaka, które zgodnie z ogólnym odczuciem miały podłoże seksualne". Takie orzeczenie mogli równie dobrze wydać biegli psychiatrzy na Zachodzie. W prasie radzieckiej pominięto ten temat milczeniem, ale Chalidze jest przekonany, że wielokrotni mordercy "pojawiają się dość często", chociaż ich liczba nie konkuruje z powszechnością tego zjawiska w Ameryce.

Wielokrotny morderca pojawił się w 1962 roku w Polsce. Lucjan Staniak, dwudziestosześcioletni tłumacz zatrudniony w jednym z wydawnictw, wysłał anonimowy list do gazety:

"Nie ma szczęścia bez łez, nie ma życia bez śmierci. Strzeżcie się! Jeszcze zapłaczecie z mojego powodu". W tym charakterystycznie kwiecistym stylu ogłosił początek fali zabójstw, która wstrząsnęła krajem. Pierwsza ofiara poniosła śmierć w dniu, w którym celebrowano wyzwolenie kraju. Dla początkującego mordercy dzień ten miał specjalne znaczenie. Ofiarą była siedemnastoletnia studentka - została zgwałcona, zamordowana i okaleczona. Następnego dnia Staniak wysłał kolejny list do redakcji gazety. "W Olsztynie zerwałem rozkwitający kwiatek. Zrobię to jeszcze raz gdzie indziej, gdyż nie ma święta bez pogrzebu".

Urzeczywistnienie groźby zabrało kilka miesięcy, aż wreszcie targnął się na życie szesnastoletniej dziewczyny, która miała poprowadzić pochód studencki w czasie manifestacji. Jej ciało znaleziono dzień po paradzie w piwnicach fabryki naprzeciwko domu, w którym mieszkała. Została zgwałcona, a narządy płciowe przebito szprychą. Z trzeciego listu do gazety policja dowiedziała się, gdzie należy szukać ciała. W dzień Wszystkich Świętych Staniak zabił po raz trzeci. Tym razem ofiarą była młoda recepcjonistka, zgwałcił ją i okaleczył, posługując się śrubokrętem. Następny dzień przyniósł list: "Tylko łzy żalu mogą zmyć plamę wstydu, tylko cierpienie może zdusić ogień pożądania". W pierwszomajowe święto roku 1966 Staniak uprowadził siedemnastoletnią uczennicę, którą zgwałcił. Następnie otworzył jamę brzuszną i wyjął wnętrzności. Ojciec ofiary znalazł córkę "leżącą za szopą na narzędzia za domem, w pozycji typowej dla gwałtu. Wnętrzności ułożono na udach tak, aby tworzyły jakiś abstrakcyjny wzór". Kiedy ekipa dochodzeniowa z Warszawy zaczęła porównywać szczegóły tego i innych czternastu podobnych morderstw, znaleziono kolejne ciało.

Tym razem miejscem zbrodni był pociąg; zabójstwa dokonano w Wigilię Bożego Narodzenia 1966 roku. Ciało młodej kobiety było okaleczone, brzuch i uda pocięte nożem. Kolejny list do redakcji ograniczył się do stwierdzenia faktu: "Znowu to zrobiłem".

Staniaka ostatecznie aresztowano. Morderca okazał się artystą malarzem i członkiem Klubu Miłośników Sztuki. Jeden z jego obrazów zatytułowany "Krąg życia" przedstawiał krowę jedzącą kwiat, wilka jedzącego krowę i myśliwego, który strzela do wilka. Myśliwy z kolei znajduje się pod kołami samochodu prowadzonego przez kobietę, ona sama, za sprawą nieokreślonej bliżej mocy, leży na polu. Z otwartej jamy brzusznej wyrastają kwiaty. Po aresztowaniu, Staniak przyznał się do dwudziestu morderstw. W następujący sposób "wyjaśniał", dlaczego popełniał zbrodnie: kiedy był chłopcem, jego rodzice i siostra zostali potrąceni przez samochód, który prowadziła żona jakiegoś lotnika. Była podobna do wszystkich młodych blondynek, które zabijał. Wyjaśnienia Staniaka nie powinny nas zaskoczyć, gdyż rozpoznajemy w nich charakterystyczne połączenie elementów obłędu z pseudoracjonalnym rozumowaniem, którymi tak często wielokrotni mordercy karmią pytających. Nie znamy szczegółów życia Staniaka, by autorytatywnie

stwierdzić, co go ukształtowało, możemy jedynie zwrócić uwagę na podobieństwa tego przypadku do amerykańskich.

Niezależnie od zagadnienia przynależności narodowościowej morderców, którego nie sposób zgłębić, biorąc pod uwagę ograniczenia w przepływie informacji, istnieje jeszcze jedna kluczowa kwestia. Należy postawić następujące pytanie: czy w pochodzeniu społecznym amerykańskich wielokrotnych morderców jest coś na tyle szczególnego, co odróżniałoby ich od reszty ludzkości. Zestawienie 2 przedstawia losy dwudziestu trzech wielokrotnych morderców działających na terenie Ameryki Północnej, co do których posiadamy stosowne dane. Widać z niego wyraźnie, że mamy do czynienia z dość specyficzną grupą. W przeważającej większości jej przedstawiciele wywodzą się z konkretnego odłamu naszego społeczeństwa (od dwunastu do dwudziestu procent). Wszyscy spełniają przynajmniej jeden z czterech warunków wskazujących na wpływ określonej presji w domu rodzinnym: adopcja, nieprawe pochodzenie, oddanie do zakładu zamkniętego w okresie dzieciństwa lub dojrzewania oraz kolejne małżeństwa matki. Dlaczego taki zespół uwarunkowań miałby pchnąć człowieka do morderstwa?

Zestawienie 2

\Vykaz wielokrotnych morderców działających na terenie Ameryki Północnej, których pochodzenie społeczne i losy są znane.

Joseph Kallinger John Bianchi Earle Nelson David Berkowitz Theodore Bundy Harvey Cańgnan
Albert Fish Edmund Kemper III
Jerome Brudos
Clifford Olson Albert DeSalvo William Bonin Richard Speck Robert Irwin William Heirens Robert Carr ffl Cari Panzra Dean CorU "Norman Collins" Antone Costa
adoptowany
adoptowany
adoptowany
adoptowany, z nieprawego łoża
z nieprawego łoża
z nieprawego łoża, zakład zamknięty
(dom poprawczy)
zakład zamknięty (sierociniec)
zakład zamknięty
(szpital psychiatryczny)
zakład zamknięty
(szpital psychiatryczny)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
zakład zamknięty (dom poprawczy)
matka trzykrotnie wyszła za mąż
matka trzykrotnie wyszła za mąż
dom tradycyjny

Charles Starkweather dom tradycyjny Marie Essex dom tradycyjny Randall Woodfieid dom tradycyjny James Huberty dom tradycyjny.

Zgodnie z podstawową prawdą dotyczącą "normalnego" funkcjonowania jednostki w społeczeństwie musi ona dorastać w przekonaniu, że zajmuje w nim swoje miejsce. W praktyce oznacza to posiadanie spójnej i społecznie wykreowanej tożsamości. Niestety ci, którzy są obciążeni na jeden z wymienionych wyżej sposobów, czują się wyrzuceni poza nawias społeczeństwa. Często w "poprawczakach" słyszałem o podobnym oderwaniu od społeczeństwa - zamknięci w nich młodociani przestępcy nazywają tych na wolności ‚ludźmi". Cena za tego typu poczucie alienacji może być przerażająca. Ale przecież są jednak ludzie, którzy pomimo podobnych doświadczeń wyrastają na dojrzałych obywateli - skąd biorą się ci, którym się nie udaje? Taki człowiek musi być zarażony ambicją - lub "marzeniem" - z którego z jakichś przyczyn zostanie odarty (tak się stało kiedy Irmgard, żona DeSalvo, odmówiła mężowi wstępu do niższej warstwy klasy średniej). Może się również okazać, że z tym "marzeniem" nie daje się żyć (tak było z

Bundym, który porzucił jakże upragnioną narzeczoną "z klasą"). Człowiek ten nie jest zadowolonym z życia osobnikiem, którego w następujący sposób opisuje Durkheim:

"...ma mgliste pojęcie o tym, jak daleko sięgają jego ambicje, i nie aspiruje do niczego więcej... wie, że o więcej nie należy prosić... Dzięki zachowaniu umiaru, ludzie są z siebie zadowoleni. Zadowolenie daje z kolei poczucie spokoju, szczęścia, radości życia, które są niezbędne dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa i jednostki".

W tym właśnie świetle należy interpretować i pojmować nie zaspokojone ambicje społeczne wielokrotnych morderców. Tak należy też podejść do ich wewnętrznego przekonania, że są robotami.

Wreszcie, potrzebne są specyficzne uwarunkowania kulturowe, dzięki którym w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na nie znaną dotąd skalę mogło namnożyć się w Ameryce aż tylu wielokrotnych morderców. Chodzi tu o następujące zjawiska: odarcie potencjalnych ofiar z człowieczeństwa i o zdjęcie wszelkiej odpowiedzialności z potencjalnego mordercy. Christopher Lasch i Barbara Ehrenreich, socjologowie, twierdzą z przekonaniem, że obydwa trendy niezmiennie funkcjonują w naszym społeczeństwie. Lasch poświęcił całą książkę na scharakteryzowanie "kultury konkurencyjnego indywidualizmu", w której ‚Logika indywidualizmu przybiera skrajną postać wojny wszystkich przeciwko wszystkim, dążenia do szczęścia za wszelką cenę i spoczęcia na laurach w narcystycznym samouwielbieniu". Ehrenreich szukała źródeł ideologii, która wręcz zachęca do uwalniania ludzi od odpowiedzialności. Dopatrzyła się jej korzeni w wykreowanej po wojnie zdecydowanie męskiej kulturze "ucieczki - dosłownej ucieczki od obowiązku zarabiania na chleb".

W ten sposób wolność, której ludzkość tak pragnie od stuleci, okazała się obosiecznym mieczem. Niezależnie od tego, czy dane uprzemysłowione państwo miało ustrój socjalistyczny, czy kapitalistyczny, jego mieszkańcy zostali zmuszeni do spojrzenia na siebie i swoich współobywateli jak na zbywamy towar. Nic więc dziwnego, że tacy, którzy mają zbyt rozpalone głowy i czują się jak roboty, decydują się na scalenie swojej porozrywanej tożsamości za pomocą serii przerażających czynów. Kiedy im się uniemożliwi spełnienie ambicji, niektórzy z nich skierują swój protest przeciwko obiektom (najczęściej seksualnym), które, jak zostali nauczeni, nie odgrywają istotnej roli. W tym świetle pytanie zadane przez Teda Bundy'ego wyda się bardziej stosowne: "O jedną osobę mniej na ziemi - jakież to ma znaczenie?"

Każdy z omówionych w tej książce przypadków pokazuje, że w pewnym momencie życia przyszły morderca doświadcza czegoś w rodzaju wewnętrznego kryzysu społecznego: kiedy zdaje sobie sprawę, że nie może zostać tym, kim chciałby być. "Amerykańskie marzenie" nie stanie się jego udziałem. Moment doświadczenia tego egzystencjalnego kryzysu jest jednocześnie chwilą, w której zostaje zasiane ziarno zemsty. Jedni mają pełną świadomość motywów działania (Essex, Bundy, Panzram), inni (Berkowitz, DeSalvo) mają o nich mgliste pojęcie. I w jednym, i w drugim przypadku siłą napędową jest nie spełniona ambicja. To ona pcha do osobistego, częściowo politycznego ataku na społeczeństwo, wymierzonego przeciwko tej grupie społecznej, która ich zdaniem jest odpowiedzialna za ucisk lub wykluczenie poza nawias. Niektórzy nie szukają usprawiedliwienia swoich czynów, a chcąc rozładować wściekłość znajdują doraźną ulgę w popełnianiu morderstw. Następnie "zapominają" lub szufladkują wspomnienia, co znajduje swój przykład w słowach DeSalvo: "Byłem tam, stało się, a gdybyście rozmawiali ze mną godzinę później lub pół godziny później, nic to już nie znaczyło, po prostu nic nie znaczyło". Inni z kolei próbują konstruować skomplikowane uzasadnienia - intelektualne, jak Panzram, lub duchowe, jak demony Berkowitza - żeby wyjaśnić i usprawiedliwić popełnione zbrodnie. Zaledwie garstka morderców (takich jak Joseph Kallinger lub Herbert MuUins z Kalifornii, który zabijał, żeby "zapobiec trzęsieniom ziemi") do tego stopnia odrywa się od rzeczywistości, że tworzy swój własny świat, tym samym będąc w stanie, którzy psychiatrzy nazywają szaleństwem.

Wszyscy bez wyjątku próbują dokonać społecznego zrównania. W ten sposób na nowo budują wszechświat, aby znaleźć w nim swoje miejsce. Nikt nie wyraził tego przejrzyściej niż Starkweather, który powiedział, że "tylko martwi są sobie równi". Wszyscy mordercy to robią; tak przebudowują zde-humanizowany system, aby zająć w nim centralną pozycję. Karzą przy tym niewinnych - sto oczu za oko - i nie jest to pierwszy przykład w historii ludzkości, kiedy kara, którą wymierzają ludzie szukający odwetu, nieproporcjonalnie i wielokrotnie przekracza wyrządzoną im krzywdę. Ci ludzie nie wypełniają swoich "misji" w oderwaniu od rzeczywistości; dzięki szeroko rozumianej kulturze mają zakodowany szacunek dla wszelkich form przemocy, która jest motywem przewodnim w środkach masowego przekazu ukierunkowanych na klasę robotniczą. Książki, czasopisma i filmy są źródłem materiału, który nie tylko pobudza wyobraźnię, ale również uczy kojarzyć pożądanie z przemocą. Gdyby powierzono nam zadanie wskazania społeczeństwa, w którym wszystkie mechanizmy strukturalne i kulturowe byłyby nastawione na wykreowanie zabójców przypadkowych ludzi, nie musielibyśmy daleko szukać - tym krajem jest współczesna Ameryka.

Powstanie tożsamości mordercy

Trzydzieści do czterdziestu tysięcy lat temu nasi przodkowie tworzyli egalitarne (jak sądzimy) społeczeństwa zajmujące się polowaniem i zbieractwem. Nie były rozwarstwione klasowo, nie istniał

podział pracy, nie było o co walczyć - nie było władzy, prestiżu i bogactwa. Około dziesięciu tysięcy lat temu nasi przodkowie zaczęli stopniowo przechodzić od polowania i zbieractwa do uprawy roli i pasterstwa - nowych struktur ekonomicznych, które wymagały większej ilości energii włożonej w każdą godzinę pracy. Kiedy praca ośmiu ludzi wystarczyła do wyżywienia dziesięciu powstały warunki do wyprodukowania nadwyżki, którą mogła zagarnąć powstająca elita. W ten sposób całkowicie przebudowano strukturę społeczeństwa: od tej pory pozycja i hierarchia, a nie wzajemne zobowiązania, zaczęły się wyłamać jako reguły, według których ma się rządzić społeczeństwo. Powstał szkielet, na którym w ciągu tysiącleci oparł się system klasowy: grupy ludzi o wspólnych interesach stojące w opozycji do innych grup. Z czasem pojawiały się kolejne klasy walczące o prymat, jak na przykład burżuazja w dziewiętnastym wieku. W różnych okresach historycznych niektóre z tych grup były bardziej zagrożone od innych. W chwili gdy jakaś klasa czuje się najbardziej zagrożona (kiedy jej prawa zostają zakwestionowane przez inną klasę, a jej status jest zakwestionowany przez wzburzony proletariat lub jest nieprecyzyjnie zdefiniowany) możemy oczekiwać, że jacyś jej członkowie mogą zacząć snuć fantazje o zabiciu przedstawicieli innej klasy.

Wypływa z tego wniosek, że wielokrotny morderca nie pojawia się przypadkowo. Zdarza się to na konkretnych etapach ewolucji w chwilach napięcia społecznego. Istotne są tu przemyślenia Durkheima o destrukcji (chociaż zajmował się auto-destrukcją). Pomimo całej swej chwały ludzkość pozostaje delikatnym gatunkiem. Jej równowaga praktycznie balansuje na włosku - dowolny kryzys (ekonomiczny, przemysłowy lub społeczny), jeśli dotknie większą strukturę społeczną, wprowadzi zamęt wśród jej przedstawicieli. To bez znaczenia, czy kryzys dotknie zamożnych, czy ubogich. Najistotniejsze jest to, że oczekiwania jednostki legną w gruzach.

"Wszelkie zakłócenie równowagi, nawet mimo stworzenia większego komfortu i poprawienia witalności, jest krokiem do dobrowolnej śmierci. Kiedy dochodzi do zasadniczego przebudowania porządku społecznego, niezależnie od tego, czy zmiana jest spowodowana nagłym wzrostem gospodarczym, czy nie przewidzianym załamaniem koniunktury, ludzie są bardziej skłonni do samodestrukcji".

W zamierzchłej epoce preindustrialnej stara, osiadła arystokracja była najbardziej zagrożona przez buntowniczo nastawione masy chłopskie i szybko bogacące się kupiectwo. To logiczne, ale i przerażające, że właśnie wśród członków tej zagrożonej klasy fantazje rozpasanego seksualizmu urzeczywistniły się pod postacią tortur i mordowania przedstawicieli niższych warstw społecznych. W czasie rewolucji przemysłowej, kiedy arystokracja zamknęła się w swoich dworach, żeby lizać rany, a rosnąca w siłę burżuazja cieszyła się władzą, ludzie, tacy jak Wagner lub doktor Cream, czując się niepewnie w nowych rolach na marginesie klasy średniej, byli opętani myślą o porażce. Mówimy tu głównie o ludziach, takich jak lekarze, urzędnicy państwowi i nauczyciele, którzy mieli możliwość decydowania o losie tych gorzej urodzonych. Ci ostatni być może szeptali między sobą o błędach młodości pana nauczyciela i o jego gminnym pochodzeniu (Wagner), lub przejawiali obojętność (doktor Cream).

Na początku dwudziestego wieku pojawia się nowy rodzaj wielokrotnych morderstw. Na fali rewolucji proletariackiej tacy ludzie jak Panzram (lub współcześnie Lucas), którzy zdawali sobie sprawę z faktu całkowitego wykluczenia poza nawias społeczeństwa i doświadczyli cierpień ze strony burżuazyjnych instytucji powołanych do ich "rehabilitacji", siali strach i grozę. Tacy proletariusze funkcjonują do czasów nam współczesnych, ale będą w mniejszości; klasa, którą reprezentują znajdzie inne sposoby wyrażenia protestu, między innymi poprzez środki politycznego przymusu, topienie roszczeń w alkoholu, narkotyki lub zwykłe złodziejstwo. Morderstwo dla sztuki nie pociąga przedstawicieli klasy społecznej, która boryka się ze swoimi problemami. W naszej epoce na czoło wysuwa się jednostka plasująca się między niższą warstwą klasy średniej, a wyższą warstwą klasy pracującej. Sporadycznie tacy mordercy, jak Robert Mansen z Alaski i kuzyni Kenneth Bianchi i Angelo Buono z Los Angeles (Dusiciele z Hiliside) podejmują wątek z poprzedniej epoki i karcą niepokorne prostytutki i dziewczyny, które uciekły z domu. O wiele częściej mordercy karzą ludzi plasujących się wyżej od nich w hierarchii społecznej, polując na jednostki o jednoznacznie średnioklasowym pochodzeniu, na przykład studentki. Wszystkie rozwarstwione klasowo państwa uprzemysłowione niezależnie od obowiązującej w nich ideologii zamieniają obywateli w zwycięzców i przegranych. Jednakże do połowy lat sześćdziesiątych coraz większy deficyt miejsc pracy w zawodach związanych z klasą średnią oznaczał zwiększenie się liczby wyobcowanych i zrozpaczonych przegranych. Co więcej, w miarę jak brakowało odpowiednich miejsc pracy, inne siły społeczne nieprzerwanie przemieniały bliskich do tej pory sąsiadów w ludzi obcych. Siły te są również odpowiedzialne za zmniejszanie się stanu osobowego rodzin, rozrastanie anonimowych miast i przedmieść, geograficzne oddalenie od siebie członków rodzin, rozpad instytucji małżeństwa, upadek prestiżu rodziców - wszystkie te czynniki w coraz większym stopniu ułatwiły potencjalnym zabójcom pokonanie wszelkich skrupułów. Zabicie i okaleczenie wroga - który jest osobą obcą - jest niczym więcej, jak tylko posłużeniem się przedmiotem w sposób niezgodny z przeznaczeniem. Nowe pokolenie wielokrotnych morderców rekrutuje się spośród ambitnych obywateli, którym się nie powiodło albo którzy sądzili, że im się nie powiedzie; ci ludzie szukają sławy i atencji poprzez popełnianie ekstrawaganckich zabójstw. W wykonaniu zadania niezmiennie pomaga im wyjątkowa wręcz tolerancja, z jaką system patrzy na działalność morderców,

asygnując skromne środki na pracę policyjnych grup śledczych, których zadaniem jest wytropienie i ujęcie mordercy.[24]

Niezależnie od tego, czy zabijają jednorazowo w ciągu jednej krwawej godziny lub jednego dnia, czy morderstwa rozciągnięte w czasie, niezależnie od tego, czy ich motywy działania zdają się mieć charakter "seksualny", czy "psychotyczny", zabójcy, których omawialiśmy w tej książce są bardzo do siebie podobni. Niezależnie od siebie przeprowadzają przemyślaną akcję zabicia dużej liczby obcych sobie ludzi.

Pozornie odnosimy wrażenie, że robią to dla zaspokojenia żądzy seksualnej lub dokonania podboju; prawda jest jednak taka, że w ten sposób dają upust urazie, która ma swoje źródło w nie spełnionych ambicjach. Niektórzy z nich mają tak dosyć życia, że po realizacji zadania pragną jak najszybciej umrzeć. Noszą miano "masowych morderców", a rozszyfrowanie zakodowanego przekazu zostawiają zaskoczonemu społeczeństwu. Inni pragną żyć dalej, by opowiadać swoją historię i nurzać się w sławie; tych nazywamy "seryjnymi mordercami".

Tragedia, a zarazem ironia całego zjawiska polega na tym, że źródłem tych nienormatywnych zachowań jest wolność, do której ludzkość dążyła od zarania dziejów - wolność spojrzenia w głębię swojej duszy bez potrzeby odwoływania się do nieelastycznych systemów filozoficznych. Za tę wolność płaci się wysoką cenę, gdyż stwarza ona ludziom możliwość wyrwania się z rygorów systemu społecznego. W takich okolicznościach wszyscy ci, którym uniemożliwiono spełnienie ambicji (a od lat sześćdziesiątych przybywa ich ^raz więcej), którzy funkcjonują w ramach kultury gloryfikującej i nagradzającej przemoc, znajdują rozwiązanie wszystkich swoich problemów w wybuchu ociekającym krwią. W miarę jak coraz więcej ludzi czuje, że kryzys ekonomiczny i społeczny zepchnął ich na margines, można oczekiwać wielu naśladowców Williama Heirensa, studenta Uniwersytetu Chicagowskiego, który czegoś szukał - sam nie wiedział czego - we wnętrznościach porwanego przez siebie dziecka. Heirens napisał szminką na ścianach mieszkania jednej ze swych ofiar następujące zdanie: "NA LITOŚĆ BOSKĄ ZŁAPCIE MNIE, ZANIM ZNOWU ZABUĘ. NIE PANUJĘ NAD SOBĄ".

Spis treści
Od Autora
Wielokrotny morderca naszych czasów
CZĘŚĆ PIERWSZA Seryjny morderca naszych czasów
Demonstracja wobec władzy
Aby posiąść kobietę.
Odegranie się na ludziach z wyższych sfer
Demony zrobiły ze mnie żołnierza
CZĘŚĆ DRUGA Masowy morderca naszych czasów
Nienawidzę białych bestii chodzących
po tej ziemi
Tylko martwi są sobie równi
CZĘŚĆ TRZECIA Spojrzenie ogólne
Analiza historyczno-socjologiczna wielokrotnego mordercy

[24] Słowo tolerancja może brzmieć prowokacyjnie, ale wystarczy porównać skromne fundusze przeznaczone na ściganie wielokrotnych morderców z ogromnymi sumami, które państwo wydaje na kontrolowanie dysydentów (w 1983 roku FBI przeprowadziło 300 poważnych operacji, a jej budżet na samą tylko działalność agenturalną w 1984 roku wyniósł 12,5 min dolarów. Policja nie otrzymuje takich pieniędzy.).